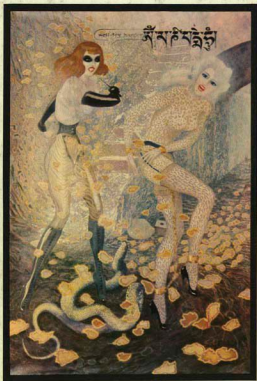


Sztuka to najwyższy wyraz
samouświadomienia ludzkości
/.../
Dzieło sztuki – mikrokosmos
odbijający epokę.

Józef Czechowicz



Cena zł 9000,—

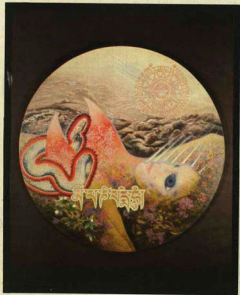
a

1

nr 1 (47) 1992

akcent

literatura i sztuka • kwartalnik



Nieznanne teksty Witolda Gombrowicza
Stanisław Barańczak: Geografioly
A. Fiala: Australia, czyli kocham krokodyle

AKCENT nr 1 (47) 1992

a

rok XIII
nr 1 (47) 1992

akcent

literatura i sztuka

kwartalnik

Redaguje kolegium

MONIKA ADAMCZYK-GARBOWSKA
IZABELLA GAWARECKA-ADAMCZYK
TADEUSZ KWIAKOWSKI-CUGOW
LECHOSŁAW LAMENSKI
WALDEMAR MICHAŁSKI (sekretarz redakcji)
DOMINIK OPOLSKI
BOGUSŁAW WRÓBLEWSKI (redaktor naczelny)
BOHDAN ZADURA

Redaktor techniczny
Janusz Solecki

Redaktor
Janina Haneł

Składowa
Jadwiga Grzegorzczak



literatura i sztuka

Wydano przy pomocy finansowej
Wydzielnia Kultury i Sztuki
Urzędu Wojewódzkiego w Lublinie

PL ISSN 0208-6220

NR INDEKSU 35307

Copyright 1992 by „Akcent”

SPIS TREŚCI

- Tadeusz Chróścielewski: *wiersze*/7
Mirosław Haponiuk: *Mądrości nadziei*/12
Wacław Iwaniuk: *Gombrowicz i inni*/20
Tadeusz Chabrowski: *wiersze*/35
Alina Kochańczyk: *Słowo o Danucie Mostwin*/40
Danuta Mostwin: *Jest coś, co przetrwa dłużej*/45
Stanisław Barańczak: *Geografowie*/49
Adam Fiala: *Australia czyli Kocham krokodyla*/52
Janusz Koryt: *wiersze*/59
Stefan Symotulik: *Adolf Eichmann w kostiumie Smerdliakowa*/63
Jan Misiuk: *Pogrzeb*/74
Andrzej Ogrodowczyk: *wiersze*/80
Dariusz Rott: *Oswajanie przestrzeni. O „AA.Amercyę”*. Mirosław Białoszewskiego/82
Andrzej W. Guzek: *miniatury*/90
- CZESI I SŁOWACY**
- Ivan Blatný: *wiersze*/93
Jacek Kolbuszewski: *Cmentarz w Albrechticach*/97
Ivan Kalenič: *wiersze*/108
Düsan Taragel: *„Rola pisarza w społeczeństwie”*/116
Karol Chmel: *wiersze*/124
- FILIZOFIA**
- Andrzej L. Zachariasz: *„Stary Rzym” czy „Nowe Średniowiecze”*/127
- PRZEKROJE**
- POECI, POECI...**
- Ewa Dunaj-Kozakow: *Przekroczyć własną miarę*/134; Józef Fert: *Przez zakurzony horyzont w drodze do błękitu*/137; Tadeusz Polanowski: *Poetka — prorok*.../141; Zygmunt Jan Prusniński: *Złozdzieje czeresni*/144; Andrzej Wierciński: *O chłopcu z deszczu*/148
- Z RÓŻNYCH STRON**
- Janusz Jusiak: *Ponownie zacząćować świat*/149; Tadeusz Szkółt: *Kłopoty z postmodernizmem artystycznym*/152; Jacek Lejman: *Vongnegut — największy współczesny pisarz oświeceniowy*/155; Monika Adamczyk-Garbowska: *Podróże żydowskiego Don Kichota*/157

PLASTYKA

Lechóslaw Lamenski: *Jesteśmy/160*

MUZYKA

Krzysztof Karpiński: *Zamojskie Festiwale Jazzowe/166*

LISTY Z NOWEGO JORKU

Urszula M. Benka: *Dreńczone w smach/172*

NOTY

Tadeusz Cugow: *Żegnaj ukochany Marando/176*

Tadeusz Mikulski: *Zamiar bezwładu/179*

Kryszyna Wilkoszewska: *Konferencja „Metrum of Ari”/180*

Lechóslaw Lamenski: *„Ceglowanie świata” Tomka Kawiaka/181*

Jezienné spotkania w „Akcentu”/183

Bibliografia zawartości „Akcentu” za lata 1989—1991

Informujemy Czytelników, że sprzedaż dawnych numerów AKCENTU
burza następujące księgarnie:

Księgarnia Olszka Rozpoznaszczelina

Wydziałecze Naukowych PAN

Plac M. Curie-Skłodowskiej 5

20-031 Lublin tel. 37-34-13

Księgarnia „Eoip”

ul. Krakowskie Przedmieście 62

20-076 Lublin tel. 256-15

Księgarnia Medyczna

ul. Krakowskie Przedmieście 29

20-002 Lublin tel. 261-53

Antykwariat Naukowy

ul. Dąbrowskiego 8

20-189 Lublin tel. 278-27

Księgarnia Marka Gacki

ul. Killewska 11 tel. 260-48

20-109 Lublin

Tu do nabycia m.in. numery zawierające prezentację Józefa Luboedowskiego i prozę Johna Bartha (1/1989), nowe piosenki Bułata Okudławy (2/1989), *Wielka Nauka Konfuzjusza* (3/1989), piosenki Georgina Bransona i tytułowi Aleksandra Wata i Mary Katuszewicz (4/1989), prezentację Wacława Iwanicki i Johna Ashbery'ego (3/1990) numer 1-2/1990 pod hasłem „Na pograniczu narodów i kultur” (Amerykanie, Arabowie, Litwini, Niemcy, Tatarzy, Ukraińcy, Węgrzy, Żydzi) dotyczący erotyki w literaturze (4/1990), prezentację sylwetkę twórcy Jana Lehesteina (1/1991) oraz tematyczny pod hasłem „Komizm, humor i groteska w kulturze Europy” (w numerze m.in. G. Bransera, J. Beł, S. Dixon, W. Młynarski, B. Okudława, A. Osiecka, J. Osępa, M. Wołkii)

Księgarnia ORWNI i Antykwariat realizują wysyłkę zamówionych numerów AKCENTU za pobraniem pocztowym.

Czasem drzewo cieniwa

z którego Olszy wypada

łódz rozkłada

na krótkim

nie krótkim

z łaski

z łaski

TADEUSZ CHRÓSCIELEWSKI

Odwiedziny syna

Czasem zjawi się

krąży po pokojach

z których wyrosł

jak się wyraża ze spodenek

z łaski kokonu

z niemienników czasu

Gdy mówimy ze sobą

słowa nasze brzmiały głucho i nieklarownie

jak nawoływania mieszkańców wysp

k które kiedyś były spójnym łańdem

Lecz kiedy oczy syna

natknął się na przedmioty

co oparty się tektonicznym ruchom zegara

stają się naraz tkliwe i dzienne...

Głodzi przedmioty oczyma

jak gładzi misia przez sen

i jak szukał na czole

naszej diłoni na dobranoc

Przylądek Burz

Tu burze

nawet bez chwili wytchnienia

warczą przez żęby

z pionzur horyzontu

i znowu wspinają się na chmury

i w skok

tną klami

miażdżąc żuchwami fal

Na nie zdają się tak gwarantowane środki antynawalne

jak drzewek loretański

przydął po bocze oliwy

na każdą rozwartą gardziel

Nie da rady nawet nacelowanie burzącego dzwala

woli każdego nieomylnego

w danym okresie

walczącego z Bogiem o władzę

ani prognoza jutrzhenki

majowej

lipcowej
sierpniowej
jeszcze innej
Bo i cóż się zmieni przez to
że Przyładek Burz
przechrzciłście
na
Przyładek Dobrej Nadziei?

NOTY

Lary, penaty

Gdy ktoś z bliskich odejdzie
skąd powrót nie bywa praktykowany
otrzymacie ode mnie awans
na dobrego ducha domu

Otdąd uśmiecha się jak kazał mu fotograf
dobrotliwie i wielodusznie

z ramki na półce
świadcząc łaskę przedłużania Domu

który sobie wymarzyłem
jako budowlę najszacowniejszą

i podniosłe imponderabilium
z atrybutem walnej przewagi nad czasem

(O jak zaszczytne jest życie po życiu larów i penatów
dopóki nie dostaną się w epicentrum zawału
serca i przyściennej stabilizacji!)

Wtedy znikną z półki tak szybko jak tovar
w czas kolejnego etapu reformy

a za to ukaze się na niej
wielodusznie uśmiechnięta

(dokładnie jak nakazywał fotograf)
moja gęba

by świadczyć łaskę przedłużania
wymarzonego przez was domu

(O jak miło jest przetrwać na waszej półce
nim wskaźówki zegara okrąży pokolenie!)

Chwalmy drzewo olwne
z którego Odys wyciął
łóże kokosowy
na którym

za sprawą bóstw ladu
zrzucony jest Telemach
oświeconych młódzów stanu wzór

Chwalmy zaczerpowany las
od Jeruzalem wyzwolonej o staj
rodzą się w nim driady
pięją epitalamia bładzie

i dzwonią krząkadła serc
W tym lesie kwitnie albowiem
ogród nieplewionej imaginacji

Wszakże najbardziej chwalmy
Drzewo Lipowe

umarłe —
w bliskości miasta Zwoleni

w sławnej Ziemi Radomskiej
zaś wszech — wszędy wycieczki żywe

gdzie Polacy swój język mają
Drzewo to

jakkolwiek nie rodzi jabłek
i nie było miejscem poczęcia

meza nieomylnego do śmierci lub zmiany rządu
a i nie było drogowskazdem

do ogrodu imaginacji
ani też słupem milowym

do dewizowego ogrodu króla Midasa
dalo ono Pieśń

która od wieków już
szlachci nasze dusze

Powrót zegara

Z poległego domu
przybył dziś do mnie

spalony przed półwieczem Zegar
Natchmiast swój naleźne mu miejsce

na ścianie domu nowego
(też już nie młodziak

lecz ciesz się znośnym zdrowiem)
Wcale nie posiwił od czasu

gdy odchodziłem do wojska w lesie
Na wahuże znalazłem nawet zaciek frontowy spalony

a i zrozumiały meszek mitotwórczy

Zadzwonił jak zegar kontuszowy z opery
 zabębnił jak blaszany bębnek
 zadudnił głucho jak stetoskop przyrady do serca
 i oznajmił godzinę —
 z tych co to zęby są uzbrojone minutami
 i których nie zdradza pacjentowi lekarz
 jasnowidz
 anioł stróż
 ani nadedni
 ani nadenocny kur
 biegy przyśleży
 oceniaczy stągość uczuć i przekonañ

Lary, jenaty Sześciu kolegów

Sześć stoi kufla pomezaskich
 na półce kędy z gwiazdką książka
 oprawa w przedwojenny papier
 o przemienności uczy barw
 Sześć kufla czeka na chlust nocy
 pod grynszapanow pokrywadka
 Bo gdy się w kuflach burzy noc
 kwasem pochmurnych dni syconã
 sześciu umarłych mych kolegów
 staje z mieczami na ramionach...
 Dotknąwszy czarnych pian językiem
 i księżykami dzaszków — szyb
 skroń wzniosłszy jak pijący ptak
 mówią mi sześć umarłych prawd
 o swoistości dni i nocy
 o czerni która w szkło homocę
 a barwą tylko jest prawdziwą...
 mówią mi sześć umarłych prawd...
 a ja im jedną — żywą

Domek Gotycki Księżny Izabeli Czartoryskiej

Księżna Matka w Przeszłości imieniu
 czule chroni wśród rzymskich obślonek
 kamień, co pozostał na kamieniu
 po Jeruchu ery oświeconej.

Księżna Córka na wezwanie Czasu
 pisze romans o Seru Domysłności:
 w czas grubianstwa dział serca z atlasu
 poszukują świątyni miłości...

Upadł gaj pomarańcz ścięty gromem,
 płonie bakik na Wisle w kokardach.
 Na niewoli ból Gotycki Domek
 chowa balsam — obraz Leonarda.

Piękna dama o głębokich policzkach
 z roztarganiem śledzi los potyczki,
 zamkniętego już w klatce czyżyka
 gryzie ślepka pazurki lasiczki.

Palowy, kilka lat temu.

Tadeusz Chróścielewski



Tomek Kawak: Człowiek w klatce, brzo, marmur, 1987. Katalog „Jestem”. Repr. Czesław Herda

MIROSLAW HAPONIUK

MĄDROŚĆ NADZIEI

*Spes (Nadzieja), maśbie się w postaci ma-
lenkiy Panienki, na znak, że te lata nadziei
dobrej znakom, z twarzą wesołą, ramię
długą, ciemną, z wiarą się podająca,
która trzyma zieleni z trzech listkach wynika-
jących, na znak, że Spes in Herba (nadzieja
jest w kielbku) wszelkiy kreszeny; lewą
ręką podnosi krzyż szaty. Albo też Panienka
skryżowała wpięto się na kawięcy, albo też
Panienka w strój zielonym, w wiewiór z gałki
kwintowy, na kawięcy oparta, w prośny ma
ręce Lilie, lewą rękę zbroje.*

kt. Baudouin Chmowski, Nowe dzieło

*Nadzieja
to już nie jest ta młoda dziewczyna
et caetera, niestety.*

Włodya Szymborska, Sokoł woda

Jakież jest czas bogatszy w nadzieje od czasu młodości? Wchodzenie w dorosłe życie, rodzenie się samodzielności, inicjacja — wszystko to ma miejsce pod cudowną gwiazdą „pierwsz raz”. Wywołuje niepo-
kój i obawy, drżenie kolan i ramionce zawstyżenia, a także tęsknoty, oczekiwania. Młodość sprzeciwia się bezsensowi i beznadziejności, żyje nadmiarem, rozrzućnie i lekko. Spes in Herba powiadał starożytni. Kielkowanie, wzrastanie, owoocowanie — tajemnicze misterium życia, zdaje się otwierać wszystkie możliwości, ujawniać wszystkie tajemnice. Już samo słowo „niemożliwość” wyzywa, by żądać niemożliwego, by tę niemożliwość przekroczyć. Jakże szeroki jest wówczas horyzont tęsknot i oczekiwań, jakie wiotka świadomość przemiana i nieznaczący багаż pamięci. A przecież, już wówczas, niektóre nasze nadzieje porzucamy, nie dochowujemy im wierności, nie potwierdzamy ich wytrwałości i wyzręczenia. Już u zarania dorosłego życia niektóre nadzieje mamy za sobą, ale rzadko później wzbiera w nas gorzka skłonność do zastępowania nadziei żywych rozpamiętywaniem nadziei porzuczonych, świejących jedynie odbitym światłem naszej pamięci, czule oglądającej to, co niegdyś było żywą możliwością.

Powiada się, że „nadzieja jest matka głupich”. Mówi się także, że młodość nie grzeszy mądrością i rozsądkiem. A jednak wszyscy,

szczególnie, gdy rozpaczyć spojrzemy nam w oczy lub kiedy pochłonie nas bezsens zabieganie, spoczęnej codzienności, dostrzegamy, że jest w nadziei jakaś mądrość. Coż bowiem daje sens pytaniu o ładną nadzieję, jeśli nie wszechstronna groźba bezsensu i rozpaczy? Zatem pytając o nadzieję, pytamy o nas samych. Odpowiedź jest zawsze jakimś wyborem, lub przynajmniej deklaracją wyboru i zawsze pojawia się w horyzoncie już jako gotowej sensowności.

Nieprzypadkowo pytano o nadzieję („Was darf ich hoffen?”) Kant uważał za jedno z trzech, pozwalających określić, kim jest człowiek.¹ Jednocześnie, to podstawowe dla antropologii filozoficzne pytanie, usuwając poza obszar filozoficznego dyskursu, a prawo odpowiadania na nie przynajmniej religii. A przecież filozoficzny dyskurs wtopiony jest w czasowy horyzont oczekiwań i ufundowany w pierwotnej sensowności świata danej właśnie w nadziei. Dlatego ta „panna radona, w sukni rozważanej” nie jest tylko zwłoczeniem, czy ornamentem na monumencie rozumie teoretycznego, ale jedną z jego podstaw.

Porwała także mówić o sensie tam, gdzie rozum teoretyczny doznaje swych ograniczeń, gdzie pojawia się napięcie pomiędzy możliwościami rozumie teoretycznego a koniecznościami działania zkiego, rządzonego rozumem praktycznym. Mało tego, nadzieja znosi rozziw w szukających spełnienia antycypacjach, albowiem wszelka rozumność buduje się na tym, co przedrozumiem i arbitralnie — na ludzkim pożądaniu przyszłości, które porwała określić człowiekiem: *bestia cupidissima rerum novarum*. Zatem, jeśli filozofia ma pytać do końca i zaczynać u źródeł myślenia, nie może w niej zabraknąć pytania o młodość, nieco nierozważną siostrę rozumie — o spes quarens intellectum, o przedrozumiem mądrości nadziei, a tym samym o młodość samego rozumie.

Doświadczenie konfrontuje nas z mnogością i różnorodnością nadziei. Bogactwo to sprawia, że nie sposób ująć ją definicyjnie bez podpadnięcia w arbitralność i nieuchronną nieość. Siąd zarówno definicji Spinozy („...radość niestała pochodząca od idei rzeczy przyszłej lub przeszłej, o wyniku której w jakimś stopniu wątpię”),² jak i Locke’a („...przyjemność, jakiej doznaje każdy na myśl o przyszłym pożądanym posiadaniu rzeczy, która ma może sprawić zadowolenie”),³ jak i wielu innych prób definiowania, nie można uznać za zadowalającą. Nie znaczy to jednak, że nadzieja pozostaje obcą i niedostępną niewiadomą. Można uchwyć jej swoistość, wprawdzie nie w przeryzanej definicji, ale poprzez kolejne przybliżenia, metodą cierpliwego opisu. W tym celu należy odrzucić myśli o poszukiwaniu swoistości treściowej i skupić się wyłącznie na opisie odniesienia do świata ufundowanego w nadziei i tam też poszukiwać mądrości, jaka łączy się z „posiadaniem nadziei”, „wiązaniem nadziei”, „pokładaniem nadziei”.

Nadzieja wyraża z doświadczenia codzienności i faktyczności oraz rozpoznaną, że są one objęzione brakiem, że są kondycje i absolutnie, że doświadczamy jedynie skończonej postaci świata, w dodatku obciążonej niedostatkami. Przeczytanie świata jako jedynie przemijającej postaci nie usankcjonowanej żadnym boskim wyrokiem, żadną metafizyczną koniecznością, jako jednej z postaci świata możliwego, sprawia, że ukazuje się on jako niegotowy. Toteż wraz z jego faktycznością doświadczyć musimy horyzontu możliwości, a wraz z każdym działaniem — otwarte go horyzontu niespełnionych rozczec. Jednocześnie doświadczeniu kruchości świata towarzyszy doświadczenie jego otwartości, podatności na zmianę.

¹ I. Kant: *Wielkie dzieło*, Ein. Cassinari, Berlin 1912-1922, Bd VII s.343.

² B. Spinoza: *Etyka*, Warszawa 1954, s. 221.

³ J. Locke: *Rozważania dotyczące rozumie ludzkiego*, przełożył B.J. Gawęcki, Warszawa 1955, T. I, s. 314.

Świat otwarty na nadzieję jest zatem obraczony konstytutywną niedokonalością. Nie jest to niedokonalość miejscia, wynik naszej niskiej pozycji w hierarchii bytów, którą można zmienić przez aktualizację możliwości już w tym świecie obecnych, a nam jedynie przejściowo niedostępnych. Niedokonalość ta jest niedokonalością czasu, marną właściwością tego czasu, w którym przyszło nam żyć. Dlatego świat ludu przestrzennego — kosmos — o doskonałości przestrzennych proporcji, nie może być światem nadziei. Znieruchomiała doskonałość, która przenikałoby mistycznie uniesienie, czy transcendencja, nie daje nadziei, że względu na epifanazmnia tylko obecności czasu. O ile w kosmicznej sferze świata droga ku spełnieniu nie biegnie w czasie, ale ponad czas, ku łąkom wieczności, o tyle nadzieja całkowicie pochłonięta jest czasem i z nim też, a nie z miejscem wiąże wartości. Droga nadziei ku spełnieniu jest drogą w czasie, tworzy świat historyczny. Sądzę czas nie potwierdza ułomności bytu, ale jego podstawową wartość. Waloryzowany przez czas jest tylko bytu neutralna miarą zmienności, ale także źródłem wartości. To w nim pojawia się obietnica, w nim ludzie projektują własne spełnienie, on sędzi rozstrzygając o słuszności. Nadzieja odslania temporalność świata i bytu ludzkiego, a jednocześnie poprzez naznaczenie jej wartościami pobudza wpływ czasu obcości — oswaja czas. Nakazuje rozumieć go nie tylko jako przemijanie, ale również „przestrzeń” spełnienia. W nadziei świadomości przenika czas.

Kiedy jednak pytamy o czas, pojawia się niejasność i niejednoznaczność: i przychodzi powtarzać za św. Augustynem: *Czymże jest czas? Jeśli nikt nie o to nie pyta, wiem. Jeśli pytającemu usiłuję wytłumaczyć, nie wiem.*⁵ Rytmiczny czas kosmosu i nerwowy, pełen wzdolności i upadków, zdyszany czas historii, czas codzienności i czas święta, w który wkracza wieczność, matematyczna miara i czas ludzkiego życia, toczącego się nierównym, rwanym rytmem; czas obiektywny i czas strumienia świadomości; czas nieustannych powtórzeń i czas, w którym „nic dwa razy się nie zdarza”... Nie czas zatem, ale mnogość czasów. Pytanie o związek nadziei z czasem, domaga się rozważenia egzystencjalnych źródeł doświadczania czasu i pytania już nie o czas, czy czas, lecz o czasowość jako bycie w świecie, jako źródłowe odniesienie człowieka do czasu już ukończonego, ujawniającego się w różnych modusach obiektywności.

Martin Heidegger określa czasowość jako sens bycia Dasein (jeststwa), bytu przytępnego, ale również — przy pewnych zastrzeżeniach — bytu ludzkiego.⁶ Czasowość jako pochodna ekstatyczności bycia ludzkiego, stanowi jedność ekstazy przeszłości, ekstazy teraźniejszości i ekstazy przyszłości. Poszczególne ekstazy wyprzedzają potężne intuicje związane z przeszłością, teraźniejszością i przyszłością. Nie dotyczą one bowiem czasu już ukończonego, ale wskazują na obecność bytu ludzkiego, na „bycie na zewnątrz”, „poza sobą”, „ku”, na „wystawienie” — na „ekstatyczność”, „Teraz”, „wznieście”, „potem” — bora swój sens z pierwotnej jedności ekstaz — z czasowości. Podstawą fundującą egzystencję jako „bycie ku”, jako warunek przytomności i otwartości bytu ludzkiego, jest ekstaza przyszłości. Przyszłość zatem nie jest jedynie takim „teraz”, którego jeszcze nie ma, ale fundamentem otwartości bytu ludzkiego, czyli bytu futurystycznym, możliwościowym. Ekstaza przyszłości warunkuje przytomność i projekt umożliwia jakikolwiek sens. Nadzieja, ani w obec, nie byłaby tożsama z pierwotną ekstazą przyszłości, ani z czystą otwartością bytu ludzkiego, ale już naznaczona sensem. Nadbudowuje się ona nad czystą ekstatycznością poprzez afirmację, ku przyszłości celuje jak ku obietnicy. Jest projektem i sensu, i spełnienia.

Życie konfrontuje nas z wielością różnych codziennych nadziei. Mamy nadzieję, że jutro będzie dobra pogoda i zamierzona wycieczka dojdzie do skutku. Ktoś ma nadzieję, że pociągi się nie spóźni i zdąży na umówione spotkanie. Ktoś inny, że nawalnica, czy powódź nie zniszczy jego upraw. Wszystkie te nadzieje odnoszą się do czasu już gotowego, ukonstytuowanego i oczekiwanym zdaremni pożądanych, nieobchodzących w przyszłości. Ich spełnienie nie zależy wyłącznie od nas, przekracza wolność naszej sprawności. Wszystkie sąsiadują z obawą, że zostaną zawiedzione. Wszystkie te nadzieje odnoszą się do gotowego, oswojonego codziennym doświadczeniem świata, są oczekiwaniami zdarzenia w niezmiennym świecie. Ich intencja stabilizująca, występująca z codziennej rutyny i powtarzalności jest znacznie słabsza niż intencja przekraczania, kierowania się ku nowości. Nadzieje te nie są wyrazem transcendowania, nie wynikają z pierwotnej ekstazy, lecz raczej z pochłonięcia codziennością. Do czasu odnoszą się, jak continuum kolejno następujących „teraz”, numerycznie co prawda innych, ale jakościowo nieodróżnionych. Zdarzenia, których się w tych codziennych nadziejach oczekuje są jedynie przwitami niepewności w oswojonym i znanym świecie, ponieważ przyszłość tego jest prostą ekstrapolacją teraźniejszości. Nadzieje te nie liczą się z ewentualnością, że świat może wypaść z utętych kolien i że pojawić się może jakiś niewspolnierzna wobec teraźniejszości nowość. Codzienne nadzieje są zwykle tresioowo określone, podobnie odniek czasu, który przyniesie rozstrzygnięcie — spełnienie lub zawód. Ich niespełnienie nie zmienia w zasadniczy sposób niczego w stabilnym laudzie świata, ani w życiu tych, których spotkał zawód.

Od tych codziennych, licznych nadziei odróżnić należy fundamentalną, lub — za Gabrielem Marcellem — mnogie „nadzieje, że” od wyrażalnej tylko w liczbie pojedynczej „nadziei”.⁶ O te nadzieje codzienne są pojedynczymi aktami intencjonalnymi w obrębie świadomości, o te nadzieje fundamentalna jest calocofwim nastawieniem do przyszłości, nadbudowanym nad pierwotną nieokreśloną ekstatycznością. O te nadzieje codzienne można „mieć”, gdyż są pojedynczymi aktami świadomości, o te nadzieje fundamentalne w żadnym razie mieć nie można, oblicyem co rozporządzania nią nie podlega naszej władzy, nawet w ograniczonym zakresie. W nadziei fundamentalnej można jedynie być, gdyż to raczej nadzieja ta „ma” nas i kieruje ku przyszłości naszej oczekiwania. Nadzieja fundamentalna nie jest po prostu naszym oczekiwaniem, ale to raczej my jesteśmy tym oczekiwaniem. I tylko o nadziei fundamentalnej można powiedzieć, że jest ona sposobem przejawiania się naszej bytowej ekscytacyjności, naszego ekstatycznego „bycia w świecie”.

Z nadzieją fundamentalną różniącą jednorodnie continuum czasu łączą się w kręgi rutynowych powtórzeń, lecz są gwałtownym wtargnięciem linearnego i aksjologicznie skierowanego czasu, które rozrywa kręgi powtórzeń i prostuje drogi czasu, a linearności nowego „teraz” różnicuje jakościowo, odbarczając — sensem. Inaczej niż w nadziejach codziennych, które swą włą liniarności wpisują w szerszą nieliniarną perspektywę czasową lub neutralną aksjologicznie linearności, ilościowo jedynie zróżnicowanego wiecznego „teraz”.

⁵ Św. Augustyn: *Wyznania*. Przekł. Z. Kuski. Warszawa 1987, s. 283.

⁶ M. Heidegger: *Sein und Zeit*. Neske Niemeyer 1979, s. 235 i in.

⁶ G. Marcel: *Homo niator*, przekł. P. Lubicz. Warszawa 1959, s. 39.

Nadzieja totalna nie odnosi się do przyszłości z oczekiwaniem jakiegos możliwego do określenia, izolowanego zdarzenia w obrębie świata, ale całkowite niewyobrażalne jego przemiany i totalnego samospelnienia. Przedmiotem, ku któremu zdąża (o ile w tym sensie można jeszcze użyć słowa „przedmiot”), jest absolutne spelnienie sensu egzystencji — nowy świat, nowe życie, wcielenie wartości najwyższych, niewyobrazalna pełnia. Nie dziwnego, że to, ku czemu nadzieja fundamentalna zmierza, nie daje się określić i dlatego nie jest przedmiotem, lecz niejako wskazywanym kierunkiem. W drodze ku spelnieniu nadziei fundamentalnej, towarzyszą liczne codzienne nadzieje, ale żadne cząstkowe spelnienie nie kontentuje jej, nie powstrzymuje mocy przekraczania. Nie powstrzymują jej nie tylko cząstkowe spelnienia, ale również zawody napotykaną na jej drodze. Nadzieja fundamentalna nie jest poddana na zwiedzenie tak jak nadzieje codzienne. Żadne zdarzenie z obrębu świata nie może jej zniweczyć, gdyż nie oczekuje ona niczego z tego świata, a jedynie niewypowiedzianego świata nowego. Właściwie dopiero przekreślenie wszelkich codziennych nadziei, sytuacja całkowitej katastrofy może ujawnić skrytą pod osadem codzienności nadzieję fundamentalną i pozwoli jej wzrastać, a nas wyposażyć w siłę na drogę w nieznaną.

Nadzieja fundamentalna nie odnosi się wyłącznie do przyszłości, nie projektuje jedynie kim będzie lub oczekuje byś owładnięty na człowieka, lecz kim jest teraz, albowiem już teraz jest ona egzystencjalną podstawą odpowiadania na pytania świata, całocisowym stosunkiem projektującym spotkanie z nim, nastawieniem ku światu. Nie można nadziei mieć, można w niej być, a bycie domaga się nieustannego odpowiadania na pytania świata, uniemożliwia ucieczkę od tych pytań. Nadzieja musi być zatem nieustannie potwierdzana przez cierpliwość, wytrwałosc, a nierazko heroizm. Tak jak nie można mieć nadziei, tak nie można mieć cierpliwości, wytrwalosci i heroizmu, a można jedynie być cierpliwym, być wytrwałym, być heroicznym. Tak jak miniony heroizm nie świadczy, że jesteśmy heroiczni dzisiaj, a cierpliwość, którą obcujeśmy sobie w przyszłości nie jest teraźniejszą cierpliwością, tak nadzieja nie poparta cierpliwością, wytrwaloscą i heroizmem, nie jest nadzieją żywą, ale wspomnieniem nadziei porzuconej. Chociaż zatem nie zewnętrzne nie może zniweczyć nadziei, możemy zdradzić ją i porzucić my sami, nie odpowiadając na jej wezwanie. Nadzieja zobowiązuje. Jej siła tkwi w tym jak wiele możemy jej poświęcić.

Jakkolwiek człowiek nie włada nadzieją, to jednak dysponuje mocą wyboru między uczestnictwem w niej a rezygnacją, unicestwianią ją w jednostkowym doświadczeniu samą czasowosc. W tym kontekście ludzkie życie jawi się jako pozbowienie sensu, bez-nadzieje. I tylko w tym znaczeniu możemy powiedziec, że nadzieja zakęca od nas i nie zakęca jednocześnie. Chociaż więc nadzieja ludzi młodych nie jest ich zasługą, to nadzieja ludzi starych jest cnota, albowiem wytrwali w tym, co zostało im darowane, nie roztrwonili lekkomyślnie szansy. Marcel powiada: *U źródeł nadziei znajduje się coś, co dostawnie jest nam zaufarowane; możemy jednak odrzucić od siebie nadzieję, tak jak możemy odrzucić miłosc...*

Nadzieja jest nie tylko ekstatycznym doświadczeniem świata, ludzkim odniesieniem do świata, ale daje również jego przedrozumiającą wizję. Chociaż bowiem przywołujemy w nadziei urzeczywistnienie sensu na nastąpić dopiero w przyszłości, sens, niejasne przedrozumienie teraźniejszego świata obowiązującej już dzisiaj. Nadzieja nakazuje widziec przyszłość oczyma otwartymi na przyszłość. Dlatego, to co w nadziei oczekiwane nie ma bytu wyłącznie

mentalnego, ale jest przed-obecne, znajdujące się na progu spelnienia, jest bliższym das Noch-Nicht.¹⁴ Nadzieja wyraża nie tylko stosunek do świata, ale również funduje niejasną, przedrozumową jego wizję, dającą się dookreślać jedynie jako wizja przekorna i destrukcyjna wobec racjonalistycznych ontologii. Nie znaczy to wcale, by wizji tej nie było mądrości, albowiem rozum również łatwo może być przeciwnikiem mądrości, kiedy przekracza swoją miarę.

Tradycyjna racjonalistyczna metafizyka uskulowała stworzyć adekwatne modele świata, oparte na jasności, a co za tym idzie na wyraźnej artykulacji oraz logicznych relacjach między poszczególnymi, wyróżnionymi członami systemu. Z racji swej racjonalistycznej powrońceni preferowała więc idee koniecnego ładu. Takimi modelami racjonalności, uosabiającąm racjonalność a logiczność a sposobem ukalkulacji, czyniącym system, wymyślano je wszystkie, co było nieladem, chaosem i zmiennością. Z tego powodu racjonalistyczna calosc, zamknięta w systemie, była tylko porzecz calosci i poza swoim zasięgiem pozostawiała cale bogate obszary rzeczywistości, które dawały się zracjonalizować, lub próbowała je wpisac w calosc. Wsklepek ten miał je usprawiedliwić, albo uczynić niezbędnym komponentem umyłu calosci. W ten sposób świat stawał się zrozumiały, a także „analizowalny” z możliwych. Wszystkie systemy metafizyczne, obiektywne racjonalizmu były systemami zamkniętymi, statycznymi, wyniknymi z myślenia anamnestycznego. Nawet system Hegla, w którym Absolut w swojej wędrowce przez dzieje zdobywa samoswiadomosc, nie przyznaje antycypacjom żadnej powazniejszej roli, gdyż wlad w racjonalizm bytu zapwarantowuje już a podstawę systemu, dany jest jedynie ex post, w refleksji dotyczącej jego spelnionych, przekroczonych form. Historia uzykuje przeszlyosc jedynie z punktu widzenia dokonanej już calosci, od konca. Do wszystkich systemow tego metafizycznego, anamnestycznego racjonalizmu odniec można ksilawy cytat z *Plomieni Stanislawo. Brozowskiego: Oto i masz, i jest prawdziwy sens; wszystko jest rozumne. A Hegel myslal, myslal tak dlugo, póki mu się tasiemce nawel albo wesz nie zmieniły w emanacje Trójcy Świętej, a później wolal: „Wszystko jest rozumne”, tak to niestrudno bylo. Niestrudno bylo powiedziec pajakow: kocham cie, bo ty jstesz Bog, co siebie nie zna — albo do niego duszicila: jesteś stajony rozum.*¹⁵

Jadownia ironia Brozowskięgo godzi we wszystkie metafizyki racjonalistyczne, próbujące filozofować sub specie aeternitatis. Jedynie z chrześcijaństwem wiąże się pewna dwuznaczność.

U wlych początków chrześcijaństwa było ojedno mejanistyczna nadzieją na rychla Paruzję, z czasem niejednokrotnie traciło tę mejanistyczną dynamikę, ulegając urukowi neoplatonickich konstrukcji, anielskim hierarchiom Dionizego Pseudo-Aeropogity lub agranym rytmom siewico ochroczonych kulob lokalnych, które łatwo wplywały się w chrześcijański rok liturgiczny. Do dzisiaj chrześcijańskie rozumienie Boga waha się pomiędzy wizją Boga ciagle obecnego, a Bogiem „obecnym”, „pustym”, „wędrownym”, gorąco oczekiwany Bogiem teologii Jurgena Moltmanna — pomiędzy Bogiem racjonalistycznej metafizyki a Bogiem nadziei.

W wyniku krytyki metafizyki, leżący a jej podstawa rozum obiektywny wlyczy się synonimem spekulacji i zostal wyparty przez instrumentalny rozum doktryny o powrońceni pozytywistycznej lub pragmatycznej.¹⁶ Z ich punktu widzenia racjonalność nie ma

¹⁴ Por. E. Bloch: *Rzeczywistosc antycypowana, czyli jak przebiega i co oznacza myślenie anagore*, przełożył A. Czajka, *Studia Filozoficzne* 7-8, 1982.

¹⁵ S. Brozowski: *Plomienie*, Warszawa 1981, s. 187.

¹⁶ Pojęcie „rozum obiektywny” i „rozum instrumentalny” uzywam w sensie zbliżonym do tego jaki w naukowo M. Koschitzky: *Por. Spoleczność i funkcje filozofii*, przełożył J. Doktor, Warszawa 1987, s. 244-413.

¹⁷ Tamże, s. 82.

korzeni obiektywnych, ogranicza się do roli instrumentu umyślnego, pozwalającego skutecznie dobrać środki dla osiągnięcia zamierzonych celów. Jest niezbędnym narzędziem skutecznej praktyki. Triumf rozumu instrumentalnego łączy się zwykle ze scentyzmem, który w nauce dostrzega najwyższy przejaw racjonalności. Problem pojawia się jednak dopiero wówczas, gdy namysł dotyczy nie skutecznej realizacji założonych celów, ale samego ich wyboru. Z pozycji racjonalności instrumentalistycznej, dobór wartości i celów staje się sprawą subiektywnych preferencji, uniemożliwiającą rozstrzygnięcie dlaczego wolność i sprawiedliwość są lepsze od niewoli i niesprawiedliwości. Przekonania takie bowiem czepią się swą moc z racjonalności obiektywnej. Rozum obiektywny żyłby często przeciwstawił faktyczności mentalne konstrukcje, wywołane z codziennej lekkości świata i dając człowiekowi władzę wprowadzania racjonalności do bytu. Stąd pokusa, aby nadzieję za sprawką określonej, wyhamowanej przez rozum, zamienić w utopię i spróbować wyprzedzić, nie zważając na opór świata. Natomiast rozum instrumentalny, nie zważając na wszystko oprócz naznaczonej niedostatkiem potoczności, wyklucza pragnienie całosci i od zgody na to, co codziennie nam podsuwa, łatwo przechodzi do afirmacji jej bylekości. Stąd mądrość prawdziwa przysługująca nadziei. Nie zadowala się ona pustką, w jaką widać, ani drogą w nieznaną, a zarazem nie chce swych przeczyć przedwzięciem nazywać — nie konstruuje Rajów, a jedynie gorąco ich pragnie. Mądrość nadziei to pokora i zarazem jej brak. Nie udziela ona zgody na rzeczywistość, ale wpatrując w jej ruchliwość, w napięcie ku przyszłości, strzeże się zarazem przyszłej pokusy rozumu, zbyt gwałtownie nieraz przeciwstawiającego rzeczywistości prawdziwej, własną rzeczywistość.

Nadzieja, wyrastając z niedostatku na takie ułomności rozumu. Wszak tam, gdzie człowiek dodaje swą mocny nie rodzi się nadzieja. Ponadto nadzieja nie wyrzeka się tak, jak to czyni racjonalność instrumentalna, potrzeby całosci, wszechobjemującej życia świata, jednakże, wbrew racjonalizmowi metafizyki, wija ta nie jest i nie może być konstrukcją pojęciową. Dlatego całosc nie uobecnia się, pozostaje jedynie trudną do skonkretyzowania możliwością świata, niejasnym horyzontem przyszłego spełnienia. Nadzieja dostrzega także napięcie rzeczywistości ku tej, przywoływanej całosci. Wbrew rozumowi instrumentalnemu w codzienności faktyczność nie wyczerpuje bytu, jest bowiem otwarta ku przyszłości. Z tej otwartości właśnie sens czepi się także racjonalność instrumentalna, ponieważ ona pojawia się w rzeczywistości już znaczącej. Znaczącej wręczniej i szerzej niż to, co jest wynikiem pracy rozumu. Rozum funkcjonuje w granicach jakości nazwanej, niejasno określonej całosci sensu. W świecie, w którym już panuje paradoksalne „prawo nadobfitości”. W świecie przewagi sensu nad bezsensiem, zrodzonej z wykraczania poza faktyczność.

Mówiąc o wiaży świata konstruowanej w nadziei, czyli o ontologii nadziei, dokonujemy nadziejują, gdyż całosc nie jest pojęciowo określona. Wprawdzie nadzieja używa języka jako środka wyrazu, ale nie są to pojęciowe konstrukcje. Raczej słowne gesty, dające przyszłości emotywny blask: „Królestwo Boże”, „Totum”, „Ulitium”, „Nowe Jeruzalem”, „Eschaton”. Ale już i samo słowo „Przyszłość” jest takim słownym gestem rozrywającym jednorodność czasu i zarazem wskazującym poza potoczność, wytyczeniem ruchu ku temu, co nie takie samo. Nadzieja, chociaż nie może obejść się bez słowa, uruchamia inne funkcje języka, niż te, którymi posługuje się rozum. Język nadziei wiąże się ze słowem-hałasem, słowem-zawołaniem, słowem-zakliczeniem, próbuje wykazać możliwą nadobfitość sensu i uruchamia ostenywną funkcję języka. Gwałci

przejrzyste symetrie rozumu, przerywa tożsamość myślenia i bytu. Jej zasadą staje się inadequate rei et intellectus, gdyż nadzieja pożąda rzeczy nowych. Tak nowych, że nie sięga ich kształtów i nie w świecie tej intuicji nie może potwierdzić, ani jej zaprzeczyć. Jednak w tym właśnie nieumiarkowaniu nadziei leży jej mądrość, ponieważ nie próbuje ona nadać pojęciowego wyrazu przecuciom i niestrym wzięjom. Każda próba pojęciowego doprecyzowania, przedmiotowego ujęcia jej, pozbawia ją pierwotnej dynamiki i lekkoje w świecie, który przecząć chce przekraczać. Rozum zamyka, a władza nadaje, jest otwierając, stawiając jako możliwość i każdorazowo przekraczając samorozumienie. Jednocześnie mądrością fundamentalnej nadziei jest jej cierpliwość. Chociaż pożądaną przyszłość tworzą jako prawie obecna, to spełnienie rozpisuje na nieskonczony czas.

Nie ma w niej nic z niecierpliwości marzenia, czy buntu, który podobnie jak nadzieja wyrasta z przejęcia negatywności i dąży do negacji tej negatywności. W przeciwieństwie do buntu, nadzieja nie neguje codzienności, nie dąży do jej unicestwienia, ale jest „nieakceptacją pozytywną”. Codziennosc traktuje jako obciążoną niedostatkami, a nie jak aktywne zło, z którym można walczyć. Nadzieja nie ma nic z marzytelstwa, gdyż marzenie nie zna czasu i żąda natychmiastowego spełnienia, Marzący bez reszty ulega swoim pierzyszenstwom, raz — jak Ikara — skazuje na upadek, innym razem — jak Don Kichota — na śmieśzność i drwiny gawiedzi.

Nadzieja nie żyje gorącą rozszecen i nie przymiera mądrością. Jej otwarty stosunek do świata wiąże się z umiarem, gdyż sens świata nie leży w faktyczności i nie tutaj się spełni, lecz w oczekiwanej przyszłości. Nadzieja żyjąca nadmiarem sensu i otwartości świata antycypuje zarazem spełnienie — jest samospełniająca się.

W przeciwieństwie do buntu, marzenia, a także, nazbyt nieraz zadufanego w sobie, rozumu, nadzieja nie chce natychmiast i dzięki tej rozrzuć ufnosci, cierpliwej i wytrwałej, nieraz wręcz heroicznej, czas przynosi jej spełnienie, albowiem nadzieja spełnia się w drodze. Chociaż nie jest jej dana pożądana pełnia, może smakować jej owoc, gdyż nie poddała się rozpaczy, ani małemu codziennemu nihilizmowi ludzi nikajskich. Przyszłość należy do ogarniętych nadzieją. W tym tkwi jej nierozsądna mądrość, że pozwala ona już teraz uczestniczyć w oczekiwaniu pełni i nawet rozum obdarza sensem. Dzięki jej można uczestniczyć w jawianiu się nowego i być jego pierwszym zadowolonym świadkiem.

*Siostra Wiary! Piastunko Pragnienia czystego
I odtrutko na Bójazni! Ciepło ognia twego
Mędrze niż chłód rozpaczy i radość gorąca:
Regnito, miast Miłości! Zbyt młodej rządzącej!
I choć alchemik darenie czas traci,
Ściągać złoto w wszelkiej postaci,
Choć kochanek, przez żądę gnany niemyślny,
Ściąga wciąż postać jeszcze mniej uchwytą —
Tyś, Nadziejo, łowczyni jest, której zdobyć
Pan Stworzenia wraz z Łaską swoją tajemniczą.*

Richard Crashaw: O nadziei (tłum. S. Baranicki)

Miroslaw Haponiuk

WACŁAW IWANIUK

Gombrowicz i inni

Mógłbym chyba zacząć od ryzykownej dyskusji w pierwszym numerze „Na Głos” o komunistycznym myśleniu i politycznej postawie, której patronował Czesław Miłosz, dyskusji dość chyba nudnej i politycznie płytkiej, bo tam, gdzie Miłosz mówi o komunizmie czy marksizmie, zagadnienie schodzi na mielizny dziennikarskie, znane nam z korespondencji Miłosz — Wankowicz. Głębia politycznych rozważań Miłosz nie dysponuje, gdy czytamy jego wypowiedzi na ten temat, czasami nawet żenujące, myśli, że byłoby dobrze, by nasz noblista wziął lekcję politycznego myślenia u takiego zwyczajnego zagadnienia, jakim jest Herling-Grudziński. Bez balkonowych scen, bez stylizowanej frazeologii, raczej rzeczowo i na temat.

Nielad myśli powoduje Nielad słowa, a ten, w ferwecie argumentacji, zwłaszcza gdy pisarz zaczyna przemawiać ex cathedra, zamienia się w monolog rozgłaszający własne urazy.

Niebezpieczni są zawodowi wielbicielci własnego pióra. Nigdy nie wierzę, by człowiek mógł stworzyć coś doskonałego, nawet w pojęciu obywatelowym, do przyjęcia w naszym układzie kulturowym. Sam tworzyć przez wieki i udoskonalany, jest wciąż strukturą niepełną, modelowaną zewnętrznie i wewnętrznie, fizycznie i intelektualnie, przez różnych dobroczyńców. Zbyt dużo rak grabieżie się przy jego udoskonalaniu, by można było liczyć na pozytywny rezultat. Człowiek łatwo ulega wpływowi zewnętrzny, pod naciskiem silnych pozytywnych lub negatywnych, miękkie jak wosk i ulega narzuconym treściom. Jest w końcu bardziej ich wypadkową niż indywidualną warownią samą w sobie. Był wiele się zewnętrznych czynników sprzeczających nas na manowce, a choć zostały one nazwane i rozpracowane przez ludzi nauki i dobrej woli, nie zmieniło to na jotę charakteru człowieka.

Nie piszę tych słów dlatego, że nie wierzę w postęp, ale nie wierzę byśmym mógł wywikłać się z narzuconych nam ograniczeń, prawd, obowiązków, struktur, światopoglądów itd. Na ogół zwalczając jedną sprzeczność ulegamy nowej, narzuconej nam często siła.

To niewątpliwie prawda, że człowiek stale się uczy. Ale, jak z dotychczasowych doświadczeń wynika, nauka nie zawsze jest źródłem doskonałości, nie ulepsza nas jako zbiorowości społecznej. Są wprawdzie jakieś zasady, ale często trudno się nimi posługiwać. Natrafiamy na zbiorowy sprzeciw. Bo, jak wiemy, Van Gogh był sobą, ale Hitler też był sobą. Dwie różne indywidualności, jedna poszerzająca granice piękna i wewnętrznej doskonałości, druga stwarzająca zorganizowaną strukturę społeczną na wzór ekspansywnego mrowiska. Człowiek automat i człowiek uwolniony. Wprawdzie nie jestem katastrofistą, ale widzę świat w ciemnych kolorach, a naszą kulę ziemską systematycznie spychana do kosmicznego grobu. Zanim jednak nastąpi globalny kataklizm, spojrzmy, co się dzieje na Ziemi. A chwilowo dzieje się pomyślnie, zwłaszcza w krajach, w których człowiek nabrali zafascynowania do jutra i do spokojnych

noey. My, emigranci, mamy też powód, by się nowym układem politycznym cieszyć.

Jeżeli polski polityk wybrał przekonania komunistyczne, możemy o nim powiedzieć, że służy błędnej ideologii. O ile za polski pisarz służy tym samym co polityk przekonaniom, jak go należy określić, pamiętając, że pisarz nie służy polityce, a kulturze swego kraju? Osobliwie patrzeć i patrzeć na to zagadnienie od strony ideowej. Być polskim obywatelem, to czasem więcej niż być polskim politykiem. Ten ostatni ma zdecydowaną ideologię, którą pragnie upowszechnić i wprowadzić w życie. Celem nadrzędnym jest właśnie jego ideologia. Cokolwiek by się na ten temat powiedziało, prawdą jest, że wszystkie ideologie polityczne, czy parapolityczne, należą do dziedzin spekulatywnej, nigdy nie wyszły poza sferę baśni i programów strasznych z papieru, z amierających naturalną śmiercią.

Politycy przychodzą i odchodzą. Ich poglądy trafiają czasem na podatny grunt, czasem na oporną skałę. Są jak komety wśród cił kosmicznych, właściwie bez znaczenia, ale zaśmiecają powietrze gromkami. Ideologia robi z nas często ludzi śmieśnych, często niebezpiecznych. Wielu polskich komunistów chodzą i chodzą w głoni; co innego pisarz, którego powołaniem jest jego własna twórczość. Nie pisarz polityczny, jak powiademy Kruczkowski czy Putrament, ale prowincusze zaprzetni w polskość, jak: Staff, Berent, Dąbrowska, Kaden-Bandrowski, Irzykowski i inni.

II

W naszych moralnie dość niechlujnych czasach, utarło się w rozmowie opierać słowami wziętymi ze słownika politycznych sloganów, pozbawionymi rzeczowej i logicznej argumentacji.

Jakże często słyszy się dziś w dyskusji słowo o skondensowanej wartości moralnej; to zdrójka, to agent, donosiciel, kolaborant, renegat (klasycznym renegeatem była znana mi osobliwie Wanda Wasilewska), itd., itd.

Nikt nie jest święty i nie samymi cnotami człowiek żyje. Ja sam zbywam czasami rzucone nagle nazwisko podobnym słowem, zwłaszcza w dyskusjach politycznych, których tożymyż dziś tak wiele. Nie dźwignę, że reagujemy wtedy nie tylko sercem, ale i żóćką, zaś słowem pajac okazam czasami dobiegające mnie z kraju nazwisko. I nie tylko krajowe.

Znam dość dobrze twórczość pana A. ale nie podałbym dokładnej daty, kiedy przestał być ach, a stał się nasz. Takim przełomem miał najpierw zaowocować w sercu i tu byłaby trudność, zwłaszcza dla tak postrońnego świadka, jak ja. Kto, do tego, mimo nakazu Mielicyca, chciałby pana A. zagładzić serce? A jednak gdy pada jego nazwisko, a pada dość często, co dziś już nie jest umją, ale było kiedyś, przyznam, iż reaguję wtedy słowem, które dość dobrze ilustruje złepk nagromadzonych we mnie uczuć: pajac.

Zajrzalem do słownika, by sprawdzić, czy jest to słowo o etycznym obciążeniu, czy nie? Czy ma polityczny garb, czy tylko wadę zwaną zezem? Spółeczny grymas. Okazuje się, że słowo to cechuje wewnętrzna pustka, bo pajac, to to samo co błądn, trefnia, kłown, a nawet dowcipnic i fiłgar. Nie posądzam autora słownika, wydane go przez renomowaną krajową firmę, że może się mylić. Nie pozwoiliłab na to sama Nauka. Doktor Skorpunka jest nie tylko ścisły naukowo, ale i wszechstronny, gdyż dodaje, iż istnienie również pod pojęciem pajaca nadwyrębn blazen. Nie wiem czy wyrażenie to zaczerpnął on z kart historii, czy stworzył je samorzutnie, obserwując naszych blazów politycznych? W każdym razie autor A., uplasowany centralnie w naszej literaturze, dokonał karkołomnej woli. W jakich okolicznościach to się stało, nie wiemy. Nie znamy również jej powodów, czy

był to manewr polityczny, twórczy, psychologiczny, materialny czy metafizyczny?

— W każdym razie stało się. Jedni przykaszeli, inni milczą. Ci co klaszcza, mają ku temu powody, bo albo to samo zrobili już wcześniej, albo mają zamiar zrobić. Nam, o starych przedwojennych zasadach, ich podwójna żarliwość nie mieści się w głowie. A skoro człowiek jest tylko człowiekiem i nie przestaje nim być, nawet gdy się świni, to muszą powiedzieć, że kiedyś byli jednak granice przyzwyczajenia.

— I nagle wszystko przysło! Nie ma dziedzinowych wartości etycznych, nie ma moralności, człowiek zmienia zasady, literatura jest tylko dźwięgna społeczna, sumienie jest próżne, mógł wypelniają pragmatyczne hasła, z ocenionych wartości pozostał polityczny polip. To już nie jest społeczeństwo opisane przez Orwella, to kolonia nrówek, w której niewolniczy kró pracuje dla królowej-partii. Jaką mrońką był kiedyś pan A? Uprzywilejowana, bo literacka. Jaka jest dziś? Taką sama, jedynie z łona Stalina przenosił się na łono Kościółka, gdzie dla wygody wielu dzia ludje, nie dlatego, że nagle oświecił ich promień wiary, ale dlatego, że promień kremłowskiego słoneczka zgasł. Nie był to wiec... Skok barbarzyńcy, który poczuł Boga? — jak ładnie ujął to w swoim wierszu Tuwim. A jeśli nie to, to co?

— Piszcie te słowa z czysto kronikarskich przyczyn, bo ani mnie pan A, zębi, ani grzeje. Zresztą co go obchodzi moje poglądy, nigdy chyba do niego nie dotra, a on dalej tkwi we wplywowym gronie broniących wspólnych interesów. Mam jednak wrażenie, że choć nasi pajace wygodnie przesiadują się przez auto igelne współczesności, czas kiedyś postawi im nogę i Historia przetrze do swego konfesjonalu. Może i my się tam znajdziemy, za to, że chcemy pamiętać i niepokoić innych?

III

— Sa ludzie, którzy cudownie wielają się w czułą skórę, cudze poglądy, cudze teksty. Dobrze im się siedzie na Zachodzie, bo Zachód jest z plastyku. Ameryka też jest z plastyku, czyli jest krajem, gdzie kulturę wypiera cywilizacja wraz ze zdobyciami naukowymi, zwiększającymi wygode życia codziennego. Armagedon współczesnych osiągnęł zsmierzających do uszczelnienia człowieka na co dzień.

— Nie zdajemy sobie nawet sprawy, jak plastykowe fakty, czepiane z codziennych trywii, spływają nasze życie wewnętrzne, dlatego chyba była i będzie przepaść między społeczeństwem, powiadomym, konsumpcyjnym, a twórcami o zainteresowaniach kulturowych.

— Wielu traktuje mnie jak odlatka. Inni, jak jakimświera, który ukrył się w sobie i nie widzi, co dzieje się na świecie. Jeszcze inni twierdzą, że ciemnością moją jest historia, ta z lat ubiegłych, wojennych i przedwojennych. Ze zamiast iść przed siebie i patrzeć żyu w oczy, cofam się.

— A szkoda, mówią, bo na tym cierpią jego wiersze.

— Jego, to znaczy moje.

— Pesymista, wolaćj inni!

— Człowiek bez przyszłości, gorzej, poeta bez przyszłości!

— Jak to się stało, że żyje na odлюдziu, że jestem „kranowcem pesymistą”? Ze neguje, neguje, neguje! W Toronto, w tym osiedlu zagubionych ludzi, tutejszych i emigrantów z całego świata, gdzie powietrze pełn od nadmieru różnych języków, a w całym dok. Sam nie wiem, dlaczego znalazłem się w tej wieży Babel?

— Nigdy nie myślałem o tym, ale gdy oprócz przyjaźni, pisma zaczynają o tym przebąkiewać, trzeba wreszcie uwziąć spojrzeć w lustro. Przyjrzyć się samemu sobie. By sprawdzić opinię osób

z dobrymi sercami, a mam je tu, zwłaszcza wśród kobiet, którym uwam. Nawet one twierdzą, że jestem inny, a nie ten, za kogo sam siebie uważam, bo o sobie miałem wprawdzie skromne ale uczciwe zdanie. Ludzom — owsem — wierzyłem, chętnie obśledałem ich cnotami. A jednak, coś w tym wszystkim musi się kryć, w płocie jest zawsze odrobina prawdy, choć my, na emigracji, nie melisemy czasu na plotki. To może jeszcze ucodzić w kraju, ale nie u nas, gdzie człowiek musi toczyć podwójną walkę. To może dziś brzmieć jak melodia przeszłości, ale nie wtedy, gdy się opuszczają słodka Angli. Dylemat prosty dla mnie, ale jak mogłem ich zmylnaczyć to guśnym Kanadyjczykom o kurzych horyzontach?

IV

— Z Gombrowiczem spotykałem się w tym miejscu. Jedno, to ogłoszenie przez wydawnictwo „Rój” jego powieści *Ferdysdurke*, w 1938 roku, a drugie w Argentynie, w Buenos Aires, rok potem.

— Gombrowicz, przez Czechowicza, sympatyzował z awangardą lubelską i wracając z wykładów, poznałem go kiedyś przy kawiar-nianym stołku w Ziemiańska. Kawiarnia była i chyba jest grzechem głównym nyszych krajowych literatów. Zwyczaj szczerze przeniesony z Paryża nad Wisłę stał się problemem wielką pocztąkujących talentów. Debiutanci laknący nowinek literackich, wyjeżdżali za pieniądze Funduszu Kultury Narodowej do Paryża, a poczciwy pan Michalski, dyrektor Funduszu, patrzył przez palce na wyrzucane samy. Nie można było w okresie dwudziestolecia ucodzić za czytelnego literata, nie zakosztowawszy Paryża i nie paradując po Krakowskim Przedmieściu z tomem Prousta w przedkładzie Boya. Ci, którzy znali francuski, mieli wyższą rangę towarzyską.

— Gombrowicz był uczalony, i to bardzo, na miodnierę, znad Sekwany. W pierwszych zdaniach *Ferdysdurke* łatwo jest wyczuć tętno stylistyczne Prousta, psychologiczne narastanie, wywołane uczuciem niepewności między snem a jawą. Z dalszych utworów wiemy, że do Paryża tenkił jak do Mekki.

— Drugie spotkanie z Gombrowiczem było zupełnie inne, odbyło się w momencie klęski wrześniowej.

— Z dyplomem w kieszeni wyjechałem w 1939 roku na wakacyjną praktykę do poselstwa polskiego w Buenos Aires, które wysłało mnie na praktykę rolnictwa tropikalnego do prowincji Missions, nad rzeką Paraná. Zaledwie tam się rozgościłem i zapoznałem z czynnościami prymitywnej stacji doświadczalnej, przyszedł wrzesień i wojna. Wróciłem, mimo protestu administracji, do Buenos Aires, zgłosiłem się do poselstwa, które nie wiedziało jeszcze, co z takimi jak ja ochotnikami robić. Należało czekać na instrukcje.

— W poselstwie dowiedziałem się, że z Gdyni przybyło do Buenos Aires kilka polskich pisarzy na nowym statku. Był to jego chrześcijański reg z zaproszonymi gośćmi. Wirsid pisarzy był Gombrowicz, którego poznałem kiedyś, a choć wiedziałem, że mnie nie pamięta, zatelefono-wałem pod wskazany numer.

— Mój telefon ucieszył go bardzo. Myślę, że oddalenie od kraju, wojna, niepewna przyszłość, złożyły się na jego serdeczne omalże reakcje. Znaleźliśmy w rozmowie wspólne tematy: Ziemiańska, znajomi pisarze, interesujący nowy magazyn pami Ostwockiej, „Zwiast-dło”, plotki o Ben Clubie, których ofiara była najuczciwiej ówczesna sekretarka, Stella Olgiard, autorka jednej powieści bez większych powodów literackich pt. *Czarownica*, wydanej w „Raju”.

— Tamto spotkanie z Gombrowiczem, to zupełnie inny dla mnie epizod, w którym wzięłem udział wiele lat potem, po wojnie. A wtedy, w Buenos Aires, zaprosił mnie na wino i przez chyba dwa dni

włoczył się z knajpy do knajpy, bo on miał już miasto, zwłaszcza portową dzielnicę Leandro Allen (nazwy nie jestem już pewny), pełną halaliwých barów, nocnych lokali i podrzędnych kabaretów, wypełnionych podchmielonymi, wzdobyłymi marynarzami.

Gombrowicz zachowywał się tak, jakby to było nasze ostatnie spotkanie. Wiedział, iż czekalem na wyjazd, który mógł nastąpić dla dzieci, gdy on postanowił pozostać. Panicznie bał się wojny, bo tam — jak twierdził — zabijają ludzi. Otwarcie przyznawał, że był tehozorem. Przy winie ginęło jego aktorstwo, które wykrewał i zył nim tak dalece, że stało się drugą jego naturą, do tego stopnia prawdziwą, iż w pełnej wierze posługiwał się nią w codziennym życiu. Tam, w Buenos Aires, zachowywał się jak człowiek zagnany wady w okoliczności omalże bez wyjścia, i tak rozmawiał z nim przy winie, dostrzegając jego przeważającą, pozorne wady i ulomności na pokaz, które w moich oczach wyróżniały go jako pisarza opętanego talentem, wierzącego w swoje możliwości i gotowego płacić wszelką cenę za każde napisane zdanie.

Potem, po przejeździe do Europy, gdy zył już tylko swoją twórczością, gdy jako aktor stawiał się we własnych i naszych oczach, zdecydowany nie schodzić ze sceny, gdy powtarzany gęsto stał się tak naturalny, iż uwierzyliśmy i on sam uwierzył w jego szerszość, choć wymieniliśmy kilka listów w związku z wierzeniami, które mu poświęciłem, o naszym argentyńskim spotkaniu nigdy nie wspominaliśmy. Szkoda, że go nigdy już nie spotkałem, może przy lampce wina w Berlinie lub Paryżu, zychowały się inaczej. Choć nie jestem pewny, czytając jego *Dziennik* i słowa o Sartrze. Zaś tamto, argentyńskie spotkanie, to była spowiedź, która zobowiązuje, jak każda spowiedź, do milczenia.

Niemożliwość, która na każdym kroku daje nam znać o sobie, wywołuje w nas różne reakcje. Poddajemy się albo nie. We mnie zawsze było coś przekornego, co nazwałbym agresywnością, a może buntem. Buntowałem się wiele razy, często przeciwko samemu sobie, po popelnieniu nawet drobnej nieudolności, nie mówiąc o życiowych decyzjach. A tych była fatalna ilość, każda powzięta na gorąco, w rezultacie błędna. Po przegranej wojnie, co nie było już moją winą, mogłem się udać w Anglię, kończąc studia w Cambridge, za które płaciła Królowa, obcować z ksiązkami, bo zawsze wolałem teksty drukowane niż słowa żywych rozmówców. Nie pamiętam, czy stać mnie było kłedykoić w prawdziwe skupienie. Może w mroku podziemia wieziennego w Geronie, po krótkiej podróży motorówką, z zamiarem dotarcia do Gibraltaru. Pierwszy krok, z Marsylii do Bagnols sur Mer, na południu Francji, drogi, nieudany, ta motorówka do Gibraltaru. Spytkałem potem uświadomionego sobie, że Motorówkę naszą złowil patrol hiszpański na Morzu Śródziemnym, pod eskortą dopłynęliśmy do brzegu, gdzie całą naszą załogę, trzech Anglików i dwu Polaków zamknięto w ciemnym pomieszczeniu, bez przesłuchania. Była noć, która z pełnej nadziei, śródziemnomorskiej, zamienia się nagłe w ciemną, wiezienną, wypełnioną karęmi przestępcami. Rano zakladano nas do policyjnej karetki i z więzienia portowego przewieziono do głównego w Geronie. Do dziś jeszcze czuję tamten wstrząs, jak przyleć, wchodząc ze słonecznego dnia w wieżnicę loków. Niestety, był to dopiero początek.

Przekora i bunt. W warunkach emigracyjnych było to albow. Zwłaszcza dla tych, którzy podawali się za emigrantów politycznych, planujących chwilowo jedynie pobyt za granicą. Chwilowość oznaczała stan wewnętrzny, brak pogodzenia się z rzeczywistością, intelektualne zahamowania i upór irracjonalny, mimo drugoczości politycznych faktów. Codziennie też nie była szczerza w żywej gesty, zwłaszcza ta bezpośrednia, torontońska. Czasem obdarzał

mnie życiową krępką Janta, zawsze pełny energii i planów, w ukropie pomyślał, pisarz, działacz, społecznik, organizator. Gdziekolwiek się ruszył, tam była dla niego Polska, która nosi w sobie, pisał o niej, odwiedzał ją, mimo rad przyjaciół i gotowych do napisać nie, przyjaciół. Janta był i pozostał Janta, ambasadorem polskiej sprawy na szerokim świecie. Zdobyl zresztą do tego prawo jeszcze przed wojną.

Wierzyński wpoił aurę irracjonalną, jego patriotyzm miał mocne fundamenty, oparte na jego wybitnym dorobku poetyckim, udziale w pracy społecznej, służeniu własnym nazwiskiem w kulturalnych i politycznych poczynaniach. Był zwym członkiem emigracyjnego establishmentu, chętnym głosicielem naszych politycznych celów. Wierzyńskiemu pomagała jego płodna, emigracyjna twórczość, często na koturnach, ale służąca sprawie polskiej. Zapraszaliśmy go do Toronto i on chętnie przyjeżdżał. Wtedy Polonia budziła się z letargu, a on sam, swymi wierzeniami, wnosił huragan polskości. Natomiast przyjazd Wittlina był okazją do zobaczenia wybitnego prozaiści, niedoślego kandydata do Nagrody Nobla, starszego bogojęzycznego pana, piszącego hermetyczne wiersze.

Ich przyjazdy były odtrutkami na zატężoną polonijną atmosferę. A było ich więcej: Terlecki z Tołą Koronia, poetka, Zofia Bohdanowiczowa, Maria Kunciewiczowa, historyk literatury i pisarz Zbigniew Folejowski, satyryk Hemar, młody poeta Jan Rostworowski, za których szalał Londyn literacki, skupiony przy „Wiadomościach” Grydzewskiego.

Czy wzięty te miały dodatni wpływ na emigracyjnych artystów i piszących, osiadłych w Toronto? Chyba minimalny, bo warunki życiowe w obcym kraju z obcym językiem, dla ludzi sztuki i piszących, psychologicznie są cięższe. Zwłęk emigrant aklimatyzujący się szybko, zakładał rodzinę, często się wyznaradował, podczas gdy artysta tracił wiarę w siebie lub w potrzebę jego sztuki, której zresztą nikt nie rozumiał i nie pragnął.

Przyjechał do Toronto Lobodowski, żywa, znana mi od lat postać, geograficznie szanie, mieszkankie wspólnych, lubelskich okolic. Odzyski nagle we mnie miasdż perypetie hiszpańskie, spokoiła po wojnie w Londynie, korespondencją z nami w skórk wydania jego *Karyd i Grził*. Patrząc na jego twórczy, wielostronny wyśkieł, postrzegalo się go jako tytana pracy. Na dobrą miarę wart był od potomnych kilku różnych rozpraw. O Lobodowskim poecie, tłumaczu, prozaku, pisarzu politycznym, patriocie. Między tymi sylwetkami snulaby się nie wiązaca, mimo wewnętrznych przemian i różnic, wierność samemu sobie i prawdom zdobytym własnym systemem. Bo ani w twórczości literackiej, ani w poglądach politycznych, Lobodowski nie uległ autoritemom. Często był przykładem dla innych. Może tym zrazil sobie czytelników i partnerów zwłaszcza w reakcjach dziennikarskich, w wybuchowych dyskusjach.

Są jeszcze inne powody, o których dziś się nie pisze. Z czasem mogą one zniknąć z naszego horyzontu, gdy współczesni Lobodowskiemu odejdą, zaś młode pokolenie nie będzie w stanie wypełnić powstałych luk — nie z powodów politycznych różnic, bo te zawsze wytrwano na historia. Mam na myśli zasłże zmiany w poezji i prozie współczesnej. Zwłaszcza wiersze, pozahawiony ornamentów poetyckich, zbliżony do prozy, często będący jej kondensacją, czy stylizowanym skrótem, był Lobodowskiemu całkowicie obcy. Literatura światowa poszła w poezji daleko, pojawili się T. S. Eliot, Ezra Pound i inni, którzy poetyckiemu słowu nadałi nowy wymiar. Lobodowski zaś pozostał na zdobytej przed wojną i nagrodzonej przez Polską Akademię Literatury pozycji. Bo dla czego miał się zmieniać? Stworzył pewien styl, został mu wierny i za to winna go cenit historia literatury.

Kiedy piszę te słowa, Lobodowski już nie żyje, demokracja narodowa w kraju omiła go, przeszła obok trumny, ale Lobodowski-Poeta powrócił, czyta go dziś już cały kraj.

V

Odbiegłem od nie dokończonych historii, której treścią jest Gombrowicz, bo po poźegnaniu się z nim w Buenos Aires i moim powrocie do oddziałów polskich we Francji, nie spodziewałem się go już spotkać. Wewnętrznie byłem nastawiony na wypadki polityczne, fizycznie stałem się żołnierzem, czyli kimś, kto nie znosi cywila. Jego nauca mnie podchorążówka w Równem.

A jednak w wiele lat potem i w kilka po zakończeniu wojny, gdy zamieszkałem w Kanadzie i zacząłem powoli uprawiać swój poetycki nałóg, po wierszach o twym Franciszku, otrzymałem niby list i drzeworyt św. Franciszka od pani Krystyny Eichler z Los Angeles, która na podstawie mojego wiersza naskicowała i wykonała wizerunek świętego. Po drzeworycie poznałem, że mam do czynienia z wybitną artystką, z listu dowiedziałem się, że jestem wybitnym poetą. Takie uznanie sprawia przyjemność i zachęca do pracy. Ze jestem czuły na malarstwo, to wiem. W krajach i miastach, które odwiedzałem, zaczynałem od muzeów i galerii sztuki, potem stare kościoły, historyczne budynki, ogrody zoologiczne i botaniczne.

Czym jest piękno? Ruskin mi tego nie wyjaśnił ani preferacji, ale godzinami mogłem patrzeć na van Gogha, niektórych Holendrów i impresjonistów. Docierał do mojej wrażliwości Picasso, Chagall obok Mondriana. Każdy z nich wywoływał we mnie odmienne skojarzenia, wzbudzał refleksje i to, wibracja kolorów, nieodpowiedzialny kształt, czy po prostu nieadność naszego Nikifora, prymitywna do granic obrazków dziecięcych.

Poruszając się po naszym emigracyjnym obszarze, a jest on przecież rozległy, bo w praktyce obejmuje całą kulę ziemską, trafiałem na oświecające niespodzianki w malarstwie i rzeźbie i mam nadzieję, że ktoś podejmie się trudnego dzieła zarejestrowania dokonani naszych malarzy, rzeźbiarzy, artystycznych tkanin zdobywających przydatne domy i gmachy instytucji publicznych, tak by przyszły badacze i historycy mieli ułatwione zadanie w ocenie tego, co Polska wniosła do światowych osiągnięć w sztuce.

Pani Krystyna Eichler należy do artystów najbardziej utalentowanych. Po otrzymaniu jej św. Franciszka, Polonia w Los Angeles, prawdopodobnie dzięki jej zabiegom, zaprosiła mnie na wieczór autorski, dla mnie wyjątkowo ciekawy i bogaty w przeżycia. Kalifornia jest wyjątkową częścią Stanów Zjednoczonych, miejscami przypomina biblijny raj, gdzie Ewy, Adamy i kowboje, uszlachetnieni przez Hollywood, przyciągają wzrok zdumionych turystów. A ja, od wielu lat turystą z musu, uczyniłem na piękno, dłońmi całego kalifornijskiego wybrzeża od San Diego do północnego czubka Stanów, miasta Seattle. Zdołałem również zacząć o uniwersytet w Stanford, ukryty w malowniczym zadrzewieniu, gdzie mogłem zobaczyć pieczołowicie zebrane zbiory polskie w kolekcji Hoovera.

Mój podzw dła sztuki pani Krystyny starałem się wyrazić we wstępie do katalogu jej wystawy w Los Angeles. Zaproszony nie chciałem odmawiać, choć wiedziałem, że inni zrobiliby to lepiej ode mnie, bo o malarstwie lubię pisać, tak jak się pisze wiersze; spontanicznie.

17 września 1975 roku pani Krystyna donosi z Los Angeles: *7-go było otwarcie wystawy. Był tłum ludzi. Z wzięniejszych osób była tylko jedna: Roy Bradbury — znany pisarz amerykański. Wziętym się obawy podobają. To był rezygnacyjny bardzo teatralny wieczór i nachuchalam się mnóstwa komentarzy, jak i również ról, co i jak malować.*

W ostatni wsterek była krytyka w radio — 4 razy. Krytyka bardzo naiwna (zaliczając mnie tu do „primitive art”) i zrobili ze mnie Jagostowiankę...

W czasie wystawy wiele osób pytało mnie o Pana, bo myśleli, że będzie pan na otwarciu — i salutowali wszyscy!...

Zaraz po wernisażu zaczęłam nowy obraz i już kończę — mam już całe dni. Namalowałam (zważywszy zły nastrój) kolumnę bogactwów włączając do Polski. Obraz nazywa się „The invasion” — wychodzi dobrze!...

Bardzo się cieszę, że w „Widomościach” ukazała się notatka. Już do ojca napisałam, żeby mi przysłał. Jeśli jakis się finansowo urządzą na nowo, to postaram się zrobić wystawę w Londynie. Może wtedy przyjdzie Pan na otwarcie! Wszyscy mi mówią, że doskonale Pan napisał o moich obrazach. Ja też jestem szczęśliwa. Najlepsza była moja córka, bo spytała mnie: „Czy ty napisałaś Panu łwiankowi, co ma napisać, bo to jest to samo, co ty zawsze mówisz.” (...)

Krytyka Eichlerówna

Już po wystawie, podczas naszego spotkania w Los Angeles, dowiedziałem się o bliskiej znajomości pani Krystyny z Gombrowiczem podczas jej pobytu w Buenos Aires. Z dwu prywatnych listów, które pani Krystyna mi dała i rękopisu pogadanki filozoficznej wynika, iż łączyła ich przyjaźń i że w domu pani Krystyny odbywały się wspomniane w dziesiętnikach pogadanki.

Zwrociłem się niedawno do pani Krystyny z zapytaniem, czy mogę wykorzystać w prasie wspomniane listy. Sama pogadanka wydała mi się bez zakończenia, przypuszczałem, że może nie otrzymałem jej końca, wspominałem więc w moim liście i o tym. Odpowiedź na mój list przyszła szybko. Była miła i pozytywna.

Naturalnie, Pani Waclawie — pisze pani Krystyna — proszę wykorzystać te materiały po Gombrowiczu. Jeśli chodzi o ten nie dokończony artykuł o kursach filozoficznych, to muszę objąć, jak z tym było. Odtąd zorganizowaliśmy kilka takich kursów, aby Gombrowiczowi pomóc finansowo po zrezygnowaniu z posady w banku. Jeden z takich kursów odbywał się u mnie w domu. Po ich zakończeniu Gombrowicz stwierdził, że powinno się o tym napisać do gazety polskiej (nie pamiętam, czy gazeta nazywała się „Orzeł Biały” czy też „Kurier Polski”) uważał, że to ja powinienem ten artykuł napisać. Broniałem się, że pisanie o filozofii, to ponad moje możliwości. Na co on zaproponował, że on to sam napisze, a ja dopisz jakieś zakończenie i wyślę to do gazety pod moim nazwiskiem. Zgodziłem się i artykuł został opublikowany jako mój (nazywałam się wtedy Krystyna Jakowicz). Niestety nie mam tego artykułu i nawet nie pamiętam dokładnie, w którym to było roku. Po zakończeniu kursów urządziłmy jeden wspólny, duży piknik w mojego brata Janusza Eichlera, artysty malarza, na jego ranchu w Maximo Paz. Był to bardzo pamiętny piknik. Otrzymaliśmy „parillo” zrobioną przez zielonego liska, ustawiono między dziłkami zielenkiem. Punkt przywiózł różne marynary i konfektury. Pamiętam, że na jednym stołku było napisane „Wisnie”. Gombrowicz był wniebowzięty. Myśmy przywieźli hiszpańskiego baletmistrza, który odńczył jakiejś kawałki pomiędzy zielenkiem. To było bardzo dobre czasy!

Tak, to były czasy tu powojenne, naszego urzędzania się, czasy młodości. Dla samego Gombrowicza atmosfera bardziej przychylna, zjawili się w Argentynie nowi emigranci, duży polskiej inteligencji, ludzi wykształconych, zawodowo dających sobie doskonale radę, jak choćby związek inżynierów, który i tu w Kanadzie dał się nam we znaki kulturalnie. Podczas wycieczki Gombrowicz w Buenos Aires właściwie intelektualnie wegetował. Kontakty z młodymi pisarzami

Drogi Panu Kryšto,

*zauważę, o odleg. 26-go tyg. u
Rosario - to dla tygodnia jed. tygodniowa
praca, jak wiadomo, w tym, wspaniałym
poetyckim, aś. tworząc, w tym, wspaniałym
i w tym, wspaniałym, aś. tworząc, w tym, wspaniałym
Chyba, że w tym, wspaniałym, aś. tworząc, w tym, wspaniałym
17-ty, w tym, wspaniałym, aś. tworząc, w tym, wspaniałym
do czasu, wspaniałym, aś. tworząc, w tym, wspaniałym
Ami, 23. Pan, wspaniałym, aś. tworząc, w tym, wspaniałym
L. wspaniałym, aś. tworząc, w tym, wspaniałym
Wspaniałym, aś. tworząc, w tym, wspaniałym
Chyba, że w tym, wspaniałym, aś. tworząc, w tym, wspaniałym
o wspaniałym, aś. tworząc, w tym, wspaniałym
na wspaniałym, aś. tworząc, w tym, wspaniałym
wspaniałym, aś. tworząc, w tym, wspaniałym
Ten, wspaniałym, aś. tworząc, w tym, wspaniałym
do wspaniałym, aś. tworząc, w tym, wspaniałym
połowa, wspaniałym, aś. tworząc, w tym, wspaniałym
przez, wspaniałym, aś. tworząc, w tym, wspaniałym
(o b. p. 15-go tyg.)*

*25 de Mayo 779
Goya, Corrientes
16. XI. 56*

Witoldo

List Witolda Gombrowicza do Krystyny Eichler z dn. 17 września 1975 r.

argentyńskimi, starania o przekład na hiszpański *Ferdynurke*, to była namiastka intelektualnej egzystencji. Sama Polonia, która dobytek poznałem w Buenos Aires, była jak każda Polonia, choć może trochę ciekawsza, bo jednak atmosfera laćciańska i sam klimat wyływały na życie codzienne inaczej od, powiedzmy, nudy kanadyjskiej i bierności anglosaskiej. Buenos Aires za męgła tam pozbył, w 1939 roku było miastem europejskim, gdy Toronto do dziś cuchnie stęchłą. Wróćmy jednak do owych listów Gombrowicza i jego wykłada:

Droga Pani Kryšto,

zamierzam w okolicy 26-go być w Rosario — za dwa tygodnie jeśli wytrzymam nieźle, jak miemam, upały. Wpadłem w gwałtowny szal i twórcy więc obawiam się, że niewiele Pani będzie miała ze mnie poczekać, chyba że nagle się rozleniwie czego up. Big Now, nie dopuścił. Ale, jak teraz, od ranka do wieczora dzieje pióro w dłoni. Świerzewski pisze, że Pani artykuł przyleto do Głogu, co b, mnie cieszy i pochwalnie się wyraża, naturalnie to wszystko na Pani wyłączną odpowiedzialność bo ja, jak Pani wiadomo, nawet czasu nie miałem

przejrzeć tego Pani artykułu a trzeci uwalabym ze niewłaściwe i niemoralne przeglądanie w maszynopiśmie artykułów o mnie pisanych. Zmiałdziłem że oilek Walcy Fukau. W ogóle na razie wszystko jako tako choć wyrażam sobie zgrabia mam nadzieję, że u Państwa też mniej więcej. Ściele się i zalegam za pokłon dla pp. Stanisława i Janusza oraz pokojnie szczytnie dla niezręcznej Josi (w B. A. będą ok. 15-go grudnia)

25 de Mayo 779

Goya, Corrientes

16 XI 56

Witoldo

Drogi Pani Kryšto,

zaszłam dla wszystkich notoryczne życzenia noworoczne. Ja tu jestem u Dusza Jankowskiego, na wsi, piątek, właśnie dochodzi dwanaście, po dwugodzinnej usteraniu się z moim nowym utworem siedzę rozgedździany przy maszynie w moim pokójku w małym domku w ogrodzie, który mi przydzielono i czekam na gong zwisający obiad upragniony. Miała nadjechać Ada z mężem, ale nadeszła telegram że nie. Ubolewałem silnie, że nie mogłem partycypować w pikniku, ale zrenk w tem że Giedroyc zażądał gwałtownie przysłania mu tekstu Dziennika, który ma ukazać się w wydaniu książkowym i jak szalony musiałem śledzić nad tem dniami i nocami. W ogóle straszliwa ilość korekt (bo w Polsce wydają 5 moich utworów, a w Paryżu 1) zupełnie mnie zatrula i rozszalała mnie. Pokłon i pozdrowienie, także dla p. Janusza wiele korynych pokłonów, które mu się należą

28 XII 56

Witoldo

Kursy filozoficzne Gombrowicza

Warto w kilku słowach odpowiedzieć historię powstania tych kursów. Pewnego razu jedna z pań zwróciła się do G. z prośbą, aby jej przyjaciółkom wytłumaczył ni mniej ni więcej tylko... Kanta. Gombrowicz wykręcał się, jak mógł, ale w końcu uległ i okazał się tak świetnym profesorem, że z tych kilku wykładow powstał cykl kurs, a potem drugi, z udziałem w sumie około 30 osób.

Tak, od niechętnia, zapoczątkowała się jedna z najpoważniejszych chyba w dziejach tutejszej emigracji imprez z kulturalnych. Temat kursów „Wprowadzenie w problematykę współczesną” mówi sam za siebie. Rzeczywiście, chodzi tu o najbardziej aktualne i palące zagadnienia kultury, bez znajomości których niepodobna orientować się należycie w obecnym życiu, chodzi o te właśnie groźne a „kluczowe” słowa jak „egzystencjalizm”, „fenomenologia”, „diaklektyka heglowska”, w których wyczuwamy groźną a tajemniczą treść, dowiadującą jak fale nasze spokojne istnienie. Zagadnienia trudne, gdyż myśli ludzkości rozwija się w tempie przyspieszonym, rodzi się nowa wiya świata, nowa koncepcja człowieka, a nawet odwieczna i tak, zdawałoby się, solidna logika ustępuje metodom rewolucyjnym pozalógicznemu myśleniu (przeżył).

G. postanowił dojść do tych rewelacji możliwie najkrótszą drogą, omawiając pokrótce realizm, począwszy od Arystotelesa, a następnie idealizm Kartezjuszowski i Kantowski. Ale dopiero od Hegla rozpoczęła się właściwa praca profesora i jego uczniów.

Dowiedzieli się oni jak dalece nauka heglowskiego „stawania się” przeobraziła nam cały stosunek do świata i do nas samych. Jak trzy wielkie „redukcje” — antropologiczna, fenomenologiczna i socjologiczna — otworzyły bramy nowoczesnemu myśleniu i jak, poprzez Kierkegaard, Husserla i Heideggera, wrodził się egzystencjalizm, prąd duchowy o wiele rozleglejszy i potężniejszy niż sobie wyobrażamy, obejmujący tyłże ścisłą filozofię co sztukę i literaturę. Prowadzi on z jednej strony do ateizmu Sartre’a, a, ale z drugiej otwiera nieoczekiwane perspektywy myśli teistycznej, jak to wyraził niedawno zmarły filozof hiszpański Ortega y Gasset słynnym okrzykiem „Dios a la vista”! W ciągu kilku miesięcy zapoznaliśmy się bliżej z systemami Heideggera, Sartre’a, Jaspersa i Gabriela Marcela.

Analizując w dalszym ciągu marksizm, drugą doktrynę wywodzącą się częściowo z Hegla, ukazał nam Gombrowicz marksizm jakże odmienny od tych komunizmów jakie zazwyczaj śluszmy! Ukazał go marksizmem uproszczonym, dla tłumów i przeciętnej inteligencji, liny o wiele bardziej syryjczyj, precyzyjny już tylko dla intelektualistów i zawierający te wjaśnienia Diamatu, o których wspomina Miłosz w swoim *Zwiewalonym umyśle* jako o wiedzy niemal ezoterycznej. Ten marksizm, najnowszy, tworzy się zresztą

Revizja Kierkegaardowskiego

*Kierke i Kierkegaard, reprezentacja historii
profesor był Kierke. Porozę nowo jedno i pami
zawieść, ni de G. a profety 19/1/14 pętych
wytłomacz w mazy a wazy, 70 lat. Kierke. Sowa
nie wyznał ni, jak nigz, ab o lewie uloty i Kierke
ni tak wistymu profesorowi, że o był kłmę
podat cały Kier, a płać długi, z odwołania o swam
okre 30 wst.*

*Tak, od uwielbienia, reprezentacja się jedno
z uwierowidzenia 70 lat, 19/1/14 pętych
Kierkegaard. Teat. Kierke i Gombrowicz
wady wytyczony 70 lat, 19/1/14 pętych
chciał to o uwierowidzenia i jedno uwierowidzenia
Kierke, 70 lat, 19/1/14 pętych
gdyż ni o uwierowidzenia, chcieli o 70 lat
gdyż ni o uwierowidzenia, 70 lat, 19/1/14 pętych
„Gombrowicz”, „Kierkegaard”, „Kierkegaard”
uwierowidzenia 70 lat, 19/1/14 pętych
jak fale, nowe uwierowidzenia. Uwierowidzenia
tworzą, gdyż myśli uwierowidzenia i uwierowidzenia
uwierowidzenia, 70 lat, 19/1/14 pętych
Kierkegaard, 70 lat, 19/1/14 pętych
70 lat, 19/1/14 pętych uwierowidzenia; 70 lat, 19/1/14 pętych*

Pierwsza strona artykułu W. Gombrowicza podpisanego przez Krystynę Eschler.

poza Rosję, w kołach intelektualnych zachodniej Europy. Znajomość marksizmu w najbliższej jego istocie jest, w opinii Gombrowicza, nieodzownym warunkiem skutecznej z nim walki.

Jasność wykładu, obfitość przykładów, dbałość o to, aby każde pojęcie było ściśle związane z rzeczywistością życiową dokonały tego, że nawet słuchacze porbowali zupełnie przygotowania filozoficznego łatwo pojmwali, o co chodzi. Objawiało się, że tylko dla ignorantów filozofia współczesna jest „przeławieniem z pustego w próżne”, a naprawdę jest to myśl trzeźwa, praktyczna, nieraz niebezpieczna, dążąca do złapania życia „na gorąco”. Dyskusja przerywała się do skutecznego wysycenia wątpliwościami i każdy wyznosił z tych godzin głowę nabłą nowymi, groźnymi i wspaniałymi ideami.

Ale największą atrakcją był sam prelegent. Spokój, obiektywizm, umiar cechujące Gombrowicza dowodzą, jak źle go sądzą pewni jego destruktorzy. Przyznają, że nieraz ogarniał mnie nieklamany podziw (którego nie narzucam — myślę jednak, że mam prawo wypowiedzieć swoje wrażenia):

Dobrze się spojrzeć na Gombrowicza od strony Gombrowicza. Co o sobie myślał i jaki portret w oczach innych sam sobie namalował. No i — co sam zauważyłem w rozmowach z nim w Buenos Aires owego pamiętnego 1959 roku — że był czarujący. Nawet wtedy, w obcych nam politycznie niepewnych warunkach, był bez zrywania się czarującym filitem. Pewnym siebie w momentach niepewnych i wymiagającym się jak dziecko przy pytaniach życiowo zasadniczych. Ale nie mylił się i nie ustępował, gdy chodziło o jego własną twórczość. Miał jednak słabości i wewnętrzną niepokoję, nawet gdy chodziło o odbiór jego tekstów przez ludzi nie znających się na literaturze, masę, powiadają, polonijską, która często ma dobre chęci przy braku intelektualnego wyrobienia. Fragment listu pani Krystyny do mnie z dnia 15 listopada 1968 roku jest tu typowym przykładem:

Hollywood! Kilka dni temu, pisze pani Krystyna, urządziłam z pomocą jednego kolegi „herbatkę” dla architektów. Tym razem wyzukałymi bardzo oryginalna knupa, urządzoną w stylu klasycznym przedjedynym malarza amerykańskiego, który jednocześnie gra na gitarze i śpiewa stare hiszpańskie ballady. Kucharz zaś tańczy „Flamenco”. Była na tej „herbatce” para (on architekt). Przejechali z Polski via Toronto. Spytalam pani, co tam w Toronto, a to ona, jakie tam życie kulturalne kwitnie, nie to co w Los Angeles; jak używają w organizację pop-adamki i literaturę, jak ona na, jakby była, więc ty tam „czy o Konopnickiej”; ale ona już nie pamiętała o kim to była mowa.

Nawiązując do inżynierów, to w Buenos Aires było Kolo Inżynierów, bardzo mocno zorganizowane (właściwie śmietanka). Co parę miesięcy przyrzylimi mi formularz, ale jakosi przez 13 lat ich nie wypełniałam. Raz inżynierowie urządziłi wieczór dyskusyjny na temat twórczości Gombrowicza. Referat miałam sama prezesa, która podobno studiowała kiedyś coś. Strasznie karekła biednego Gombrowicza, który jeszcze nie był bardzo znany i wiedziałam, że siedzi w pobliskiej kawiarni cały w nerwach. Pamiętam, że pani ta zakończyła referat słowami: „Gombrowicz wywał dziecko z kąpieli”. Bardzo obrażono mi się to wtrącało i do dziś, gdy zamknę oczy, widzę jak to Gombrowicz robi, tym bardziej że w owych czasach niekiedy przychodził, to ja kupałam moje dziecko. Potem miał mowę jej małżonek, prezes i zaczął słowami: ja, jako inżynier itp. Potem wywiązała się dyskusja i inne pani inżynierowie nie mogły w żaden sposób Gombrowicza zrozumieć, a niektórzy gorzysy się, że używa on brzydkich słów i byłby Gombrowicz zupełnie potępiony, gdyby nie mecenasz Szewcy, który go w adwokackiej

...
mowie obronił. Więc posłaliśmy wydział popieprzyć Gombrowicza do tej kawiarni, gdzie Gombrowicz błądził i zdenerwowany siedział nad małą czarną, aby go pocieszył.

— On jednak bardzo się przejmował tym, co o nim mówią. Pan chyba nie martwił się, jeśli żony znierzyli nie mogą zrozumieć Pana wiersza? (...)

— Ja, rzeczywiście, nie martwiłem się. Wyparowało to ze mnie po tylu latach wojennych przeżyć. Oczywiście. Jestem przewidywano ciszą.

— Na stronie 142 pierwszego wydania *Dienników (1953-1956)* Gombrowicz pisze: *Wówczas — zubożony w Argentynie, bez pracy, bez oparcia, zawieszony w próżni, nie widzący co będzie robić za miesiąc — zaprzytywałem siebie z tą ciękawością, dochożdząca nierzadko do zapaleń chorobowego napięcia, jaką zwykła budzić we mnie przyszłość — zaprzytywałem, co będzie ze mną za tydzień.*

— Podniosła się kurtyna. Widz siebie przy kawiarnianym stoliku teje awenid, tak, to ja. To ja za dziesięć lat. Klade rękę na stoliku. Spoglądam na dom przeciwny. Wolam na Kelnera i prozok „an cortado”. Bębnie palcami po stole. Leczą to wszystko ma charakter tajnej informacji, przekazanej tajemnie sprzed lat dziesięć i zachowuję się tak jakbym był widziany przez niego. Ale zarazem widzę jego, gdy siedział tutaj, może przy tym samym stoliku. Stąd tu okropność podwójnego widzenia, którą odczuwam jak pęknięcie rzeczywistości, coś nieznośnego — jakbym sobie samemu zgładzał w oczach.

VI

Napisanie o sobie z myślą, by artykuł ktoś inny podpisał i wysłał do prasy jest przedsięwzięciem raczej trykowskim. Zrobiła to przed wojną Gertruda Stein, ale w okolicznościach bardziej sprzyjających, gdy jej przyjaciółka Alicja B. Toklas nie spełniła obietnicy napisania własnej autobiografii. Zrobiła to za nią Gertruda Stein.

Urodziła się wprawdzie w Ameryce, ale patrzyła na świat oczami Europejki, kobiety o rasowym umyśle, ukształtowanym przez wielkich uczonych i artystów. Miała w sobie krew kilku ras, w tym polską, do czego jej były dwa kontynenty.

Nie została szowinistką tylko dlatego, że umiała przewidywać życie w jego pływaniach i szturchaniach barierach, jakie każde społeczeństwo wznosi swoim obywatelom: urodzenie, szkoła, kariera. W decydujących chwilach zdobywała się na plebiskos samodzielnosci i to zasadniczo różniło ją od otoczenia. A kiedy zaczęła pisać, od razu została sobą w stopniu genialnym.

Geniusz jej był świadomy i żmudny. Poehylona w nocy nad drobnymi słowanymi ogromnego swojego dzieła przy rue de Fleurus, przypomniała raczej milczącego mnicha w średniowiecznym klasztorze, niż nowoczesnego, zamożnego pisarza w sercu świata — Paryżu, na przelomie dwóch najpiękniejszych epok, dwudziestego i dwudziestego wieku.

Zyla, obdarzona nakazem twórczym, czuła na każde słowo i wewnętrzne ryzyko artystyczne. Nigdy jednak nie była przyłoczona swoją wielkością, ani kiedy wależyła o pojęcie w literaturze, z dala od świata anglosaskiego, ani wtedy, gdy sława jej przysłała razem z uznamem kilk literackich.

Była postacią z Biblii, źródłem dobroci i prawych zasad. Jej siła i czysta natura, egzotyczna w pokorze umiała zespolic najbardziej bliskie chwile życia codziennego z unięsieniem artystycznym. Dochowywała przyjacieli, jak chyba nikt od czasów rzymskich i dlatego, kto raz ją spotkał, ulegał jej urokowi na całe życie. Był to urok magnetyczny, a w jego obrębie powstawały zdania i sądy nieomyślne.

Swoje charakterystyczne i sławne portrety wyśladała Gertruda Stein z grona przyjaciół. Portret Picassa jest tu wzorem, ukazała w nim

człowieka i artystę, dala syntezę nowych prądów malarskich i ich filozoficzne uzasadnienie w sztuce. Nieomyślność ich dziś w pełni doceniamy.

Alę jak do tego doszło, że nie znana nikomu Amerykanka, zostawiając dobroćmiś emigranta, staje się nagle bez salonów i wystawnych przyjęć mecenasem nowej sztuki? Mecenasostwo to było jedno, było pienskie. U niej, można powiedzieć, narodził się wszechludny Picasso i dobrze sobie radzący od samego początku Matisse; maly Rousseau, tak bojowidly, że lękał się zapakować drzwi, Braque i Juan Gris, po Picasso najwyższy przyjaciel Gertrudy Stein, Węgieł Czobiel, niezmyślna nasładowca Matisa, Villant, którego imię dęteki Gertrudzie Stein jeszcze żyje, choć obrazy dawno umarły, van Dongen i zdolina — o słabych oczach — Maria Laurencin, jak również, najzdolniejszy wtedy a dziś zapomniany, uczeń Matisa, Manguin.

Świat osób zainteresowanych twórczością Gertrudy Stein i krązących wokół jej indywidualności: pisarze, naukowcy, artyści — był światem przyszłości. Nić od tej soba bunt i siarę w nowe formy. Adż, ize, ile to wów czernpa z krynicy w Białgini.

Wspania przyjaciąni i talentowi Gertrudy Stein, Alicja Toklas, Polka z linii Poniatowskich, jak twierdził Picasso, niezmodernostwo strzozowała w paryskiej Mece. Pielgrzymowali tam oprócz malarzy, rzeźbiarzy i muzyki, pisarze, polotki, mecenasi sztuki i ksiądzeta, Epstein i Satie, lordora Duncan i Josephine Baker, Hemingway i Anderson, Ford Madox Ford, T.S. Eliot, Edith Sitwell, Tristan Tzara, Cocteau, Andre Gide i Marinetti itd.

Okolo roku 1932, Stein zaczęła nagabywać żartem przyjaciółkę, by ta zaczęła pisać swoją autobiografię. W zakwieczeniu *The Autobiography of Alice B. Toklas*, tak Gertruda pizze o tym: *Nie wydaję mi się być kiedykolwiek napisała się autobiografię. Czy wiecie co mierzam zrobić? Ja napiszę ją za ciebie. Napiszę ją tak prosto, jak Defoe napisał autobiografię Robinsona Crusoe. I zrobiła to.*

Gertruda Stein zmarła w Paryżu w 1946 roku, zostawiając sobą nie wydanych rękopisów i kilka tytułów wydanych książek, z których załebwe drobna część dotarła do czytelnika. Wszystkie manuskrypty, bez wyjątku, są również i ich kopie znajdujają się w Bibliotece Uniwersytetu Yale, w New Haven.

Gertruda Stein umierając — pisze Carl van Vechten, znany pisarz i wielbiciel jej talentu — pragnęła by wszystkie jej rękopisy zostały wydane. *Byłoby więc zgodne i wskazane, by wydawnictwo Uniwersytetu Yale podjęło ich druk. Inni materiału jest znaczna i zabierze przy najmniej osiem tomów druk. Każdy z nich akacie się w odstępie rocznym.*

Tom pism wybranych, który ukazał się w 1946, poprzedzony jest posłowiem Stein: *Zawsze pragnęłam być postacią historyczną, ad deklaratwa poczęwszy miałam także pragnienie, a Karol był jedynym z najwielkośćszych, który upełniał mnie, że przyjdzie ku temu czas. Gdy miałam czterdzieście lat, habosantam się w powtarzaniu słów George Eliot: „Czy mogę być jednym z nieśmiertelnych”; oto tu mianem poetam i choć wiedziałam jak on brzmiał wtedy, teraz nie wiem — a już później, kiedy oni mieli zwyczaj pytania mnie, kiedy wracam do Ameryki, nie wczesniej, ad byde lwem — mówiałam — chociaż nie byłam pewna, czy będę, i oto teraz jestem, dzięki wam wszystkim. Jak strasznie podniecające było każde słowo, napierw tworzyłam je, potem uczucie intensywnie pewności, że one mają sens, potem niepewność, potem powtarzająca się ciągle intensywna pewność, że one miały sens.*

Alicja B. Toklas zmarła 7 marca 1967 roku, przeżywszy przyjaciółkę o 21 lat. Linda Simon w biografii Toklas, wydanej w 1977 roku przez znaną nowojorską firmę Doubleday, pisze: *Dla Alicji, fakti nie*

do pomyslenia stal się rzeczywistością. Nie wiadomo dlaczego żyła pod prześcianką, że umrą obie razem. Ze żyć dalej — żyć samotnie — byłoby ponad siły. Operacja Gertrudy, o której powiedziano Allogi, była spóźniona o lata. Gertruda umarła na raka.

Wacław Iwanuk

Wskazywali się w nim

już oswojone w przynajmniej, a przynajmniej

TADEUSZ CHABROWSKI

Odejsz

Chciałbym odejść od siebie tak daleko
żebym własnego cienia nie mógł oglądać
żebym zapomniał, że miałem oczy i ręce, i nogi
że byłem częścią jej całocią siebie
żeby mi się nie śnił mój początek
zielona plazma pokropiona święconką wodą

Chciałbym przestać istnieć wcześniej niż zaistniałem

byłbym czystym niebytem bytu
sobą bez posiadania siebie
patrzaniem bez wysiłku oglądania
słyszeniem bez wysługiwania się wsłuchiwanu
ruchem bez muzułu deptania, biegania, uciezki
życiem bez krwi ciekącej poprzez okaleczone dziecięce pące

Zdmuchiwanie siebie z nie istniejącej powierzchni
byłoby moim wiecznym trudem
moją nie istniejącą nagrodą za nieistnienie

* * *

Jak manna z nieba spadasz do ogrodu moich tęsknot,
skrzydłami uniesień łamiesz tafle na wodach
rozmyślał; znikasz i powracasz wojowniczo
jak motyl na jedną chwilę rozkoszy

Jak możemy
pogodzić nasze miłości, twoją wiosenną, jak powój
pnącą się strono, ciepłe jak maki policki
z moją jesienną melancholijną czułością, z chymym
jak u zagubionego zwierzcia obłędem w oczach?

Jak gwiazda północny
świecisz nade mną, a smuga iskier wyspanych ob odle snów
z mojego tygla już cię nie przeraża. Ciepłym deszczem
swojego uśmiechu wróć mi młodość

Książki nadesłane

Państwowe Wydawnictwo Naukowe

Mafu męchłopadu kłm. Praca zbiorowa. Wydanie 2 zmienione. Str. 640

Indukcje Stanisł. Zdzisławczewski. Antologia tekstów źródłowych Wstęp, wybór, tłumaczenie i opracowanie Ewa Nowicka i Izabella Rusinowa. Str. 336

Stefan K. Kuczyński: Szyrona warszawska. Str. 83. Seria: "Miniatyry warszawskie".

Jożef Kozielecki: Z Bogiem albo bez Boga. Psychologia religii: nowe spojrzenie. Str. 168

Karol Estreicher: Bibliografia polska XVI wieka. Wydanie 2. Tom 15. Katalogi. Str. 274

Donald Davidson: Etyka o prawdziwości języku i umyśle. Wybrał i wstępem poprzedził Barbara Stanosz. Str. 250. Seria: "Biblioteka Współczesnych Filozofów".

Erik Hornung: Jeden z wachł. Koncepcja Boga w starożytnym Egipcie. Przekł. z języka niemieckiego Andrzej Niwinski. Str. 303

Alice Miller: Mary miłosciwa. Cmsi wypracowania i dziełach. Przekł. z języka niemieckiego Andrzej Niwinski. Str. 310. Seria: "Logos".

Hanna Faryna-Pastkiewicz, Piotr Pastkiewicz: Alga Zastachowy. Cmentarz Powązkowski. Str. 244. Seria: "Miniatyry warszawskie".

Bożena Wierzbicka: Bańki Sęjmy i Senatu. Str. 78. Seria: "Miniatyry warszawskie".

Jan Białostocki: Strzaka comiżna sili złow. Wyd. 5. Tom 2. Str. 397

O miłości

A o miłości jak o pomarańczowym słońcu mogę Ci opowiadać z pestek wiśni i dymu. Z pejzżyż z kulejącym księżycem który Don Kichote osiadł na chudej ławie szkapie i duszę swoją Pannie z Wosku zaprzysiął. Miłość jak lodgdy słończnika wyrasta wysoko pod chmurę. Razem z ptakami leci za słońcem połączany horyzont. W lunatycznej koszuli z pajęczyzn, z różowymi jak u noworodka stopami, z paznokciami lakierowanymi chagałowską zielenią wybiega na scenę różnobarwnej fanfary. Sto fortepianów jak wita, piszczałki skośnie krzyczą, a głuche bębny potrażają bruchami

* * *

Odechdamz swoje ciało żeby zaprosić cię do siebie,
z mgłami odfruwają zmartwienia
ptaki z włosów wydziubują resztki mojego dnia
Nie otulam się już na noc księżycem
żeby ciepły dotyk twoich ust
rozpylał się łagodnie po mojej skórze. Słyszę
jak wiatr z ramion zrywa ci koszulę
i jak bezcelestne stąpienie twoich kroków
skraca między nami przestrzeń

Pocztą lotniczą

Ani

Wczoraj na obłoku nad moim domem
grubym pędzlem napisałem twoje imię
adres i miasto w którym mieszkasz
numer telefonu
W narożniku nakleiłem ogromny jak latawiec
znakczek za dwadzieścia dolarów
i osiemdziesiąt pięć centów

Rozlatany na wszystkie strony wiatr
zapewniał mnie, że jutro
o tej samej porze
chmura ta zatrzyma się przed twoim oknem
i kropla po kropki podtykuje
— wiersz do ciebie

Żeby słońca albo złe nastroje
nie zniszczyły treści wiersza
kaligrafowałem go białym atramentem.

Wykrzykniki są w nim
już oswojone z pytajnikami, a pytajniki
bez mim sztucznie rozstargnionych
dzwią się sobie i opasłym, czerwonym
kropkom wysysającym resztki krwi
z aorty gramatyki

Najlepiej, jak na odwrócie chmury
podpiszesz się warkoczem
w świetle księżycy odłoslony twardniejące
od rozkoszy piersi, pomarańczowym oddechem
łśknąc wypelnisz powietrze
i w niezadziej rozsypanymi włosami
— tu za oceanem —
dotkniesz moich głodnych ciebie warg

Pożegnanie

Jerzemu Narbutowi

Ledwie zagrzały się nam dłonie
w uścisku
idziesz
pożegnany na nowo
szklanką chłodnej herbaty

Zielone liście spadają z drzewa
gruszy
gdzie piłsiśmy
śmiech przez różowe palce
dotykając rytmu męskich wspomnień

Ostatnie ślady w piasku mocny
wiatr
zagrzebuje
wargami żala
nie zobaczymy się przedko

* * *

Możesz paznokciem świat przeciąć na dwie połowy
z kamienia wycisnąć krople miodu
każdą kroplą napełnić słoń słodczy
każdym słojem napełnić beczkę radości
każdą beczką po piaszczyste brzozi
wypelnić morze rozkoszy. Możesz.
Nie wiem tylko jak rozwiłkać myśli Twoje
utkane misternie ze złotych nitki

Niemy ogród

Po siedmiu latach niepisania
pomógł zarosły grządką z wierzami,
suche kopczyki bez kwiatów nosami
starchuchy krety, dziobate osty
panoszły się wszędzie, różę
już nie plakaly niebieskimi łzami,
z badyli suchych poskręcane zdania
prosiły cicho o wodę, wykrzykniki
wyciągały cienkie szyje do słońca
a ja bezradny jak ogrodnik z obciętymi
rękami nie umiałem im pomóc

Za pokutę

Za pokutę wypijesz wywar z tataraku, przepłyniesz
Atlantyk na wielorybie, najesz się gryczanej kaszy
podstawisz nogę siekierze, gdy pokłósił się z przydrożną
osną, od deski do deski przeczytasz „Państwo Boże”
świętego Augustyna, swojej niecierpliwości jak dziecko
przebaczysz, srebrną puęczynkę mózgu od czasu do czasu
podkarmisz Aktem Strzelistym, po każdym ciężkim grzechu
odcisk palców zaniesiesz na policję a sumienie
jak leśną wiewiórkę uczepisz do klamki kościelnej
na łańcuszku. Do spowiedzi przyjdiesz za miesiąc.

Tadeusz Chabrowski

TADEUSZ CHABROWSKI urodził się 11 listopada 1934 r. w Złotym Potoku koło Częstochowy. Studiował filozofię i teologię w Instytucie św. Pawła w Krakowie. W 1960 roku przyjął święcenia kapłańskie w Zakonie Opactw Paulinów na Jamnej Górze. W roku 1961 wyjechał do USA — okazało się, że był to wyjazd na stałe. Sześć lat później opuścił Zakon.

Za granicą Tadeusz Chabrowski kontynuował studia na Katolickim Uniwersytecie w Dublinie, Fordham University w Nowym Jorku i Temple University w Filadelfii (studia doktorskie z filozofii). Jako stypendysta Fundacji Kościuszkowskiej mógł powrócić do kraju, gdzie przez rok na Uniwersytecie Warszawskim zbierał materiały do swoich prac naukowych. Po latach odbył studia optyczne i zdobył zawód optyka. W Nowym Jorku jest znany jako animator życia kulturalnego społeczności polskiej (był m.in. założycielem Polish-American Artists Society).

Debiutował w 1960 r. w „Typodrukni Powstęchnym”. Nakładem kondygnacji „Oficyny Poetów i Malarzy” ukazały się dwa zbiory jego wierszy: *Madость* (1963, drugie wydanie 1964) i *Lato w Pensylwanii* (1965). W 1973 r. ukazało się pierwsze krajowe wydanie poezji Tadeusza Chabrowskiego pt. *Drzewo senie abezalo* w Ludowej Spółdzielni Wydawniczej, a w 1975 r. Wydawnictwo Literackie w Krakowie opublikowało jego *Wiersze*. Następny tomik pt. *Drewniany rower* ukazał się w Polander Press w Brooklynie w 1981 r. Istnieją dwa nagrania kasietowe poezji Tadeusza Chabrowskiego: *Madость* w wykonaniu krakowskich aktorów: Danuty Michalowskiej i Andrzeja Frycza oraz kasetka z nowymi wierszami pt. *Wracamy do kraju*

w interpretacji Piotra Fronczewskiego i Wacława Skrzysłowskiego. Przygotowane do druku są tomy *Kościoł pod Słońcem*, zawierający wierszy podejmujące obecnie w tej twórczości od lat problemy wiary, religii i Kościoła, oraz zbiór liryków miłosnych (nowy tom w liście Chabrowskiego) pt. *Zamek z wiatru*.

Dwukrotnie otrzymał poeta prestiżową Nagrodę Fundacji Kościelskich w Swajcarli: za tom *Lato w Pensylwanii* i za współautorstwo *Słowa na pustyni* — antologii współczesnej poezji kapłańskiej ze wspólną Karola Wojtyły. Jest też laureatem nagrod amerykańskich (m.in. World of Poetry Press).



Ewa Kuryluk, rysunek na bawelnie, 1988. Katalog „Jensimy”, repr. Czesław Herda

ALINA KOCHAŃCZYK

SŁOWO O DANUCIE MOSTWIN*

Przez twórczość pani Danuty Mostwin czytelnik krajowy, odciepi przez kilkadziesiąt lat od wydawnictw emigracyjnych, mógł się spotkać dopiero w roku 1982, gdy IW PAX opublikował jej książkę pt. *Amerky! Amerky!* Od debiutu powieściowego autorki (*Dom starej lady*, Londyn 1958) upłynęło wówczas prawie ćwierć wieku. W kolejnych latach wydrukowano w kraju kilka dalszych pozycji z literackiego a także naukowego dorobku D. Mostwin, dzięki czemu jej nazwisko stało się znane w kręgach miłośników literatury. I tak zapoznaliśmy się oni w 1985 roku z powieścią *Cień księżdy Piotra* a następnie, w 1989 roku z kontynuacją jej wątki *Szmaragdowej żywni*. Warto wiedzieć, że trzecia część tej rodzinnej sagi, opatrzonej wspólnym tytułem *...ani o ziarno jęczmienia mniej* znajduje się w druku, a ostatnia, czwarta, w opracowaniu. Z wydanych wcześniej na emigracji powieści wydawnictwo „Polonia” wznowiło książkę pt. *Odczekał mi synowie* (Warszawa 1989).

Już ten wybór tekstów pozwala zorientować się, że pisarka skupia uwagę przede wszystkim na zjawiskach dotyczących środowisk polskiej emigracji, na problemach adaptacji w nowym kraju oraz zachowania tożsamości. D. Mostwin dała się również poznać jako autorka prac naukowych o tematyce psychologicznej i społecznej, licznych studiów nad współczesną polską emigracją. Jej szkice psychologiczne i socjologiczne, pomieszczone w dwu tomach pt. *Trzecia wartosc* (1985) i *Emigranci polscy w USA* (1991) wydało wydawnictwo Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Psychologia społeczna, socjologia emigracji, psychiatria to dziedziny wiedzy, z którymi autorka *Szmaragdowej żywni* (po ukończeniu tuż po wojnie w Edynburgu fakultetu medycznego, a potem w Waszyngtonie i Nowym Jorku studiów w zakresie opieki społecznej) związała się pracą zawodową. Jest profesorem amerykańskich uniwersytetów, prowadzi też klinikę terapii dla rodzin przy jednym ze szpitali psychiatrycznych. Jak można wnioskować, w swojej twórczości literackiej korzysta z bogatych doświadczeń, uzyskiwanych na polu profesjonalnym. W jej książce o charakterze biograficznym *W Szmaragdowej żywni* — jedna z bohaterek, w której rozpoznajemy ją sama, myląc o uprawianiu w przyszłości pisarstwa, decyduje się na podjęcie po maturze studiów medycznych. Świadomie wybiera drogę „okrężną” do literatury, uważając, iż „pisać naprawdę” można tylko wówczas, gdy się najpierw dobrze pozna świat i człowieka. Powołuje się przy tym na przykłady Czelosina, Świdana-Bandrowskiego, a także studiującego nauki ścisłe Prusa oraz polskojęzycznej nauki społecznej Dąbrowskiej. D. Mostwin, tak jak ci pisarze długo dochodziła do literatury, gromadząc doświadczenia

i podbudowując je solidnym fundamentem wiedzy. Ostrość widzenia zjawisk społecznych, umiejętność obserwacji i pojmanowa złożoności przeżyć jednostki a także determinujący ludzkie losy czynników zewnętrznych jest w twórczości tej pisarki właśnie efektem gruntownego poznania. Do jego zasobów odwołuje się jej artystyczna wyobraźnia. To nawiązujące do najlepszych tradycji polskiej prozy realistycznej pisarstwo, poza wieloma innymi przymiotami, posiada także i ten, że przywraca ufnosc w kwestionowane często poznawcze możliwości literatury, dzięki czemu odbierane jest jako godne wiary źródło wiedzy o wewnętrznych problemach jednostki oraz o problemach życia społecznego.

Jury konkursu im. B. Prusa, który odbył się w Lublinie w 1990 roku, wyróżniając powieści D. Mostwin *Cień księżdy Piotra* i *Szmaragdową żywni* Nagrodą Główną doceniło także i te, istotną ich wartość.

Zanim o tych, najważniejszych — jak sądzę — utworach pisarki powiem więcej, chciałabym przypomnieć kilka faktów z jej biografii. Zawiera ona bowiem klucz do dzieła, stanowiącego wielką fabularyzowaną opowieść o losach jej przodków, a także o jej własnym życiu. Dla tutejszego czytelnika przywołanie biografii ma jeszcze i to znaczenie, że przypomina o związkach autorki z ziemią lubelską i miastem nad Bystrycą. W tym mieście w ubiegłym wieku osiedlili się jej dziadkowie, to urodziła się jej matka, a potem ona sama, tutaj spędziła lata dzieciństwa. Na początku lat 30-tych przeniosła się do Warszawy, gdzie ukończyła szkołę średnią. Maturę otrzymała w maju 1939 roku. W czasie okupacji odbywała tajne studia medyczne. W Powstaniu Warszawskim wzięła udział jako sanitariuszka. Polskę opuściła w roku 1945 i po kilku latach pobytu w Anglii zamieszkała na stałe w USA.

Problemy przystosowania się do życia w nowych warunkach, o których pisze z taką znajomością rzeczy, składały się także na jej osobisty dramat. Jak jej bohaterowie musiała stoczyć walkę o własne miejsce w świecie. O tym, że walka w przypadku „skazanych na życie w rozdwojeniu” nigdy się nie kończy, autorka *Szmaragdowej żywni* pisze z głęboką świadomością, niemożnością przewyższenia emigranckich kompleksów. Nie da się uniknąć poczucia rodnica — stwierdza — i zawsze już istnieje się jakby „pomiędzy”: pomiędzy krajem wyboru a ojczyzną dzieciństwa, „nigdy na zawsze tu, nigdy na zawsze tam”.

Z łaski losu D. Mostwin otrzymała szczególną szansę zachowania dziedzictwa — dał jej talent literacki. Dzięki niemu latwiejże stało się poszukiwanie odpowiedzi na pytania: kim jestem? i gdzie przynależę? W życiu każdego człowieka boleśniej staje się kiedyś problem przemijania, ubywania życia, tragicznego rozpraszania się w pamięci tego, co minęło. W przypadku odciętego od rodzimego dziedzictwa emigranta wzmagają to poczucie wykorzenienia. Wraz z zacierającą się przeszłością pozbawiony zostaje części swej istoty. Od czasów Prowata wiemy, że literatura może zaoferować skuteczną pomoc w poszukiwaniu straconego czasu. Jakby idąc tym tropem, także autorka *Cienia księżdy Piotra*, w sobie właściwy sposób, wykorzystala kreacyjną moc pamięci. Podjęła przedsięwzięcie, „zapisała” swego życia, które czas nieubлагanie spychał w przeszłość i zatraczał, śięgnięcia poprzez literaturę do najlepszych źródeł swojej tradycji. Wybiegając w przeszłość, znaczenie dalej niż sięgała granic jej pamięci, D. Mostwin odtworzyła historie rodów od strony matki, szukając w niej tego wszystkiego, co składało się latami na jej poczucie tożsamości.

Autorka *Cienia księżdy Piotra* zaczyna swą narrację od pokolenia przadków, od chwili, gdy poznał się w roku wybuchu stopy nowego powstania. Dalej opowiada o babce, która spod krasieckiej

*Tekst wygłoszony na spotkaniu zorganizowanym z inicjatywą redakcji „Akcentu” w Muzeum J. Czeczowicza, w czasie którego Danucie Mostwin wręczono zastalą Nagrodę Główną im. Bolesława Prusa.



Danuta i Stanisław Mostwinowie w redakcji „Akcentu”, 10 września 1991 r. Fot. Jack Mironów.

...wsu za mężem przybyła do Lublina i w domu na skraju miasta — dziś miejsce to nazywa się ulicą Narutowicza — zalażyła gniazdo rodu. Snuje wątki o licznych ciotkach i wujkach oraz ich potomstwie, o przyjaciółch członków rodziny, komponując rozległe zakrojony obraz życia rodu, będący zarazem powieścią społeczną, w której przegląda się codziennym, zwyczajnym, często banalnym sprawom, ale także obejmuje uwagę wykluczone losy burzliwe wydarzenia historyczne, problemy deklacji warstw społecznych, procesy budzenia się świadomości społecznej i narodowej.

Podobnie w *Szmaragdowej zjawie*, której akcja toczy się między wojnami, wykracza autorka poza wąskie założenia biografizmu czy autobiografizmu. Ustawia perspektywę narracji tak, by ogarnąć oglądem polityczne i społeczne tło wydarzeń, i by poza jednostkowym odkryć ogólne, uchwyć obraz życia narodu, portawiający się dramaturg Polaków, w każdym pokoleniu tragicznie napiętych wanych historią. I tak oto dzieje jej rodziny czytać można także jako opowieść o losach znacznej części polskiej inteligencji, której udziałem po drugiej wojnie światowej stało się życie na emigracji. Tego pokolenia dotyczyć będzie ostatnia część sagi, czego zapowiedź znajdujemy już w *Szmaragdowej zjawie*:

Opowieść moja, chociaż o bliskiej mi rodzinie, a więc najbardziej dostępnej obserwacji, jest jednak opowieścią o tych wszystkich, którzy we wczesnych latach pięćdziesiątych napływali z Anglii i Niemiec do Stanów Zjednoczonych. W nich wszystkich w ciągu lat amerykańskich doświadczeń dostrzegalam siebie. Odnajdywałam gorzką rezygnację mego ojca, upór czyżby, nie uznający realnych granic patriotyzm matki, trudne, samotne, nierozdające apokaryzujące doświadczenia Stasia, zawieszenie Jacka w próżni, nasze problemy rodzinne, naszą walkę o zachowanie własnej tożsamości pomiędzy odrzucającym nas a jednocześnie oczekującym pomocy krajem dzieciństwa, a nie dającym się ująć, do końca nie odkrytym krajem naszego wyboru, ojczyzną amerykańską.

Przeszło sto tysięcy polskich emigrantów! Najwięcej w wieku Stasia i moim, wielu w wieku moich rodziców. Cały przekrój polskiego

społeczeństwa. Wielka pielgrzymka do Ameryki. O nich jest moja opowieść, chociaż piszę o sobie.

Szmaragdowa zjawia — tytuł zainspirowany wierszem Emily Dickinson — to metaforyczna zapowiedź złowieszczonego losu. Bohaterka powieści, która w dniu poprzedzającym wybuch wojny skończyła osiemnaście lat, zaledwie przeżycia dramaturg nieodwołalności historii i swego losu, zwiastowany wyciem syren i hukami spadających bomb. Jeszcze nie wie, że jak ojcu, który wstąpił do wojska mając niespełna szesnaście lat, jej także młodość odbierze wojna. Nie może wiedzieć, że tę wywołaną ojczyznę utraci i ruszy na tulać się po świecie w poszukiwaniu nowej.

Lubelskie dzieciństwo i warszawska młodość ukształtowały obraz utraconej ojczyzny, który pamięć pieczołowicie przechowuje. I oto w powieściach „delikatnie dotykany wspomnieniami” obraz ów odzyskuje dawny kolor. Wizerunek ojczyzny to przede wszystkim zapadłe w świadomości pejzaże:

...zabrałam ze sobą dwa wizerunki ojczyzny. Panoramę lubelską z Bystryczą i strzelającą w górę wieżyczką zamku, z Bramą Krakowską, za którą w kinie pierwszy raz oglądałam film „Spiewający blazem” z Ogrodem Saskim, opodal którego stała kamienica, gdzie się urodziłam. Panoramę lubelską przechodził daleko w Lasy Janowickie, do Krainki i Urzędowa, gdzie cioteczki dzidkownie i babki, ich gościnności, dzwianictwa i opowiadania, barwine, tyznie jak tamta ziemia, niewyczerpane w bogactwie tematów. A drugi wizerunek ojczyzny, to prany brzeg Wisły: szeroka płaszczyna pól i ogrodów, park Paderewskiego i spojrzenie na Warszawę, tak bliską, znaną, a jednak nie tak bliska jak rzeka. Wszystko, co stamtąd, jest wiersznością wobec historii, lądnobność dla ludzi, miłośnicy do melodii języka i intelektualnym uzasadnieniem przynależności.

Dla Danuty Mostwin, od tyłu lat żyjącej w Ameryce pojęcie ojczyzny oznacza jednak coś więcej, niż tylko kraj ojczym; „ukorzenie” w ojczyźnie — pisze — następuje zawsze tam, gdzie dokonuje się człowiek. I powiada dalej:

Więc i ten nasz obecny dom na górze, nad strumieniem, z unoszącym się nad nim wysokim niebem amerykańskim, połączony autostradą z miastem, które wzrastało w moich oczach, to miejsce, wykorzystane i obdane na wótr i na pamięć miejsc zapamiętanych, ten skrawek ziemi, gdzie teraz, w poszukiwaniu czerwca, w wilgotnym nocnym spale ogromne lampy świetlików wzbijają się aż do czubków buchających zielonoci talpanowców, a puste drzewo wiśni nabrzmiewa czerwienią owoców, ten dom jest także ojczyzną. Jest tu i panorama lubelska, i otaczający mnie wszędzie niemy a głośny dźwięk języka, i brzeg Wisły, do którego teraz powracam.

Staje się zrozumiałe, że swoją literacką podróż do rodzinnych miejsc D. Mostwin odbywa z amerykańskim багаżem: pojęta tamtych autorów, tam ostatecznie uformowana wyobraźnia i sposobem widzenia świata. A przecież nie jest turystką, czuje się tu także u siebie: swobodnie porusza się po przedwojennym Lublinie i Warszawie, na kartach powieści rozpoznajemy do dziś stojące domy i dowiadujemy się o tych, które już nie istnieją, odbywamy wraz z nią fascynującą wędrowkę po ulicach i całych dzielnicach, spotykamy postaci zapisane w historii narodu, w dziejach kraju a także miasta. Dla tutejszego czytelnika autorka *Cienia księcia Piotra* jest zupełnie niezwykłym przewodnikiem po dawnym Lublinie, z czasów gdy ulica Narutowicza nosiła miano Namieśnikowskiej.

Pisarstwo jest dla Danuty Mostwin rodzajem przygody samopoznania. Jak Ralf Waldo Emerson pojmuję świat jako „cien duszy”, swoje drugie ja, i już choćby przez to ów świat jest jej — czujemy — bliski, swojski. Poznając świat, poznaje zarazem siebie. W wierszu wyraźnie najbliższego jej poety Walta Whitmana, który pomieścila na czele *Smaragdowej Zławy* czytamy:

*We mnie ukochanie życia i gdziekolwiek ono, tam się
zwracam,
Przed zapadłymi i najdalszymi zakątkami pochylony, kłęcząc.
Ańi człowieka, ani rzeczy nie opuszczę.
Wszystko w sobie i dla siebie tej przyjmuję.*

U D. Mostwin odnajdujemy ten sam, co u Whitmana stosunek do świata w uroczystym, ale pełnym tkliwości otwieraniu go swoim pisaniem, w ciekawości z jaką daje się ponieść wspomnieniom, we wzruszeniach, z powodu jego nieprzebranych uroków, we wrażliwości na barwy, zapachy i smaki. Obrót świata tej pisarki budowany wedle realistycznych formuł, nasycony jest sentymentem, szczególnie klimatem poetyckości, co najwydziejniej ujawnia się w *Smaragdowej Zławie* niezwykłą aurą wzmagającą wrażenie powrotu do siebie z czasów młodości. A jednocześnie na kartach tej, skądinąd uduchawiającej dojrzałości powieści, piękno kładzie doświadczenie i „wykształcona w szkole amerykańskiej” wyobraźnia.

Składając Autorce gratulacje z powodu otrzymania nagrody, chciałabym Jej równocześnie serdecznie podziękować za wszystkie wzruszenia, jakie dała mi lektura wyróżnionych książek.

Alina Kochanycz



Igne Mitoraz: *Testa Iberica*, brzoj, 1989, Katalog „Jostein”7. Repr. Czesław Herda

DANUTA MOSTWIN

*Jest coś, co przetrwa dłużej...**

W tym tak cennym dla mnie dniu prznika mnie uczucie sympatii i wdzięczności dla zgromadzonych tu przedstawicieli mojego rodzinnego miasta, Lublina, dla młodej generacji pielęgnującej myśl twórczą i dla najważniejszej osoby dzisiejszego spotkania — Bolesława Prusa. Niedawno, bo 20 września minęło 147 lat od urodzin pisarza, a przeszło pół wieku od miłości z nim znajomości. Była to i do dziś pozostała znajomość serdeczna. On mówił, a ja słuchałam uważnie. Ale był też taki dzień, w którym on milczał, a ja mówiłam. Był to ważny dzień w moim życiu. Pamiętam go bardzo dokładnie. Przez otwarte okna na trzecim piętrze warszawskiej kamienicy wpadał ciepły, majowy wiatr. A z wiatrem płynęły fale urzekających zapachów ciastek z cukierni „Ziemiańskiej” na parterze domu. Ulica Mazowiecka, na której stał dom, była spokojna. Nie jeździły po niej tramwaje. Tylko czasem i rzadko — samochód. Pokój, którego otwarte okna wchłaniały delikatne ciepło wiosennego dnia, był klasą gimnazjalną. Było bardzo cicho. Niekiedy tylko ciszę przerywały westchnienia maturzystek i skrzyp piór po papierze. A czasem zagłuszał wszystko warkot przelatującego samolotu. Był rok 39. Rok wojny. Nie wierzyłam wtedy w wojenne przepowiednie. Ważniejszy był wybór tematu na maturę z języka polskiego. Prus był tym, którego wybrałam bez wahania. Od chwili przeczytania *Katarynki, Kamizelki, od chwili „polknicia” Laika*, stał się moim ulubionym pisarzem. Chciałam tak właśnie pisać. Był oszczędny w słowach, jasny, przerywisty, realny, pełen humoru tak brakującego polskiej literaturze, był wzruszający i rosmieszający do łez. Zastanawiał, wżerał się w pamięć, zostawał z czytelnikiem zmuszając do refleksji. Pisałam o „aspektach społecznych w twórczości Bolesława Prusa”.

Z perspektywy przeszło pół wieku, lat ciężkich wydarzeń, które zdruzgotowały naród i niemę polską, lat obfitych w doświadczenia przymusowej emigracji, niemożności powrotu, zakazu odzwieczania kraju, z perspektywy lat intelektualnego dojrzwania na Zachodzie, lat w których uczyłam się o człowieku i bezpośrednio poznawałam go w nieszczęściu: białych i czarnych, nędzę i przestępstwo, opuszczenie i sierotowo, tych w domkach na przedmieściach i tych w slumsach miasta; z perspektywy tego półwiecza spoglądam z zazenowaniem na uczennicę w białej bluzce piszącą rozprawę maturalną o aspektach społecznych. Przecież ja nic o tym nie wiedziałam! A wydawało mi się, że po przeczytaniu Prusa, wiem wszystko. Nie tylko, że wiem, ale że wszystko rozumiem. Umieściłam się pobladznie do tamtej mojej pewności. Nie a nie nie rozumiłam. Jedno tylko było niezaprzeczalne: odczuwałam problem społeczny, ich bolesną wymowę poprzez artym pisarza.

* Tekst wystąpienia Autorki na uroczystości wręczenia Nagrody Literackiej im. Bolesława Prusa (Lublin, 11 września 1991 r.).

Na tym spotkaniu w dniu pisania matrycy urwał się na czas dłuższy mój kontakt z Prusem. Nie wiedząc jednak o tym, szłam do zagrumienia filozofii pisarza inna, określona droga. Wojna, jej nagi pragmatyzm spowodował, że wybrałam studia medyczne na tajnym uniwersytecie. Później w Ameryce studiując nauki społeczno-psychologiczne musiałam ograniczyć się do czytania prac naukowych i pisania w języku angielskim. Ale *Łalkę* i nowele warszawskie miałam zawsze przy sobie. Odczytywałam przy nich, odpływałam w inny świat. W *Łalce*, powieści ulubionej, odkrywałam za każdym razem coś nowego. Wydawało mi się, jakby nie tylko słowo czytane, ale czas czytania i warunki otoczenia układaly się w coraz to nowe konfiguracje, nadając scenom powieści jakby inną oświetlenie, wyznaczając dla mnie coraz to inne miejsce widać rozgrywającego się dramatu. Jedno pozostawało niezmiennie: scena medytacji Wokulskiego. Może dlatego, że medytacja ta ujęta w kształt czterowieśnia przynęła do mnie, powracala:

*Mijała ładnie polekolenia
Jak fale, gdy wiatr morzem szmeci
I nie masz godów ich pamięci
I nie masz bólów ich wspomnienia.*

Niech słowa tej poetyckiej refleksji, echa księgi Eklezjastesa, posłużą jako drogowskazy do kilku myśli i spostrzeżeń, którymi pragnę się z państwem podzielić.

Przynajac nagrodę literacką Prusa obchodzimy „gdoy jego pamięci”. Prus żyje. Ale coby wiemy o „bólach wspomnień”? O dramacie przeszłości Aleksandra Głowackiego? Pisząc maturo nie o tym nie wiedziałam. Prus, autor cotygodniowych kroniki w warszawskim „Kurierze Codziennym”, łagodny, niesmiały, chronił za ciemnymi okularami swą przeszłość. Nie lubił dzielić się swą biografią. Wydawałoby się, że „zaczął się” w Warszawie, był pisarzem stolicy. Na jego pogrzebie 22 maja 1912 roku maszerowała głównymi ulicami miasta, przy spowitych kirem latarniach, cała Warszawa. Ale czy to Warszawa stworzyła Prusa? Czy człowiek może się zacząć w dwudziestym roku życia? Czy Mickiewiczowska więź Gustawa przeobrażającego się w Konrada możemy zastosować do lubelskiego Aleksandra Głowackiego, który stał się warszawskim Bolesławem Prusem? Nie! Nauki ścisłe, które ukształtowały moje widzenie świata nakazują mi spoglądać w inną stronę, gdzie indziej szukać wytulenczenia. Architektura tożsamości jednostki rozpoczyna się już w pierwszym roku życia, a doświadczenia dzieciństwa i młodości wyryte są w nas na zawsze. Wzrosnąć i na zawsze utrwała się hierarchia wartości. Modele postaw, wzory postępowania wchłania się z każdym młodym oddechem stwarzają kodeks osobisty, który otąd kierować będzie naszym zachowaniem niezależnie od miejsca, na które rzuci nas fatum. A melodia języka, kalejdoskop półtonów, bogactwo motywów, które dźwięczą w pieśni narodu i stają się natłuszczeniem artysty, to wszystko zbitne wcześniej do skarbcza podświadomości — zostaje w nas na całe życie.

Studiując materiały historyczno-obyczajowe do powieści *Cieni Księżdy Piotra* natrafiłam na wzmiankę o dzieciństwie i młodości Aleksandra Głowackiego. Urodził się pod Hrubieszowem, syn urzędnika w dużym majątku. Rodziców stracił wcześnie i opiekował się nim krewni. Zatrzymaliśmy się przed stwierdzeniem „rodziców stracił wcześnie” — wydawało mi się, że rozrywam czarną zasłonę, za którą beznamiętne, dziesiętnych leń, nieutulonego bólu. Tragiczne do dla każdego, kto w dzieciństwie doświadczył sieroctwa. Brzemienne w skutki dla artysty, gdyż bolesna pamięć dziecinnego osamotnienia wpłynęła na kształt jego twórczości. Każda młodość jest — wziętem,

każda marzy o podboju, o osiągnięciu nieosiągalnego. To dopiero wiek dojrzały upolaka stan oczarowania niemym i pozwala człowiekowi pochyląc się nad sobą i włączyć w dwojony i innymi ładki dramatu. Porwany młodością i zapalem otoczenia Prus, tak jak wielu jego kolegów z lubelskiego gimnazjum, dołącząc do oddziałów powstańców, kontuzjowany w potyczce, nieprzytomny, długo leżał na pola. A później uwieszony w lochach lubelskiego Zamku, w celi śmierci oczekiwał wyroku. Znamy okrutną historię tego Zamu, miejsca wzięcia, tortur i rozstrzelania kilku pokolen patriotów z ziemi lubelskiej.

Zwolniono go po 4 miesiącach. Opisał wzięcie inny. Zapisał się na wydział matematyczno-przyrodniczy Szkoły Głównej w Warszawie. Poza nim zostało lubelskie Krakowice Przedmieście, którym tyle razy przechodził musiał jako uczeń gimnazjum. Czy zatrzymywał się przed sklepem korzennym pod numerem 8 przy tej ulicy? Właściciela, Jana Mincla, widąc było jak siedział nieruchomo w drugim, sklepionym wnętrzu i tylko od czasu do czasu pościagał za sznurkę wystawionego w oknie pajaca. A może widział pięk dziewczynil zawieszonych nad głową właściciela i jego szybko, mocne uderzenia, którymi karał subiektywo za najłżejsze przewinieństwo? Czy stał zżbę w tyle sklepu, który zakratowane okno wychodziło na ulicę Kozia? Czy to w tej izbie mignął mu inni ostatniego romantyka, porucznika węgierskiej piechoty? Czy to tam usłyszał brzęk gitary i słowa piosenki: *wionno się ludzi w całej naturze...*? Czy to tak właśnie się stało, że sklep Jana Mincla znalazł się w Warszawie? A muza podpowiadająca słowa, ta, która ze skarbcza podświadomości wydobywa obrazy dzieciństwa poszpepnęła: pamiętasz?

Kiedy w roku 1887 w „Kurierze Codziennym” zaczęła się ukazywać *Łalka*, a jednym zdemaskują podziw, w innych oburzenie, załoczenie. Była to powieść demaskująca Prus — uważny, dokładny obserwator — ukazał w zwierciadle swojej pracy społeczeństwo polskie prawdziwie. Wskazał na potrzebę integracji wszystkich grup społecznych. Tak, jak w systemie mechanizmy układ części i wzajemnie ich oddziaływanie warunkuje sprawność maszyny, tak w społeczeństwie ludzkim mądre zaplanowa współzależność jednostek i grup gwarantuje jego istnienie.

Bolesław Prus zostanie żywy. Nie tylko dla literatury, ale dla całości kultury polskiej. Przerwał, tak jak Victor Hugo w *Nedzielnikach*, jak Balzac w *Komedii ludzkiej*, Dickens w *Wielkich Nadziejach*, Turgeniew w *Zapiskach myślowych*, jak Gorki w *Dzieciństwie*. Ten, którego uznano za piewca Warszawy, jest symem ziemi lubelskiej, gdyż tu kształtowała się jego tożsamość, stąd czerpał motywy twórczości.

Po czterdziestu latach w Stanach Zjednoczonych, myśląc o przyznoci Bolesława Prusa, którego imienia nagroda została mi twórczo, myśląc o pisarzu mojej młodości, porównuję i przemyrzam. I zwracam się ku temu, który w latach mój dojrzałości nasycał mnie słuchac, jak spiewa Ameryka. Jest to Walt Whitman, poeta z okresu wojny domowej. Podczas gdy 18-letni Aleksander Głowacki oczekiwał na wyrok w celi zamkowej, a po zgalsym powstaniu tiliy się jeszcze popioły, Walt Whitman, wtedy 44-letni, pracował jako sanitariusz na polach walk.

W tym czasie myśli polskiego pisarza i amerykańskiego lekarza w jednym miałyby być podobne. W celi więziennej i w poczecie polowym znikomość życia układała się w słowa Eklezjasty:

*Cóż przyjdzie człowiekowi z całego trudu
Który zadaje sobie pod słowem?
Pokołenie przychodzi i pokolemie odchodzi
a ziemia trwa po wszystkie czasy.*

Refleksje te wyraził Prus później w czterowerszku, który wybrałam jako drogowskaz mojej przekleki. A Whitman? Często u tego poety pojawiają się motywy przemiana. Przemianie nie jako gorzeć, ale łagodny spokój złączenia z całą przyrodą. Niech mi więc będzie wolno zachować tłumaczony przez mnie utwór Whitmana o „dziecku nad brzegiem oceanu”.

Nocą nad brzegiem oceanu
Stało dziecko z ojcem
Spoglądające na wschód, na jesienne niebo.
Tam, gdzie poprzez ciemności
przez krucze chmury, przez żalobne obłoki
Czarne masy nasywały się na niebo
Nież, pomar i szybkie parły w poprzek
i w dół niebo powoli przetrząsały panie
lazurowo jaśniejąco jeszcze na wschodzie
Wzniósł się ogromny, dostajny król gwiazd —
Jowisz — a zaraz blisko, tylko nieco powyżej
płyną dwie wdzięczne siostry — Plejady
Dziecko nad brzegiem oceanu trzymając
rękę ojca, spogląda na żalobną opończę chmur
i już krótkie ogarna wszystkie.
Dziecko trzyma rękę ojca i cicho płacze.
Nie płacz moje dziecko, nie płacz moje drogie.
Zwycięstwo kruczych chmur jest krótkotrwałe
nie na długo posiadają niebo.
Ta tylko wyduje ci się, że zniknęły gwiazdy,
Jowisz znów wypłynie, bądź cierpliwa, zabaczysz
następnej nocy wymurzą się Plejady
Gdyż gwiazdy są nieśmiertelne, znów
zabiją srebrem i ziołem
Wielkie i małe gwiazdy znów będą świecić
Przetrwają.
Ogromne, nieśmiertelne słońca i długotrwałe
zamyślane księżycy znów zainają.
Czyż więc, dziecko drogie, płaczesz tylko za Jowiszem?
czy myślisz tylko o odjeździe gwiazd?
(Jest coś, powiem ci na ucho, powiem na pocieszenie.
Ale dąć ci tylko pierwszą sugestię i problem
do którego prowadzi okryta droga.)
Jest coś bardziej nieśmiertelnego niż gwiazdy.
Coś co przetrwa dłużej niż liniję Jowisz,
dłużej niż słońca i obracające się wokół nich planety,
dłużej nawet niż promienne siostry-Plejady.

Tym przesłaniem kończy się wiersz Whitmana. A mnie zadumanej nad znaczeniem w nim zawartym, nad problemem, do którego prowadzi okrężna droga, wydaje się, że być może tym co przetrwa dłużej niż liniję Jowisz, dłużej niż gwiazdy i słońca, dłużej nawet niż promienne siostry-Plejady jest myśl ludzka, twórcza myśl nieśmiertelna. Myśl, która łączy pokolenia, która scala nas wszystkich. Zawsze zwycięska pomimo zasnuwających ją chmur.

Danuta Mostwa

STANISŁAW BARAŃCZAK

GEOGRAFIOLY:

Ż notatek globtrotera-domatora*

Holandia

Rubens nie Rubens, wiatrak nie wiatrak
Co jest w Holandii najbardziej atrak-
cyjne, to — oprócz braku depresji —
Użytkowanie licznych depresji.
Muszę Holendra wziąć raz na spytki:
Jakie konkretnie są to użytki?
Mnie też depresja ściga na dna den,
Lecz jaki mam z niej użytek? Zaden.

Belgia

Stolica, Bruksela,
Imienia udziela
Jarzynie brusselsce.
Nie cenię ją wiece
Brukselki: jarzyna
Smakiem przypomina
Gumową uszczelkę.
Ale zgań brusselskę
W obecności Belgii:
Czeka cię obelga.

Dania

Ojczyzna Hamleta
O jakości omeleta
Walczy w tym sensie, że Dania
Produkcję składników dania —
Głównymi są masło i jaja —
Podwaja wciąż i potraja.

* Z przygotowanej do druku całości, mającej w zamierzeniu Autora stanowić krajoznawcze dopełnienie tomu *Biografie*, opublikowanego, z ilustracjami Wojciecha Wołyńskiego, w r. 1991 nakładem Wydawnictwa „AS”.

Drób za drutami gładce „Dania jest więzieniem”
Ta plotka jest stronicznym sprawą zawężeniem.
I tak zresztą hodowca — Tuńczyk
Zamiast „kurczak” myśli dziś „tuńczyk”.
Inaczej niż tuczone w klatkach gęsi, indyki i głuszce,
Tuńczyki hodowane są od razu w puszcze.

Turcja

Każdy mieszkaniec Turcji, ledwie rano wstanie,
Pospiesza na najbliższe турецkie kaganie
I siedzi, nie pojmując z niego ani słowa —
Od czego po godzinie tak go boli głowa,
Że spędza całą resztę dnia na otomanie.
Rzecz jednakże znamienna, iż żal o to mu nie
Do siebie lecz do ducha dziejów: „Oto mamie
Otumanien ćmią mamień mgłą mą Otomanie!”

Egipt

Gdy na pustyni akasmit
Kładzie się cień piramid,
I gdy głos muezzina
Śpiewu formułę zrzywa
Z ryku głodnego mufa —
Wyż, wspomniana formuła
Sprawia, że piramidy,
Ogród Semiramidy,
Nile i krokodyle
Nie budzą w nas już tyle
Emocji. Minarety
Mają swoje zalety,
A największą z ich przewag
Jest to, że kiedy śpiewak
Spadnie z tej wysokości,
Lamie w większości kości
Oraz sobie karierę
Lecz połóżmy barierę
Ślodkim snom: „Piramidy,
Czy wy macie...” — z „Aidy”
Ten cytat? Z „Faraona”?
Donne’a? Tanga „Ramona”?
W rozjątrzonej migrenie
Jedno mamy wrażenie:

Że tej urwanej frazie
Dałby w każdym razie
Końcówkę święty Gwidon:
„...Czy macie piramidon?”

Chiny

Chiny
Zużywanie chininy
Traktują jako przymusowe:
Dziennie łyżka stolowa na głowę.
Ponieważ jednak produkcji i dystrybucji łyżek
Wciąż jeszcze daleko do celów, które rząd osiągnąć był przyrzekł,
W miliardzie chińskich głów, jak obliczył to pewien docent,
Głowy, na które nie tylko w teorii ale i w praktyce przypada jedna
łyżka chininy dziennie, stanowią nieduży procent.

Stanisław Barańczak



Adam Fiala: Znakomita narzeczona, pastel, 47 x 32 cm.

Drób ze smażoną cebulą. Długo jest wycierać. Włożyć do słoika. Tak zrobić z kurczakiem, wołowiną, karkasem. Wszystko złożyć do słoika. Zamiasz ketchup, myśli dot. Jajeczki. Inaczej nie trawione w kielaskach, gen. Jajeczki i plasterki. Zrobić ketchup z od razu w butelki.

ADAM FIALA

Australia czyli Kocham krokodyle

Kajetany z Murzasichla byli autentycznymi górnikami, zręcznymi przez los na kangurzy łód. Zawsze marzyli o wyjeździe, żeby zarobić trochę dolarów, ale Kajetanova za Edwarda Pierwszego miała spore manko w sklepie Gminnej Spółdzielni „Samopomocy Chłopskiej”, wyrok z zawieszeniem (manko spłaciła), nie chciano im dać paszportów. Dopiero za sekretarza Kani dostali paszporty, i wraz z kilkuletnim synem Mateuszem, pojechali pociągiem najtańszą trasą do Wiednia, ponieważ nie mieli pieniędzy na hotel, ktoś im poradził, żeby się zgłosiło do obozu Treiskirchen, co uczynili. I w taki oto w sposób zaczęła się ich kariera jako uchodźców politycznych. Ponieważ w Wiedniu nie było dolarów, to chcieli albo do Ameryki, albo Kanady, bądź też Australii na końcu. Złożyli podania do trzech ambasad, najwznieślij odezwiała się i przyjęła ich Australia, choć może dlatego że byli młodzi, obydwoje niżej dwudziestki, a poza tym ktoś bardzo rożgarnięty doradził Kajetanowi, by wysłał jako zawód „malarz pokojowy”, zaś żona: „shop assistant”, czyli sprzedawca sklepowy, co się w pewnym sensie zgadzało.

Wylecieli z Wiednia do Melbourne jak z katapulty, nawet nie zdążyli poznać europejskiego blińskiego Zachodu. Podobnie jak i my mieliśmy darmowe bilety na samoloty, z zastrzeżeniem, że jeżeli dwa lata pozostaną w Australii to koszt ten będzie im umorzony. Pozostali dłużej. Właściciele ciągle odrzucałi powrót, uzależniali go od ilości zaszczędzonych dukatów. Dochodzili momenty polityczne. Najpierw było trochę strachu by wracać, choć generalnie uroczyście zapewniali, że chętnie wszystkich przyjmie, jedynie ci, co szkalowali (uprawiali działalność polityczną) powinni się mieć na baczności. Ale nie wierzili generalowi, poza tym mieli jeszcze za mało tych dolarów. Gospodarstwo Kajetana w Murzasichlach prowadziła stara Kajetanova wraz z mężem. Nie było tego wiele. Górka, na niej układało się kopki siano na drewienkach, ładnie to wygląda na obrazku. Najpierw Kajetanowie mieszkali w hotelu, potem zylł posthotelowo, jak my, a następnie otrzymali z Housing Commission tak zwany town house. Był to domek jednorodzinny, bliźniak z piętrem i miniaturowym ogródkiem, otoczonym płotem z zabesła. Przy dobrych układach można było dostać też z tej Komisji niski domek wolno stojący, ale town house wcale nie był gorszy, w każdym razie miał pieterko.

Takie miał szczęście, że do pracy poszli od razu, przerywając w polowie kurs językowy, żeby nie tracić czasu, języka, i słuszenie

nauczyli się w biegu. Kajetan już chyba w trzecim dniu pobytu malował coś na czarno, to znaczy na bialo, u pewnego Włocha, przyczul się do zawodu, bo nie miał o tym malowaniu zielonego pojęcia. Po dwóch tygodniach malował całkiem niezłe i nawet zrezygnował z zasłki. Kajetanova, ponieważ była zręczna i szybka jak fryga, dostała robotę w Mac Donaldzie. Nie było łatwo, oni tam przeprowadzają taki test: biorą stoper i patrzą jak szybko pakujesz i w ogóle obsługujesz klientów, bo można podjechać samochodem i dostać hamburgera czy kurczaka ze słodczonym makiem przez uchylone okienko w ośmiocylindrowym smoku (tu rzadko kto jeździ malolitrzowym). Kajetanova najbardziej bała się języka, że ją żłapia, że najlepiej nie mówić, ale pracodawca uważał, że dobry sprzedawca powinien nie tyle konwersować co sprzedawać, zresztą sprytna Kajetanova poprosiła jakiegoś filologa, by jej napisał tak jak się czyta i wyuczyła się na pamięć typowych rozmówek w sklepie z hamburgerami, frytkami, w ogóle tak zwanych junk foodem, i tak szybko trzasnęła, że mniej obrotowy i inteligentny Kajetan aż otwierał gębę z podziwu. Jego język angielski w takim stopniu nie obowiązywał, z Włochami mógł rozmawiać po włosku i polsku, włoskiego też wprawdzie nie znał, ale zawsze można powiedzieć „pronto”, „mamma”, „bambini”, i już na twarzach obu rozmówców szerokie uśmiechy, naturalne, z głębi duszy, a nie sztuczne, dentystryczne, typu keep smiling. Z domów Housing Commission czy mieszkań, mogli też korzystać ludzie pracujący, z tym że płacili parę dolarów więcej czynszu w porównaniu z tymi na zasłkach, czyli socjalu.

Kajetanowie właściwie popelnili poważny błąd. Nie powinni brać tego town house'u lecz od razu, jak tylko mieli pracę, a należeli do tych nielicznych, którzy pracę zdobyli bardzo szybko, wypadalo im wystąpić z podaniem do banku o pożyczkę. Nabyli wtedy skromny drewniak, powiedzmy nawet z wygodną łaznią na zewnątrz, ale z upływem czasu ten drewniak, azbeńcaki, papierzak, szedłby w górę wraz z działką, sprzedaliby go, dołożyli trochę i mieliby przyzwoity domek, własny, i co najważniejsze, spalony. Oni jednak czepili się tego, co im kapnęło z nieba, i już tak pozostali. Zbierali za to pieniądze na książeczki bankowe, ale to też nie było takie dobre, bo wprawdzie dostawali procent, ale i płacili podatki od tych procentów. Głowy do interesu nie mieli, bo nie mieli czasu na myślenie, cały czas pracowali, chłopaka udało im się wsadzić do przedszkola, potem szybko, chodził z kluczem na szyi, i dla towarzyszy miał dwa psy, które pilnowały jego oraz domu.

„Jeszcze parę lat to pobejdziemy, jeszcze mamy za mało”, mówili i jak zwinął do portu polski statek zawsze przychodzili, pytali się jak tam jest i uprawiali drobny handelk. Stara Kajetanova im trochę życie skomplikowała, bo napisała, że pragnie kupić małego fiata, żeby jeździć na sumę do pobliskiego kociołka i żeby ją zaprosili, to trochę w Australii popracuje i zarobi. Ma dolary na podróz w jedną stronę. Kajetan był niechętny do tego zaprzaszania, ale musiał się zgodzić. Pomyśl w końcu okazał się mało udany, bo raz, starej Kajetanowej Australia się nie podobała, dwa: nie nie zarobiła, trzy: w międzyczasie umarł mąż i musiała szybko wracać. Gdyby nie

komunia święta Mateusza, można by całą podróż uznać za nieudaną. Ale komunია wypadła wspaniale, coś odbiło Kajetanom i Mateuszowi zamówili u krawca za 500 dolarów miniaturowy frak. Wyglądał jak mały wirtuoz. Rówieńscy w klapkach na nogach, koszulach z krawatami i niebieskich spodniach, Mateusz, Mathew, we fraku. Co się później z tym frakiem stało, nie wiem. Dowiedziałem się tylko od ludzi, że Kajetanowie w góry nie wrócili i nawet nie śpiewali „górału czy ci nie żal”, bo po prostu nie lubili alkoholu i mało mieli czasu na życie socjalne. Gdy już mieli tę usładaną kawę, wymarzną, w Polsce nastąpiły poważne zmiany, wolność, dolary już się nie opłacało wymieniać na czarno. Polska równocześnie stała się bardzo drogim krajem i uskładana przez Kajetanów kupka już niewiele znaczyła.

Pierwszego sylwestra w Australii spędziliśmy na party u Marianów, milionerów. Marian siedział jak lord w fotelu, wycielanym baranią skórą, w rękę miał zdalny przełącznik telewizyjnych kanałów i bawił się, szukając najbardziej rozrywkowego programu. Głos w telewizorze był ściszony, migaly tylko obrazy, żeby nie przeszkadzało rozmowom gości. Tak to już jest. Muzyka została zastąpiona muzykami, zaś prawdziwe programy migotały, zgodnie z duchem czasu. Syn biegł po mieszkaniu, raczej po domku, w świeżo uszytym kostiumie, błękitno-czerwonym, Supermana. Była to idealna kopia, na miarę Dżordża, uszyta z supermateriału, coś jak ten frak komunijnym Mathew. Popisowym numerem Marianowej były flaczki i la Pologne i bigos też i la Pologne. Chudziutki Stopa niewiele mówił, tylko powolutku, systematycznie znajdował się flaczkami i bigosem. Bohaterami wieczoru, czy też nocy sylwestrowej pod Krzyżem Południą była para aktorsko-piegielniarska Fred i Maryla, zwana również Marilyn. On był aktorem z kraju, ona emerytowana piegielniarką tutejszą, obydwójce piękni, choć nie młodzi. Fred z Marylą ozdabiali swoimi osobami wszystkie polonijne wycieczki. On w daszku ochronnym przed słońcem, on w wielkim słomianym kapeluszu, wyglądał jak emerytowany kowboj.

Ja nie mówię, że on był złym aktorem. Fred był średnim aktorem, i występował nie po pegeerach ale w teatrze „Komedia” na Zoliborzu w Warszawie. Od początku zaangażowany w ruch solidarnościowy, kiedy nastąpiła wewnętrzna emigracja artystów w kraju, zaprzagnął wyjechać i korespondencyjnie pomagał Maryle, Marilyn. Zawarł ślub przez pełnomocnika i generalnie nie miał nic do gadania, musiał wypuścić Freda do Australii jako legalnego męża Marilyn. Uważali się za bogatych, ponieważ Marilyn miała domek w dzielnicy Brunswick West, po mężu, który zmarł, i domek ten był wart 200 tysięcy dolarów. Dowcip polegał na tym, że była to kwota właściwie nominalna. W Australii jedyną rzeczą, za którą nie płacisz podatku jest własny dom, i może to być zarówno nędzna budka jak i pół-milionowa posesja, z tym, że w nim mieszkasz, bo już za następnym domem placisz. Marilyn dostawała emeryturę po mężu, tak zwaną pensję wdowią, zaś Fred zasiłek dla bezrobotnych, odpowiednio to

wszystko skorygowane, bo się bierze pod uwagę stan rodzinny i sytuację finansową. Wpłaty z socjału są elastyczne, mogą rosnąć w górę albo w dół. Nie mogła tego zrozumieć swego czasu Stopina, twierdziła, że to niesprawiedliwe, bo jak już sobie człowiek coś wypracuje to nie powinno ulegać zmianie, bez względu na sytuację rodzinną. Nie zapominajmy jednak, że do otrzymania emerytury w Australii są niezbędne dwa elementy, osiągnięcie odpowiedniego wieku i zamieszkiwanie w tym kraju w sposób legalny, jako rezydent, przez 10 lat. Marilyn ciągle opowiadała o tym domu, jego wartości, ale gdyby go sprzedała i otrzymała pieniądze, kwota ta mogłaby rzutować na wysokość otrzymywanych wypłat z socjału. Poza tym nie pozwały jej się zrobić z tym domem dzieła, chcieli go zachować w odpowiednim czasie (po śmierci Marilyn) dla siebie. Dzieci miała niemola, bo i mężów często zmieniali, po prostu umierali, była więc swego rodzaju famme fatale, ale to w najmniejszym stopniu nie zniechęciło Fryderyka, który zakochał się zarówno w Australii, jak i w Marilyn i w ogóle w całej Polonii. Występował w polonijnych świetlicach jako aktor z Polski, z tym że nie trzeba było mu płacić aż tak strasznie dużych pieniędzy, jak tym przyjeźdnym wesołym kabarecom czy innym estradowym składkom, wystarczyło mu parę dolarów, na papieroso, kawę czy benzynę, a teksty recytował te same, bo innych przecież nie było.

Humanistic, zgromadzeni w domku milionerów, z wyjątkiem pewnego inżyniera, który się czał na posadę rządową w Canberze i lekceważył trochę eale towarzyszy, byli wpatrzni w Freda jak w obraz hiperrealistyczny. Inżynierek jednak pogardliwie stosował: „Co warty jest aktor bez prawidłowego australijskiego akcentu”. Miał swoją rację. Sam czał się na intratną i spokojną posadkę naukowca w dziedzinie solar energy, czyli słonecznej. W Australii słońca nie brakowało, należało tylko wymyślić efektywne i małe baterie, można było nad tym pracować dosłownie całymi latami. Domy podobno dawali, i Canberra, stolica, była położona nad pięknym sztucznym jeziorem, klimat, dość zimny, może bardziej Polskę przypominał. Fred jednak nie przejmował się zbytnio tym akcentem. Mógł grać w teatrze etnicznym, mógł wystąpić w filmie, w którym było zapotrzebowanie na aktora właśnie z obcym akcentem. Zresztą, akcent nie akcent, wielu tutejszych aktorów pozostawało bezrobotnymi w swoim zawodzie. Szczęściw się jednak tym, że nigdy nie występował po pegeerach, a później nie robił z siebie męczennika reżimu. Tak nawiasem mówiąc, symbolem komunij zawsze był dla mnie pegeer, czyli państwowo gospodarstwo rolne, a nie kazamaty, rakiety czy inne czelnie. Kazamaty, rakiety i czelnie, a także paly polijnyczy czy gaz łzawiący mamy także gdzieś indziej, zaś pegeery są, można powiedzieć, specjalitę dla la maison systemu. Dopóki będą istniały pegeery, zawsze na wszystko będą spoglądać trochę podziwicznie, obojętne, z jakich wyborów, wolnych czy z kluczem, będzie sięm, ale to mój prywatny punkt widzenia.

Fred rozłączył, po kilku kieliszkach koniaku, opowiadał o pierwszych spotkaniach zawodowych z Australijczykami. Tak się złożyło, że ze względu na imponującą posturę, w pierwszym okresie został

nadzorcą śmieciarzy w Clivic Centre, coś w rodzaju rady narodowej, no, w każdym razie władzy lokalnej. Fred opowiadał, jak jego boss, czyli szef, stał na górze, zaś on na dole. Boss wykrykiwał coś soczystą australijszczyzną, a Fred odpowiadał gardłowo: aaaaaaaa, jes, i wszyscy byli bardzo szczęśliwi. Kłopot się dopiero zaczął, gdy boss się zmżył do poziomu Freda, czyli po prostu zszedł, wtedy to: aaaa, jes, a nawet: well, już nie wystarczyło. Później ów szef został wymieniony, jego miejsce zajęła kobieta o imieniu Norma, Fred ją nazywał: polską normą. Było wszystko normalnie, ale stracił tę pracę, przeszedł na zasilek i zajął się prawdziwym aktorstwem. Plany docelowe w teatrze etnicznym: wystawienie adaptacji „Zbrodni i kary” Fiodora Dostojewskiego, też Słowianin, choć Polaków nie lubi. Marilyn miała jeszcze bogatsze wspomnienia, była Sybiraczka. Każdemu opowiadała swój życiorys, jak to uśmiechał się do niej wszyscy komisarze i miała najwygodniejsze nosidełka na wodę oraz wierzyla, że wszystko skończy się pomyślnie, co też się stało, bo w rezultacie wyładowała w Australii.

Złotousty, redaktor lokalnego polonijnego pisma „Polski Krzyż Południa” oraz audycji w języku polskim zatytułowanej „Przączniczka” doradzał Marilyn, żeby spisała swe wspomnienia, to on to wyda na subskrypcję dla miejscowych polonistów i polonusiek. Marilyn jednak odmawiała, twierdziła, że spisanie wspomnień w jakiś sposób usztywniłoby jej bujną wyobraźnię, miała prawdziwą przyjemność w opowiadaniu swych wspomnień każdemu z osobna i z lekkimi zmianami czy ubarwieniami. Dlatego też nie zgodziła się na współpracę ze Złotoustym. Pozycja Złotoustego była dość neutralna, przy małym kręgu odbiorców mógł zawsze nieopatrnie kogoś obrazić i ten czy to było obrażony likwidował swą prenumeratę pisma bądź przestawał słuchać „Przączniczki”. Paradoksalnie, była to swego rodzaju cenzura, kto wie, może nawet ostrzeżenie od tej w dawnej komunikie, gdzie sprytnymi wybiegami można było wyprowadzić w pole tępego cenzora. Złotousty starał się jak mógł, zarówno pismo jak i audycje utrzymywał na dobrym poziomie, jak na Polonię nawet bardzo dobrym. Miał tylko jedną wadę: był za grzeszny. Kiedyś wpadł na pomysł, żeby zwiększyć prenumeratę swego pisma, do każdego numeru załączył specjalne kupony, stanowiące po losowaniu równowartość obficie wypełnionego towarem koszyka przez polskiego rzemieślnika w Melbourne. Pomysł się spodobał osobom już prenumerującym, ponieważ przy odrobnie zwiększenia mogły się zwrócić koszty rocznej prenumeraty, 20 dolarów. Był i tacy, którzy wygrali kilkakrotnie, i w takich wypadkach te osoby miały jeszcze dodatkowy zysk, w myśl zasady, im mniej uczestników tym lepsza loteria. Złotousty tym wielokrotnie doradzał, żeby brali udział w państwowym totolotku, ale tam już reguły niepełne nie się sprawdzały. Była to, jakby to po polsku ująć: zastępie inna para kaloszy. Złotousty nie wiązał się z żadną grupą czy organizacją polonijną. Pismo jego było jak swego czasu general: stało ponad wszystkim, jak słonec. Czy raczej jak Krzyż Południa. „Polski Krzyż Południa”

„Polski Krzyż Południa”
Meciek Porywacz był chyba jedynym, przynajmniej tutaj, w Melbourne, któremu się udało wyjechać wraz z całą rodziną prawie bezpośrednio po ogłoszeniu stanu wojennego. Meciek, dwoje dzieci, żona, skład prawie niewyobrażalny dla milijantów z biura paszportowego, Meciek się uparł i powiedział, że przechytzy generała, i w końcu wyładował na lotnisku Tempelhoff w Berlinie Zachodnim. Cała historia. Nawet nie to, że Meciek był biedny, czy spragniony dóbr materialnych. Dwie gabloty, w tym jedna na szwagra, grube kłoczek w miasteczku północno-zachodniej Polski, poważanie wśród ludzi, bo miał krewnych w Australii i swego czasu, grubo prząd stanem, tam przebywał i dorobił sobie trochę myciem pralkom w prywatnej knajpce, jako tak zwana pomoc kuchenna czyli hand, Meciek miał jeszcze pikapa i pół hektara za szkłem: pomidory, ogórki, czasami nawet papryka. Mogłby tam żyć, ale zdenerwował go brak wolności. Można powiedzieć, że Meciek należał do elitarnego klubu prawdziwych politycznych uciekinierów, co to nie z przyczyn materialnych wyjeżdżał, co więcej: zostawiał wszystko za sobą, żeby tylko swobodnie oddychać i nie słuchać propagandy.

Nie można powiedzieć, był rozsądny, wszystko dokładnie zaaranżował, materiale, wartości, cały majątek ruchomy i nieruchomy, rozproszował po licznej rodzinie, z zastrzeżeniem prawa wrotu, bo człowiek przecież nie wie, co go czeka i gdzie będzie. Nawomil kumpła z samolocikiem, z pobliskiego pegeru, kumpel rozsiadł środki trujące nad polami, że wyskoczą razem do Berlina („nie pomył tylko za wschodnim”), Meciek będzie porywaczem, a kumpel porwany. Meciek kupił sobie na bazarech wiedeńskich, zupełnie jak prawdziwy, i chciał go nawet napisać kwesom solnym, żeby porwanie było bardziej wiarygodne, ale bał się, że poparzy sobie łapy. Wyruszył rano, czekali całą czwórką, z walizkami, kiedy kumpel wyładował, Meciek wszedł do samolotu, wyciągnął pistolet i powiedział: „Na Berlin, na Tempelhoff, najkrótszą trasą, bo strzelam”. Mieli trochę emocji. Samolociem ten wprawdzie latał nisko i był niewykrywalny dla radarów (patrz: slyne lądowanie na Placu Czerwonym, od którego to lądowania jakby, w paradoksalny sposób, potęga militarna zaczęła się lekko chwiać w posadach), ale przyczepił się jakiś helikopter, już przy granicy, i nie chciał się odezwać. Meciek i Meckowa byli przekonani, że zacznie strzelać, ale kumpel-pilot tylko się śmiał. Gorąco było dopiero na lotnisku. Alarm, kazano się wszystkim pasażerom położyć na betonice z wyciągniętymi rękami, ale później okazało się, że wszystko w porządku, każdy dostał po puszkę koki, czy też innego podbarwiwanego i podkuszranego płynu. Meciek Porywacz miał nawet propozycję, jakiegoś muzeum chciało kupić ten samolot, ale już na taki numer nie poszedł, bał się agentów, że go potajemnie zaciukają. Kumpel wraz z samolotem odcieł od kraju, a Meciek po krótkim pobycie w Berlinie Zachodnim doszedł do jedynie słusznego wniosku, że najlepsze są kraje zamorskie. Wybrał Australię, bo już tam był, o Stanach Ludzie różnie gadali, a Kanada w tym okresie nie chciała przyjmować.

Wyładował w Melbourne, tym razem już bez tego pistoletu, choć

nie, pistolet dał szczeniakowi, by się bawił. W końcu pamiętka. Będzie można opowiadać wnukom pod Krzyżem Południa, jeżeli zrozumieją polski. Można im też opowiadać po angielsku, jak dobre story, każdy zrozumie. Dolarów jednak przywieźli z sobą niewiele, bo Meciek w kraju nic nie sprzedawał, wszystko zostawił. Za to kieszonekowe, jak mówił, kupił sobie osmiocylindrowego smoka, i jedynie trudności lingwistycznie powstrzymały go od zamiaru zostania taksówkarzem. Taksówkarz w Australii to zawód nie dla inteligencji przylatującej, tu trzeba mówić i rozumieć, masz radio w gablocie, cały czas nadają komunikaty, baza nadaje, taksówkowa, ma się rozumieć. Złapał więc po krótkim okresie zasiłkowym inną robotę: mycie naczyń, ale tym razem w jednostce państwowej a nie prywatnej, praca bardziej trwała i z perspektywami. Zarabiał niewiele ponad ten dawny czek za bezrobocie i obydwoje z żoną mieli tak zwaną Health kartę, kartę zdrowia, z pewnymi zniżkami, także komunikacyjnymi, dla osób bądź bezrobotnych, bądź o niskich dochodach. Z karty korzystała żona, bo on dojeżdżał do pracy własnym samochodem. Dwa myślenia. Jedno polskie: zostaniesz pomocnikiem sprzedawcy, czy też pomyślowym, już całe życie to będziesz robił. Drugie australijskie: będziesz piął się coraz wyżej, ze sprzedawcy gazet zostaniesz dziennikarzem a potem właścicielem koncernu prasowego, z kuchcika zostaniesz właścicielem najpierw jednej restauracji a potem całego klucza. Warunek: zaczynaj w młodym wieku, najlepiej mając szesnastkę lat. Meciek już dawno skończył szesnastkę lat i zaczął się zastanawiać. Zastanawiał się, aż w końcu wrócił, jeszcze przed rozmowami Okrągłego Stołu.

Adam Fiala

ADAM FIALA urodził się w 1940 roku w Lubinie. Debiutował w 1976 r. tomem *Jedną miłośniczkę, jedną ogrząz* („Iskry”). W 1983 r. wyemigrował, od 1984 r. mieszka z rodziną w Australii, najpierw w Melbourne, a od 1985 r. w Perth. Opublikował m.in. *Sprawy rodzinne* („Iskry” 1978, wyd. w Czechosłowacji pt. *Rodzinne zakłócenia*, „Smena” 1981), *Zygzakiem po prostej* („Iskry”, 1979), *Terminarium Wiatrółów* (MAW 1979), *Kiedy święci marnieją* („Iskry” 1981), *Kosmohory* (KAW 1984), *W „Akencie” ukłany się m.in. Makro wakacje* (1980 nr 3) i *List (otwarty) do redaktora „Akenciu”* (1988 nr 4).

W Niemczech napisał powieść *Od nowa*, zaś w Australii m.in. powieść *Australja czyli Kocham królową*, z której pochodzi publikowany fragment. Odnosnie do tej ostatniej książki autor oczekuje na propozycje od krajowych wydawców.

Dygresja biblijna

Podziwianie już owoce
Jedną literę swa zwiastunka
JANUSZ KORYŁO
W wigoru biblijnym, w tożsaki

Dygresja zwiastująca

W tymw śnie zanosi się na burzę
więc zamknij drzwi na cztery spusty
Z domowych sprzętów zetrzyj kurz
Spójrz na obłoków ciemne chusty

Zaraz się zacznie Ptaków ziarna
wiatr rzuci w niebo aż zakwitną
Spod powiek sół ci zżiże sarna
z której wytoczysz krew błękitną

Zaraz się zacznie Pioran zsysze
podszewkę nieba z twoim domem
I będą słowa znów niczyje
a drogi będą znów za strome

W tymw śnie już grzmi Kukulka kuka
Za chwilę deszcz napelni dzbany
Sarna kopytkiem cicho stuką
w kamień do szyi przywiązany

Dygresja żywiczna

Błogosławieni ci si
którzy wracają z bitwy
I slychac chrobot mysli
we wnętrzu ich modlitwy

I slychac jak z ich noży
żywica w trawę ścieka
Gdy wrócą będą z zorzy
wycinać trumien wieka

Błogosławieni ci si
Tak mało im zostało
Ten tylko chrobot mysli
i poranianie cialo

Wracają już do domów
z pamięcią przestrzeloną

więc Ty im Boże pomóż
zręcznie dnia wrzeczono

Blogosławieni cisi
Kot przy nich się połozyl
wdechajac zapach mysy
zywicie liżac z noży

Dygresja stroma

Odys z luku mierzy
do aniola swego
Odys morzu wierzy
Odys wierzy brzegom

Chociaz brzegi strome
Trudno wspiac się na nie
Odys śpi przed domem
na swiętecznym sianie

Pies wyje do morza
liżac swoje rany
W śnie Odysa pożar
trawi domu ściany

Morze postękuje
Przez sen mówi Odys
Pies popiódź zlizaje
z jego długiej brody

Dygresja postna

Nawet kamień na kamieniu
nie zostanie z twego Boga
więc oplukaj nóż w strumieniu
Resztek zostaw w domu progach

Bo się progom domu wierzy
jak modlitwom w czasie postu
Byś mógł Boga w twarz uderzyć
musiałbyś być jego wzrostu

Musiałbyś tak w niebo wrócić
by cię syn pomylił z ptakiem
W cialo Boga wchodzi gwóźdź
Zasyp Bogu ranę makiem

Dygresja biblijna

Poszarpane już owoce
Judasz liczy swe srebrniki
Dawid znów naciąga proce
W zagon nieba weszy dziki

Weszy dziki Niebo zryły
Noe się utopił w rzecze
Kain podjął sobie życie
Hiob u Boga śpi za piecem

Święty Józef Biblię czyta
Adamowi śni się Ewa
Gabrielowi okowita
do białości krew rozgrzewa

Poszarpane już owoce
Jonasz z postnej ryby brzucha
wrywa wszystkie Boże moce
lecz go nawet pies nie słucha

Dygresja rzeczna

Poskarż się rzeko ciemnym oblokom
że się archanioł w tobie utopił
że tak wszedł w twoją sennosć głęboka
jakby się nieba gorzalki opił

Poskarż się poskarż swym brzegom rzeko
że ktoś powbił w ciebie gwiazdy świecki
że cię uchylił jak trumny wieko
by aniołowi zamknąć powieki

Rzeko o której wioły tak mało
Podziel się z nami swym sekretem
kiedy glazdymy twoje jądne cialo
wyjętym z szyi Abła bagnetem

Poskarż się rzeko archaniołowi
który się na dnie skrzydłami przykrył
A ktoś te skrzydła kiedyś wyłowi
i cały przejdzie zapachem ikry

Dygresja odpustowa

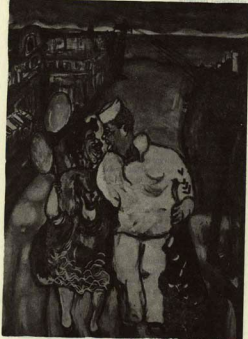
Serce odpustowe będzie mocniej bilo
kiedy się je kupi za ostatni grosik

W naszych smutnych oczach zieleni się miłość
Wplątamy we włosy drżące liście osik

Odpustowe brzości Odpustowe róże
Odpustowe ptaki ze skrzydłami z drutu
Nauz nas pokory żebraćci kosturze
a ty w nas wejdź Boże nie zdejmując butów

Odpustowy kozik ostrzymy o kamień
Nabijamy prochem odpustowy straszak
i czekamy szczerze owinięci w pamięć
aż ktoś w postaci rybce odnajdzie Jonasza

Janusz Koryl



Zakryty Bogusław Adam/Fiala: Scena uliczna, gwasz, 25 x 20 cm, 1967 r.

STEFAN SYMOTIUK

ADOLF EICHMANN w kostiumie Smerdiakowa Dostojewski, Hannah Arendt i psychologia faszystów

W powieści Dostojewskiego Iwan Karamazow — neurasteniczny doktrynery i utopista snuje myśli o pożyteczności zbrodni. Sługa jego ojca, banalna i nikczemna kreatura, słucha chwiej, napawia się jego słowami i wiecila w życie zasłyszane idee: zabija ojca Iwana.

Istnieje stara żydowska zagadka: jeśli ktoś pierwszy zobaczył na drodze cenny przedmiot, ale ktoś inny pierwszy zajął go podnieść — kto powinien być właścicielem? Jeśli Iwan wymyślił zbrodnię, a Smerdiakow ją wykonał — to kto jest zbrodniarzem? Hitler nigdy nie zabił człowieka — brzydził się nawet mięsem zwierząt i jadł wyłącznie warzywa. Jego podwładni nie brzydzili się mięsem w żadnej postaci. Czy winą jego i ich jest różna, taka sama, nieco inna?

W ogniu Prometeusza spłonono Giordana Brana — sztychł S. J. Lec. Nie można jednak odkrywcę noża oskarżać, że tysiące ludzi straciło życie wskutek ciosu zadanego tym narzędziem (często w plecy). Lecz z ideami inaczej: gdy z idei wynika zbrodnia, winna jest idea i jej twórca. Gdy jednak z idei może wynikać zbrodnia, ale nie musi — jeszcze ona jest winna, czy jej wykonawcy? Dziś, gdy wzmagają się skrajne nacjonalizmy i ideom i ludziom musimy uważnie przypatrywać się i pod tym względem.

Eichmann w Jerozolimie

(...) zło nigdy nie jest „radykalne” a tylko skrajne i nie posiada ono żadnej głębi ani jakiegokolwiek demonicznego wymiaru. Może ono wypełnić i spowolnić cały świat, bo rozprzestrzeniła się jak grzyb porastający powolutku. „Uruga myśli”, jak napisał, gdyż myśli próbuję dotrzeć na pewną głębokość, sięgnąć do korzeni, w momencie zaś, gdy zajmuje się złem, jałowuje, bo dotyka nicości. Na tym polega „banalność zła”. Jedynie dobro posiada głębię i może być radykalne.

(z listu Hannah Arendt do Gershwona Scholem)

Teorię „banalności zła” Hannah Arendt przebrała, przede wszystkim, ujęć w strukturę socjologii wiedzy. Chciała określić — „banalność zła” pojawił się późno, bo dopiero w trakcie analizy tego przypadku kulturowego, jakim był proces Eichmanna w Jerozolimie (1961 r.), to bez trudu możemy ustalić socjogenezę tej koncepcji. Powstała ona jako opozycja wobec tak powszechnej u artystów — kombatanatów i wojny światowej „heroizacji zła” i „estetyzacji zła”. Zło jako zjawisko monumentalne poczęło wypełniać duchowość powojenną za pośrednictwem pism Marinettiego i Jungera, potem zaś przez szeroki nurt propagandy faszystowskiej. Pokazywać, że przemoc, okrucieństwo, śmierć są brzydkie i nikczemne — oznaczało wówczas toczyć duchową walkę z faszystami. Zapytamy od razu: czy tego rodzaju intencja polemiczna, kierująca takim myśleniem nie po-

zbawia go wszelkiej „obiektywności”, czy zamiast opisu struktury i „elidów” nie otrzymujemy prozoryzowanej, „operacyjnej” socjotechnicznej konstrukcji, mającej być anty-propagandą?

Trzeba przyjąć, że nie ma nic złego w uprawianiu „operacyjnej teorii zła”, gdyż w dziejach ludzkich dwie rzeczy są najprawdopodobniej pewne: tocząc się przez stulecia walka człowieka ze złem — oraz daremność tej walki. Czy nie wspólnym temu jest brak odpowiedniej teorii zła, teorii pozwalającej odpowiednio wcześniej postrzegać zło i skutecznie mu zapobiegać? Niestety, zajmowanie się wartościami uchodzi dziś w myśleniu humanistycznym za rzecz szlachetną, zaś zajmowanie się „antywartościami” — za podejrzane. Jakby tkwiło coś chrobrzego w takiej ciekawości. Jakby chciano myśleć ludzkie oderwać od tego stulecia, w którym przyszło nam żyć, a w którym dokonano najpotworniejszych, bo usankcjonowanych przez państwo, a dokonanych z „naukowym” uzasadnieniem teorii rasi i geopolityki, gigantycznych zbrodni. Czy możemy dziś za Gołę rasi i geopolityki, gigantycznych zbrodni, gdyś się upióry? Gdyż zimą racjonalności uruchomiono kombinaty śmierci? Musimy pytanie ciągle, sięgając do dowiadzczeń i przemysłu pokolen, czy posiadamy już teorię zła? Bo nie można już dziś powtórzyć austriackiej idei zła jako braku dobra. Nie pasuje do baroków oświeceniści.

Zrozumiał jest, z powyższych powodów, degradacja zła w ujęciu Hannah Arendt. Jeśli Nietzsche stworzył wizerunek okrutnej „plowej bestii”, której ofiarami mogą stać się „podludzie” ograniczone resentymentową nienawiścią do wartości — stado żyjące w aurze przeciwności, lęku i litości, filisterstwa i prostactwa, to Arendt tworzy wizerunek odwrotny. Szlachetność, wzniosłość i czystość — to właściwości ofiar, zaś mordcy, kaci, bestie — to w rzeczywistości wspaniałe podludzie lub „półludzi”, istoty płaskie, nienajkie, ogulnialne, stadne. Arendt umieszcza zatem Eschmanna i żalęgi KZ-ów wśród „pół-ludzi”. Jest to bez pogardy psychiometry tak daleko, że pojawia się nawet pytanie, czy należy sądzić i skazywać takie istoty przed trybunałami sądowymi, które są przecież przeznaczone dla ludzi. Sam Nietzsche, patrząc na „krajobraz po bitwie” roku 1945, może być wcale nie zaprzestował, aby mordców umieszczonej pośród podludzi.

Można kwestię przedstawić jeszcze inaczej: oto Eichmann jest „po prostu” zwykłym człowiekiem — jest to „jeden z nas”, przeciętny, szary człowiek z ulicy. Przesłanie wówczas brzmiałoby: każdemu z nas grozi „zichnamenie”. Wreszcie, jako trzecia możliwość, rysuje się następująca koncepcja: natura ludzka jest zróżnicowana i złożona. Jaki kto jest naprawdę, tego apriorycznie stwierdzić się nie da. Dopiero sytuacja kryzysu jest prawdziwą próbą dla jednostki. Byłaby to wersja zbliżona z poglądami wyrażonymi przez Conrada w powieści *Lord Jim* i opowiadaniu *Jadło ciemności*. Ludzie nieoczekiwanie dla siebie zawodzą, okazują się niekiczni — lub ujawnia się ich szlachetność.

Wartość pracy Hannah Arendt Eichmann w *Jerozolimie, Rzecz o banalności zła* polega na tym, że żadnej z tych wersji nie wyklucza, a wspaniale zawarł ją w niej, w nucie.

Zło — tak, ale czy „banalne”?

Zamierzona przez Arendt próba „banalizacji zła” nie jest dostatecznie dookreślona. Banalność można bowiem rozumieć jako „nieważność”, „zwyyczajność”, „negatywność”. W zestawieniu z takimi znaczeniami pojęcie zła doznaje uszczuplenia. Nie można określać zła jako „nieważnego” czy „zwyyczajnego”, czy „negatywnego”, bowiem w każdym z tych przypadków nie pasuje ono do obrazu kombinatu śmierci w Oświęcimiu. Zarówno wtedy, gdy „banalność”

jest czymś złym (daje to wówczas formułę „złego zła”), jak i wówczas, gdy jest czymś nielukim lub przeciwnym — nie może wejść do trafnego określenia rozmiarów zbrodni. Potencjał demoniczności, zawarty w wizerunku faszyzmu, starano się rozładować i dławić, i współkierować. Staral się o Brecht w *Karierze Artura Ui*, Chaplin w *Dyktatorze*. Film *Zwyczajny faszyzm*, montaż kronik hitlerowskich, dążył do ominięcia codzienności III Rzeszy. Takie same tendencje zdradza przełamana na polski przez Richarda Grunbergera *Historia społeczeństwa Trzeciej Rzeszy*. Istnieje zatem coś intruzującego i kuszącego w tym, aby ukazywać rzeczywiste faszyzmu jako małostkową, tandetną, banalną, by odebrać temu wydarzeniu historycznemu monumentalność, której ruch ten pragnął, wyjątkowość i przelomowość, która sobie przypisywał. Lecz w jednym aspekcie zabieg taki skazuje się na niepowodzenie: trudno umniejszyć monumentalność mordu, którego dokonano w ciągu zaledwie dwóch ostatnich lat wojny.

Często używane formuły, że jesteśmy świadkami „zła niewyobrażalnego”, cierpieni „nie dających się opisać”, wykluczają racjonalność wyjaśnienia i oceny zbrodni. Natomiast „banalność zła” sugeruje, że poddaje się one jednak wyjaśnieniu i rozumieniu. I to znaczenie słowa „banalność” dałoby się zaakceptować. Znaczyliby ono: cierpienie, zło, zbrodnia są nieszczęśliwe i niedobrośliwe. Są tak, oprócz swojej trzęsącej gnoseologicznej, mialby i ontologicznej; istnieje minimalna „całotka zła”, taka wielkość i struktura zła, która może być jednostką jego miary. Wówczas zaś, gdy występuje zbrodnia masowa, po prostu ma miejsce proces obejmujący wielką ilość tych „jednostkowych cierpień”. Jest on może trudno wyobraźny — tak jak trudno nam wyobrazić sobie milion jednostek pieniądza — lecz to mało istotne: ow milion jest przecież łańcuchem złożonym z identycznych ogniw. Zatem jeśli przeżyjemy sytuację jednostki poddanej eksterminacji, jej tragedii i cierpienia, to całosc masowego zagłady jest poznawco prosta: jest to ta jedna zbrodnia pomnożona przez milion. Nie ma zatem specjalnego sensu pytać, jak Eichmann czy Hoss mogli zabić miliony. Hoss zabił człowieka w latach dwudziestych — a potem zrobił to samo „większą ilość razy. To, co robili, nie mieścilo mi się w wyobraźni, zupełnie tak samo jak nam. Jesteśmy gotowi uznać taki charakter „banalności zła”. Ale poprzestać na tym nie można.

Gdzie zaczyna się taka ilość cierpienia, która można uznać za wielkość jednostkową, za „całotkę zła”? Nie zaprzeczmy przecież, że zło jest stopniowalne: można urządzić kogoś milczkiem, gestem i słowem, zartem i wzgląd, zubożeniem własności i zranieniem ciała, można wreszcie zaszczepić społecznie, sturtaurwać, unicestwić fizycznie. Jest to sprawa niebłaha dla przebiegu eksplozji społecznych, gdy zło ledwie widoczne, rysujące się w „jajki weża”, wydobywa się nagłe i poczyna szaleć w świecie. Przeciwnością totalitostowego pary pojowej jest „wojna i pokój” rozmyślnie wyrażone. Mamy świadectw, że pokój może stać się tak „nie do zniesienia”, że umysły zbiorowosci ogarnane są podświadomym pragnieniem wojny. Ta zdaje się być stanem wolności, karnawalowości, ucieczką od codziennych kłopotów. Znajdujemy takie opisy u Roberta Musilla, L. E. Celina’a, próbował wyjaśnić je sprawe Roger Caillois i inni. Myśl o Apokalipsie błąkała się przez stulecia po umysłach sekt chrześcijańskich, w utopistów i rewolucjonistów, wreszcie u konserwatywstów typu Hegla, który usprawiedliwiał wojnę jako akt katarski. Mechanizm zła jest tak złożony, że nie da się wprost utożsamiać „cierpienia” doznawanego z dokonywaną „zbrodnią”. Pomniawszy celowe cierpienie i przemoc, które funkcjonują w usankcjonowanej postaci (działania chirurgów i policjanta), cierpienia mogą być również przedmiotem potrzeb. Elementy masochizmu rozsiarte są dosyć obficie w naturze ludzkiej. Nie lekceważył tego Freud.

— Istnieje proste rozróżnienie pomiędzy „cierpieniem” a „złem”. Musimy je uznać, aby dostrzec istotne mechanizmy zbrodni masowej. Otóż złem jest także cierpienie, które ma charakter nieodwracalny. Kto doznaje cierpienia, które nie daje się zrekomensować dobru, kto sprawia cierpienie, uniemożliwiając „odpłacenie sobie” tym samym — wchodzi w krąg zła. Warto zwrócić w związku z tym uwagę na „nietragiczny” w swojej ostatecznej postaci charakter światopoglądu greckiego i chrześcijańskiego. Dla Greków sprawa zła nie unika kar, gdyż w Hadesie spotka siebie swoich ofiar i na wieczność cierpieć będzie ich wyrzuty. W chrześcijaństwie Bóg bierze na siebie odpłatę za zływ. Represji za cierpienie nie sprowadza to na uniknięcie, wywinając się od niej. Totem zło jest tu „momentem” procesu, chwila — ostatecznie cierpienie sprawione innym wróci do sprawcy. Wszystko podlega cyklowi lub — mówiąc jeszcze bardziej obrazowo — ruchowi wahadłowemu. Tam gdzie nie ma winy bez krzywdy — to znaczy — gdzie nie ma niesprawiedliwości, bóli i cierpienia istnieją, lecz nie jako zło.

Kwestia powyższa ma dla nas znaczenie centralne. Jeśli bowiem chcemy wyjaśnić genezę bierności, z jaką wiele zbiorowości przeludowanych (w tym i żydowska) przyjmowały „dopust boży” represji i do końca nie miały nie podejmowały skutecznych prób oporu czy ucieczki, to przyczynę tego dostrzec możemy w „niewłaściwej teorii zła”, jaka ukształtowała się w duchowości tych grup — była to właśnie „nietragiczna teoria zła”. Uznano ją za słuszną, bo sprawdzała się przez tysiąclecia. Rdzeniem tej błędnej teorii było przekonanie, że — po pierwsze — sprawca zła cierpienia jest ograniczona w swojej motywacji, jeśli bowiem kieruje się celami utylityrnymi, to te w końcu zostaną osiągnięte (a można to nawet przyspieszyć, opłacając się oprawcom), nawet zaś, gdy sprawstwo wynika z czystej nieświadomości, to i ta, nasyciwszy się swoim dziełem, wygaśnie; po drugie — sprawcy cierpienia wywołują zwykle repulsię ze strony sił zewnętrznych; gdy cierpienie osiąga pewną wielkość, jakies czynniki wtrącają się i ograniczają je, zło bowiem przy pewnych rozmiarach zdaje się dotykać kogoś innego i przestaje być pohamowywane, toteż jeśli nawet mają miejsce pogromy, to w końcu pojawi się policja, autorzytet moralne czy religijne spośród większości społecznej, które je przerywa, a może i ukarzą sprawców — należy zatem w obliczu cierpienia godzić się na rolę ofiary i przecekiwać złą passę.

Niepodważalnym faktem jest, że takie doświadczenie w przypadku dziejów potwierdziło się i ukształtowało teorię środowisk żydowskich wobec ostatecznej próby. Lecz teoria tym razem zawała. Warto zastanowić się, dlaczego.

Zbrodnia masowa i zanik idei cyklizacji

Zdaje się, że zanik idei ruchu wahadłowego jest w ogóle niemożliwy. Można sądzić, że cierpienie, które się komuś sprawia, nie wróci do nas echem, lecz nie można uwierzyć, że to samo zdarzy się tym, którzy cierpienie nam samym sprawiają. Moral insanity jako emocjonalna oziebłość i brak sumienia w przypadku Eichmanna ma wyraźnie ten połowicznie charakter. Nieobce jest mu poczucie wahadłowości cierpienia wówczas, gdy dotyczy jego samego. Pod zbudziencia zwraca się do otoczenia: „Niebawem, panowie, znow się spotkamy”. Odwołuje się więc do zasady restryndykacji: wy zabijacie mnie, ale sami też przestaniecie żyć. Znajduje w tej myśli odwrotną satysfakcję i samopoczucie, które go uspokajają. Nie bierze zaś zupełnie pod uwagę, że przy tej wersji wydarzeń czeka jego samego coś gorszego: spotkanie z milionami czekających go na ofiar.

Lecz nie tylko w skali tego jednostkowego umysłu znajdujemy połowiczność w postrzeganiu cyklizacji. Calk państwa, którego

Eichmann jest reprezentantem, żyje „toposem krzywdy”. Niemcy byli napadnięci, ponizani, zdradzeni — słusze zatem przyrównuje im prawo odwetu. Lecz cokolwiek oni sami zrobią, prawo temu już nie podlega, bowiem zwycięzcyw się nie karze — zwycięstwo zaś będzie wieczyste. Nawet zaś, gdyby nastąpiła jakaś katastrofa, to i tak nie dotknę ona sprawców, bowiem na zasadzie jakiejś spowolnialej myśli Epikura, że cierpienie nie obejmuje zmarłych — „po nas choćby potop”.

Jest niewątpliwym faktem, że ten aspekt holocaustu, który można nazwać „pomylką historyczną” ze strony ofiar, związany jest z pojawianiem państwa, które dotąd było rytymcznym regulatorem wszelkich odchylek w zachowaniach zbiorowych. Państwo po prostu nie znośilo, aby jakiegokolwiek akty odwetu, zaburzeń, represji odbywały się poza jego władę. Toteż ostatecznie chroniło ono zawsze warunkowo lub bezwarunkowo, calkowicie lub częściowo, trwanie wspólnot żydowskich (i to mimo oczywistej awersji chrześcijan do nich, jako przeludowanych Chrystusa). Cierpienia najczęściej były nieterminale i odwracalne. Nie były dlatego też „złem”.

Doświadczenie owe dotyczyły państwa klasycznego. Naruszenie statusu takiego państwa, które w dotychczasowych warunkach nastąpiło na przestrzeni od XVIII do XX wieku, wyraziło się powstaniem państwa nowego typu. Ono zaś zakaszczło wszystkich swoim działaniem.

Trzeba zacząć od przypomnienia, że idea państwowości w nowożytnej Europie operowała się ciągle na rzymskich schematach politycznych. Państwo pojmowano jako twór autonomiczny, niezależny zarówno od stanu zrywy w „ziemskich”, jak i w „niebieskich” sferach przyczynowości historycznej. Pojmowano je jako „urząd”, który „robi swoje”, nie będąc poddany na fluktuacje nastrojów społecznych ani na światopoglądowe, ideologiczne czy moralne poglądy wspólnot religijnych. Pozyskując od cesarstwa frankofonskiego państwa politycznych, a nie interes społeczny czy światopoglądowy, konstytuowało działania państwa administracyjnych społeczności europejskich. Ten stan rzeczy kulminował w oświeceniowym absolutyzmie.

Obydwie obszary społeczne zdominowane przez polityczność nieustannie podważały i podmywały status państwa. Środowiska religijne stale kwestionowały autonomię państwa, bądź to tworząc wspólnoty periferyjne i regionalne, dystansujące się od władzy świeckiej, bądź to domagając się podporządkowania władzy centralnej hierarchii scentralizowanego Kościoła. Gdy podniósł się stan materialny mieszczaństwa i zdolano naruszyć państwo poprzez zrywy rewolucyjne, sformulowano doktryny państwa jako „necnego stróża” i tryznic myślenia z „datków” obywateli i stale kontrolowanego przez parlament, prosę, opinię publiczną. Krok dalej poszły nurty anarchiczne, żądające, aby w ogóle zwolniono z pracy „stróża ncznego”, który kosztuje zbyt wiele, a przynosi wyłącznie szkody. Doznania owe spowodowały, że zmienili się doktrynalnie etos państwa, ograniczona została jego autonomiczność, uznano zasadę prywatności jakichś czynników ponad państwem. Zarysowała się „niemklasyczna” koncepcja państwowości. Nie oznaczało to bynajmniej pomniejszenia racjonalności samych struktur administracyjnych. Na odwrót: system przepisów, regulaminów, kompetencji i etosu urzędniczego stała ułega racjonalizacji i usztywnieniu. Natomiast ubezwłasnowolnienie państwa nastąpiło „od góry” — poprzez ustanowienie nad nim instytucji uprawnionych do inspekcji i przerwania jego funkcji. Ośrodki „nadpaństwowe” ukonstytuowały się jako podmiot polityki, zaś samo państwo zepchnięte zostało do funkcji wykonawczych. Nastąpiło też zdzięcie z administracji odpowiedzialności za akty decyzyjne. Etos urzędniczy, odizolowany od sfery

imperatywów kategorycznych, zszedł na poziom imperatywów hipotetycznych („dobrej roboty”). Takie instytucje quasi-polityczne, jak partie, stały się potencjalnymi „posiadaczami” państwa, a swoją strukturą („gabinetny ceni”) naśladowały państwo. W systemach wielopartyjnych (a faktycznie „wielopartynowych”) prześluzono drogę podejmowania decyzji — jak i drogi ich blokowania. W sądownictwie wprowadzono szereg ogniw apelacyjnych, pozwalających na odwoływanie się od orzeczeń niższych instancji. Wyraźnie zarysowała się również idea „zawieszania” w ogóle działalności rutynowej całego państwa i „prowadzenia w sytuację zagrożenia „stanu wyjątkowego”. Idea „stanu wyjątkowego”, która istniała w demokracjach Rzymie (ale nie w cesarskim), była kluczem do pański Pandory zbrodni XX wieku.

Leż nie była to jeszcze idea wystarczająca. „Wzięcie w nawias” wszelkich praw społecznych w sytuacji śmiertelnego zagrożenia, jako działanie oznaczające absolutny przymat „czystości”, nad wszelką „esencją”, nie miało być stanem wiecznym — nie wykluczało, że po ustaniu zagrożenia przystąpi się do kompensowania cierpien nieślusnie skrzywdzonym, ukarze się zaistniałe nadużycia itp. Podważenie zasady autonomii państwa nie było groźne, dopóki operowano w kulturze wcześniejszych stuleci wyobrażeniem czasu wahadłowego. Od wieku XVIII wchodził jednak w pole świadomości zborowej idea czasu linearnego i dopiero symboliza zasady „stanu wyjątkowego” z „idę postępu” tworzy diaboliczną mieszankę historyczną. Progredium bowiem, uważając, że wszelkie kolejne punkty czasu stanowią novum w stosunku do poprzednich, przekreślił w skali dziejowej zasadę odpowiedzialności moralnej. Ograzdał on bowiem sprawcę czynu od skutku szklaną ścianą czasu, który „nie biega”, czyli go zawsze postącają, której nie można dogonić, jego dzieło — cień. Jest tu się zawsze „do przodu”, nawet wobec świadomości, która „nie nadąga”.

Jest rzeczą charakterystyczną, że tak pojete państwo spełniło postulaty anarchistów. Kiedy konserwatyści francuscy niemieccy (de Maistre, de Bonald, Savigny), krytykowali państwo za użytek, który zbroiła z niego Rewolucja Francuska w fizie jakobiniego terroru, to dowodzili, że podmiotowość społeczeństwa „Judu”, jest zawsze czymś pierwotnym, co czyni omnipotentie państwa niaturalną i zbędną. Uważano też, że nie może być bliźniejszej teorii państwa niż ta, którą wymyślił Hegel. Tymczasem to Hegla, chociaż absolutyzując on państwo jako nosnik prawa i rozumności w dziejach, nie potrafił przekształcić z „kuratela” czynnika kulturowego nad politycznym. Uznawał Hegel mianowicie, że celowe jest zachowanie zwierzchności monarchy nad aparatem administracyjnym, aby mógł on być instancją apelacyjną, na wypadek nadużyć ze strony tego aparatu. Ma on na przykład prawo ulaskawiać skazanych na śmierć. Zatem pozycja despoty perskiego, która dla Hegla była przykładem „minimalnej wolności” w społeczeństwie, bo wolności indywidualnym pojedynczego i określonego — zostaje tu zachowana! Nadal istnieje ktoś, kto może unieważniać wyroki sądów i inne decyzje państwowe. Jest to koncepcja wodząca do Hitlera i do faktycznej dwudziądy partii i państwa.

Stan taki, aby trwać, musi opierać się wyłącznie na działaniu negatywnym. Dawne państwo moc swoją czerpało z likwidowania negatywności. Natomiast państwo nowego typu pulsuje tym silniej, im mooniejzy jest stan wyjątkowości, który zmienia i rozszerza zakres jego kompetencji. Toteż układ: państwo — stan wyjątkowy jest układem o sprzężeniu dodatnim. Twórcy stanów wyjątkowych kreują z premedytacją stan „ruchu do przodu”, w którym jednostki i społeczności działające muszą paść za sobą mosty, dokonywać

takich czynów, które by uniemożliwiały rezygnację i wycofanie się. Dlatego też schemat „wahadła” funkcjonuje w technice działania manipulatorów stanu wyjątkowego jako wzija negatywna. Nieodwrotność działań ludzkich ma być motywowana poczuciem grozy, jaka budzi możliwość odwracalnoci procesów. Przechwalał te techniki Dostojewski, analizując casus Nieczajewa, który po to wpłwał swoich towarzyszy konspiracji w zbrodnię, by doprowadzić ich do desperacji i determinacji w działaniach, by z zacięnościami zębami brnęli w proces walki, nie widząc za sobą żadnego azylu, żadnej nadziei na odwrót. Zwyświsto — albo śmierć, kto nie z nami — ten przeciw nam, to częsty motyw takiego widzenia świata. Zabieg Hitlera w czasie holocaustu lub masowy terror w innych krajach miał taki charakter — wkiwał w zbrodnię możliwe wielkie rzesze ludzkie, aby charakta odpowiedzialności pchała je do przodu. Dostojewski w swojej wzija Wielkiego Inkwizytora nieco się pomylił. Sądził, że charyzmatyczny postać jest w stanie zasymulować normalne funkcjonowanie zbiorowości drogą „odciążenia” jednostek od odpowiedzialności, biorąc na swoje barki frustrację i stresy społeczne, niejako na zasadzie dobrowolnego „kłoża ofiarnego”. Jakoż Hitler z lubością wiewiał się w postać męczennika, znieawidzonego przez przeciwników zewnętrznych, wewnętrznych, a dodatkowo stale zdradzanego przez najbliższe otoczenie. Leż, czego Dostojewski nie przewidział, jednocześnie ten nowy typ despoty „dością” całą zbiorowość ciągle nowymi winami i zbrodniami, tak aby odpowiedzialność wspólna ciążyła coraz bardziej nad wszystkim. Pod maską Wielkiego Inkwizytora ukrywa się Nieczajew. Twórcy blżytkoilowego filmu *Konferencja w Wannsee* (prod. RFN) wysunęli ten motyw holocaustu na pierwszy plan. Czynie, a i biernie, wszyscy Niemcy mieli stać się współuczestnikami zbrodni (nawet poprzez milczenie).

Gdyby socjotechniczne preparowanie odpowiedzialności zbiorowej i desperackiej motywacji działania badać w rozwoju i zastosowaniu historycznym, okazałaby się ona wynalazkiem mało oryginalnym. Czyż bowiem nie takim właśnie zabiegim posłużył się Mojżesz wyprowadzając Żydów z Egiptu! Dokonał on ze swoimi ludźmi zabójstw i rabunków „na ochodnym”, aby zwiększyć motywację reszty plemienia do szybkiego i jednokierunkowego posuwania się „naprzód” — do Ziemi Obiecanej. Zapewne jednak nie był on pierwszym i jedynym odkrywca tej zasady socjotechnicznej. Stosował też w tym przypadku ową zasadę czysto instrumentalnie. Inaczej jest w faszystym. Nie dostrzegł jej to stałocześnie pozytywistyczny, która zakończy stan walki. Walkę czyni się wieczną, gdyż celem jest podbić reszt helotów, nad którymi ma się posiadać sadyścięzną władzę. Toteż „stan wyjątkowy” ustroju hitlerowskiego uwieczniony jest już przez sam cel, jakim ma być utrzymanie milionowych niewolniczych rzesz w stanie „wyjętych spod praw ludzkich”. W każdym swoim szczególe hitlerizm przyniemkniety jest sadyżem i dlatego jest iście democyjny.

Aduotacje antropologiczne

W zachwianiu się klasycznej koncepcji racjonalności politycznej jako działania regulacyjnego w ramach pewnego społecznego a priori, w ramach wahadłowej homeostazy podryzmywanej przez państwo, odkrywamy zaburzenie prowadzące do „zbrodni linearnej”, której końca nie widać — to znaczy do zła radykalnego. Zaczyna się ono od eutanazji chorych psychicznie, przechodzi na Żydów, a sięgnę na po Słowian i inne rasy ludzkości. Postrzeżenie zła w tej makroskali, obciążające co prawda wąską elitę manipulatorów, faktycznie ukrywa i uniemożliwia wykonywanie. To, że są z premedytacją wciągnięci w zbrodnię, okazuje się okolicznością łagodzącą ich

winę. Skoro choroba psychiczna pojętych zbrodniarzą powstrzymuje nas przed karaniem jego ciała, dlaczego innaże byłoby być z narodem, w którego systemie nerwowym aparatu administracyjnego zagrzebieli się psychoscy? Wszakże takie tkanki i ścieżka owego organizmu, jak osobnicy w rodzaju Eichmanna czy Himmlera, nie mają osobiste mentalności zbrodniarzej; obaj lękali się widoku krwi i byli bliscy zemdzienia na widok masowej egzekucji. Sprawiali oni cierpienie z oddali, jakby podkaszając szczytami „drog służbowych” zerwanie przestrzenno-czasowej więzi między sprawstwem cierpienia a nim samym, i co się z tym wiąże: między cierpieniem a odwetem.

Jest wprost zdumiewające, jak maniakalnie podkreślano „normalność” — co jest właściwie dla ludzi choroby psychicznej (do których odczuwano w faszystwie panicką odrzę) — całej tej operacji. Na „normalność” też składają się: długotrwałość działań, stopniowość, niedemonstracyjność. Chciano cierpienie właśnie zbanalizować i w samowidzie sprawców stanąć ob osiagniętu. Toteż formula Hannah Arendt byłaby może do zaakceptowania przy jej uzupełnieniu: „banalność zła w świadomości faszystowskiej”. Leż i wtedy nastrożalaby wątpliwości. Chociaż bowiem działalność „likwidacyjną” starannie oddzielano od heroizmu „frontowego”, to objęto ją innymi rodzajem heroizmu „katowsko-polskiego”, zdając sobie sprawę z bezprzedemności tych działań.

Powiedzieliśmy, że całość holocaustu jest efektem mieszanki historycznej państwa stanu wyjątkowego oraz idej nieodwracalnego postępu dziesiętego. Co prawda, te ostatnia, lekko rysująca się w myśli antyczna, rozwinął św. Augustyn, lecz w wersji zsekularyzowanej progresizm zerwał z augustyjskim finalizmem. Linia dziejów nie tylko została wyprostowana, ale i wyciągnięta w nieskończoność. Żadnych powrotów i żadnych kar.

Czy znaczy to, że mechanizm zła jako „linearnego cierpienia” chemy ustawować całkowicie poza naturą ludzką — zakładając po prostu plastyczność człowieka, który sam siebie i innych jest w stanie „przysposobić” do wszystkiego? Ożóż nie podobnego.

W Polsce powstała dwa filmy, które w przejrzyście przedstawiają powyższy dylemat. W filmie *Zewołane szczęście* Andrzej Munk prezentuje koncepcję zła zawierającego się w „marności” natury ludzkiej. Jego bohater, Piszczek, to (toutes proportions gardées) odpowiednik Eichmanna: duchowa nicota, automat, istota bezmyślna, popychadło, gorliwie spełniający wszelkie wymogi instytucji i sytuacji. Tylko przypadek nie kieruje go do więzieni czy innych miejsc zbiorowej męki, gdzie zapobnie dobrze by się sprawował. Wedle tego filmu zło jest banalne. Podobną wersję antropologii przedstawia Woody Allen w paralelnym do *Zewołanego szczęścia* filmie *Zelig*. Tu nawet zdolność bohatera do adaptacji sięga tego, że przedostaje się do elity hitlerowskiej i widzimy go na trybunie za plecami Hitlera. Drugi film Munka jest, naszym zdaniem, nieporównanie bardziej dojrzały. To *Passzarka*, której tematem jest postać esemanki z obozu koncentracyjnego, która wyróżnia się „opieką” jedną z więźniarek, po to głównie, by ją „przeciągnąć” na swoją stronę — na stronę zła. Tu mentalność zbrodniarzą ukazana jest jako „intencjonalność bez końca”, zło chce upodobnie wszystko do siebie, nie zmierza do wygasnięcia, lecz do samostępowania się. Mamy tu jednostkę o wilczej naturze. To właśnie jest „pierwsze ogniwo” zła, jego istota. Zło nie jest sprawiane przez indywidualną typ Piszczaka, Zelig, Smierdiakowa czy Eichmanna. Zajmowanie się wykonawcami nie ma nawet specjalnego sensu, jak nie ma sensu zastanawianie się, dlaczego nóż może równie dobrze krajać chleb, co ranoć ciała. Piszczek to taki nóż, ale „passzarka” to w tej rękę, która ostre narzędzie trzyma w jednym celu.

Wieloletni, niepublikowany, napis w *Żywej literaturze* (1970) —

Natura zła umknie naszej uwadze, jeśli postąpimy drogą wskazaną przez Hannah Arendt i skupimy uwagę na Eichmannie, nie zaś na Heydrichu. Droga zaś została przetarta przez Dostojewskiego, który stworzył cały katalog „biedów” w ludzkie skórze (choć pokazał również głębiej doba — w postaci Myszkina). Kierują nas to w stronę znakomitej sceny z *Niepokojów wywołanych Torlewa* Roberta Muszki. Jeśli chodzi o dzieła filmowe, przybyło do tej listy w ostatnim czasie interesujący film Abradazydowa *Plumbum, czyli niebezpieczna gra*, ukazujący „wilcze instynkty” młodego chłopca, wywołującego się w tropieniu, śledzeniu, kontrolowaniu swojego środowiska. Zło ma tu swoją linearną, mienioną naturę „wdrażania się” w egzystencję innych ludzi. Analizując jedną z nowel Izaka Babla Erich Fromm uważa, że okrucieństwo bliższe jest w swojej istocie maniakalnej żądzy potęgi: Tak jak dziecko rozbija zabawki, aby zobaczyć, co jest „w środku”, tak bohater Babla zdeptuje na śmierć swojego wroga, aby go „poznać”. Nie takie to proste i owym „rozaniem”, przed których pierzuchą upióry”. Przeciż w różnorodnych epokach i kulturach ludzkość rozwinięła istną wirtuozurę w sztuce zadawania cierpienia, tworząc repertuar tortur tak wymyślnych, że „diaboliczność” zła przesłania wszelką jego banalność. Miało to swój wpływ również na makabryczny spokój likwidowanej zbiorowości. Spokojni ludzie idący na śmierć, który tak wstrząsał Tadeuszem Borowskim, brał się z przekonania, że istnieją tortury gorsze od śmierci i zostają użycy przy każdym geście sprzeciwu. Ktoż zaś wymyślił te wszystkie formy znęcania się nad ciałem i psychiką, jeśli nie jakiś typ jednostek znajdujących w tym swoją bestialską rozkosz.

Nieconiecznie musimy wskazywać na pewien odwrót typ „instytucji mordu” jako źródło dość rozpowszechnionych patologii. Może też ono mieć związek z „rozumnością” (poznaniem u Fromma), może też być zakorzenione w sentymentalności (by wskazać choć na Robespierre’a, a który uwielbiał okłódno dzieła Rousseau i odbywał pielgrzymki do jego grobu). Skłonność do litowania się nad sobą, do rozkłamiania się, nieprzygadkowo cechuje (jako słynna Gemüthlichkeit) Niemców — naród skądinąd notorycznie wojowniczy. Nie jest to zatem paradoksem rozczulanie się gestapiowemu własnemu ciałem rodzinnym, fotografie dzieci w kieszonkach lub uczestników plutonów egzekucyjnych, ich uwielbienie dla muzyki i sztuki. Eichmann ubolewał nad przelidującymi go pechem, zaś Hitler przedstawiał swoją młodość jako nieustające pasmo udręk. Nie taka znnowu przepaść dzieł *Cierpienia młodego Wertera* od *Mein Kampf*.

Problem Eichmanna — problem Smierdiakowa

Wróćmy jeszcze do problemu „pol-ludzkiego” wykonawców zbrodni, bez których prawdziwi autorzy nie mogliby osiągnąć takich jej rozmiarów (dziś już mogliby, istnieją stosowne brzoje, pozwalające obchodzić się bez bezmyślnych pomocników). Rozmyślanie się konturów tych postaci, z czym w wypadku Eichmanna zetknęła się Hannah Arendt, niemal stulecie wcześniej zalała nawet takie go mistrza penetracji psychologicznych, jakim był Dostojewski. Jego Smierdiakow jest wyraźnie postacią bezbarwną w stosunku do innych. Oto mamy do czynienia z istotą wtapiającą się w abstrakcję ideologiczną, chętnie wśluchująca się w przewrotne rozumowania i gotową podjąć się misji ich realizacja. Zdej emanowało jakaś magnetyczna siła z pewnych doktryn, wobec których jednostki tego typu zachowują się zupełnie jak opikii złącza wobec magnesu. Nie kaźda doktryna tak moc w sobie posiada — nawet wówczas, gdy jest radykalna. Musi być jakaś „otwartość”, implikująca misję człowieka, w rozumowaniach ścigających ku sobie wykonawców;

Jest naprawdę zjawiskiem niezwykłym, że progresizm afinalistyczny tak opanował umysły ludzkie ostatnich trzech stuleci. Musiała zistieć jakaś zmiana w strukturze życia społecznego, która urobila grunt do tej przemiany duchowej. Moze w realnym świecie zakoreniala się linearność taśmowej pracy produkcyjnej, o jakiej pisał Marks. Moze w aparacie administracyjnym i pracy biurowej również doszła do głosu taśmowość działań o równie dehumanizującym znaczeniu, jak w przypadku fabryki. Nie ma wszak różnicy w byciu dodatkkiem do maszyny, dodatkkiem do biurka, dodatkkiem do sprzętów domowych itd. Jednostki typu Piszczyka, Zeliga, Smierdiakowa, Eichmanna żyją w jakiejś dziwnej, rozciągniętej przestrzeni społecznej. Są wypchnięci poza wspólnotę i wykorzeniemi nie wskutek repulsji i bojkotu innych, lecz z tego powodu, że sama ta zbiorowość traci jakby swoją koncentryczną strukturę, składając się w kształt asymetryczny. Ktoś musi znaleźć się tu na marginesie, jakby w stanie „transcendentalnej” egzystencji wobec społeczności. Indywidua tego typu znajdują się w dziwnej sytuacji jakby „delegowania bez instrukcji”, wyznaczania do czegoś — nie wiadomo czego. Są tym samym niejako skazane na „misję” — szukają jedynie do niej wzwania i pretekstu. Czekają zatem na ideologów, którzy dadzą im cel. Ich usposobienie jest nowawowe, bo sama ich sytuacja jest zastana — zadanie powinno zatem przyjść gotowe i z zewnątrz. Jakkolwiek logos jest dla nich racją ostateczną — bo jedyną. Gdy na rozlicznych obrazach męczeństwa i kaźni świętych widzimy obok nich te dziwne postacie żołdaków, katów, ich pomocników — jesteśmy w pobliżu tematu naszych rozważań.

Eichmann jest postacią tego typu, wyjętą wprost z obrazu kaźni. Nie możemy jednak zgodzić się z twierdzeniem, że analiza takiej postaci rozplyła się w nicosi. Znaczyłyo to, że nie jesteśmy w stanie znaleźć klucza do rozwikłania tej zagadki i musimy poprzestać na Conradowskiej niewiedzy o tym, kto jak zachowa się w sytuacjach granicznych. A przecież beznadziejność myśli społecznej naszego wieku wobec minionych katastrof i tak jest rażąca. Cóż bowiem na przykład radzi Adorno, konstatując, że większość załóg obozów koncentracyjnych stanowiły synowie chłopcy? Oto postulują urządzenie odczytów dla ludności wiejskiej podnoszących jej wrażliwość moralną. Jednocześnie zaś „humanistyczna” kultura europejska od wielu wieków zrzęzygnowała z tej rewidukacyjności wobec zła, która mogłaby wnieść cierpienie w ramach własnowolnej cykliczności, co jego sprawcom każe strzec się zemsty. Czyż nie buduje się pomników „świetlanym postaciom”, tkliwym i czułym zapomnieniem spowijając postacie-maszkar? Co byłoby złego, gdyby taka maskarka Hitlera stanęła ku przestrodze tyranów w centrum placu Parteitagu w Norymberdze i w innych miastach? Gdyby ponure postacie katów asyrosy ku przestrodze w wymarłej przestrzeni obozów koncentracyjnych? Moze wówczas przestrzeń ta zapełniłaby się i zgęstniała, nie dopuszczając nowych kandydatów do starych ról. Epoka średniowiecza, na przykład, nie unikała pokazywania w miejscach publicznych ostrzegawczych maszkar. To dopiero stulecia późniejsze stały się sentymentalne. Nie lubią widoków zła. Wola, aby działo się ono w ukryciu.

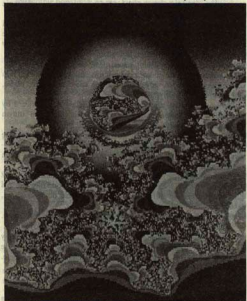
Odkładamy książkę Hannah Arendt zaszczonej niedostatkim w niej psychologii (której przykładów dostarcza np. *Ucieczka od wolności* Fromma) oraz nadmiarem dywagacji prawniczych. Bo też tytuł tej książki jest mylący. Nie jest to dzieło o Eichmannie, ale o sądzie, który go sądził. Problem książki polega na tym, że casus Eichmanna obrazuje właśnie linearną, wynikającą z dysproporcji elementową istotę zła. Eichmann uczynił zło w takiej skali, że musi ono pozostać otwarte; jego pojedyncze cierpienie nie zrównoważy cierpienia ofiar. Zabicie go w tej perspektywie nie ma sensu. Grozi ponadto

inne niebezpieczeństwo, często w dziejach odwracające sens aktu sąđenja; oto samotna jednostka stoi tu przed silą uosabiającą moc państwa, niezmy Dawid wobec Goliata. Emocje społeczne bezwiednie kierują się ku słabszemu. To nic, że ta jednostka jest wyjątkowo zbrodniarz — w tej konkretnej sytuacji jest on słabszym. Toteż pytanie brzmi: jak można moralnie zabić zbrodniarza? Moralność musi tu objawiać się jako samoograniczająca się siła, gdyż tylko to, co się samoogranicza jest moralne.

Można powiedzieć, że pod względem doniosłości analizowanej sytuacji sądu opisane przez Arendt *Oskarzenie Eichmanna* dorównuje — znajdując się na drugim biegunie refleksji prawniczo-etycznej — platońskiej *Obronie Sokratesa*. Co to może sąđenje? Oto jest pytanie, którego komplikacje dostrzegli pierwsi chrześcijanie, zachęcając, aby zdać akt sąđenja na Opatrzność („nie sądicie, abyście nie byli sądzeni”) i pytając, kto jest bez winy, aby sądził innych. Pod tym względem temat etosu „samoograniczania się” jest w książce Arendt znakomicie istotny.

Problem zła nie jest jednak wyłącznie problemem etycznym. Jest to też doniosły problem psychologiczny i historyczny. Dopiero przy takim ujęciu sensowne są wobec niego działania profilaktyczne i terapeutyczne.

Stefan Szymańsk



Stanisław Ostoja-Kotkowski, grafika komputerowa, 30 x 40

JAN MISIUK

POGRZEB

Umarł.

Młodo — mówili ci z jego pokolenia. Staro — skwitowałyby nastoletnie szczeniaki.

Zachorował. Zawięzli go do szpitala. Zrobili operację. Polezali i umarli.

Zator! — grzmiąca przyczyna zgonu.

Pogrzeb odbył się w dzień lipcowy, pełny lata, przez wysokie brzozy rosnące na cmentarnej glebie kojąco chłodny i — gdyby nie trup — można by rzec radosny.

Na pogrzeb przybyło parę sąsiadek z podwórka, jego dwaj młodsi bracia osiadli w pobliskim miasteczku, jego syn zdążył przyjechać ze stolicy, dwuosobowa delegacja z zakładu pracy, parę osób z rodziny i ona — przed dwoma dniami jego żona, teraz wdowa po nim.

Ładnie jej było w tej czerni, nawet dość smukło.

Naszukając się, nim znalazła coś odpowiedniego. Nagłowiła, nim całosc dopasowała. A gdy przyjrzała się sobie w lustrze, niezłe, całkiem niezłe — pomyślała.

Ten i ów zaplakal, a jej oczy jakoś nie chciały zwilgotnieć. I by pogrzeb wypadł odpowiednio — raczej tym, nie czym innym zaprzętała sobie głowę.

Ksiądz zwięził modlitwę za duszę zmarłego, pokropił trumnę wodą święconą. — Pokój jego duszy — powiedział. — A wy — zwrócił się do żywych — dalej żyście, pracujcie, radujcie się i niech troski omijają wasze domy. — I odszedł.

Dopiniowała, żeby grób garbarze ufornowali jak należy, a krzyż ustawiono równo. I kiedy sąsiadki z podwórka oddaly się, zaś pozostali jeszcze się wahalali, rzekła: — Chodźcie do mieszkania, posiedzimy.

Syn wymówił się. Na pociąg się spieszył. Nie miała mu tego za złe. — W niedziele przyjadę, mammo — obiecał. Ucałował ją i już go nie było.

Tymi z delegacji niewiele się przyjmowała. Lecząże każdy z rodziny akurat musiał albo do roboty, albo do dzieci, albo gdzieś tam, że i słuchać nie warto — ubodło ją. Trzy razy ponawiała zaproszenie. Ale jak nie, to nie — machnęła w końcu ręką.

Została sama. No i dwaj szwagrowie. Ci nie zawiedli.

— To pomału pojedziemy — powiedziała.

Jeszcze tylko lilie poprawiła na grobie, jeszcze znak krzyża uczyniła na piersiach i już szli wszyscy troje.

Milczeli całą drogę. Raz szwagier jeden się odezwał. — Gorąco — stwierdził i poluzował krawat. Drugi spojrzal na niego. Nie wypadła — pomyślał i poczuł, że mu skóra potnijnie pod czarnym garniturem. Niepodobnie wyglądał ten garnitur, barzdzo, a w spodniach jak w lustrze można było się przeglądać, tak szkliste zrobili się od prasowania.

Jej też gorąco dawało się we znaki. Szła i starała się, by co rzuciła zakosztować.

Niedaleko mieszkala od cmentarza, niewysoko, bo na pierwszym piętrze, ale i ja, i ich dwóch dopadło zmęczenie, gdy do celu dotarli. I posapkać kazalo, i ręką czoło zroszone otrzeć, i zimnej wody zapragnąć.

To pewnie przez ten upał.

I może przez ten czas, który przeżyli.

I może jeszcze przez źmienie pamiętliwa, co jak pszczoła z kwiatka na kwiatek przeskakuje.

Markotne miny mieli szwagrowie. Młodzi byli od nieboszczyka, prawda, ale o ile! Jeden o rok, drugi o dwa lata, co to!

Markotnie popatrzyli na nią, kiedy wyszła z łazienki odświeżona, odczesana, z twarzą zarumienioną od energicznego szorowania i kropelkami wody wokół szyi.

— Przy stole siadajcie — zarządziła. — Zaraz naszykuję.

Wyszła z łodówki przygotowane półmiski z wędliną, ogórki kiszzone, pomidory, chleba nakroiła, komputo do dzbanka nalaza i zaniosła to na stół. Potem wódkę doniosła i sama siadła między szwagrami.

— To chyba trzeba... — mruknął któryś z nich.

Wstali wszyscy. Dłonie spleli, głowy opuszcili. Modlili się cicho, aż znak dała, że wystarczy.

Czując się — powiedziała i sobie na talerz nałożyła plaster szynki, kilka plasterów toruńskiej i ćwiartkę ogórka.

Zjadła to, co sobie nałożyła, choć bez apetytu. Wzięła jeszcze plaster szynki, żeby talerz nie był pusty i ponownie zachęcała szwagrow: — Bierźcie więcej, jedzcie, niech się nie marnuje.

— Jakoś nie idzie... — szepnęła starszy szwagier.

Młodszy chwycił i otworzył butelkę. Wiekie miał lapy, z palcami grubymi, pokryte czarnym jak smoła meszkiem, mocne, że w gniewie uduścił nawet nie lada szykę, niczym byłoby dla nich. Zgniótł zakrętkę i wetknął ją w śmieci w popielnicę. Ponaławał. Malutkie były kieliszki, naporsteczki, z ciemniutkiego szkła, do delikatnych rąkczek pasowały i śmieszniutko wyglądały w potężnych łapach, które dziwny lęk w nie wzbudziły, kiedy znów na nie popatrzyła.

— Okno odemknę, bo duszno — powiedziała. Wstała, okno na oścież rozwarła i na krzesło wrocila. A wracając dostrzegła ukradkiem, że młodszemu na czubku głowy przerzedziła się czupryna, ale niezszarcnie, poza tym wciąż gesty wlos posiadal, a i siwizna najwyraźniej go oszczędzała, wlaźła na skronie, tu i ówdzie podbarwila jakiś włosik, i tyle.

— Taki już ludzki koniec — westchnął starszy i przelknął zawartość kieliszka.

— I innego nie będzie — dodał młodszy zakąszając.
— A ona obu im głowa przykaźnęła, po czym zapytała: — Czemu wasze żony nie przyjechały?
— Moja zwolnić się nie mogła — oznajmił starszy.
— Bo chora — rzekł młodszy, miądząc w ustach kęs ogórka.
— Nie chciały — pomyślała — temu nie przyjechały.
— Moja ostatnio tylko chora — ciągnął młodszy. — Głowa ją boli. Nerwowa się zrobiła i tylko je od tych nerwów. Chodźcie nigdzie nie chce. I ciągle niezadowolona. Ciągłe coś nie tak. W ogóle ciężka się stała — urwał, napełnił kieliszki, podniósł swój. — Niech spoczywa w spokoju — powiedział i za to tym razem wypili.
— Jak wam gorąco, zdejmiecie marynarki — powiedziała. — Nie ma tu nikogo, sami swoi, po co się męczyć?
— Może i racja — ochocho zgodził się młodszy i zaraz powiesił swoją marynarkę na oparciu krzesła. Starszy, ociągając się nieco, też poszedł w jego ślad.
— Odsłoniły się wielkie plamy potu na białych koszulach. Kolisto — pod pachami, trójkątnie — na karku. Bezgłośnie pociągnęła nosem. Każdy z nich pachniał, ale nie jednakowo, każdy po swojemu. Ze starszego wiało nie dobrego, coś jakby usychanie czy choroba, natomiast z młodszego... jeszcze raz pociągnęła nosem, tak, w nim jeszcze wieroło się życie, jeszcze pożyć chciało i silnie dawało znać o tym.
— No a ona?
— Przynęła podbródek do szyi, bardziej pochyliła twarz. Coś poczuła, ale była przyzwyczajona do swego zapachu, więc za bardzo nie wiedziała dobry to czy zły zapach.
— Jedz, najadaj się — zwróciła się do młodszego i w te pędy, krząc zmieszanie, skierowała się ku starszemu. — I ty też — dodawała: — Nie żałuj sobie, jest co dokroś. Może ciasta przynieść? Przynieś.
— Już stała, już prawie szła, gdy młodszy za nogę ją chwycił i posadził z powrotem.
— Nie trzeba. My nie małe dzieci.
— Nie trzeba — potwierdził starszy. — Nie trzeba.
— Skrzyżowała ręce na udach. Kolana zsunęła. Skubiła się, by przypadkiem nie otrzeć się o któregoś ze szwagrow. Milczała, wsłuchując się w miaskanie młodszego i ostrożne przeżuwanie starszego. Je, jakby bał się, że na szpilkę trafi — pomyślała o nim z babką niechęcią. I wydawało się jej, że ta ręką krzepką a ciepłą, znów ją ścisnęła i trzyma, nie puszcza, i zaciska się cieżniej, i wiezi w milję niewoli.
— A sobie czemu skąpisz? Odchudzasz się czy co? — zaciekawił się młodszy.
— Ja? — bąknęła. — Na stare lata? Co ty? Zresztą, czy ja taka gruba?
— W sam raz kobietka! — zaśmiał się krótko.
— Donośny miał śmiech, zaradkowy. Nie na stype on się nadawał. Gdzie indziej powinien brzmieć. Na stypie słumiony się marnował. Aż żal.
— No i jak ty sama teraz będziesz żyć? — znał talerza dopytywał się starszy.

— Przeknęła ślinę. Zacięła ją wargi. — Nie wiem... — chlipnęła.
— Nie wiem...
— Próbowała wbić widelce w plaster szynki, raz, drugi, bez skutku.
— Nie wiem jak to będzie... — zaczęła się mazać. — Jak ja sobie poradzę... Może syn co powie... — rozplakała się na dobre. — Skąd mogę wiedzieć? —
— Uspokój się. — W pierwszym odruchu młodszy chciał ją objąć, jednak powstrzymał się. Podał jej kieliszek i kazał wypić. — To minie. Jeszcze wszystko się rozjaśni. Noc się skończy i zacznie dzień. Słońce zaświeci. Zobacysz, ale musisz przeczekać... — mówił.
— Z ulgą i nadzieją słuchala tych słów. To on tak potrafi mówić? — zdziwienie suszyło jej kty. Byo przypraszając? Mów, mów — prosiła go niemo. I pewnie mówiłby dalej, a ona dalej by słuchala, gdyby nie starszy.
— Walał pięścią w stół.
— Ale żeby to nikt, tylko my tutaj! Żeby to nikt więcej nie przyszedł! To ludzie! Żeby to nie przyjął i nie powspominał brata naszego! To ludzie! Jak tak mówić! Nic, że człowiek umarł! To ludzie!
— Brzydko... — powiedziała. — Oni wiedzą, że brzydko topapili.
— Brzydko? — burknął młodszy. — Czego tu się dziwić? Każdy wie, co to był za dzień. Kawał lachudry i wszystko.
— Tak o nieboszczyku? — zgorzała się.
— Każdemu zalał za skórę. Mnie, jemu, im, a tobie chyba najbardziej — młodszy spojrział na nią przenikliwie. — Sama wiesz najlepiej, prawda?
— Wiedziała, o wiedziała, wiedziała. Mało to razy krążyła po podwórku, bo akurat zjawiał się w domu i rozpoczynał rządy? A Stasek jak był mały, to mało wycierpiał przez niego? Ze aż do psychologa musiała go prowadzić. Przez ojca! Przez kogóż był? I wiecznie kolezdy w domu. Jakby to ich dom był! A ona tylko do podawania i sprzątania. A poza tym najlepiej, żeby ruszała się w kącie, nic nie mówiła, nie oddychała. I zawsze w pokoiwie miesiać: co ty robisz z tymi pieniadzmi, że ich nigdy nie ma?! A jak zacznie mu tłumaczyć na co poszły te pieniądze, zaraz i kłótnia. Co?! Ja?! I z dołu walenie sztoraka w sufit. Wiedziała, wiedziała! I ciągle pretensje, że matka z ojcem nie ma dali, tylko tamtych. Pojedzie do nich, awantury narobi i wraca z niczym. Zadzorny był strasznie. I z każdym zadzieriał. I że ja goła wzięła, a z inna mógł się żenić! Może i mógł, ale wyszło tak, to już jakoś żyć trzeba. O co tu burdy robić? Przy dziecku jeszcze. Dorosły człowiek. Ojciec! No i w końcu wzięło go. Aż skrecał się z bólu. Pewnie, że go żałowała. Przecież cierpiał. Bardzo. Ale i wtedy ładnego słowa nie mógł znaleźć dla niej. Jakby przez nią, to wszystko...
— Mieszkanie ci zostawił, że nie powiem, gdzie ładniej — rzekł młodszy.
— Przeciętna wzrokem po ścianach, po suficie... Miał rację.
— Al — wzięła kieliszek.
— Pasty! Nie widzisz? — zaśmiał się młodszy.
— Al — odstawiła kieliszek i po chwili znów wzięła.

— Choć brat — mówił młodszy starszemu, starając się nie rozlać wódki na stół — i nieboszyk, ale prawda że o nim świadczy.
— Wetknął butelkę między talerze. — Niech mu ziemia lekka będzie.
— I tym razem za to wypili.

A starszy już jakby zrozumiał, zgodził się, przyznał rację młodszemu i siedział cicho, zajęty jedzeniem i niszczym więc.
— Jednak przyniosę ciasta — zdecydowała się.
— Młodszy próbował ją zatrzymać, ale wytworła się mu wargami śmiech.
— Bez ciasta nieładnie — powiedziała.

Pocięła makowiec na plasty, potem kawalek babki piaskowej. Nie stała mała? — zastanowiła się i jeszcze rozpakowała sernik. Słyszała, że bestywni weszli do lazienki. Zaraz mrocz uderzył o muszlę i huknęło bezwstydnie. Zakryła dłoń ucha i tarzając się spęczyła od dźwięcznego śmiechu. Pozbiierała okruszyny ze stołu. Zjadła je. Wystarczy — pomyślała — aż za dużo.

To młodszy korzystał z lazienki. Wyszedł już, jeszcze się zapinał, poprawiał, a ona z pełnym talerzem makowca, babki i sernika patrzyła na niego. Wielki był, nie to co nieboszyk czy starszy, i zdrowo wyglądał.

— Co tak patrzysz? — zapytał.
— Ja?... — wzruszyła ramionami. — Światło chce zgasić w łazience.
— Sam zgaszę.

I po chwili znów siedzieli we troje przy stole. Oni po bokach, ona pośrodku. Dźwięnie się czuła. Chyba nie tak powinna się czuć. Zupełnie nie jak wdowa. Aż głupio i nie po chrześcijańsku. Coś nie pozwalało jej usiedzieć w miejscu. Poszaby gdzieś, choćby z powrotem do kuchni i herbaty by zaparzyła albo co innego zrobiła. Jakoś niecierpnie jej było między nimi dwoma i coraz goręcej. Jesć nie chciała. A do głowy, jak na złość, nie przychodziło żadne gadanie, którego mogłaby się uczyć.

— W łazience grzyb ci rośnie — powiedział młodszy. — O nie nie dbał — dorzucił po chwili.

Zawstydzona się tylko, nie nie odrzekła. Kątem oka spojrzęła na młodszego, jakos nie mogła temu się oprzeć. I znów fala gorąca spłynęła na jej ciało, że najchętniej położyłaby się na tapczan, w czymś luźnym, przewiewnym i powachlowałaby się gazetą, a może by się i zdrzemnęła, tylko jaki sen?, of tego się lekła, licho wie jaki sen każą jej wyśnić, a jeśli taki, że ludziom opowiedzieć się nie da?, co wtedy?, co wtedy?...

— Nie martw się — młodszy położył rękę już nie na kolanie, jeszcze nie na udzie, gdzieś pomiędzy, i pocieszał ją. — Nie martw się. Sama nie jesteś.

Sama nie jest... — co to znaczy? a ta ręka ciężka? Jak długo jej nie zabiera! A palce wcale nie w bezruchu. Co powieszcie? Jaki gest wykonac?

Zastęga. Skórę na twarzy ściągnęła, że dzióbek z warg się zrobił. Milczała.

— Pomóżemy ci — obiecał.

Kto jeszcze oprócz niego? Starszy? Nie bardzo jej się to widziało.

— Ale dzisiaj to już na nas czas — zabrał rękę.

— Nooo, już właściwie, no w zasadzie pora — zgodził się starszy. Odprowadził ich do przedpokoj.

— To do widzenia — pociągnął nosem starszy i oddalił się w stronę drzwi.

— Do widzenia — powiedział młodszy i też poszedł w stronę drzwi.

Szła za nim, gdy nagle odwrócił się i omal nie wrócił na niego.

— A w przynędo sobotę przyjadę z farbami i zbuduję tu poradkę — rzekł gromkim głosem. — Słyszysz?!

Coś odpowiedział? Coś mu odpowiedzia! Nie pamiętała. Bij, zabij — nie pamiętała. Tylko ręką jak z waty szybko przekrzyknęła zamek. I czym prędzej przysiadła na taborecie w kuchni, bo nogi też jak z waty się stały. A w sercu jak w kuzni: żar i młota walenie, i powietrza brak w piersiach. I suchość w ustach. I gdzieś na pustej przestrzeni jakby wyrósł drogowakaz, który z wolna zaczęła dostrzegać.

Jan Miziak

Książki nadesłane

Wydawnictwo — Drukarnia — Księgarnia
Norbertinum

Jan Drewnowski: *Rokodł i spadek zwierzyny w Polsce*. Str. 214, nakład 2000 egz.
Elżbieta Hutak: *Znaczenia i wartości społeczne. O socjologii Floriana Znanieckiego*. Str. 174, nakład 1000 egz.

Czesław Milosz: *Ogólna nauka*. Str. 284, nakład 3000 egz. (Pierwsze pełne wydanie krajowe — w 80 rocznicę urodzin Autora 1911—1991).

Radomir Czerwik: 1976. Cz. I. *Dominacja o przetrwanie*. Wyd. 2 poprawione i uzupełnione. Do druku przygotował Wiesław M. Mitrzaki. Str. 230, nakład 2500 egz.

Zbigniew Strzałkowski: *Pory roku. Powieść*. Str. 31, nakład 1500 egz.
Józef Wąrocz: *Drzewo Krzyża Świętego. Księżka OO Dominikanów Lublin*. Str. 38, nakład 3000 egz.

ANDRZEJ OGRODOWCZYK

Na ścianie egipskiego grobowca

Na ścianie grobowca

Cień

Poszukuje faraona

Przeważa wśród szarości smak słodkiej czerni, wina

Nawet w skrzydłach wyrastających z gliny

Zmartwychwstanie

Nad ziemią mówią jeszcze tyko: wiatr, wiatr

Który będzie wszystkim we wszystkich.

Piłat był przeciwko

Dla Piłata ten obraz Boga niewidzialnego nie istnieje

Człowiek który kocha zmysły, nagość, wino

Nie będzie sobie trął głowy bredniami

A w ogóle upał, kurz, zmęczenie

Ręka osiada na poręczu fotela i nastuchuje snu

Tylko to jest dobre, myśli Piłat, szelest snu

Oderwanie od wszystkiego; Zydzi, nie, oliwka

Krzyk puchnie w gardle, bo słyszysz szczelnię ucha, że Jest

Pierworodny wobec wszystkiego, a więc wobec mnie, trawy, kwiatu,
wina?

Nie, nie, uśmiech sznyderstwa przeczyna gorzko twarz Piłata

Dlaczego Go broniliem? On jest początkiem?

Dlaczego Go broniliem?

Abym sam zyskał chwałę we wszystkim?

I był jak świetlisty orzeł nad Jeruzolimą?

Piłat śpi, w opadającej z fotela ręce

Odycha światło, już na zawsze

Odycha.

W chwili gdy zatraciłem

Przemijają obłoki, cienie stuloni

W piasek wiśniewa krew, sep rozłożony krzyk po pustyni

W Babilonii nowe magie i barwa ciał ptasia

Abym zbudził zmysły do grzechu

Srebrzy się kruszyna śniegu z nieba

Po zielonej drabinie do swojego nieba idzie biedronka

Noc; rody gwiazd napelniają się weselem i chwałą

Poruszyło się serce liscia pod głową Chrystusa

Ku Tobie podnosi się i mój pocałunek, odrywa iza ku niebu

W chwili gdy zatraciłem poznanie

Czym jest: Szerokość, Długość, Wysokość i Głębokość

Mądrość

A ona spływa z obłoku

Lekka jak cien dotyku ciała

Staje się czystą wodą rzeki w górach

Napelnia wnętrze kamienia i bież błyskawicy gdy chloszcze ziemię

A wtedy w paprociach odydycha zagubionu w lesie anieli, slychac jak

Pielgrzymują mrówki, a śpiew dzieci owija zieleni chwałą

Ona jest skłonna do zgody z pyszczeniem sarny

Ustepliwa wobec śladów osiołka

Postulszna listkowi oliwki, pełna miłosierdzia wobec pulsu serca

I dojrzałego światła w pomarańczy

Nachyla się nad nami obłokiem, co sypie hyzop

Abymy odrzucili obłudę i względy ludzkie, patrząc w surowość
kamyka

I Krzyża, bo taka jest prawdziwa mądrość.

Już nie pytam

Już nie pytam, kim jesteś ciało

Zginam kolana pod wielkim niebem

Patrzę w ród gwiazd, nastuchuję szelestu pustyni

Wiatr szepe do ucha:

Idź do Damasku

Idź do Damasku

Idź do Damasku

W marności świata

W marności świata wypieścił tę chwilę

Gdy wskrzesza cię iskra światła, oto jesteś

Na wyżynach niebieskich sadzisz oliwkę

Patrzę że dobry jest wiatr

Który napelnia jej ciało, i twoje

Muzyka.

Andrzej Ogrodowczyk

DARIUSZ ROTT

OSWAJANIE PRZESTRZENI O AAmeryce Mirona Białoszewskiego

Skie jest próba przybliżenia lektury Nowego Jorku przez Mirona Białoszewskiego jako tekstu kultury na podstawie jego *AAAmeryki*. Miasto — tekst (przedmiot topologiczny złożony i polissemiczny skonstruowany z ludzi i rzeczy oraz ich relacji i interakcji) jest tutaj rozumiane, za Greitnasem, jako „zespół interakcji i interakcji między podmiotami i przedmiotami”.¹ Autor relacji w takiej perspektywie badawczej jest użytkownikiem przestrzeni miasta, a jednocześnie interpretatorem przestrzeni miejskiej, twórcą i odbiorcą, nadawcą i adresatem komunikatu miejskiego. Nie zajmując się tutaj szerzej przestrzenią drogi, a więc przestrzenią zorganizowaną linearnie.² Pomijam również analizę szaty informacyjnej miasta.³ Zastępowana w *AA Ameryce* konwencja dziennika — opisu podróży (z przewagą jednak elementów opisy statycznego i braku formy dziarjuszowej) wymagała w jego części wstępnej umieszczenia informacji o podróży tam, a w zakończeniu — o powrocie. Nie stanowią one jednak cząstek szerszych czy samodzielnych. Również podróże po Ameryce potraktowane są w sposób skizowy. Najwięcej miejsca zajmuje opis Nowego Jorku, który będzie przedmiotem mojego zainteresowania.

Idea podróży Białoszewskiego do Nowego Jorku to zataczenie coraz szerszych kręgów:

(...) *thamacze mu, jak mogę, że najpierw wyrwało mnie z łózka do szpitala, a potem do sanatorium. Potem się przeprowadziłem. Dzięki temu już było łatwiej jechać do Budapesztu. A po przyjeździe okazało się, że Budapeszt nie taki był jak gdzieś indziej. I tak się nauczyłem jechać, chociaż to nadal jest heca (...)* *Nie mogę siebie i tym wszystkim bruć na serio.*

A więc dystans. Jak zawsze u Białoszewskiego — od siebie do rzeczywistości. Bezpośrednia odległość. Rodzaj komfortu psychicznego, jak leczenia. Jeszcze jeden komentarz do nich podaje Białoszewski podczas któregoś z amerykańskich spotkań autorskich:

Mówię jak podróż. I w ogóle o idei podróży. A potem o swoich latach letnia w ciemnym pokoju, namyśli, dziwny stan, wizje, pisanie, niewychodzenia. I mówię, że to też było jak podróż, a nawet lepiej, Inni potwierdzają.⁴

¹ A.I. Greitnas: *Ku semiotyce topologicznej*, w: E. Lesch, A.I. Greitnas: *Rytm i narracja*, Tł. M. Budzowski, A. Gregorczyk, E. Umńska-Pisisko. Warszawa 1988, s. 179.

² Por. J. Abramowska: *Percepcyjność w Przestrzeni i literaturze*, Pr. zbior. pod red. M. Głowackiego, A. Okopień-Sławińskiego, Wrocław 1978, s. 123-158.

³ Por. A. Wallis: *Miasto i przestrzeń*, Warszawa 1977, s. 274 i nast.

⁴ M. Białoszewski: *AA Ameryka*, *Początek 1984 nr 10, s. 12*. Wytykanie dalszej cytaty z utworu Białoszewskiego pochodzi z tego wydania.

W innym miejscu, w rozmowie przeprowadzonej drugiego lutego 1983 roku przez Annę Trznadel-Szczepank Białoszewski stwierdził: *Jak byłem w Ameryce niedawno, pytały mnie o podróże, więc powiedziałem, że podróże to mnie są od niedawna, od paru lat, a przedtem nie byłem w stanie podróżować; w ogóle wyjechać na Marzeczka i z Łódki — na Marzeczka i wiedeńskie wiedeńskie miasteczko — było niemożliwością. Po prostu miałem inny system życia, mało wstawałem i leżałem, nieraz po cienku, całymi godzinami; myślałem, zapływałem, miałem różne prawie że wizje, no i właśnie to opowiadałem w Ameryce ludziom, którzy o to pytały i mówili mi, że to było też podróże i to jeszcze jakie, ho, ho! no i widocznie mówięm z przekonaniem, bo ktoś powiedział: „Ach, to musiało być wspaniałe”.*⁵

Nasze wyobrażenia Nowego Jorku kończą się zwykle na centrum albo w jego najbliższych okolicach — Manhattan z drapaczami chmur, Central Park, Wall Street, Statua Wolności. To wszystko. I takie były również wyobrażenia Białoszewskiego. Dodajmy — nie mogły być inne. Nowy Jork bowiem znany jedynie z migawek, pocztówek⁶ i folderów to tylko centrum:

*Sylwetka Manhattan od strony Long Island była wielokrotnie sfotografowana, a nawet malowana (Grammatice, Buffet). Wyduży jej skali i charakterystycznych „linii nieba” (skylene), to znaczy typowy wieżochłód drapaczy chmur, stworzył obraz Nowego Jorku, który wierzchołki drapaczy chmur, stworzył obraz Nowego Jorku, który jest raczej jego symbolicznym zarysem niż potrzebny wizerunek.*⁷

Pierwsze zetknięcie autora *AAAmeryki* z Nowym Jorkiem — lotnisko Kennedy’ego. Długa jazda do centrum miasta: *Wyzwyczaję, zwyczajnie, aż naśle naprzeciw w zahucaniu za wodą — dół, w górę — bryły jak z żelaznej bądry. Szklana góra. To szczyt Manhattanu (...)* *Wypadamy w tunel, tunel pod wodę, kręci. Wylot. Widać w szklanej górze. Od razu zwyczajnie. Ruch nie taki szalony jak się spodziewałem.*

A więc pierwsze weryfikacje stereotypowego wizerunku Nowego Jorku.

Hotel i pokój hotelowy. Przechodząca gwarancja intymnego odizolowania od ruchliwej, zgłębki i dżuru, z którą człowiek związany jest emocjonalnie.

Brzązły hoł. Święty Józef z gipsu. Portret papieża. Jak w Sieradzu. Jazda winda na siódme piętro. Pokój z tradycyjnym wykładem. Na ścianie Serce Jezusa. Roleta w oknie. Wyhodowane. Przysię. Pokój z oknem. Pokój z widokiem. Stanowił on fragment przestrzeni swojonoj przez bohatera. A więc — miejsce, do którego wraca, gdzie w sposób zupełnie niekierowany może rozłożyć swoje rzeczy, obejrzeć dokładnie zakupy, pisać swój dziennik. Wreszcie pisać listy, słuchać głosu ulicy, jeść z podłogi.

Oto mała antologia cytatów dotyczących pokoju hotelowego: *Ślęży w oknie i patrze. Domo wielkie, ale cicho i pusto. Jak w Przasnyszu (...)*

Rano wyglądam oknem. Domiska obryzmy sterczą, ale ruch w dale jak w Przasnyszu. Trzech samochodów i parę osób przechodzi (...) *Z tym wszystkim brodac odprowadza mnie do hotelu. Tam się rozstawię. Układam jedzenie na papierach przy łózku. Kładę się.*

⁵ To, w czym się jest, *Rozmowa z Mironem Białoszewskim w dniu 2 II 1983*, Romawiola A. Trznadel-Szczepank, „Twórczość” 1983 nr 9, s. 32.

⁶ Por. M. Baranowski: *Początki jako sprząz wybrani masowej: w: *Problemy wizyj i literatury*, Prace dokonywane Stefanem Żółkiewskiem, Pod red. A. Brodzkiej, M. Hopfinger, J. Lalewicz, Wrocław 1986, s. 247-256.*

⁷ A. Wallis: *Informacja i gwar. O miejscu centrum*, Warszawa 1979, s. 163.

Próbuję, Sery mule. I żółte niedobre. I białe niedobre. W nuszach mam sok. Bo jedzenia są w opakowaniach, nie w zakupach, Pudełko po soku, impregnowane, nadsięje się dobrze do trzymania go pod łóżkiem zamiast narkotyk. (...)

Wracam do hotela dwa, trzy razy dziennie, klade się na łóżku. Jem z podłogi swoje sery, winogrona, pomidory, avocado. Bo nauczyłem się jeść avocado (...) W pokoju, ciepło i cicho. W haltrze odbijają się Serce Jezusa (...)

W domu, czyli w pokoju w zakonnicy, cieża, ciepło, spokój, jodelnie przy łóżku. Słychać tylko za oknem daleko co raz jaśdące karetki pogonowia.

4

Metro. Kontakt pierwszy:

Zjawili się moi opiekun. Poszliśmy do metro. Zdrzwiłem się, że schody nieruchome. Myślałem, że wchodzi schody ruchome (...) Jedno wejście do metro kosztuje 75 centów. Trudno mi się jeszcze oswoić z tymi cenami. Wsiadamy w pociąg obmarowany ryzykami, malunkami, Mójmy taki sam. Pytam się moją opiekunką, czy to jeden amator malarza obmarowywał te pociągi. Okazuje się, że to dzieci. Wobno było obmarowywać w środku i z wierzchu. Rzeczywiście, wogony w środku też są obmarowane (...)

Wysiadka. Widać nadjeżdżający pociąg z napisem AA- Kojary mi się to z Ameryką. Dwa AA." to jak takby z wielkim wykrzyknikiem (...)

Perwersja na amerykańskim kontynencie próba oswolenia przez Białoszewskiego przestrzeni zamkniętej (jednocześnie może mimowolny metalokomentarz do tytułu utworu — AA Ameryka. Try A to jakby z ogromnym wykrzyknikiem — parafrazując wypowiedź Białoszewskiego. Należy dodać jednak, iż metro pogłębia dystans między człowiekiem, jego użytkownikiem a przestrzenią miasta, gdyż nie pozwala ono na codzienną obserwację miejscowego pejzażu.

I kolejną „kexją” wocenia się przestrzeń ograniczoną, zamkniętą:

Uczemie się jazdy subwayem, bo tak nazywa się metro tutaj, subway. Trzeba nauczyć się, gdzie są wejścia, a gdzie są wyjścia, i nie mylić starych wyjść z nowymi. Stare prowadzą donikąd. Przesiadają się jeszcze bardziej skomplikowane, bo trzeba niwazier schodzić dwa piętra w dół. Metro przeważnie wszędzie zamknięte. Przeważnie wyciąg schody nieruchome. Tylko stacja w Kwartale Rockefellera puwocna ciagle. Najważniejsze nauczyć się upiwno i downtown. Upiwno to w górę miasta. Downtown — dół miasta. Nawet łatwo zapamiętać, bo dół, downtown na de. Ale mnie się po polsku myliło, co to jest góra miasta i co to jest dół miasta. Wreżcie nauczem się, że upiwno to wcielać z domu, czyli z gór miasta, miasta całkowicie. Downtown do domu, za domem cypral, tam się mniej jeździ. Nauczem się wcielać z domu. Kupowanie żetów. Wsiadanie w obmarowane AA- albo w E- Wsiadka w pepku miasta.

Ale jest jeszcze inne metro — nocne. Postępująca obcość, niepewność, utrudka zagubienia Białoszewskiego w przestrzeni, która jest nie w pełni oswojona.

(...) ciągle uprzedzają mnie, żeby uważać, żeby późna pora nie jeździć metem. Wracam raz subwayem późno, na tyle już się nauczyłem, że wsiadłem, gdzie trzeba czekać i już rozumiem upiwno i downtown.

⁴ Metro pozbawia mynek panoramiczną widoków ulic, placów i drzew, słoneczka, obłask i deszczu. Postojenie stacji naraża, co prowadzi nowo hotel, lecz jest to hotel napowietrznie ułożony. A. Wałicki: Szołogologia wstokiego miasta. Warszawa 1967, s. 123.

Zszedłem dwa piętra w dół. Betonowo i pusto. Zapiędnem, śmieciek. Nikogo; żadne metro nie nadsiędza, upływa jakby minut, dziesięć. Z dzury wychodzi szeszur, przebiega i znika w innej dziurze. Metro dalej nie nadsiędza: Wychodzę piętro wyżej. Tam przy poręczu kilka osób. Nie wiem, czy nie schodzą niżej, bo są bijący, czy chcą mieć do wyboru wleczenie w ostatniej chwili na pierwszszym poziomie i zleczenie do drugiego w razie gdyby nadsiędzał tamten. Po pewnym czasie jednak nadsiędza metro do tego pustego porona. Oni zlatują, wsiadają. Ja wsiadam. Ale jakosi niki mnie nie napadli.

5

Centrum miasta. Miejsce maksymalnych wyborów, pełne różnorodności i zmienności. „Pepek pepka świata” słowami Białoszewskiego. Ponownie oddaje głos twórcy AA Ameryki:

Wysiadka w pepku miasta. Tam halas, rweste, sam cień, bo słoneczko nie dochodzi, wielkie wysokości, sklepy, kina, porno, handlarze, nawraczące, sakofanisty, biały, czarny i żółty. Domy, domy, domy. Wysokie i bardzo wysokie. Przerzania się z Broadwayem. Domy torowe, ukosne. Plac z pomnikami. Pomniki, jak w Europie, z postaciami stojącymi, siedzącymi na koniach. A więc swojsko. Nie trzeba ulegać wysokości. Do tego można się przyzwyczaić szybko (...)

W pobliżu była Wall Street, i dwa najwyższe domy w Nowym Jorku bliźniacze. Jeden z nich do zwiedzania, widok z niego samoloty w sto siódmego piętra. Z daleka na wyspach Statua Wolności. Schodzą się tu wody i rozchodzą w ocean. Wieje od oceanu. Malo było nie urwie (...)

Na Manhattanie ciasto. Na niektórych wieżowcach budują dalsze wieżowce, jedne na drugich.

Białoszewski dostrzega także to, co poza centrum:

Tę inie dzielnie poza Manhattanem i poza barwniejszymi fragmentami są nudne. Dasyć jednostajne, domkowane, nieduże domy stoją. Na starym mieście nowojorskim też dają niedużych domów, ale są naphone ludzimi, towarami i widokami.

6

Repertuar przestrzennych potrzeb Białoszewskiego jest duży i wyjątkowo zróżnicowany. Bogata jest również przestrzeń codzienną aktywności: pokój hotelowy, hotel i jego najbliższe otoczenie, ulice, metro, wreszcie wybrane obszary handlowe (głównie sklepy spożywcze i muzyczne), teatry, ich poszukiwania:

Szukam siusiatki. Jest, ale nieczytna. Wynałone drzwi używane w porzek.

Ich uprzywilejowanie poszukiwania:

Barżdo że przedstawia się sprawa wychodków. Po prostu nie ma ich, a te, które są, przeważnie pozamykane. Szedłem z brodaczem w poszukiwaniu takiego miejsca. Karal mi wręcił do kawiaru. Poszedłem tam chykiem. Wysiadałem się szczęśliwie. Wracam, a on pokazuje mi napis na szybie, że wchodzi do ubikacji lokalny tylko dla klientów.

Problem toalet staje się prywatną obsesją Mirona:

Spytałem dobre, ale wciąż niedobre z wychodkami. Trzeba siusiac po kątach, na schodach. Albo wyciągać sobie siusiacie między kinem i stawiackiel semilogii kapitulują.

Spytałem wobec tego obydwu semiolotek, dlaczego to nie ma ustępow, gdzie można zrobić siusia. Ze można by o tym też napisać rozprawę. Nie wzdłazy, co na to odpowiedzieć.

Również w relacji z podróży morskiej Obmarowywanie Europy czyli dzieńnik aktywny zagadnienie to stanowi obsesję Białoszewskiego.

Czytamy tutaj np.: *Wychodzą na plac Piccadilly Moby, I trójkaję. Ciele życie myślenie, że on jest okrągły. Tu znajduje sięsiarnica. Ogromna, Ciele rządy pinarów biały ch jak nastrożone gąsioni. Na każdym napis „Pysamjdy”*⁹.

Opisane przez Białoszewskiego procesy poznawania przestrzeni miasta, osławiania jej, ustalania swych potrzeb przestrzennych oraz określania kryteriów oceny przestrzeni mają charakter ciągły. Trwają przez cały czas, zarówno w sposób uświadomiony jak i mimowolny. Obserwujemy jak miejsce obce stalo się konkretnym, pełnym różnorodnych znaczeń, jak rozszerza się topografia codziennej aktywności Białoszewskiego. Aż do osławienia niemal całkowitego:

Na Manhattanie od razu siły i humor, lazilem od rana do wieczora. Byłem w kinie porno takim i takim, i z kulami, i do wgl. Nowy program. Jeszcze lepszy, lanie na ulicach Manhattanu, jak po swoich. Pępek pępkę światła. Ale nie do końca. Do całkowitego „osławienia” przestrzeni nie dochodzi. Nie ma mowy o osiągnięciu bezpieczeństwa i stabilności miejsca. Daje się wyczuć niepewność, zagubienie i poszukiwanie:

Wybrałem się do polskiej opieki. Myślałem, że ona jest na Dzielącej Avenue czy na Osmej, na wysokości Drużej i Trzeciej poprzecznej. Już mnie zapiekowało na początku, że trudno mi to będzie znaleźć. Trafłem na tę część Nowego Jorku, gdzie system tradycyjnych nazw przechodził w system numerowania. Zaczęłem się plętać. Szukać Trzeciej poprzecznej Wsi. Takie nie było. Zaczęłem szukać East, czyli wschodniej. Po wielkich trudach znalazłem. Ale zamiast Drużej East wlażyły mi ulice z nazwami nienumerowanymi, a tradycyjnymi. Po długich szukaniach zrezygnowałem.

I dalej:

Siadłem pod prąd historii, wydstalałem się wreszcie na numerowane poprzeczne. Za to wieczorem, wracając z czterdziestyh streets, jeszcze raz skuliłem się na odalenie subway do mnie. Bo umiem wstać z dołżego przystanku, z bliższego, a z tamtego nie. I dęzi okazywało się, że to za trudne. Już umiem szukać nawet i przynąć. Co z tego, niedostateczne strzałki, gwałtowania różnych korytarzy, zakrętów, sześć schodków, zmęliła mnie dwa razy, zmęczyła, wyzedełłem na wierzch, piechotą do stacji następnej i tak dojechałem.

Hi-Fu Tuu słuszenie stwierdził: Człowiek, przez swą obecność, podporządkowuje przestrzeń schematowi. Najczęściej sam nie jest tego świadom. Uświadomienia sobie brak schematu wtedy, kiedy się gubi.¹⁰

Dziennik podróży (niezwykle jedynak) to u Białoszewskiego również próba podporządkowania przestrzeni. Oczywiście ma ono miejsce już w sferze języka — ułomnego, kalekiego, dewiacyjnego (choć w porównaniu do innych jego utworów *AA Ameryki i Obłąkany Europy* napisane są w języku najbardziej „poprawnym”), wreszcie niespójnego, pełnego zakłóceń. Jest to jednocześnie język heterogeniczny, który, wykorzystując obszarce Henryka Wróbla na materiale *Pamiętnika z powstania warszawskiego*, ma cechy zdeformowanego tekstu mówionego przeplacone z cechami odmian pisanej języka polskiego.¹¹ Wydaje się, że można rozszerzyć znaczenie tej strategii interpretacyjnej również na płaszczyznę genologiczną.

Zdaniem Zlatko Klatica,¹² główne cechy narracji opisu podróży

to:

1. pozycja centralna
2. rola „medium”, a więc łączenie wiadomości o kraju (świecie zewnętrznym) z informacją o podmiocie (świecie wewnętrznym);
3. najczęstsze występowanie narratora autorskiego, stanowiącego swoistą kombinację narratora — obserwatora i narratora — uczestnika.
4. uzależnienie od czasu podróży i odwiedzanej przestrzeni. Nie jest to więc narracja wszczędywczą i wszęchoboczną. Bohater opisu podróży (ściśle zespolony z narratorem) jest zredukowany, a obywatel i charakter jego działań — znacznie ograniczone. Podobne redukcje dotyczy również sfer fabularnych.

Fabula stanowi także zredukowany, niejako przytłumiony element epiki opisu podróży. Między fabulą i bohaterem nie powstaje zależność tematyczno-kompozycyjna, ponieważ fabuła opisu podróży jest „zatomizowana”, zważa w samodzielných jednostkach przestrzeni i czasu.¹³ Czas w opisie podróży ma charakter obiektywny, podział na jednostki czasu wywołany jest specyfiką podróży. W swej konsekwencji wywołuje to częste stosowanie form diariusza lub listu.

Podsumowując swe uwagi, Klatic, próbuje stworzyć określenie gatunku:

*Opis podróży stanowi deskrypcyjno-narracyjny typ prozy, z tendencją do przewagi jednego lub drugiego elementu. Ma charakter dokumentowy i najczęściej autentyczny. W związku z tym pozostaje także jego topologiczna rozmałość. Opis jest jednym z najbardziej rozwiniętych sposobów w jaki narrator wyraża swój stosunek do przestrzeni i środowiska. Opis podróży jako struktura gatunku w mniejszym stopniu niż gatunki prozy fikcyjnej podlega zmianom w procesie rozwoju (...)*¹⁴

Wartościując opisy podróży badacze zwracają uwagę, że ich jakością nie zależy od egzotyki i piękna opisywanej przestrzeni, lecz od tzw. zasobów wewnętrznych autora, a więc m.in. jego wiedzy, talentu literackiego i osobowości, a także od tego, czy i w jaki sposób autor wpisal w swój utwór przyszłego odbiorcę. Dodatkowo, najwastotniejsze mogą być utwory o charakterze gawędziarskim, z zachowanymi elementami narracji bezpośredniej, w której umiejętnie połączone są elementy poznawcze i ekspresywne.

Maria Kowalska swe rozważania dotyczące omawianego gatunku kończy stwierdzeniem:

*Opis podróży są zawsze procesem twórczym, w którym poprzez osobowość autora dokonuje się subiektywne przetworzenie rzeczywistości i ujęcie jej w niepowtarzalną postać językową.*¹⁵

Opis statyczny danego kraju, regionu lub miasta, w przeciwieństwie do badań dotychczasowych, uznajemy za osobny gatunek literacki. Za jego najważniejsze cechy uważa, wykorzystując definicję omawianego powyżej opisu podróży (opisu dynamicznego):

1. Zredukowanie fabuły do minimum, a w opisach o charakterze katalogowym — rezygnację z niej.
2. Brak narracji odautorskiej, centralnej pozycji narratora (jego istnienie nie jest tutaj warunkiem koniecznym)
3. Przewagę lub wyłączność deskrypcyjnego typu prozy

⁹ M. Białoszewski: *Obłąkany Europy czyli dziennik okrążyony*, „Twórczość” 1983, nr 9, s. 13.

¹⁰ Tuu Hi-Fu: *Przestrzeń i miejsce*, Przel. A. Morawitka. Wstępem opatrzył K. Wojskiński, s. 53-54.

¹¹ H. Wróbel: *Obraz języka mówionego w „Pamiętniku z powstania warszawskiego” Mirosła Białoszewskiego*, w: *O języku literat. Pr. zbor. pod red. J. Babuka, A. Wilkonia*. Katowice 1983, s. 175.

¹² Z. Klatic: *Über die Poetik der Reisebeschreibung*, „Zagadnienia rodzimych literatur”, 1969 z 2, s. 126-153.

¹³ Tamże, s. 153.

¹⁴ Tamże. Podkreślenie moje — DR.

¹⁵ M. Kowalska: *Sredniowieczna analiza literatury podkoczna*. Kraków 1973, s. 12. Podkreślenie moje — DR.

4. Charakter dokumentarny, nie zawsze autentyczny, często mądry bawieniem do czytelnika jedynie z kompilacjami lub opisami o charakterze fantastycznym, baśniowym

5. Dominująca funkcja polityczna — użytkowa i poznawcza

6. Wyjątkowo silne skłonienia do wyidealizowania we wszystkich płaszczyznach.

Dodać trzeba również, że opis statyczny często występuje niesamodzielnie i jest np. obudowany elementami relacji z podróży tam i z powrotem.

Jak widać występują tutaj pewne analogie z opisem podróży, ale różnica się wyraża. Opis statyczny miejsca, kraju lub miasta, którego elementy znajdujemy już choćby u Homera, bliższy jest deskryptywnemu i monotonnemu katalogowemu, a redukcje w jego obrębie mogą być jeszcze większe niż w katalogach. Wtedy opis statyczny staje się zbliżony do form pamiętnych, a wśród nich np. do przewodnika turystycznego.

W *AA Ameryce*, nawiązującej gatunkowo do opisu statycznego, występuje rozbieżność tak charakterystyczna dla tego typu utworów struktury dialektywnej, wykorzystującej schemat: data, miejscowość, jej opis i ciekawskie wydarzenia związane z pobytom w niej narratora. Redukcja ta jest m.in. wynikiem dłuższego pobytu Białoszewskiego w Nowym Jorku. Nie mamy tutaj również do czynienia z tak charakterystyczną dla opisów podróży redukcją narratora i fabuły. Co więcej Białoszewski opisuje Nowy Jork, ale, jak słusznie stwierdza Adam Komorowski, *szedł na siebie w (...) Nowym Jorku (...) przywracając nam zarazem wiarę w możliwości literatury podróżniczej (...)*.¹⁶ Jednocześnie Białoszewski, niejako przez zaprzeczenie, umocnił schematy literatury podróżniczej, igra z czytelnickimi oczekiwaniami i oczekiwaniami.

Twórcza zapytany, czy opisując swą wrażeń z morskiej podróży po Europie, próbuje je w jakiś sposób porządkować, odpowiadał:

*„Ponieważ doszedłem do wniosku, że już pisałem różne rzeczy, a to jest właściwie grzech, to konsumowanie świata po chumku, to nie zapisywałem tej podróży wrodo. Coś spisywałem, i nawet chciało się mi się, ale uwiałam, że nie trzeba tego pisać. A potem jednak opowiadałem o podróży statkiem „Batormy” dookoła Europy. No okazało się, że tam były różne numery dobre, w końcu zrobiło mi się tego żal i spisałem to wszystko.”*¹⁷

Nie bez przyczyny przytoczyłem wypowiedź Białoszewskiego o innej podróży i o relacji z niej, o *Obmowywaniu Europy*, jak pisze Komorowski, *w odróżnieniu od „AA Ameryki” utwórze ten jest opisem morskiej podróży, pełnia portretów jej współwzrostu. Można zaryzykować twierdzenie, że podróż wstępuje tutaj miejsca wyliczeń, która jest do podróży przygotowania lub wprowadzenia. Taką rolę tekst ten pełni w stosunku do „AA Ameryki”*.¹⁸

Białoszewski zupełnie mimowolnie lokuje się tutaj w tradycji nakazującej spisywanie swych wspomnień z podróży jako rodzaj konieczności dla podróżującego literata. Podobnie potrzebę tę odczuwał kilkanaście lat wcześniej autor *Rękopisu znalezionego w Saragossie* Jan Potocki, którego całe życie było właściwie jedną wielką podróżą.¹⁹

Trzeba sobie zdawać sprawę z podstawowym ograniczeniem przy prowadzonej analizie — Nowy Jork stanowi tutaj miejsce, o którym się mówi, a jednocześnie, wewnątrz którego się mówi. Pamiętać należy również za Greinmasem, *że otrzymywać komunikaty przestrzenne, to nie — lub nie tylko — spostrzegać je; jest coś, co nazywa się nieokreślonym terminem „żyć” miastem, reagując w sposób znaczący na wszystkie stymulacje przestrzenne*.²⁰

Takie reakcje prezentuje Miron Białoszewski nie tylko w *AA Ameryce*, lecz również w swych innych utworach (np. w *Obmowywaniu Europy* i poezji dotyczącej codzienności wielkiego miasta). Analizując te utwory można skorzystać ponadto z fascynującej perspektywy badawczej zastosowanej przez Hannę Dziedzińską do badań literatury staropolskiej — analizy różnych typów przestrzeni, a więc przestrzeni słuchowej, wzrokowej, zapachowej, ruchowej²¹, które nawet niezbyt uważny czytelnik odnajdzie również u Mirona Białoszewskiego. Zagadnienia te wymagają niewątpliwie dalszych, pogłębiających analiz. Również dalszych analiz, z wykorzystaniem metod tu przedstawionych, wymaga *Obmowywanie Europy* czyli *dziennik okrojony* Mirona Białoszewskiego, nawiązujący nieco formą do znanych już starożytnym periplusów i periegez.

Podsumowując, *AA Ameryka* jest jeszcze jednym utworem Mirona Białoszewskiego o rozbieżności języka, jego form, a jednocześnie, niejako na innej płaszczyźnie, o rozbieżności struktur gatunków literackich. Zwrócił na to uwagę Krzysztof Rutkowski, pisząc:

*„Rzeczywistym bohaterem wypowiedzi Białoszewskiego są gatunki mowy w całej ich różnorodności: powstawanie, rozkład i zanik tych gatunków, przekształcanie prostych w złożone, rozgrywanie złożonych gatunków w codziennym obcowaniu językowym. Innymi słowy, Białoszewski przedrzeźnia swoimi wypowiedziami literaturę tak, jak w życiu codziennym przedrzeźniał cudze wypowiedzi.”*²² I choć można nie całkiem podzielać zdanie Rutkowskiego, to jednak musimy pamiętać, że przewrót w gatunkach literackich, którego dokonał Białoszewski jest ogromny i zasługuje na dalsze badania. Myślę, że udowodniły to choćby stosowane przez mnie obzerne cytaty, momentami ich katalogi, a także próba zastosowania rodzaju „narracji przereczującej”, tak, aby mówiąc o Białoszewskim nie utracić przyjemności obcowania ze swoistością jego tekstu.²³

Dariusz Rost

¹⁶ A. Komorowski: *Obok hierarchii „Pisma literacko-artystyczne”*, 1989 nr 1, s. 113.

¹⁷ *Tu, o czym się jest, op. cit.*, s. 33.

¹⁸ A. Komorowski, *op. cit.*, s. 113.

¹⁹ Por. J. Ryba: *O Janie Potockim — podróżniku*, w: *Prace Antykwaryczno-Biblioteczne*, 17. *Podróż i historia. Z mowy literatury Obwieszczenia i Rozmowy*. Pr. zbior. pod red. J. Nowaka, I. Opieckiego, s. 7-26.

²⁰ Por. J. Greinmas, *op. cit.*, s. 187.

²¹ H. Dziedzińska: *Opisywanie i słuchanie w kulturze dawnej Polski*, Warszawa 1987, passim.

²² K. Rutkowski: *Wielkość i wielkość wypowiedzi Białoszewskiego*, „Twórczość” 1983 nr 9, s. 54. Por. także: *Miasto i literatura*, „Regiony” 1979 nr 1, s. 128-146.

²³ Artykuł prezentowany podczas sesji naukowej dotyczącej twórczości Białoszewskiego, która odbyła się w Uniwersytecie Śląskim 3.04-4.04.1990 r.

ANDRZEJ W. GUZEK

Oby

Zmierza prosto do celu. Powoli lecz nieubлагalnie i pewnie. Nawet jego cień jest przeraźliwie materialny, choć kruchy. Wysznuwa go z siebie, wywija tak lekko, jak nie ze spzuli, zostawiając za sobą, niby zdumiony ogromem przestrzeni ślimak, torowy ślad, długą, iskrzącą się w słońcu białą, żalobną wstążkę rozciągniętą płasko na kolumnach zrudziałych traw.

Całą jeszcze do zapisania.

Stado

Jedyno co nas jeszcze leży to nieć i nożycy. Nożycy służą do wypuszczenia na wolność zdegradowanych latawców i przeciwności ostatecznego ultimatum — pepowiny. W istocie bowiem jesteśmy kłanką żelaznego sznura i chociaż osobni, stawimy identyczne, pozabawione przewodnika chłora ognia w łańcuchu wszystkich ślepych serc. Tylko pierwsze jest podobno odrobnie lepiej zahartowane, więc na własną odpowiedzialność toruje drogę, a my dotykamy tylko w marszu na komendę (lewa — prawa) przystępnych do ziemi płoców poprzednika.

Idziemy prosto do przybiecanej jak ziemia matni. Nad nami, obok, przed i za nami jedynie łagodnie usypiające poszczekawanie kontrolnych, owceży nożycy — tak się sączy stado.

Więzień, sierota, wdowiec

Więzień, sierota, wdowiec. Z wypaloną na czole wdrówną gwiazdą i piętnem strzały w kolanach wlece się po parujących bezgłośnie ulicznych farbiarniach — szukac swego, ukradzionego mu na balu chronicznie samotnych rytuałego przebrania.

Nie traci otuchy. Są przecież jeszcze i ci, którzy poznał, przelikeń do końca tajemnicy karnawału, jego sekretne przesłanie i znaki zaciosane maczetą na rogach kamienic. To oni mu powiedzą. Określą czas i miejsce.

Teraz jednak nie pora, aby ustawać w drodze. Musi iść

z szeroko otwartymi na ślepotę oczami. To jego zadanie specjalne. Oswajac własną samotność, sprzymierzając się tylko z wyszukaną dyskrecją dmuchawców, synogarlami drzewko-szczelnej jesieni i biernością gonitwy.

Spokój, spokój! Tuż za jego plecami już slychać gorzkie oddechy pościgu za ostatnim oddzielnym w glinie stulecia śladem szybkostrzelnej ruletki, miedza przerezanego na dwie zylastym plugiem skarbera i chytrze zaszczepionym błękitnym tuszem na skórze przedramienia — znakiem uniwersum.

Inaczej

Kamień jest zwykle głową leżącą na dnie epickiej rzeki. Poprzez wodę znać na nim jeszcze zacieraające się obrazy oczu i ust. Jak na dłoni widoczne są też stare, wyblakłe blizny i zlewiska zmarszczek. Nawet uszy zdają się slyszac jeszcze bezruch śmiejącego się czasu, który postanowił, znużony, niczego już do końca nie liczyć.

Głowa pośród rozpuszczonych samopas warkoczy opływającej jak wody. Niccierpliwa czeka wciąż na resztę swego zagubionego w ucieczce przed sobą ciała, na własne nogi, własne stopy, które powędrują, i tak już spóźnie, pod prąd, lecz inaczej niż zwykle. Od źródła ku morzu.

Safari

Przewodnicy uciekli pierwsi. Zostaliśmy sami u źródła stromej, nieznannej góry, pełnej utajonych w świeżo naostrzonej trawie jadowych węży, kolezastych berberysów i splątanych głowów imperium, niezdołanych narzeczy i tłumy sprężonych jak do skoku znaków zapytania.

Zostaliśmy sami, a teraz, przed zmierzchem odeszli jeszcze bez słowa głuchoniemi (na każdą okoliczność) tragarze i wyciosani z szafranowego piaskowca — askarysi — nosiciele broni. Między pelzającymi w buszu niebia chmurami widać jeszcze czasem przez ślepy latarec księżycą, polyskujący twardym lukrem sniegu krateru, misę olimpijskiego znicza pełną zimnego ognia i rzucanych na stos przepowiedni.

Do naszych, zrosniętych z ziemią stóp pełnie teraz cicho, bez ostrzeżenia, gibka puma nocy, a rozkrzyżowane, szleszczące jak trzciny na jeziorach świerszcze, przekazują okolicznym szamanom dyskretne komunikaty o stanie naszych serc, o naszych nerwowych ruchach, wysokiej przed podróżą gorączce, o całym tym rozgardiaszu, kiedy dopala się do pierwszego popiołu nie strzeżone ognisko, a my postana-

wiamy już dłużej nie czekać i zaraz po minucie rytualnego milczenia wjeździemy pomiędzy rozpalone do czerwoności ściany tajemnicy. Prosto i naprzeciw.

Skzik piórkciem

Stoi pośród milkzących, choć przyjaznych świadków we wnętrzu zatopionej pola. Zamaskowany. Jego świat to tylko pseudonimy, inskrypcje na niedogięsjszych murach i epitafia. W górze furkot zerwanych chorągiewek liści i chłód cedzony leniwie przez mozaiki wiatru.

Obojętny. Swoją głód karmi jedynie wypróbowaną, ciepłą żywicą świętych modrzewi. Nie słyszał nawet nigdy o kolorze miodu i forpocztach słońca. Radośnie obcy. Jego herbowe barwy to, śnięty ołów, czysta rdza i uparte butwienie. Mimo gromkich pokoleń nie spieszy mu się. Pewny swoich irracjonalnych racji. Swego i siebie. Ma przecież wiele jeszcze nie-przepaszczonego przez tryby zegarów czasu.

Nie odpowiada na pytania, lecz mi dobrze wiemy. Ulubiony kwiat — kamień. Zestaw słów — milczenie.

Przeprowadzka

Lary i penaty. Dmucane materace pierzyn, pod ręczne, ratunkowe wyspy, komplety domowych zwierząt i sygnalizujących Arkadzie — chorągiewek.

Jeszcze zaprzyjaźnione bibełoty z ocemianemego szkła, jeszcze idee powrotu, pierwsze i drugie skrzypce niedzielnych koncertów na cztery ręce, potrójna silna wola i wędrownie w ciągłej ucieczce portrety przodków.

Na koniec wotywne figurki z ciepłiwiegi plasteliny, przenośnie, uskrzydłone ołtarze i nieustająca jak refren, orientalna muzyka zgodnialnych aż do bliźnianego szpiku — skarbonki.

Andrzej W. Gązek

IVAN BLATNÝ

Poeta

Jesteśmy w świetnie urządzonej domu

Prababcia się starała

Na ścianie powiesiła nam wszystkie kontynenty

dała nam Globus na ulicy Wiewiórczej

naprzeciw tylnego wejścia do Teatru Starego

Teatr się nie spali

Chyba żeśmy tu jak Neron wielbili

plomieniem.

* * *

Jak tylko stwierdzą że kolejka weszła do jadalni

napisz jeden szesciowersowy wiersz

I am absolutely happy

Kupka Malarstwo absolutne

Les peintres musicaliste

Część problemów mam nie rozstrzygniętych

Bóg jest dobry ale nie może tego zatrzymać

Nigdy mi jeszcze nie było tak źle.

* * *

Wszystkie pociągi jeżdżą po tym samym torze

Bobaterskie obchody ku czci pracy odbywają się w mauzoleum

Przyjemny lęk przed nieznanym

the more cigarettes I have the more I save

them

Poszedłem na koncert tylko ze względu na Ravela

ja członek Syndykatu

Pisarzy Czechosłowackich.

* * *

Moja filozofia pozostaje ciągle

otwarta

Nie mogę postawić kropki

wszystko to tylko oczywistości, nic
nie sposób udowodnić
nawet pozytywni nie osiągnęli wiedzy pozytywnej
there should be every day
a christmas party like yesterday
Mój problem polega na tym czy mam dopalić papierosa
nie pisząc
czy też przerywać palenie pisaniem
Postanowiłem nie przerywać

I have got chocolate
Wiem że nie mogę poprosić o eutanazję

God is sometime bad
shall I cure him again?

Wczoraj rano się onanizowałem
Już nigdy nie będę się onanizować
Zapalę jeszcze jednego papierosa
i zacznę wszystko od nowa...

* * *

Wszystko mam rozwiązane
Jedzenie mnie pobudzi
It is a terrible world
terr I. BI.

Nie mogę wyjaśnić tego na seminarium
Surrealisci rozumieją.

* * *

Jest rano Wszystko na co czekam to
wieczorne proszki
Na szczęście sypiam jeszcze dobrze
ale za dnia męczę się przez cały dzień

Teraz czuję się stosunkowo nieźle
ale przyjdzie jeszcze okropna nuda czasu na tełwizję
gdzie nadbogowie nie mają innych kłopotów
niż ukazywać mi moją niższą wartość

Stworzyli mnie żeby się cieszyć
swoją nadętą boskością
którą tak dobrze widać na te mojej niższej wartości
No i wszyscy są zachwyceni tylko ja jeden nie

Zwycięsko bez bojaźni wjeżdżają na motocyklach
na moją jeźdźnię
trzymając mnie w strachu
I live in the clover of fears.

Pamięci Jindřicha Heislera

Heisler nie żyje Do kogo mam się modlić
żeby przyjął mnie do grupy Resztków
Jedynie Toyen i ja
Toi jeno

She was a romantic girl she loved you,
my god.

Rużyń

J'ai achète ma mère
zarejestrowana w Ameryce jako Meredith
George Meredith if you like

The kidnapper and the kidnapped
became friends
Ich miłość była przeogromna
jak gdyby powrócił
do tanebudy którą odwiedzał Jan Czep
z grubą kioskarą

Mysłał że jest głupia i nie ma pojęcia o poezji
W ten sposób spędził w kwarantannie trzysta lat.

przełożył Leszek Engelking

IVAN BLATNY (21 XII 1919 Brno - 5 VIII 1990 Colchester), wybitny poeta czeski. Syn znanego pisarza ekspresjonisty Lva Blatnego. Wczesnie stracił rodziców. W roku 1938 ukończył gimnazjum i zapisał się na uniwersytet w Brnie, gdy jednak Niemcy zajęli czeskie ziemie wyszł, zmuszony był przemazać ledwie zaczęte studia (dolemniska i germanistyka) i nigdy już ich nie skończył. W roku 1945 wstąpił do Komunistycznej Partii Czechosłowacji, ale bardzo szybko rozczarował się do marksizmu. W marcu 1948 wyjechał na stypendium do Anglii. Zdecydowany jest nie wracać do ojczyzny, w której władnie komunistki w wyniku lotowego gwałtu przejęli całą władzę. O swej decyzji oznajmia przed mikrofonami radia BBC. Kilka miesięcy później pojawiają się u niego objawy schizofrenii paranoidalnej i poeta musi poddać się leczeniu. Odlatuje z przerwą w latach 1951-1954 (współpracując wówczas z Wolną Europą) przebywa w brytyjskich szpitalach psychiatrycznych. Niemal przez

dwadzieścia lat nie pisze, ale około roku 1969 wraca do poezji. W 1985 przenosi się do pensjonatu dla byłych pacjentów szpitali dla umysłowo chorych w Clacton on Sea, gdzie niemal nie opuszcza pokoju, oddając się intensywniej pracy twórczej.

Debatował w roku 1937. Pierwszy książkę, *Pani Jitka* (*Pani Justyna*) wydał w 1940 roku. Następnym tom wierszy to *Melancholicki prokurator* (1941, *Melancholickie prokuračky*). Wczesne poezje, melodyjne, sugestywne, mityczne, melancholijne i mazyckie, ale jednocześnie zmysłowe i konkretne, zwróciły na niego uwagę krytyków i krytyki. Pod koniec roku 1942 stał się członkiem grupy 42 (Skupina 42), do której cywilistycznego programu, silnie nacechowanego egzystencjalizmem, najbardziej zbliżył się w *Krasno Tenio tebe* (1945, *Tw właśnie wieszę*). Prąd wyrażony do Anglii opublikował jeszcze tom *Hlasateli pitomného Jána* (1947, *W porobachom terajšieho času*), zaś samym tytułem odwołujący się do zakłonu programów grupy 42, ale narazem i do Marcola Prousta. Opublikował też dwa tomiki pełnej roku poezji dla dzieci: *Nakopane* (1946, *Na mecu*) i *Jedna, dvě, tři, čtyři pět* (1947, *Raz, dva, tři, čtyři pět*). Dzięki brytyjskiej opiekuniarce, która na prośbę jego najbliższego krewnego, dr. Jana Šmarda z Brna, opiekuwała się poezią i która wykoła jego rękopisy do czeskiego wydawnictwa *Školská Pulkashy*, mógł się po latach ukazać tom *Stará hvydlie* (1979, *Staré hvydlie*), świadczący o tym, że lityka Blatnego wprawdzie posiadała się zmieniła, ale bynajmniej nie straciła swych sily artystycznej, a nawet — dzięki niezwykłej oryginalności formalnej i odwadze w ukazowaniu najbardziej osobitych przeżyć, myśli i uczuć, domas człowieka znajdujących się w sytuacji szczególnej; przebywającego w szpitalu psychiatrycznym — stała się jeszcze bardziej intruzująca. To samo wydawnictwo ogłosiło wybór wierszy poezji z lat 1979-1982, *Pomocná Mládež* (1987, *Škola speváku Rieky*). Blatny łączy na za przestrzeni kilku wersów bardzo odległe od siebie żywota, nierużnane oprze wiotkojęzycznymi wtrętami i odwołaniami do wielu kultur, terajšiejszó spłata z przeszłości, szpitalna rzeczywistość — ze wspomnianiami z młodości w Brnie i Pradze, toteż jego wiersze mogą na pierwszy rzut oka sprawiać wrażenie lekkołowic chaotycznych. Jest to jednak chaos uporządkowany, poddany letajnej logice skojarzeń, niekiedy osobliwych, ale nie wyssykających się spławidźnoscí romansu. Najbliższej oddziałują te wiersze, w których autor ąderza ze sobą banalne detale i codzienne sytuacje oraz nagłe przerwanie wczesności, pustka, bezlitosny natrętnostw pytań ostatnich. Prezentowane w niniejszym zamyśle „Akcentu” wiersze pochodzą z północnego okręgu twórczości poety.

W naszym kraju utwory Blatnego przedstawiali jak dotąd pisma „brulion” (numery 12 i 13) i „Literatura na Świecie” (1990, nr 9) oraz i program Polskiego Radia („Poetyckie prezentacje”). W wydawnictwie „Czytelnik” czeka na publikację obszerny wybór wierszy tego niezwykłego pisarza, zatytułowany *Skolka speváku*.

L. E.

Książki nadesłane

Instytut Wydawniczy „Daimonion”, Lublin

Władysław Tatarkiewicz: *O doskonałości*. S. 65. Seria: „Wschodnia Myśl Etyczna”.
Karol Wojtyła: *Doświadczenia z miłości*. S. 105. Seria: „Wschodnia Myśl Etyczna”.

JACEK KOLBUSZEWSKI

Cmentarz w Albrechticach

EWIE

Albrechtice nad Weltawą (w Czechach jest kilka miejscowości o tej nazwie) są niezbyt dużą wioską położoną mniej więcej w połowie drogi między Tynem (nad Weltawą) a Piskiem. Od obu tych miasteczek dzieli je około trzynastu kilometrów, trzy godziny pieszej drogi wśród malowniczych lasów i wzgórz. Zschwałta taka wdrowkę prof. Veselý w 1927 r.¹, gdy jeszcze po tamtejszych drogach nie jeździli autobusy. Dziśaż też tam niezbyt ich wiele, tyle, że łatwiej liczyć na autobus, bo ludzie w tej kramie rozciągającej się na północ od Czeskich Budziejowic (tam gdzie na ślicznych łąkach Aninka Jak Wenus w wierszy Zegadłowicz — czy tylko z wierszy? — czekała na swego Wacława, gdy on przyjeżdżał z Pragi wprost z regimentu) dobrzy są i dla innych zyciwił tak, jak taborski Pan Fararz Jan Švehla, dzięki któremu szkic niniejszy mógł być napisany.² Są Albrechtice już stara, romaniśko kościół św. Piotra i Pawła pochodzi z drugiej połowy XII wieku, najdawniejszą zaś o nim wzmianka zapisana w roku 1344 r. Przebudowywany wielokrotnie, zatracił wprawdzie swój pierwotny stylowy charakter romański, pozostał jednak najcenniejszym zabytkiem architektury w całej okolicy. Od przeszło wieku nie on jednak jest jej największą turystyczną atrakcją, a albrechticki „hibitow”, cmentarz na tym miejscu istniejący bez wątpienia od chwili zbudowania kościoła, o którym zresztą nie bez podstaw można się, że został postawiony na dawniejszym miejscu — zacierają, jak to jednak z reguły i gdzie indziej było, tak i na albrechtickim cmentarzu najdawniejsze obiekty, groby i kapliczki, pochodzą dopiero z trzeciego dziesiątka lat dziewiętnastego wieku. Po groby wczesniejszych nie ośtał się i tam ani jeden ślad, co oczywiście zdziwić nie może, skoro aż do przełomu XVIII i XIX wieku (w Czechach do reform józefińskich) — możliwych tego świata grzabano w kościelnych podziemiach, wystawiając im skwapliwz kościółków pomniki i płyty grobowe, ludzi zaś nierzadko stawa grzabano na przykościelnym cmentarzu, płytko zakopując zwłoki

¹ Por.: *Staré nájezy na nábrohých kapličkách na hřbitově v Albrechticích*. Z pamětní knihy řady albrechtické vypráví a vznik jejich objasná Rudolf Kolbuszewski. S vydáním od prof. J. Veselého. Pisek 1927, s. 11.

² Historie albrechtického cmentáře referuje i wiersze z niego cytuję za wskazaną w tytule pierwszymy unkańską dń publikację, mogłem korzystać z jej języcznosłowem po odjima dzieł nieocenzurowanej uprzedności ks. Jana Švehla z Tabora oraz prof. dr. Jaroslava Koláře z Czechosłowackiej Akademii Nauk w Pradze. Objął Panowice z pomoc tą drogą przesyła wzyro prawdziwie wdzięczności za okazaną mi żywiołność i pomoc.

³ Por.: B. Gerlach, *Świętokurta słowiańska*, Warszawa 1960.

i zwykle nawet nie dbając o postawienie nagrobego krzyża. Te dawne przykościelne cmentarze mocą postanowień Soboru Rzymskiego z 1059 r. układy zmarłych dosłownie w cieniu kościoła, bowiem przestrzeń grzebalna rozciągała się wokół niego na odległość 60 kroków⁴. Gesto zapewnienia (pamiętajmy o wielkiej śmiertelności) cmentarze często zrezyrowano, by umożliwić dalsze ich wykorzystanie do celów grzebalnych (średnio ko kilkanaście, dziesięć do piętnastu lat), w tych więc warunkach ziemia mogła nie stanowić zewnętrznego znaku pamięci o zmarłym. Uznawano się w ten sposób swentia kulturowa zasada śmierci „oswojonej”, wyrażającej się w słowach „et morietur”, a więc w myśli: „umrzemy wszyscy”. Indywidualne formy kultu zmarłych sprowadzały się zatem praktycznie niemal tylko do zalecanych przez Kościół rocznicowych za nich modlitw, z czego jednak nie należy wyciągać wniosku, że ludzie w tamtych wiekach nie cierpieli po stracie bliskich i śmierć ich przyjmowali obojętnie. Śmierć traktowano jako zjawisko normalne, wręcz pospolitą, będąc naturalnym składnikiem życia, mniejsze ona zatem robiła wrażenie na mieszkancach wsi i miast, wśród których śmiertelność była bardzo wysoka przy małej średniej długości życia. Trzeba to raczej widzieć tak, że w obrębie zjawiska, które określmy mianem „kultury śmierci”, wyraźnie zarysowały się dwa modele postaw. W pierwszym z nich — rycerskim i szlacheckim — dochodziło do daleko posuniętej teatralizacji obrzędów pogrzebowych (słynne „pompa funebris”), co uwzględniano nie również przez wystawianie zmarłym okazali i zdobnych nagrobków, opatrzone długimi, starannie redagowanymi inskrypcjami epitafijnymi o wyraznym charakterze literackim. W modelu drugim, znanym nam dla ludzi niższych stanów i niskiej kondycji majątkowej, za całą niemal ekspresję stał po bliskim zmarłym wystarczyć musiała lzy, modlitwa i pogrzebowy śpiew⁵.

Pierwszy wyłom w tym porządku poczyniła reformacja, gdy inowiercze cmentarze zaczęto (w sporej przynajmniej części) wyprawać za miasta. Etap drugi, powodujący — rzecz jasna z wieloma innymi czynnikami — zmianę kulturową, przede wszystkim z pojawieniem się romantycznego indywidualizmu — generalna zmiana postawy wobec śmierci, dokonał się pod koniec wieku XVIII i na przełomie stuleci XVIII i XIX, gdy przede wszystkim ze względu natury higienicznej⁶ dokonano powszechnej w całej Europie translokacji cmentarzy do obszarów pozamiejskich. Na rozległych już przestrzeniach, często komponowanych na wzór założeni parkowych, nowe te cmentarze (należy do nich wileńska Rossa, krakowska Rakowice, warszawska Powązki) nabrały nowych znaczeń kulturowych, stając się miejscem publicznych form kultu prywatnego, a także prywatnych form kultu publicznego. Pamięć o zmarłym — teraz już wszystkich, bez względu na różnice stani i majątku, przybierać zaczęła postać zjawiska uszczelnionego nawiązaniem w idei „trwałości” (rychło powszechnie doszło do głosu złudzenie wiecznotrwałości) grobu, nagrobnej pomnika, one to bowiem wespół z krzyżem, stielą, nagrobnymi rzeźbami, stylizowanymi starami

nie (a później już coraz częściej mechanicznie powielanymi) inskrypcjami, demokratyzowały i indywidualizowały kult zmarłych. Na każdym już teraz grobie każdego człowieka pojawić się mógł nagrobek, pomnik, krzyż, wierszowany napis. Śmierć zawsze demokratyzowała ludzi, ale od tego czasu zaczęła ich demokratyzować także w ich posmiertnym losie, co sprawiło, że każdy już grob stał się mógł miejscem kultu, odwiedzin ludzi okazujących swoim zmarłym pomoc i miłość. Siła rzeczy zatem dokonywać się wówczas zaczął proces nie tyle mroźnego rozwoju, co upowszechnienia sepulkralnej rzeźby czy wierszowanej epigrafi, które jeśli dotąd znamiennie były dla wysocki kultury elitarnej, to teraz zaczęły podlegać prawom kultury, by tak rzecz ująć, masowej, a w każdym razie powszechnej. W stosunkowo krótkim czasie dokonały się wówczas nie liche zmiany w postawie wobec śmierci, coraz powszechniej traktowanej bardziej demokratycznie jako tzw. śmierć drugiego⁷. Człowiek zwyczajny przestał być i tylko widok w „teatrum śmierci”, stając się jego uczestnikiem.

Wszystkie te wielkie i głębokie zmiany miały także nieprzypadkowo istotny wpływ na modyfikację wyglądu cmentarzy przykościelnych. Podobnie jak owe wielkie cmentarze pozamiejskie (bardzo cmentarze lokalizowane poza wsią), także i one stały się wieloznakowymi i wieloznacznymi tekstami kultury o silnej ekspresji, dającej się odczytywać czy rekonstruować na wiele sposobów. To właśnie romantyczna generacja poetów pierwsza porównała cmentarz do albumu, w cmentarzach dostrzegając coś więcej niż źródło inspiracji. Każda bytynność na cmentarzu i każde spojrzenie na grób stawały się źródłem głębokiej refleksji o sensie życia, o pozagrobowym bytowaniu człowieka, o wieczności. Nocna zaś przechadzka po cmentarzu widzianym w kszycowej poświacie lub oświetlonym w najelegzniej ciemności stawała się, jak to ujmował Juliusz Słowacki, synonimem „romantycznej chwili”, dając perspektywę na rzeczy ostateczne, miłości i śmierci. Dzielił ludowe przekonanie o straszliwości cmentarza w nocnej porze, gdy wstają na nim „obozary krwi glodzie”, romantycy szczególnym bodaj sentymentem odbierali także właśnie nocne wchodzenie na cmentarz, ono bowiem najczściej otwierało wrota do zgłębnienia tajemnicy bytu i niebytu. „Śmierć to marzenie nazre najpiękniejsze”, pisał romantyczny poeta. Umierający młodo i w konfidecji ze śmiercią żyjący romantycy poeci dobiegali się czuli na cmentarzach (jak ich rzekło, nocą zwłaczka), i po całej Europie rozlały fale „pojezi grobów”, a fala ta nie ominęła także Czech⁸.

W Czechach zresztą proces owych przemian kulturowych (choć nie strictly literackich) zapoczątkowany został, jak w całym państwie austriackim, nieco wcześniej niż na ziemiach polskich, co wynikało stąd, że obowiązywały tu stosowne zarządzenia cesarza Józefa II z lat 1783 i 1784. Organizowany został wówczas zwyczaj grzebania zwłok w kościelnych podziemiach, podejmowano próby wykorzystywania zbiorowych trumien gminnych, by ciała ludzkich nie chować bezpośrednio w ziemi, lepiej i rychlej pojawiać się zaczęły cmentarze pozamiejskie, rychlej też niż w Polsce zmieniać się poczęły w Czechach wygląd cmentarzy przykościelnych.

Później natomiast i całkiem inaczej niż w literaturze polskiej uformowała się czeska (i zresztą także słowska⁹) romantyczna „poezja grobów”, czego oczywiście przyczyną była w tym momencie

⁴ Zob.: P. Ariès, *Człowiek i śmierć*, Warszawa 1989.

⁵ Zob.: J. A. Charódeńki, *Pompa Funebris. Z dziejów kultury staropolskiej*, Warszawa 1974.

⁶ Zob.: A. Labuda, *Liturgia pogrzebu w Polsce do wykładu Ryshala piostrowskiego (1633). Studium historyczno-liturgiczne*, Warszawa 1983, s. 48-56; zob. A. Fischer, *Zwyczaj pogrzebowy ludu polskiego*, Lwów 1921, s. 146-154.

⁷ P. Ariès *Essai sur l'histoire de la mort en Occident de l'antiquité au jour*, Paris 1977, s. 161. Zwracam uwagę na świetny literacki opis potopowego strudnu mezo- i neolitu się po całym Paryżu (w tym samym mijającym zechu na cmentarzach) u schyłku XVIII wieku w powieści Stokarda Pucholda.

⁸ Koncepcję „śmierci oswojonej” i „śmierci drugiego” pragnijmy za oboma wyżej cytowanymi przekami Ariès.

⁹ Wskazywać słowacki poeta Jan Holý w tym właśnie czasie napisał klasycystyczną w formie, a jednak romantyczną w tonie barokowe (turpiem odś N. Adam, opisującą stony głów ludzkich rzuconych do jakiegosi ossarium.

swiasta „młodzież” literatury czeskiej, która w tej fazie przełomu XVIII i XIX wieku oraz z początkiem XIX wieku na fali odrodzenia narodowego odbudowywała swe istnienie. W następstwie klęski pod Białą Górą (1620) stojąc w obliczu groźby zniknięcia narodowości czeskiej, narodowi budzieli literaturę zlecili zadania wręcz pragmatyczne. Chodziło o uratowanie języka czeskiego i o podrywanie istnienia narodu, stąd literatura twórczości budzieli miała charakter moralizatorski, dydaktyczny i tendencyjny¹⁰. Wynikała taka postawa z nieprzypadkowego przekonania, iż fundamentem egzystencji narodu jest jego cnotliwa poczciwość, moralność, religijność, słowem, jak to ujmował Franciszek Palacký, „bożność”, rozumiana zresztą jako kategoria rozumowa i metafizyczna. Dążenia te miały owoc, które potem samych Czechów mocno nierzwo łączyły i literaturę czeską wpędziły w kompleksy¹¹. Tendencji dydaktyczno-moralizatorskiej uległa także, obniżając przez to swą jakość artystyczną, romantyczna czeska — by tak rzeczą nazwać — „poezja grobów”.

Znamiennym tego przykładem jest ballada Karela Jaromíra Erbena (1811-1870) *Svatobít Aníle (Słudza koczarki)*, w której z dobru znajomości folkloru i ze spora ekspresja poeta ukazał zmarłego kochanka-upióra, nocnie usiłującego podstępnie zwabić nocą na cmentarz kochankę sprzed lat pozbitwie życia i duszy, by dzieliła z nim potępiency los. Kto nocą był na cmentarzu, ten wie, jak dramatycznie przejmująca może być groza i loża epizodu, gdy niewinne dziewczę w skrajnym przerażeniu chowa się do jednego z grobowców, rzucając za sobą od wewnątrz jego drzwi. Upiórzy kochanek po trzykróć wówczas stukła do drzwi grobowca, zwracając się do leżącego tam trupa: „Wstań, umrść, nahoru, ostrdź mi tam tu zóvoru”, ten zaś oczy otwiera, oczy przeciera i rozglądając się wokół, unosi się, by spełnić polecenie upióra, na co znow biada Panenka, Boga o pomoc prosząc, zakleciom zmusza trupa, by leżał. „Ty mrtvý lež a nevstañej, pan biñh ti pokoj vñej dejt”¹² — i jej modlita zostaje wysłuchana, zaklecie zaś okazuje się skuteczne, trup bowiem plony pozostawia, zamyka oczy. Nie wiadomo jednak, co by się z panienką nastąpiło, co niebachnie nocą na cmentarz z upiorem poszła, gdyby nie zapiał kur, nade wszystkie kač, gdyby się nie modliła do Boga i Najświętszej Panienki. Otóż Erben ekspresje świetnie napisanej ballady fatalnie osłabił, kończąc ją natrętnym morałem, niechętnie pojmującym dziewczęta, jak się mają noć na cmentarzu zachowywać. Jest coś osobliwego w fakcie, iż mniej więcej w tym samym czasie, gdy Erben pisał swe moralizujące (składnik prawdziwie piękne i stanowiące chlubę czeskiego romantyzmu) ballady, skromny wiejski prozoczek od świętych Piotra i Pawła z Albrecht tamtejszy cmentarz, by tak rzec, skomponował w kształt kłógi życia i śmierci — moralietu o barzo wyrazistej ekspresji i równie ostrych znaczeniach.

Niezwykła osobliwość cmentarza w Albrechtach na tym polega, że został on w swoisty sposób zaprojektowany w sensie autorskim, choć raczej trzeba by tu mówić o adaptacji, o ustylizowaniu większego cmentarza przez postawienie wokół niego zamiast plotu rzędz kapliczek ze specjalnie dobranymi napisami. Całość była dziełem jednej osoby — projektanta i autora tekstów. Rzecz, jako

żywo, przypomina słynny zbiór poezji Edgara Lee Mastersa *Umarli ze Spoon River (Antologia Spoon River. Spoon River Anthology, 1914-1915)* i jego, czasem mimowiednie, naśladowców, z tym jednak, że cmentarz Mastersa jest wymyślony, „literacki”, natomiast albrechticki, wcześniejszy zresztą o kilka dziesiątków lat, jest prawdziwy i epitafia na nim umieszczone są literackimi nagrobkami dla prawdziwych zmarłych. Rzecz więc można, iż autor albrechtickiego projektu cmentarz, będący w pewnym sensie „przypadkowym” zbiorem grobów, przyporządkował bibliologicznie dydaktyczny zbiór; uczynił z niego tekst świadomie zaprogramowany.

Suwerennym twórcą rzeczy od początku do końca (jego następcy dali wkład tak mały, że można go pominąć) był albrechticki pleban ks. Vit Ciza, który tu proboszczował w latach 1819-1854. Zostawę proboszczem w Albrechtach, zabrał on do siebie swą starą matkę (ojciec już nie żył), by dając jej troskliwą opiekę, odwiecznić się za to, że umożliwiła mu zdobycie wykształcenia. Zabrał był do siebie także i siostrę, która pełniła rolę księżki gospodyni i tu rodzina idylla na plebanii trwała do 1838 r., gdy niespodziewanie umarła siostra. W 1840 r. zmarła też i matka ks. Cizy. O tym zaś, co stało się po ich śmierci, ks. proboszcz sam napisał następująco:

Przemysłowałem od tej chwili, jaki bym stosownie do ich zasług powinienem im pomnik postawić. Pomyślałem, że tak powiem, jest to nalogowy miłośnik budownictwa (bowiem w ciągu swego trzydziestoletniego urzędowania w Albrechtach pomogłem dając pomysł, udział, radę i pomoc materialną, w postawieniu wielu potrzebnych i użytecznych budowli), przyszło mi do głowy, aby z cegieł ten pomnik na obrzeżu cmentarza w kształcie małej kapliczki wystać dla mych drogiej zmarłych. Myśl ta tak mną owładnęła, że nie ustanie, póki jej nie spełnił¹³.

Dozwał jednak rychło pan pleban do wniosku, że pojedynczą, osamotniona, ceglana kapliczka źle by wyglądała na skraju cmentarza i postanowił wybudować przynajmniej trzy takie obiekty, by stanowiły razem malowniczą grupę i namówił do współdziałania miejscowego młynarza, któremu przed jakimś czasem umarła żona, zostawiając z pięćką małych dzieci oraz wujem, któremu przed pięciu laty umarła czternastoletnia córka. Budowę zaczęto wiosną 1841 r. Środkowa kapliczka — „plebańska” — będąca nagrobkiem matki i siostry proboszcza, była nieco większa, dwie boczne odpowiednio mniejsze, ta zaś różnica wielkości oddawała na swój sposób hierarchie ważności umarłych, potwierdzoną zresztą przez przestronny układ kapliczek. Wszystkie trzy miały za góry kute żelazne krzyże, na każdej wymalowany był olejny obraz przedstawiający patronkę danej zmarłej (obrazy były dziełem malarza Franciszka Mikulý z Janina kolo Strakonice, specjalnie w tym celu sprowadzonego). Pod obrazami natomiast pomieszczone zostały mierzwanoe epitafia, napisane oczywiście przez albrechtickiego proboszcza. Nie jest to poezja wielkiego lotu, ważne jednak, że są to wiersze czeskie, poezja bowiem czeska, pojawiająca się na cmentarzach mniej więcej od roku 1825¹⁴, jeszcze na czeskich cmentarzach nie dominowała, nie zawsze wychodząc zwycięsko z rywalizacji zepigrafiką w języku niemieckim. Użycie wiersza traktować tu trzeba jednak tylko jak zastosowanie formy odpowiednio urozycięj, jak i jako wyraz głębokiej szczeroci i niezaprężonej prawdziwości wypowiedzi. Szczęśliwie ważny jest tu nie więcej umieszczony przez

¹⁰ Por.: S. Kolbaszewski, *Polska a Czeska. Zarys zapoznania kulturalnego*, Poznań 1939, s. 88-98; Magnuszewski, *Historia literatury czeskiej*, Warszawa 1973, s. 106-131.

¹¹ Zob.: F. X. Šalda, *Problem narodowości w sztuce. (J) We własnych oczach. XI-wieczny cz. zachodnio- i południowosłowiański*, Warszawa 1971, s. 30-52.

¹² Cyt. ze: *Ceska poezie XIX věku*, Wyd. Společ. českých spisovatelů, telčický „Maj”, Praha br., t. I, s. 205. W przekładzie: „Wstań, niebosczyku, otwórz mi te zawory”, „Ty mrtwy lež i ne vstañej, nech ti Pan Bóg da pokoj vñej”.

¹³ Sł. autor. — k. 2. Przekład autora artykułu.
¹⁴ Por.: *Nahrobní nápisy. Fibor ze sborky Antonína Šimona*, Wyd.í Ondřej Jutek, Týn nad Vltavou 1939.

ks. Czyż na kapliczce poświęconej pamięci matki i siostry (by ni-
czemu nie uronić z osobliwością, nawiągnąć uroku tej „poezji do-
brej woli”, wiersze cytując worygale, przykład podając w przypy-
sach):

*Ty zde prachosi Młó drahá, ja jsem žil na žitě,
vedle tebe sestra mlá, prachúte zde obě dš,
Kde mám vzít slovo dčú hodných, bych se vědčným
prokázal?*
Že i v hrobě cíím Váš obě, také skutkem ukázal?
Paměťku ten zde se svým slabým býti díkám,
Vlak on bude k vzpomínání na Váš vřelým díkám.
Co nám z něj kdy ten smrti, tak se z myslé vyvine,
Jestli pomník nepovzdá, tak paměťku pomine.
Tuto pravě na hřbitově pomník jsou potřebné,
By žítý zde pamatoval na plátele pohřbené.
Drahá Matě, milá Sestro, chci Váš mlít v paměti,
A to síce z tou nejdrážší Bohu mláv uběhni,
Typ po Bohu vše přispějí, že jsem slabá ošlité,
Že jsem vřatou vykoniáv povinností faráře,
Qtec drahý záhy vzáti, základ k tomu zlátili,
Ó, že on se stas kněžstva zyna svého nedožili,
Chci se za Váš postit, modlit a almužnu dávatí,
*Bychom v nebi mohli s Bohem pospáště plesatí.*¹³

Wyrażał tu autor nie tylko swą miłość synowską i nie tylko zademonstrował postawę dobrego księdza, zamierzającego w intencji drogiego zmarłego modlić się, pościć i dawać jałmużnę, ale dał też swoiste wierszowane wyjaśnienie roli, jaką spełniać ma nagrobny pomnik. Albrechticy Pan Farzar rozumował więc tak, że czego się nie widzi, o tym się zapomina. Rola pomnika, tak potrzebnego na cmentarzu, polega zatem na przypominaniu o umarłych. Cmentarna kapliczka stanowi więc tyleż znak, co i swoisty stimulator pamięci i takie ujęcie znamiennie jest dla epoki.¹⁴ Moralny sens tych słów wskazuje zatem na fakt, iż nagrobny pomnik w kształcie kapliczki jest zachętą do modlitwy. Było to najwęższe przesłanie wynikające z wiersza: za swych bliskich zmarłych trzeba się modlić. Z kolei z wiersza umieszczono go w kapliczce nagrobnej mlynarzewej, która ostercioła picioro dzieci, wyznikała nauka, iż trzeba zachowywać przykazanie nakazujące miłować i czcić ojca swego i matkę swoją, wiersz zaś w kapliczce upamiętniającej nieletnią córkę wójtę pouczal, iż dźiaki słuchac mają swych rodziców, ci bowiem wskazują im dobrą ścieżkę drogę, jako że symbolizują Boga i bliźnich. Jest to wierszem sposobem zyskania sobie zbawienia. Wiarygodność tego przesłania umacniał na owej kapliczce fakt, iż wiersz był ujęty jako monolog

¹³ *Staré nářky*, s. 4, nr 2. W przekładzie: „Prachniejsza tu, Matko droga, ja jeszcze żyję, obok ciebie miła siostra miła, prachniecie tu oba. Ślad mam wzięto słowa godnej wdzięku, abym się wdzięcznym okazał? I w grobie Was częć takie rozszwieleć ukazał? Pomnik ten ślaby jest, nie odosł, nie będąc w życiowym nakazem pamięci o was. Co miła same z cment. uszka też i myśli. Jestli pomnik jej nie przywoła, pamięćka zginie. Tu właśnie na cmentarzu potrzebné są pomniki, by żywy tu pamiętał o pogrzebionych przyjaciół. Droga Matko, Droga Sistro, choć was mić w pamięci, A to po prawdzie z tu najdrážší Bohu ofiara. Typ po Bohu pierwsza przyczyniła się do tego, że jestem słabý ošlité, Že jestem w stanie vykoniáv obowiązkú proboszcza. Qtecé drahý záhy vzáti zahany pokój do tego podawá, Ó, že on chwili zostává kšiedčem przez vřatú mláv nie dożyje. Chci se za vás, modlit se i jałmužnu dávat, Bylym v nebi mohli s Bohem plesat plásat.”

¹⁴ Por.: I. Opacik, *Pomník i wiersz*, (w:) L. Opacik, *Poezja romantyzmu cz. przełom*, Wrocław 1972, s. 67-105.

zmarłej; w części pierwszej stylizowany na pogrzebową orację dziękczynną (jak wiadomo, wygłaszana zawsze w imieniu zmarłego) skierowaną do rodziców, w drugiej — przemowę skierowaną do innych dzwicznynek, również zmarłych.

Zanim jeszcze budowa tych trzech pierwszych kapliczek została ukończona; chcąc zbudowania podobnej dłu zmarłej żony wyraził albrechticy nauczyciel Matěj Kuběček, w ślad zaś za nim pozostał jeszcze jeden z wierszków. Ponieważ do kompletu „złożony” brakło kogoś trzeciego (wydawało się wówczas księdzu proboszczowi, że w układ trójkowy daje najlepszą kompozycję przestrzennego układu kapliczek), przeto własnym sumptem wystawił kapliczkę trzecią dla niejakośowej białackiej-złobracciej, będącej na utrzymaniu wsi. Sens moralny owej fundacji zasadził się na koncepcję dobroci ludzi wobec siebie, uznał więc fundator, iż słusne jest, aby biedak spozął między bogatymi. Muza albrechticygo Pana Farzara zwróciła się tu na poziom najwęższy; tworząc obraz poetycki nieszczyśle, jakie było udziałem nieszczyślego krowej, odwołał się on do doświadczeń eschatologicznej poezji barokowej:

*Život lidský je pln bdy, bohu, tełu a strasti,
čá osudná Mláv jest v něm dob radostných, mláv plešú a slasti.
Na hřbitově tu spočívá nestátnice velikú,
člověku i Skrz dlouhý čas v ovevání vřtěpěla zde muka.
Z nestátnosti rozasobené nastápro ni hrozny křtí,
Bohu vzápřé povědomo, jaká byla jeho žití,
Skrz dvě leta neustále lžsko bolá hřídala,
Až na nohy i pak ruce docela ochromila.
Z noh schromělých nepřestalo smřně mas padati,
A z nich bylo vřžděti holé kosti viděti.
Obřtěl jí strigovpina skoro celý pohřbá,
K rozmoženi její bdy i žleptu přibřbá,
A přeč srdce zdavě bylo v těle její až postit,
Množstvíráte nebyřlo hřad zahnati čim odřit.
Kožé jste jí v její bide gdy co dali laskavé,
Třískřtř zpěcné bude vám v nebeské tam slávě.
Hřodpřokú, lakotě, vřetómě vřelky,
Zbledně se tu v tom obrazě, ber si z něho nauky!*¹⁵

Może się na pierwszy rzut oka zdawać, że ten nagrobny wiersz ks. Czy bliższy jest do poprzednich tak poezji Mastersa, jak klasyczny epitaefion, eksponuje bowiem wyraźniej biografie bohatera, ukazując tragizm jego przeżyć. W istocie jednak autorska koncepcja bardziej przypomina praktyki homiletyczne: los gnijący za życia zebrańczy stanowi tu exemplum — przykład, z którego wniosek wyciągnąć powinni przede wszystkim ci wspany, którzy się nad maleduczyński wywyższają, mniłują marności świata i żyją sobie lekko. Obraz tego życia jest bowiem dla nich nauką, iż co — biblijnie — dane będzie ubogiemu, to ofiarodawca tysiąckroćneto otrzyma, szłaću na niebie. Ns człowieczy, widziany jako ciąg biedy, bólu, zła i trosk, jawi się

¹⁵ *Staré nářky*, s. 5, nr 6. W przekładzie: „Życie ludzkie pełen jest biedy, żalu i trosk. Młavo w nim dob radostných, młavo tafú i zřevolání. Na cmentarzu tu spočívá wielká nistátnice. Która przez dlhý čas v ovevání vřtěpěla wiele muk. Z nistátniečnosti maleducista zrobit se dla své gřodny křtí. Bogu najpřé wřdómě, jaký byl jeho čitř. Přez dvě leta nistátniece lžala w hřídalu. Až na nohy i na rce cakřem ochromila. Z chřodných nš ne přestalo žněnie mšle podát, až bylo w něm vřřelnie gdy kóže wřdát. Právě tak je obřtěl pokrřty strig, aby pomozně jej nřdřé, dořleřy si žleptu. A přeč srdce zřdavě bylo w těle její až dořit. Wřdřokřtře mš mřša cřym zaspořko gřodu. Vy, ktřřy w její bide dšleřie je gdy laskavě, Třískřtře bžtře tu wám odřbčecne tam w nebeské chwili. Žaromřčecne, lekčoduču, wřelaki mšlómú světu, přeřřejr si w tym obrazě, věd z něho nauky”.

w nim przede wszystkim jako pretekst do nauki moralnej. I ta postawa moralizująca patronowała autorowi wierszy we wszystkich nagrobnych utworach, jakie pozostawił po sobie na albrechtickim cmentarzu.

Poniżej mieszkańcom Albrechtic pierwsze kapliczki bardzo się spodobały, zrodziła się przeto wśród nich myśl, aby podobne postawić wokół całego cmentarza, nadając mu w ten sposób swoiste obramowanie. Można zresztą nie bez podstaty sądzić, że to proboszcz mieszkającym Albrechtic te myśli podsunął, on to bowiem wydanie otrzymał zaniechane przez niego dalszych prac, na swój koszt biorąc przycyśnięcie malarza i wspomagając biedniejszych. Owego zaś zainteresowanie rodło tak szybko, że doszło nawet do tego, iż żywi sami sobie zaczęli posmiertne kapliczki już za życia przygotowywać. Po czterech latach było owych kapliczek-pomników sześćdziesiąt, co diametralnie zmieniło charakter cmentarza i uczyniło z niego księgę życia i śmierci. Gdy do pełnego otoczenia cmentarza brakło jeszcze około dwudziestu takich obiektów, proboszcz znowu sfinansował budowę kilku dla biedaków i pożyczął pieniądze na niski procent, by mniej zamożnym umożliwić realizację swego zamierzenia. Po pięciu latach cały cmentarz był już otoczony owymi budowlami. Dalej, taras kapliczki pojawiły się pod ścianą kościoła, wśród nich zaś wyróżnił się większy zbiorowy pomnik poświęcony pamięci albrechtickich księży, większy od innych, mający około 33 sążni wysokości i zamiast żelaznego — krzyż polczany. Wiersz na tym grobie dla byłych i przyszłych pasterzy albrechtickiej owczarni przeznaczonej stanowił swoiste „exegi monumentum” księdza Cży, zdradzał też najjaśniejsze intencje twórcy owego niezwykłego cmentarza. Pisał w tym wierszu ks. Ciza między innymi:

*Ystavljen jsem na hřbitově Vám počtu zahrada
Di ni kvitka vonných sadůl z srdce mého pokladu.
Kvítka tyia oblíbená sobě spřisla, vznešeni,
Kjé by Vám všem zasvětil, nežly užitéhojny.
Nebo jenom k tomuž cíli jsem též práce podléhal,
By cti žhoucí, spásaným, srdce Vaše pronkhl.
By jste, tčouce ty náipny, na zemle poměli,
Při tom sobě svou vlástinu smrt žive připomněli.
By jste hříchů se strěšili, státnice nikdy užeteli,
Za mrtvé se modlíte, s nimi v nebi shledali.¹⁴*

W świadomych więc autorskim zamierzeniu albrechticki cmentarz stał się swolistym — autorzył tego słowa — ogrodem pouczenia, w którym wonne kwiaty moralnych przesłań, płynące z serca twórcy — księdza — pasterza, podobac się maja wszystkim, mądrym i prostakom. Tak „organizowany” po literacku cmentarz miał wprawyż przypominac zmarłym, ale główna jego rola było dostarczanie dobrej nauki. Ze za miara prawdziwie użytecznego pouczania jest jego uniwersalność, przeto twórcą owego cmentarza i zarazem autor wierszy o nią właśnie zadbał szczególnie.

Szczególnie bowiem znamienita cechą tych albrechtickich epitafów jest to, że zostały one całkowicie pozbawione części onomatycznej

nej w sposób całkowicie indywidualny identyfikując danego zmarłego (gdzie o dane biograficzne zmarłego, umieszczane na jego prawdziwym grobie, znajdującym się w środkowej części cmentarza i zapisane w księgach parafialnych). Bohaterem wierszy ks. Cży był człowiek jako mościel pewnego losu, nie zaś jako skłonyżystowany przez imię i nazwisko osobnik. Mamy tu do czynienia ze swoista typologią uogólniającą, dokładnie taka sama, z jaką spotkac się można w zbiorach pieśni pogrzebowych, zwłaszcza ewangelicznych, w których wizerunek można pisać poświęcone zmarłym księgom, naukowcom, matkom, dzieciom, żołnierzom etc. W wypadku pieśni pogrzebowej konkretyzacja dokonywała się przez odwołanie się na pogrzebie danej osoby; formułi uniwiersalnego owego mościel życia, zdefiniowanego przez status społeczny, wiek, czy zawód, niejako „odnajdywała” w kondycji danego zmarłego, w jego losie, życiu, działaniach istoty sensu jego życia. Tak bylo na przykład w pieśni śpiewanej „przy pogrzebie naukowca”:

*Nač jež pletyžymka si skočilyza, godina ci uderyla,
Viduo smrti naučilyz mily, trumpe dčadi obstarly, placu, ze čtę
utracily — utracily, ze svojej vsykzylj sily.
Tyš do ichu ostavilno pínaluv urzedu čim, niceš Ci
ob smrti. Bóg do zaplate, Tyš pracoval ve dne, ve noce, šle dale
ob smrti. Naukú dia dočezného žyvoita i dia všicného štátu
ovčarilnoš, dčadit každemu. Naučeval je troskiline, co sa pínave
jeť (ni) — pravilke Bohu, sobie, Mlženiu.¹⁵*

Ksiądz Ciza koncypując albrechticnie wierszowane epitafia postąpił tylż podobnie, co i odwrotnie: los konkretnej jednostki uogólnił, konkretny człowiek stawał się dla niego obrazem człowieka uniwersalnego, jego zaś biografia stawała się obrazem losu człowieka, a przez to mogła być pretekstem do umoralniającego nauki. Znamieniem tego przykładem jest wiersz *Na vylstulitých kanovniar*. Niewzaje jak on się nazywał, nie miał lat, czym był synem i jakie były jego losy poza pewnym epizodem, najważniejszym zresztą, życia, który stanowi dla autora punkt wyjścia do moralnej nauki:

*Zde spčivta vylstulitých invalida kanovniar,
Prosti Bonapartu valiti, by vydobyl svéta mir.
Z bucharons strne houkal na sveho nepřítelce, na ogryz
Udatine si počínaje dčadit plavě na šele.
My jsmo ršicki bojovníci, nepřítel naš morní dost, nepřítel
Kdč ho nezná, že jest to svatý, vstánuť a žit dčadit.
Proti tčimto nepřítelům nespšobná štělvá, vstánuť
Žádná kula, žádná dčka, ani užné olovo, ani plyn
Často jsem jsi v stralné bídě své odprace pomohl, na ve
V páč s temi nepříteli žit na své štělvě, vstánuť
Nepříteli jest, vřtje, jen zbraň, na ně šosté brnění,
Přátř modlitba a abůzná, k tomu pravě pokání, štěstí
Až uchněp se žit zbraní ja ubohý kanovniar,
Tepř počtil jsem v srdci z sebou, s Bohem pravě ml.¹⁶*

¹⁴ Nabelizovan žalobae zaslužující pieśni pogrzebowe (imoditvy za duše zmarłych nerek), wjktje: křitek přez Zaverčizské duchovního soudy 1845, s. 41.

¹⁵ Štore nářky, s. 18, nr. 172. W prakázitě: Tu spčivta vylstulitých invalida kanovniar, Wělcj přezivco k Bonapartemu, by dčal vřtiti pokój. Z smrti strážilve hukal na sveho nepřítelce, vřtje: vřtje počínaje, domal ran na čelo. My jsmo ršicki bojovníci wřepříteli, nepřítel naš jest dočivo, Któri ho ne zná: to jest vřtje, zbraň i šta škobnitě! Přátřv tomu nepřítelce dčivo si pomagá štěstím, žádná kula, žádná dčka, ani očík olovo. Čestem ja v stralné bídě nepřítelce přezmřel. Ale ulegem v srdcu z tymi nepřítelceci na šviec. Najlepša jest,

Na takiej właśnie zasadzie albrechtlicy cmentarz stał się księgą uniwersalną — moralitetem mówiącym o wszystkich i do wszystkich.

Nie dziwnego, że rychło stał się sławny. Pierwsze o nim artykuły w czasopiśmie pojawiły się już w 1846 r., późnij liczba publikacji rosła. Po śmierci plebana Cizy, który obłożył 97 epitafiów umieszczonych na kapliczkach (procz tego był autorem dziesięciu jeszcze takich wierszy pozostałych w rękopisie lub umieszczonych na innych cmentarzach), niewiele się na tym cmentarzu zmieniło. Za czasów jego następcy ks. Franciszka Touška, doszła tylko jedna kapliczka, za proboszcza następnego, dra Josefa Záruby (1913-1921) — dwie. Narastał natomiast problem konserwacji cmentarza.

I o tym twórcą owego dzwignego zbioru kapliczek pomyślał. Sam zgromadził i ułożył na dobry procent stosowaną sumę przeznaczoną na renowację kapliczek, gdy zaś ta okazała się za mała, usiłując myśleć kapitalistycznie, sadził, iż cmentarz mógłby sam na siebie zarabiać i posiadał między kapliczkami owocowe drzewa. Zysk ze sprzedaży owoców miał być obracany na remonty, rychło okazało się, że drzewa zmarzały, bowiem, jak to zapisano w księgach parafialnych, cmentarne czerwie podgrzyzły korzenie, drzewa uschły i szukać trzeba było innego sposobu, którym było — znów — wyasynowanie przez ks. Cizę większej kwoty. Wystarczyła ona na zachowanie kapliczek, obrazów i napisów w dobrym stanie aż do końca XIX wieku. Późniejsze ich losy różnie się układały, nie to jednak jest przedmiotem niniejszego szkicu. Faktem jednak, że w roku 1980 w renowację kapliczek, obrazów i napisów ministerstwo kultury Czechosłowacji zainwestowało poważną kwotę 180 tys. koron, ale też dopiero w 1979 r. władze czeskosłowackie zdecydowały się na uznanie tych obiektów za zabytek.

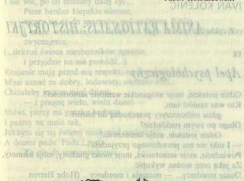
Albrechtlicie epitafia ułożone przez księdza Cizę wykazują sporo związków z tradycją poezji barokowej (zwracali na to uwagę Mukałowski²¹), czemu trudu się dziwić, tylko bowiem w religijnej poezji barokowej mógł ich autor odnaleźć odpowiednie wzory. Barokowa szata słowna stanowi jednak bodaj najmniej istotną spośród kilku sfer znaczeń tak całego cmentarza, jak i owych wierszy. Widzieć w nich bowiem trzeba przede wszystkim z jednej strony przejaw tyłuż chrześcijańskiego poczucia odpowiedzialności pasterza za swe owieczki, ile ważny znak zejścia czeskiego odrodzenia narodowego do poziomu codzienności czeskiego życia. Jak się rzekło, ważne to bardzo, iż owe wiersze pisane były po czesku przez czeskiego księdza dla Czechów. Moralizatorów ich ton tyłuż był chrześcijańskim nawracaniem zbłąkanych, ile patriotycznym wkładem skromnego wiejskiego proboszcza w dzieło budowania czeskiej narodowej tożsamości — tworzenia narodu jako zbiorowości ludzi moralnych, uczciwych, świadomych wartości życia i celu tego życia. Z drugiej zaś strony kształt owego cmentarza i jego ekspresja są wyrazem tych przemian, jakie w sposobie traktowania śmierci i cmentarzy dokonały się na przełomie wieku XVIII i XIX. Moralizując, bo tak nakazywała mu jego konfesja i tego od niego oczekiwali filozofia narodowego czeskiego odrodzenia ks. Vít Cizy dawał wyraz nowej wówczas zupełnie antropologii pamięci, którą pozwalała i każe myśleć i pamiętać o każdym człowieku. Ow wiejski proboszcz Albrechtic pojął bowiem, że los i śmierć każdego człowieka są wyrazem istoty całego człowieczeństwa. I dlatego ważne jest, że to, co Edgar Lee Masters zrealizował w „Jickynym” zbiorze wierszy, będącym literackim

wiersze mi, ta broni i zbroja w postać posu, modliwy i jhmnyu a do tego prawdziwe upokorzenie się. Ai schwytywoy się tej zbroi, i obójg kanonism, teraz w arca swym czaje pokój za sobą i prawdziwy pokój z Bogiem”.

²¹ Por.: J. Mukałowski, *Wśród znaków i struktur*, Warszawa 1970, s.84.

substitutem cmentarza, on — albrechtlicy proboszcz nad prochami autentycznych zmarłych wpisał w ekspresję prawdziwego cmentarza, który uczynił zwyciężycią księgą życia i śmierci.

Jacek Kolbuszewski



Adam Fiala: Dzień św. Walentego, rysunek, 1989; *zbiórki* 1981

IVAN KOLENIČ

Z cyklu *ANIMA RATIONALIS: HISTORJKI*

IX

Apel psychologiczny

Gdzie jesteście, moje aroganckie wzniośle samotności?
Kto was zaniósł tam,
gdzie nieboszczycy przechodzą do historii
Długo po swym rozkładzie?
Gdzie jesteście, moje samotności?
— I nikt nie ma prawdziwego przyjaciela —
Powiedzieć, moje samotności, moje mości głuchoty, moje niemyoty,
Za jaką cenę można wyciupić
Duszę mordercy... — mazgają i mordercy... (Hohe Herren
von der Akademie!)
Wy moje samotności,
Jak was zmusić, zmysłowe, zakrzywane, byście wykrzywały
Swoją pogardę dla wynędzniałych i podbitych?
Jak was okłamać?
— I nikt nie ma prawdziwego przyjaciela —
Wycyłem w sobie włóczęgę.
Osiadł w małym domku z ogrodem i trzema pawiami,
Przygotowałem do druku swój rękopis,
długą, sentymentalną powieść
z prosiutką intrzygą i kradzionymi pomysłami.
A was nie ma...
Gdzie jesteście, moje dobre, moje rzeknie samotności,
Co za kretyn podwędził was wczoraj o północy
I teraz wali głową o mur — oklamany, oszukany?
Chciałybyście poszarpać nerwy mazgajom?
Chciałybyście wziąć się do rzeczy jak ludzie honoru?
Chciałybyście znaleźć swoich urtaonych zmarłych?
O, samotności moje, samotności...
— Nikt nie ma Nikt nie ma —

X

Niejaka pani Nana

Jej czas stracony jak morderca na krześle elektrycznym;
Jest tusta, miękka, mała i przesadnie dzika,

próbuje chyba, zagłuszyć obłęd panieństwa —
Krzykami, bębniami słów, patetycznym humorem...
Nazywają ją Caryca,
Jest Gruzińka, dobiega trzydziestki
I nie wie, po co miałyby dalej żyć...
Pisze bardzo kiepskie wiersze,
męczy się aż do spazmów nad rodzinną Biblią
i mam wrażenie, że nawet w boga wierzy tylko z przy-
zwyczajenia

(...lekkro świeca niezbożników zgaśnie,
i przyjdzie na nie powódź...)
Rosjanie mają przed nią respekt, co Europejczyk
Musiał uznać za dobry, lodowaty, okrutny żart...
Chciałaby jeszcze mieć dzieci.

— I pragnę wietu, wielu dzieci —
Mówi, parzy mi gorzką herbatę
I patrzy na mnie tak,
Jakbym się tej świętej misji miał podjąć ja!
A deszcz pada. Pada i pada.
To nie do wypowiedzenia.

XI

Stara legenda

A w domu ze ślepyimi oknami
Z drzwiami poobthukiwanymi paszczą miedzianego lwa,
Któremu z gorącego nosa wyrosła miedziana obręcz,
W domu ze ślepyimi oknami mają jedwab
Rozwieszony na ścianach jak bożyszczą, lekki jedwab
z ciemnym deseniem.
Zakrywają nim szlachetne — o — pajęczyny,
A w domu ze ślepyimi oknami
z drzwiami poobthukiwanymi paszczą lwa,
W domu, gdzie mają na ścianach jedwab,
bywa żółta pania ze swoją chorą córeczką.
Grają w pokera i w domino i jedzą na kolację mięso jelenia.
W domu ze ślepyimi oknami,
W którym żółta pania karci swoją śmiertelnie chorą córeczkę
Soczystymi ekstraktami, mocną kawą
I winem porzeczkowym, wonnymi maciami z Iranu
nacierają mi skaleczone nogi...
W domu z drzwiami poobthukiwanymi paszczą lwa
nazywają mnie szlachetnym — o — gościem...
Zbiera mi się na płacz.

Panem et circensibus

„Milość — wolasz — miłość”
 Jak wtedy, gdy spotykasz starą znajomą
 I jednym zdaniem jej wyjaśniasz,
 Ze twój elegancki garnitur z wąskim czarnym krawatem
 I świetnie przystrzyżone włosy to tylko wymówka,
 Ze ciągle myślisz o tym i o owym, o tamtym...
 Jej mdła arogancja zapiera ci dech, kiedy ledwie
 Dostarczalnie, ale wyraźnie, bezbłędnie macha ręką,
 Ze to wszystko już dawno zszedł z trybu.
 A przyszłość jest niejasna!

XIII

Niejąka pani Anna

Sensem nie jest już dla niej piękno,
 Wznioślejsze niż wszystko piękno, oczy ma niepewne,
 a twarz okrągłą jak stalowa lufa,
 albo jak rosyjska wdowa, delikatny uśmiech
 pojawia się na jej wąskich wargach
 jeszcze nie umalowanych. (Wychowała sześcioro dzieci,
 przy ostatnim omal nie umarła...)
 Patrzcie, moje bestytki!
 Plaski, niemieszczalny świat.
 Jabłko gnijące tam, gdzie mleczko zanurza się w soki
 Ciemniutki różki wiosennej osy.
 O tak, to jest powód, żeby nawet nie drgnęła,
 kiedy śmierć jej potakuje jak wzorowa matka.
 Plaski i niemieszczalny świat.
 Jak żabka przez pomyłkę przeskakująca
 płamę oleju, model bezbrzeżnego jeziora,
 Zarwanie szybują nad Europą.
 Przed zabicie przystaje
 Niz po zabijaniu.
 Podnicu mnie, że mógłbym stać się świadkiem...

XIV

Stara legenda

I
 W domu ze ślepych oknami (zbiera mi się
 na placz...) mają na ścianach
 Jedwab, od samej delikatności delikatniejszy jedwab...

— Nie będą żyła długo —
 śmieje się córka złotej matki.

— Zaspiją mnie jedwabiem, jak księżniczkę
 Nieś będą przez bezdźwięczną, ciłą, ciemną noc.
 O — zbiera mi się, zbiera mi się na placz.
 2
 W domu ze ślepych oknami, tam,
 Gdzie czarny pajak jaśnieje jak słoneczne oko boga,
 W tym domu-niedomu
 Już nigdy nie wymówię słów Iść i Być.

XV

Parenesis

Bywają takie noce, gdy udzwońciewi duchów powraca
 z mgieł sprawiedliwych —
 Z bogatym łupem za pasem.
 Oko jednej z tych zdobyczy
 Rozzucił po ulicy obrzydliwe prosiątko.
 Myśliwy ma nadzieję,
 że spokta ta senna nocą
 jakąś nieszkodliwą ofiarę.
 Ale jego wierny pies czatuje w domu na każdy dźwięk,
 Kawalek spalonego mięsa uwiąził mu między zębami.

XVI

Introspekcja

Mam przenośny telewizor,
 Pudelko dobrych papierosów (MARLBORO)
 i tomik szalonego pana Eliota.
 Ktoś wali w moją szybę,
 kiedy przedzieram się przez stary hymn z tej książki...
 To listonosz albo gliniarz, albo moja matka...
 Mam na sobie białą koszulę,
 Wytorną nową marynarkę. Nogi mam, ot, całkiem bosc
 i nie nie zmusi mnie, zebym wstał i otworzył...
 Ale rano... — i tak skoczę na poręcz,
 zadzwonię na komisariat
 i wyślę piękny telegram do matki!
 Pan Eliot, jestem o tym przekonany,
 Uczyniłoby to samo.

Niejaki pan Stevens

Bank przyjmuje czeki
 jak maszyna do kawy zmielone drobnie.
 Prostytutki obserwują szyć w drzwiach, zabezpieczonych
 Wspaniałym systemem alarmowym —
 Krótko a dobrze,
 Ich nieme dzieci idą po krwawym tropie, półmartwe
 I półganie. Nie biorą ich poważnie, ci panowie
 W wypucowanych smokingsach, te niebieskie ptaki...
 Zniszczony wygląd,
 Za bardzo umalowana, sztuczna piękność kaleczy ich drogę.
 Pan Stevens, mężczyzna, zatem człowiek bez interpunkcji,
 przechodzi obok dziecinnego wózka jak obok urny,
 among twenty snowy mountains,
 the only moving thing
 was the eye of the blackbird.
 Spełnienie wszystkich pragnień
 Wynika z nalogu zapamiętywania szczegółów.
 Tytoni fajkowy rozpuścili się w noc,
 Oko wycięto i dusza jest martwa.
 Jakis fachman dostał się pod skórę laserowym
 bezpiecznikiem, a kurwy z nocnej knajpy (na pięknych
 wielkich motorach, białe tego ranka jak rosa)
 podziękowały komuś za uwagę...

Aszera

Twarda i sprawdzona,
 wysterczająca nogę wprost na tłumok świata,
 dawno nieżywa, nieżywa,
 użyta jako onuca, jako złoto
 w ustach.

Patologiczne rozwijanie

Także wiersz może być jakąś ewentualnością;
 Żeby się wypowiedzieć, dobra jest każda możliwość.
 Dwie kobiety, łepkie w kroczu,
 ciągną długą nic rozmów.
 Jedna z nich, kiedy przechodzą koło mnie
 (w istocie słyszę ich głosy za sobą —
 muszą mnie więc wyprzedzać...).

Ślizga się przez chwilę spojrzeniem
 po moich włosach, po moich długich,
 nie umytych włosach...
 A mnie w tej chwili,
 co prawda z całkiem innych powodów,
 Ogarnia lekkie chłopięce zawstydzenie,
 Muszę sobie zapalić.

Robota

Praca mnie uspokaja,
 dlaczego to ukrywać?
 Praca dodaje mi siłę; metafora,
 akcent, efekt, niejasny rytm,
 Niejasny system, niejasna zasada.
 Praca mogłaby mnie zaspokajać.

Niejaka pani Larysa

Piękność na modłę lat trzydziestych
 Bransoletki, pełne brunatne piersi, szerokie biodra.
 — U Tołstojego wyglądało to inaczej —
 mówi — albo taki Malamud...
 Powiedziałem jej,
 że u siebie starałem się traktować robotę inaczej,
 u siebie słowami się bawię...
 — Sztuka współczesna przeżywa kryzys... u was jak...
 Gospodarka... 1968... —
 Spytalem, czy nie chce się ze mną przespacerować.
 — Erenburg wyluz się z tego swojego żydostwa, malami...
 Czarna kawa kipiała,
 a cytryna dostała zapalenia od kwasu.
 — Nie, nie, Czechow tego nie napisal albo...
 Jej życie wyszło na kość,
 Nikt nie przekona mnie, że jest inaczej.
 Nie ma uroku, a seks wydaje się jej mroczną herezją.
 Sypia długo a kroczem ma słodkie i kleiste.
 Uczucia chytrze z niej wycisnęli,
 i śmierć jej nie dotyczy. Jest miłkniwa i zła...
 — a ci dzisiejsi eksperymentatorzy, mam ich po dziurki w nosie,
 duzo gadania, programy i na tym się kończy... Ale Puszkina...
 Los się nie śpieszy; nie zamierza wyciągnąć mnie
 z tej nieprzyjemnej sytuacji,
 gdy razem oglądamy świt nowego dnia. —

Modyfikacja

Dokąd to się kierujecie,
Moje nieprzychylnie myśli...
To w jesteście ową odmianną subtelną i beczelnością,
to znaczy elegancji, jeśli mam to określić precyzyjnie,
która wrażliwe kobiety potrafiła docenić.

Ignorancja jako forma

1

Nie, już nie odwiedzaj mnie ci, w których żyłach
krąży niestrawna krew, spieniona galaktyka...
Nie należę do wybranych...
Wracam sam, pusty, zaczynam zawsze tam,
gdzie oni stracili cel. (stały, a, e — I) fest; 2) zob. stać;
(stała placu — fixes Gehalt...)
Jacy byli silni, jacy piękni,
Buty z najlepszej skóry podarowali im
Ostatni z bogów. Popijali francuskiego szampana
Z damskich pantofelek, wieczerali z księżętami...
Jakże teraz wyglądasz, mój stary?
Twoje niskie czoło, twoje kopytka,
penis, co po ziemi się wlecze.
Nie, dzisiaj nie trzeba się ciebie bać...

2

U młodej panny tuż, tuż po dwadziestce,
U panny obyczajów bardzo naturalnych do północy
Rozpamiętałem swoje nieskrwane namietności:
„Forma, mademoiselle, to pewna możliwość, szansa, żeby
krzyżeć!

XXIX

Narzucac się z całą brutalnością...
Spuścić wzrok i wybuchnąć cynicznym rechotem,
zab płodnym samcem rewolucji...
Deszcz sączył się na dziecinne piaskusy
Jak dobrze wychowany elegant, jej wąskie lydki
I falujący biust, trzaskające włozy,
Uroczy brząkot bransoletek...
U młodej panny tuż, tuż po dwadziestce
Rozpamiętałem swoje nieskrwane namietności:
„Mieć czas to znaczy wykorzystac każdą sekundę,
moja miła, arcydzieło rodzi się
jak człowiek — najpierw jest instykt, przyciąganie, bę

koniczność. Po paru chwilach
cielesnej burzy nadchodzisz czyn,
działanie, praca... Rozumie mnie pani? A w końcu
pojawia się rezultat...

Dostojewski twierdzi, że w istocie
ani jedno dzieło nie jest dokończone,
nie istnieje absolutna doskonałość.
Talent jest przekleństwem..."

— Ech, Koleniś — szepnęła — strasznie mnie pan nudzi...

Bestia immunda

Świat skurczył się do rozmiarów lśniącej misy z owocami —
pestki, miąższ, zielony listek.

— Poziomka — krzyczysz — poziomka!

— i wkładasz ją sobie lufa do ust.
Krucze ciasteczko na ziemi i złamana zapalka
Uświęcona czarna, zwęglona główką
Służą temu zdraździemu celowi.

Nagle zaczynam się bać, że mnie przeżyjesz.

Nawet w tym jestem egoistą!
Po paru latach zapomni się o milkiwym
Provokatorze, który miał szanse,
Możliwość sukcesu, szacunek.

Silniejsi zajmą pozycje.
Kto mnie potęmi obroni tam,
Skąd nie da się zatelefonować,
Skąd nie da się wysłać telegramu: POWRÓT MOZLIWI STOP!
gdzie nie ma nic,
Nawet ratunku w samobójstwie — — —

Przełożył Leszek Gęgliński

IVAN KOLENIĆ (ur. 22 I 1965 w Zvoleniu) — współczesny poeta słowacki.
Ukończył średnią szkołę artystyczno-przemysłową w Bratisławie. Obok poezji
opracował malarstwo. Wydał tom wierszy *Próchno bierku* (1986), *Przymieszone przez
burzę i Rock and roll* (1990). W Polsce jego utwory — część cyklu *Antena rationale:
Historyki* — publikowała „Literatura na Świecie” (1991, nr 3). Przetłumaczył je
również swoim słuchaczom program I Polskiego Radia („Poetyckie prezentacje”).
Wiersze drukowane w niniejszym numerze „Akcentu” pochodzą z drugiej książki
poety oraz z miesięcznika „Słowackie pohady” (1989, vol. 104, nr 6).

DUŠAN TARAGEL

„Rola pisarza w społeczeństwie”

Rudolfowi Slobodowi

Ciemna letnia noc przylgnęła do ziemi, jak gdyby chciała uchronić ciepło, które wiaśkiło w mury domów, w kamienie i drogi.

W karczmie się świeci; przez otwarte okna powiewa delikatny wiaterek i wlatuje ufnie robaczko. Wewnątrz światło żarówek, wrzawa, dym i dźwięk szklanek, na dworze zgarbione postacie stoją w szczeliny asfaltu. Drzwi się otworzą i przypływające głosy poruszają gościa za sobą. Ten postoił, potrząsnął papierosa między kciukiem i palcem wskazującym, zmrużył oczy przed dymem. Przytapia go tak, jak należy: podadzą rękę, poklepią po ramieniu, poczęstują papierosem. On przeczeka słowo-koła, niby co słychać i już się ustawia w kolejce przy ladzie.

Mężczyźni stoją, siedzą, w rękę trzymają szklanki. Bawią się, mają sobie dużo do powiedzenia. Roztrząsają problemy, opowiadają historyjki, od czasu do czasu któryś nawet pieśń zaśpiewa: „Ech, życie... i tak dalej.

W kącie karczmy, bokiem do lady, siedzi wiejski pisarz, filozof. Ma tu swój stół, swoje krzesło i swoich przyjaciół. Niewysoki wzrostem, ale mocny dachem.

Mężczyźni go szanują. Lubią go. Jest koleżeński. Kiedy się pojawi przybysz z innej wsi czy miasta, mężczyźni z dumą wskazują na pisarza mówiąc:

— Oto nasz pisarz. Pisze książki. To też karcza. Napracuje się przy tym jak kon. Co zarobi, odda żonie, resztę przepije z nami. Tak, jak wszyscy.

Obcy podejździe do pisarza i z należytym szacunkiem się ukloni. Pisarz wstanie, poda rękę, zapyta o zdrowie. Wypyta się, skąd obcy przybył. Pochwali tamte strony, wie, co wypada.

Potem usiądzie i prowadzi rozmowę. Niekiedy sobie popofilozofuje. Mężczyźni za stolami uciechną i słuchają. Z uznaniem kiwają głowami. Ma rację. Jak skończy, przesycają się w stawianiu kolejek.

Pisarz siedzi w karczmie dzień w dzień. To jego miejsce pracy. W pięć minut po otwarciu wędzie ciężkim, majestatycznym krokiem i zasiadzie za swoim stołem. Barman przyniesie mu maszynę do pisania, którą przechowuje za ladą. Oczywiście nie zapomni też o stercie papieru. Pisarz siedzi i дума. Zapali papierosa, wkreci papier do maszyny. Prócz opowiadania i sztuk teatralnych niekiedy pisuje też traktaty filozoficzne. Teraz pisze traktat o jestestwie. „Co to jest jestestwo?” zapytuje we wstępie traktatu i ciągnie: „O ile

przedmiotem, o którego istocie pytamy jest jestestwo, a jestestwo oznacza jestestwo istniejące, to w pytaniu o jestestwo zawarte jest jestestwo samo. Podstawowym pytaniem jestestwa jest zatem istota istnienia jestestwa.”

Jak widać, problemów związanych z jestestwem jest diabelnie dużo. Pisarz je powoli rozplątuje, rozkręca, dzieli, układa obok siebie jak kolorowe nitki. Na końcu swojego traktatu, w ostatnim rozdziale, robi z nich sweter, który nie tylko się przyda, lecz także swoją kolorystyką uciechy każde oko, a zwłaszcza na podstawie jego wzoru wyczyta zaszyfrowane posłanie i tajemnicę jestestwa.

Powróćmy do pisarza. Siedzi i pali. Papieros przykleił się mu do warg, palec rozkłada nad maszyną jak drapieżny ptak pazury. Czeka na odpowiedni moment, na chwilę, kiedy skupienie osiągnie taki punkt, po którego przekroczeniu strzelają żarówki i wyskakują bezpieczniki. Tylko wtedy może pisać. To dla niego najtrudniejsze. Nikomu nie wolno mu przeszkadzać. Wszyscy muszą być cicho. Na szczęście karczma w tym czasie jest prawie pusta. Jak pajaki przesiadają po kątach emeryci, czasem wpadnie traktorzysta z gospodarstwa rolnego po papierosy lub oranżadę. W powietrzu coś trzaska, czad ozon. Z hukiem się rozleci kilka kulki od piwa. Zegar ścienny wybija kolejne godziny. Zupełnie jak w teatrze. Nagle wszystko się uspokoi. Skupienie pisarza osiąga szczyt. Rozpoczyna pisanie. Maszyna stukta, to przyspiesza, to zwalnia, strzela lub roztkliwia się, przekonuje, przypiera do muru lub wielbi, zmienia dźwięk w zależności od tego, jakie myśli pisarza urzeczywistnia.

Czasem się pisarzowi nie wiedzie. Maszyna kicha, prycha, w jej dźwiękach nie ma regularnego rytmu, właściwego dobrze wyregulowanemu silnikom. Pisarz wie papieru i rozrzuca je po ziemi. Ze złością tupie i wali w stół. Kelner z wyrzutem patrzy na emerytów; ci się gęrbia tak, że ich nawet nie widzą zza stołów. Porozumiewają się na mig, piszą na kartkach lub też szepczą do aparatów słuchowych. Potem nadchodzi pora obiadów. Pisarz spojrzy na zegarek, pokręci głową i idzie do domu. Kiedy ma dużo pracy i przysznajają go terminy, je obiad w karczmie. Zona mu przyniesie w męszkach żupę i ziemniaki z mięsem.

Mężczyźni przyszli po to, by się orzeźwić, coś przekąślić. Mają trudną pracę, więc zasługują na to. Pisarzowi nie przeszkadza, tylko od czasu do czasu któryś z nich krzyknie:

— No i jak leci?

Pisarz tylko kiwnie głową. Jedną ręką się napycha, drugą pisze na maszynie.

Po obiedzie karczma znnowu opustoszeje. Cisza i pełny żołądek wypijają pisarza. Jednym okiem drzemie, a drugim stara się zapamiętynować maszynę, by sama zaczęła pisać. Terminy nagła, wydawnictwo bombarduje go telegramami, podpisanymi przez dyrektora, Rzesza czerwikomów niecierpliwi się. Jej przedstawiciele otaczają wydawnictwo, kłną na dyrektora i grozą pięściami w stronę członka jego kancelarii.

Popołudniowy spokój w karczmie trwa tylko chwilę. Pojawiają się emeryci. Szurają krzesłami, kaszlą i chrząkają, westchną sobie

i zapalą papierosa. W żółdkach przelewają im się rzadkie zupty dla emerytów, są zadowoleni. Ich spojrzenie na świat jest optymistyczne, pozbawione ostrogi klasowego.

Przed południem bywa inaczej. Są impulsywni i rozdrażnieni, nieprzewidywalni, czy dożyją do południa. W nocy nie mogli spać, męczyli ich choroby. Rano wylpici spacerują po kuchni i myślą o śmierci. Śniła im się nawet. Śmierć wysiadła z nocnego autobusu i przez uciszoną wiew wylgnęła się do ich domów. Wlazi do sypialni przez uchylone okna i wybiera się do ofiary. Taką wyciercioną, która nie ma siły się bronić. Śmierć zarzeka jej na szyję zużyta pełń i zaciągania. Ofiara się rzuca, wytrzeszcza oczy. Tak bywa. Rano starcy długo kaszlą, a potem długo grzebią w szafie z ubraniami. Szukają rzygły, które im zalażą do trumny. Ładnie je porokładają na łóżku i każą żonie, córce czy synowej, by im przysparowała kanty na spodniach. Potem idą do karczmy pożegnać się z przyjaciółmi.

W karczmie przy sprycerze lub małym piwie siedzi więcej takich oczekujących na śmierć. Siedzą, milczą, patrzą na siebie spod łba. Dumają. Dlaczego właśnie ja miałbym umrzeć? Przecież galareta, co go córka musi tyżką karmić. Ma dziesięć lat więcej. Niech ten umiera. Galareta się trzęsie i powiada: Ech, jaj, jaj, jaj. Żeby jeszcze tak ze dwa, trzy lata...

Renciści siedzą, kiwają głowami. Jednym trzęsie się broda. Inni nie mogą poruszać nogami. Jeszcze inni nie słysz. Ten z kolei nie widzi. Któryś z nich powie:

— Dziś w nocy tak mnie bolal woreczek żółciowy (krzyż, serce, brzuch, ewentualnie wszystko), że nie mogłem zasnąć. Myślałem, że umrę. Nawet papieros mi nie smakował.

— Emeryt-znawca zareaguje:

— Na to jest najlepszy brufen. Weźmiesz brufen i masz spokój. Nic cię nie boli. Chcesz brufenu?

— Fachowiec od woreczka żółciowego jest innego zdania:

— Toć brufen jest na krzyż. Weźmiesz brufenu i jesteś sztywny. Najważniejsze się wypierdzić. Gazy sobie wyjdą i śpisz jak zabity. Ja tak robie codziennie. Gazy muszą wyjść.

— Wtem podniesie się zacięty oponent i oponuje:

— Ot co! Kij między oczy i prosto do dołu! Nic nie będzie cię boleć! Kiedyś nie było niczego i dobrze było. Nazależ się trawy i choroba znikła. Umartleś albo wyzdrowiałeś. Jak u zwierząt. Jak krowy! Widziałeś krowę, która by się napychala brufenem?

— No i tak to wygląda z emerytami przed południem.

Powróćmy do naszego pisarza. Jemu problemy starców są obce. Szuranie i mruczenie wyrwie go drzemki i z nowymi siłami ruszy do pracy. Pisze, aż iskry lecia. Nigdzie chyba nie ma szybciej piszącego. Ręce mu latają, nawet ich nie widać. Pisze tylko dwoma palcami, ale jak!

Doskonalego uzyskał dzięki cierpliwości i pracowitości, wyrzeczeniom i codziennemu tyranii. Nie tak, jak te grzybiórki z miast. Ci z obżarstwa i lenistwa tak zgłupieli, że nawet żółty wykiek ze swojego ucha są skłonni uznać za produkt własnego geniuszu, za cudowny olejek. Kiedy nim posmarują dowolne miejsce naszej skromnej,

pełnej pracy historii, zaraz z niej powyskakuje pełno wymalczków, uczonych i Janosików.

Czas upłynął i pisarz odczuwa zmęczenie. Z pracą się posunął do przodu, nawet płeć go już polebawiają.

Jest popołudnie i karczma się znova zaplenia. Pisarz kuje zapisane papiery, a kelner wszystko pochłowa pod ładę.

Pisarz wybiera się do domu. Idzie skontrolować, czy kama zrobiła to, co jej nakazał, najęść się, przeczytać gazetę. Do karczmy powróci dopiero wieczorem.

Oprócz tego, że nasz pisarz jest najszybciej piszącym pisarzem, jest także najlepszym mówcą. Wszędzie go zapraszają. Z okazji bardziej uroczystych rocznic przemawia przez głośniki. Ludzie wtedy otwierają okna, wychodzą przed domy i uważnie słuchają. Pisarz jest mądry, warto posłuchać, co mówi. Przemawia też na pogrzebach i weselach. Ani jedno oko nie zostanie suche. Na jednym z pogrzebów wygłosił tak przejmującą mowę, że nieboszczyka wyciągneli z dołu i musiał swoją mowę powtórzyć. Nawet w święta nie bywa inaczej.

W Święta Wielkanocę, podczas odpustu czy pierwszego maja karczma wypełnia się odświętnie ubranymi mężczyzmi. Zachowują się godnie, lecz nie z rezerwą. Wszyscy plęknęli wygoleni, ucieszeni, trochę skrupowani w ciasnych garniturach. Od czasu do czasu pojawiają się też kobiety. Pisarz jest odziany w uniform pisarza. Uniform ten jest bardzo imponujący, kolejarze zerkają nań z zawicią. Spodnie z lampasami i mankietami, dwurzędowa marynarka. Poduszki na ramionach po to, by pisarze nie czuli mniej wari ze swoją cheraławą piersią. Pas, do powieszenia podręcznej maszyny do pisania, pagnony do odznaczeń (dla członków związku), na głowie берет. Duże kieszenie, by schować w nich zapisane papiery. W prawej górnej kieszonce obowiązkowo białe skórzane rękawiczki — po to, by można było odpowiadać na obraźliwe słowa krytyków, padające podczas spotkań.

Uniform uszyty jest z nie palącego się, nie gniojącego i nie-przemakalnego materiału. Po prostu projektanci wzięli pod uwagę wszystko, pamiętali o wszystkim, by pisarz mógł przy poszukiwaniu inspiracji gasić pożar lub ratować tonącego, a zaraz potem uczestniczyć w oficjalnym przyjęciu u wiceministra lub ministra. Naszemu pisarstwu dźwięczą na piersi odznaczenia. Najlepszy pisarz powiatu, dwukrotnie Najlepszy pisarz województwa, Najlepszy pisarz roku, trzykrotnie odznaczony za najlepszy opis słowackiej przyrody i ludu pracującego.

Mężczyźni chodzą z nim i dokuczają mu:

— Przeczytaj coś. Coś ty taki. Przecież ciagle o czymś pisesz. Przedtem czytałeś. Dziś też by wypadło.

Pisarz pozwoli, by go chwile przosono, potem się zgadza. Wejdzie na stół.

Mężczyźni ciekna, wygodnie się rozsiadają na krzesłach. Dwa najbliżniejsi staną obok stołu i będą strzelić pisarza, by nie upadł i nie zrobił sobie krzywdy. Ten sobie przordnie tyknie, odkaślenie i odczyta tytuł dzieła. Zrobi przerwę. Słychać, jak mężczyźni oddychają, jak sobie zapalają papierosa, by później nie przeszkadzać, słychać jak

warczy w piwnicy kompresor. W drzwiach stoją dzieciaki, z zaciekawieniem rozglądają się wokół.

Pisarz zaczyna czytać. Opowiadanie jest nieco dłuższe, ale nie męczące. Ma tempo, dramatyzm, na końcu pointę, która jest właściwie morałem. Opisy są barwne, działają na wyobraźnię. Przroda jest przynroda i ludzie postępują po ludzku, albo się przynajmniej o to starają. Kto jest żyły, doczeka sądu, sprawiedliwy nagrody, miłość spełnienia, tonący ratunku. Krajobraz jest malowniczy, a śmierć zabawą małych dzieci. Kiedy skończy czytać, nastąpi głęboka cisza. Trwa to tylko kilka sekund, lecz można odebrać, że mężczyźni się zamyslili i przejęli. Kobiety w drzwiach wycierają chusteczkami oczy, a dzieciaki są zdezorientowane.

Potem napięcie ustąpi i kelner nalejąc pełnym strumieniem piwo do kufli. To sygnał. Mężczyźni wstają, gadają i gęskują. Dwaj najsilniejsi pomogą pisarzowi zejść ze stołu. Pisarz się uśmiecha, jest zadowolony i szczęśliwy. Przyjmuje gratulacje. Mężczyźni go klepią po ramieniu, potrażają rękę. Ich spojrzenia są szczere, cieszą się razem z nim. Przelicają się w płaceni. Pisarz odmawia, sam chce płacić. Kobiety wybiegają z kareznym, w na świeżość móg przekazać sąsiadkom to, co usłyszały.

Nasz pisarz to dobry i doświadczony doradca. Chętnie służy pomocą i przekazuje swoje doświadczenia. Co sobotę przychodzą do niego prosić o radę młodzi, początkujący autorzy.

Jest ich tyłu, że ustawiają się w szeregu przed drzwiami. Cierpliwie wyczekują, w rękę trzymając torby pełne rękopisów. Przyjeżdżają z daleka, ubrania mają zakurzone i przepoczone.

Pisarz nie odmówi nikomu. Gościu zaprosi do stołu, poczestuje herbata i papierosem, na przekazkę jego żona przyniesie chleb ze smalcem i cebulą. Pisarz oceni wagę rękopisu, przeczyta tytuł, zajrzy na ostatnią stronę. Jest doświadczony, umie doradzić. Nikogo nie przekreśla. Ostрым spojrzeniem zmierzy młodego autora i od razu wie, kto jest kim:

— jeśli rękopis jest gruby, powie autorowi, że jest przegadany, że brak mu tempa i odwagi, by zająć zdecydowane stanowisko;

— jeśli rękopis jest za cienki, doradzi autorowi, by się skupił na szczególe, na środowisku i anamaliach pogody;

— jeśli rękopis kończy się pesymistycznie, śmiercią głównego bohatera czy całej jego rodziny, zwróci autorowi uwagę, że w ten sposób psuje nastroj i szerzy rezygnację.

Zajrzy mu głęboko w oczy i powie:

— Dokąd byśmy doszli z tym narzekaniem i stękaniem? Jeśli wszyscy umrą, kto będzie pracował? Do tych problemów należy przystępować delikatnie i z uczuciem. O śmierci nie można pisać byle jak. Każde wydanictwo ma swoich redakcyjnych specjalistów, zajmujących się problemem śmierci literackiej. Ci są jej nie boją! Rozprawa będzie krótka. Czy zna pan pirarxa X? Laureat Nagród, jego dzieła wydawane są w stu tysiącach egzemplarzy. Co miesiąc ma odczyt w radio. Gdyby osiem lat temu umarł, naród dotkliwie odczułby jego stratę. A pomyśleć jeszcze o pogrzebie państwowym! Dlatego zje dalej. Pisze nowe książki. Udziela wywiadów. Przesłali-

my się bać śmierci. Pan też niech się tego nauczy! Czy jest komu potrzebne, by pana bohater umarł? Dziś już potrafimy leczyć tyle chorób!

Pisarza głos jest szczery, słowa brzmią przekonująco. Młodzi autorzy są mu wdzięczni za każde zdanko. Zrobią co każe. Poprawią, skorygują, potem się pojawiają znowu.

Są też tacy, którzy przychodzą po to, aby go sprokować. Wierzą dziurę w brzusku, gnębia, wężą po domu pisarza, szukając czegoś, co można by użyć przeciwko niemu. Zadzroszczą mu talenta i powodzenia. Chcą go zniszczyć. Ciagle mu się przeciwstawiają, pyskują, łapia za słówka. Potem plotkują o nim w mieście. Z nimi jest krótka mowa. Pisarz zlapie autora, otworzy drzwi i wyrzuci go na ulicę. Wczorzym mężczyźni w karczmie mówią:

— Słyszałem, że robiłeś porządek z tymi pankami z miasta. Dobrze im tak, draniom cholernym.

Pisarz uśmiecha się, trochę jak winowajca, nie nie mów.

Nasz pisarz to również najlepszy mówca. Co drugą niedzielę odbywa się we wasi mecz piłkarski. Miejscowy klub sportowy staje do walki z przeciwnikami w turnieju powiatowym. Tuż przed meczem widzie pisarz i usiadzie na swoim miejscu na trybunie. Mężczyźni są spokojem zamruca i mecz może się już rozpocząć. Pisarz uważnie śledzi przebieg gry na boisku, by mu nie nie umknęło. Jego zadaniem będzie opowiedzieć mężczyznom wczorzym w karczmie przebieg zmagania, kto był lepszy, kto jakiego gola strzelił.

Jak już o tym była mowa, to główny i najlepszy gawędziarz. Po meczu udadzą się na kielbaski z piwem. Już tu padają pierwsze oceny, ale pisarz woli informację. Słucha, kiwa głową, przejdzie do innej grupy. Nie dopuści, by go sprokowano do przedczesnej oceny. Dopiero wczorzym opowie, co widział.

Wczorzym siedzi w karczmie na swoim miejscu i czeka. Z powagą popija sobie i dyskutuje o żniwach, polityce. Potem z grupy mężczyzn dyskutujących o meczu odchodzi się jeden i powie:

Co my się tu będziemy kłócić, jak by było. Niech opowie nasz pisarz. On wie najlepiej.

Mężczyźni kiwną głowami na zgodę i werwą pisarza, by opowiedział im przebieg meczu. To ważny moment.

Pisarz podchodzi do grupy i odstawia kufel. Karczma ucichnie. Pisarz zapali papierosa, zaciągnie się i stojąc w rozroku przez chwilę patrzy w sufit, jak gdyby na nim czegoś szukał. Potem zacznie mówić. Najpierw w skrócie oceni mecz, omówi skład. Wspomni o terenie, o wpływie pogody na przebieg gry. Dopiero potem przejdzie do meczu. Z zapalem i odpowiednim dramatyzmem opowie wszystko, co się zdarzyło na boisku.

Mężczyźni stoją z zapartym tchem, w rękę trzymając kufle lub papierosy i oczy im się świecą, jak dziećmiom patrzącym na choinkę. Nikt nie kłóci się z pisarzem, nikt mu nie przerywa. Wszyscy powracają do meczu i na nowo go przeżywają. Tak jak powiedział, tak było. Nawet jeśli ich klub przegrał, pisarz opowie przebieg gry tak, że zawsze wychodzą z niej jako moralni zwycięzcy. Nie na darmo przeszedł nasz pisarz przez różne szkolenia i seminaria w Związku.

Mecz się skończył. Mężczyźni zaczynają gadać i oceniać mecz według tego, jak go rozegrał pisarz. Ten odejście zmepono do barku, by się orzeźwić. Mężczyźni poklepują go po plecach, ścisają mu rękę. Z korytarza wchodzi trener grupy, który do tej pory chował się za drzwiami i czekał, jak to się skończy. Jest spokojny, tym razem udało mu się wyjść nie najgorzej. Zamawia dla wszystkich, długo potrząsa ręką pisarza. Podluzuje się, stara wkupić w jego łaski, lecz na darmo: pisarza nie można przekupić. Z ręcznikiem na szyi usiądzie na swoim miejscu i odpoczywa.

No i tak jest z naszym pisarzem.

Zbliża się pora zamknięcia. Kelner wyłącza i włącza światło, już nie dolewa. Grupki mężczyzn z piętnią na ustach, obgrybanych, znikają w ciemnościach.

Pisarz długo i z należytą powagą żegna się ze swoimi znajomymi i przyjaciółmi. Potem rusza do domu.

Noc przeleciała nad niego jak pajęczyna i zwałnia jego krok. Ręce trzyma za plecami i dumą. Przez chwilę o jednym, zaraz potem o czym innym. Od czasu do czasu również o niczym.

Drzewa przejemnie szumią i pisarz się zatrzymuje. W pobliżu z hukiem przeleci ostatni autobus z miasta, wyrzuci jedynego pasażera i zniknie w oddali. Pasażer jest chudy, wysoki, czarne ubranie wisi na nim. Podejździe do pisarza, odkaszknie i poprosi o ogień. Pisarz mu poda papierosy, przyglądając się jego twarzy. Wie, jako spotkał.

— Do pracy? — zapyta, by podtrzymać rozmowę.

— Tak jest. Jak zwykle nocą. Dodatek. Spokój też większy.

Pasażer odda pisarzowi papierosy. Wypuści dym i znacznie kaszleć. Przechyla się raz do przodu, raz do tyłu, jak złamana gałąź. Oczy ma wybaluszone, jeszcze moment i szlag go trafi, upadnie na ziemię i będzie już po nim.

Co będzie potem? Człowiek przestanie kaszleć, wysmarka się porządnie i spojry na zegarek.

— No, muszę już iść. Robota nie czeka. A jak tam u pana, czy zdrowie dopisuje?

— Z zaciekawieniem mierzy wzrokiem pisarza. Ten się ocknie.

— No, dzięki Bogu, jakoś leci. Któż może o sobie powiedzieć, że jest zupełnie zdrow?

Pasażera (jak czytelnik miał już możliwość się zorientować, to śmierć we własnej osobie) to filozoficzne pytanie wprawi w zaskopotań. Jeśli ten człowiek mówi prawdę, to każdy nosi w sobie jakąś chorobę, na którą wcześniej czy później umrze. A jemu tylko przybędzie robota.

Cholera! Cholera do kwadratu! Już teraz ma tego dość.

Pasażer i pisarz stoją, palą i milczą. Potem wyrzucą papierosa i pożegnają się. Każdy pójdzie swoją drogą. Pasażer potykając się idzie w dół przez wieś, a pisarz między drzewami przez mały placyk do swojego domu. Jest nieco rozczarowany. Chętnie by zapytał pasażera o różne rzeczy, nawet do siebie mógłby go zaprosić, być może udaloby mu się wyścignąć z niego nawet coś, co dotyczy tajemnicy jestestwa, a to przydadłoby się mu przy pisaniu traktatu. Ale

co z nim począć, kiedy on taki. Tylko o robocie myśli, nic innego go nie interesuje!

Pisarz zamknie za sobą bramę i wejdzie do domu. Przez chwilę dumą, czy powinien zamknąć, potem machnie ręką, wejdzie do łóżka i spokojnie zaśnie.

KAROL CHMEL
tłumaczyła *Bożena Rejakowa*
Początek

Opowiadanie publikowane w słowackim miesięczniku literackim „Dotyky” (1989, nr 5).

Dotyky (1989, nr 5)

Dotyky (1989, nr 5)

Dotyky (1989, nr 5)

Dotyky (1989, nr 5)

Dotyky (1989, nr 5)

Dotyky (1989, nr 5)

Dotyky (1989, nr 5)

Dotyky (1989, nr 5)

Dotyky (1989, nr 5)

Dotyky (1989, nr 5)

Dotyky (1989, nr 5)

Dotyky (1989, nr 5)

Dotyky (1989, nr 5)

Dotyky (1989, nr 5)

Dotyky (1989, nr 5)

Dotyky (1989, nr 5)

Dotyky (1989, nr 5)

Dotyky (1989, nr 5)

Dotyky (1989, nr 5)

Dotyky (1989, nr 5)

Dotyky (1989, nr 5)

Dotyky (1989, nr 5)

Dotyky (1989, nr 5)

Dotyky (1989, nr 5)

Dotyky (1989, nr 5)

Dotyky (1989, nr 5)

Dotyky (1989, nr 5)

Dotyky (1989, nr 5)

Dotyky (1989, nr 5)

Dotyky (1989, nr 5)

Dotyky (1989, nr 5)

Dotyky (1989, nr 5)

Dotyky (1989, nr 5)

Dotyky (1989, nr 5)

Dotyky (1989, nr 5)

Dotyky (1989, nr 5)

Dotyky (1989, nr 5)

Dotyky (1989, nr 5)

Dotyky (1989, nr 5)

Dotyky (1989, nr 5)

Dotyky (1989, nr 5)

Dotyky (1989, nr 5)

Dotyky (1989, nr 5)

Dotyky (1989, nr 5)

Dotyky (1989, nr 5)

Dotyky (1989, nr 5)

Dotyky (1989, nr 5)



Maria Papa (Rostkowska): *Dobrych Rana*, marmur, 1985. Katalog „Jestestwo”. Repr. Czesław Herda

KAROL CHMEL

Poezi kłamią

kłamię także (jakbym
był poeta)

od księgi dżyan
pani blawatsky
aż po cantos
pana pounda
tajemnica naciera na
możliwość jej zrozumienia

woda jest do picia
ale i do pływania
powietrze jest do oddychania
ale i do latania

кто się topi
wycha wodę
кто spada
pije powietrze

кто się nie nadaje
już jest skroślony

wybaczcie mu

wybaczcie mnie

Haiku z końca marca

deszcz
jeszcze ciągle
niesie skrzypcze
w futerał pod pachą

Haiku z końca maja

dmuchawiec od wy
ponad siedemnaście
zaczekał aż dojrzeje
do wiatru

Haiku jesienne - bliższe rzeczywistości

piwo od aleny
trzydzieści ctery
zaczekał aż opadnie
piana
nie muszą dmuchać

Liścik (do innych złodziei)

na razie
cierpliwie spórządzam
wykaz przedmiotów

na których
trzeba jeszcze
zostawić odciski palców

Nie będę nie będziesz

jaka straszna równowaga:
cień ręki
puszkiej o świetle

Et taradam et taradixit

(jak by powiedział Wergiliusz)

Laszlo Totichowi

nie musisz przecieć za wszelką cenę
palić
wymyślać dymu drogi i obłoków

już w marcu kwiecien się zmieniał
w maj

widziałas;
samoloty nad polem
inkwizycje

albo jako przedmiot nadobowiązkowy
z którego można
oblać

jak wazon z kwiatem
wokół którego krąży
transcendentna wazka

KAROL CHMEL

KAROL CHMEL (ur. 6 X 1953 w Zwoleniu) – współczesny poeta słowacki. Studiował na uniwersytecie Jana Amosa Komenského w Bratisławie. Jest redaktorem jednego z czołowych periodyków czeskosłowackich, bratysławskiego „Fragmenta K”, przed „akusmanią renowacji” belskiego pisma samizdajowego. Obecnie twórczością poetycką uprawia przekład artystyczny przede wszystkim z języka polskiego (m.in. poezje Czesława Miłosiwa, opowiadania Sławomira Mroki). Wydaliśmy wierszy *Małżeństwo* (1985) i *Owocnej strąm* (1989).

L. E.

W następnym numerze:

Na pograniczu narodów i kultur (III)

Krzyżotki Paczuszki: wiersze ● Jerzy Święci: *Tomas Venclova ● Tomas Venclova: Wyrwać się z rąk śpiącego losu ● Tomas Venclova: Litwini i Polacy ● Tomas Venclova: A Mickiewiczia „Trzech budrysów” oraz A.S. Puszkina „Budrys jego synowie” ● Anna Nasalska: Pamięć Litwy ● Jan Czrykwyn: wiersze ● Waldemar Dąglist: Z problemów odwilży białoruskiej w II Rzeczypospolitej ● Isaac Bushvitz Singer: *Józef i Kozia czyli ofiara dla Włoch* ● David G. Roskies: *Ukraińcy i Polacy w tydowskiej pamięci zbiorowej ● Kostiantyn Moskalec: wiersze ● Mykola Riabczuk: O współczesnej literaturze ukraińskiej ● Waldemar Michalski: wiersze ● Jan Sek: Pan Balcer w „Nowej Polsce” ● Krzysztof Cwikliński: wiersze ● Edward Olszewski: Po nocach Polska mi się śni... ● Jan Mizziński: *Sąsiedztwo i konflikt. O najnowszej literaturze z niemieckiego pogranicza ● Johannes Poethen: wiersze ● Ewa Dunaj-Kozakow i Tadeusz Polanowski: Dwugłos o Ginterze Grunajce ● Jurij Brezan: Portret ojca ● Jacek Kolbuszewski: Biesiada na Krywymie ● Andre Bojtar: *Gaspar Bekiesz i jego „Nagrobek” ● Łaszło Kraszmahorkai: Nól w dionii ● Peter Esterhazy: Róże ● Krzysztof Stepiak: Sugeracja i ugodła ● Wojciech Kudylba: wiersze ● Aleksander Layla: *Tajemnice i tajemny Andrzej Tarkowski ● Jerzy Sikora: wiersze ● Imman Mahmud Taha Żuk: Dźwięk, słowo i znak graficzny w Islamie ● D. J. Enright: Uchodźcie do Egiptu, tam będziecie mieć, o co prosicie ● Joanna Tokarska-Bahir: *Bhutan etnograficzny ● Krzysztof J. Brozi: Nationalizm ● Urszula M. Benka: Ten jeden raz niemiecki ● Andrzej Romanowski: Teatr Marii II, Młodzieżowiczy i młodzieżowe Wilno ● Dora Kacnelson, István Kovács: Pamiętnik Edmunda Ślaskiego o legion polski w Siedmiogrodzie ● Edmund Ślaski: Pamiętnik z czasów rewolucji węgierskiej 1849 r. ● Juliusz Galkowski: Portret konny Władysława Jagiełły w koplicy zamku lubelskiego ● Malgorzata Kitowska-Lysjak: *Malarstwo Myrosława Jahody ● Dominik Opolski: Gobeliny Dągniary Borkowa ● Rozmowa z językiem w języku białoruskim, rozmowa Teres Zaniewska ● Na Kresach zachodnich – rozmawiają Milan Nowina-Kwiatkowski i Sergiusz Sterna-Wachowiak ● Recenzje ● Noty*******

filozofia

ANDRZEJ L. ZACHARIASZ

„Stary Rzym” czy „Nowe Średniowiecze”?

Kontary duchowe nowej epoki kultury przedstawił może dla każdego obraz odmienny, a jeśli chodzi o doświadczenia cywilizacyjne wciąż jeszcze będący wzorem dla naszej, to zarówno u autora jak i u czytelnika musi się w każdej chwili przejawiać indywidualny sągół i odrębność. Bezstronnie mierz, na które animowały się wyrażać, posiada wiele motybowych dróg i kierunków...

J. Buchardt

Próbując z perspektywy końca dwudziestego spojrzeć na wiek dziewiętnasty jako pewną całość kulturową, można by w niniejszym tekście widzieć — nie wykluczając również innych możliwych jego ujęć — czas starcia dwóch formacji intelektualnych: postkartezjańskiego racjonalizmu i rodzącego się irracjonalizmu filozofii życia. Ten pierwszy próbował bronić się u początku wieku w Niemczech na pozycjach postkantyzmu i heglizmu, a we Francji i w Brytanii — pozytywizmu. Ten drugi przystąpił do ataku w szlachez Romantyzmu i myśli S. A. Kierkegaarda, A. Schopenhauera oraz J. Schellinga, aby pod koniec wieku zatrumfować jeszcze raz pod postacią wymienionego filozofii życia. Początek wieku dwudziestego rozpoczął się od wszechwładnego panowania we Francji idei wyznaczonych myślą Maine de Birana, które rozwinięcie znalazły między innymi w kategorii życia H. Bergsona, w Niemczech natomiast w myśli Nietzschego, Simmela, Diltheya, Spenglera, Sprangera i innych. Neokantyzm, który był pod koniec wieku dziesiętnastego i w dwudziestym świadomą próbą wywrócenia myśli europejskiej racjonalizmu, i idąca mu w sukurs fenomenologia E. Husserla stanowią — jak można sądzić — ostatnią już w wieku dwudziestym wielką bitwę racjonalizmu kartezjańskiego z irracjonalizmem filozofów życia. To H. Rickert pisał u początku lat dwudziestych w książce *Die Philosophie des Lebens*, iż zwalczając filozofię życia czyni to w imię wiary w „bycie filozofii”¹. E. Cassirer wraz z triumfem filozofii Heideggera zapowiada koniec epoki rozumu.² Nieuątpliwie trudno byłoby znaleźć w Heideggerowskim *das Dasein* odzwierciedlenie Kartezjańskiego *ratio*. A przecież to poprzez *das Dasein* w przekonaniu tego myśliciela ujawniona zostaje prawda o *das Sein* (byciu), czy też mówiąc dokładniej *das Sein der Seien* (sens bycia). Skonstatowaniem przegranej bitwy przez rozum jest książka E. Husserla *Kryzys nauk europejskich i fenomenologia transcendentna* z roku 1935. Co więcej, dla Husserla kryzys nauki będzie jedynie wyrazem

¹ Por. H. Rickert: *Die Philosophie des Lebens*, Tübingen 1922, s. XIV.

² E. Cassirer pisze, iż Heidegger swoją interpretacją filozofii Kanta, próbując napisać „czysty rozum”, pojęciem „zmysłowego rozumu”, a więc — *molina by wódnó* — i pojęcie „rozumności”, „zmysłowości”. Por. Id., *Kant and das Problem der Metaphysik. Bemerkungen zu Martin Heideggers Kant-Interpretation* w: „Kantstudien” XXXVI, 1, s. 17, a także s. 231-24 i s.

szerszego zjawiska, jakim jest „radykałny kryzys życiowy ludzkości europejskiej”¹. A niejako za wyraz rezygnacji z absolutystycznego uzasadnienia podstaw kultury europejskiej, nie tylko w wymiarze poznania naukowego, ale i wartości fundujących pozostałe dziedziny, należałoby uznać husserlowską kategorię *Lebenswelt*. W niej to *Lebens* zatriumfowało nad *Vernunft* i *Verstand*, a *swiat* Rozumu (*Vernunftswelt*) stał się *swiatem* życia (*Lebenswelt*). Tak więc, Husserl w swoich *Medytacjach kartezjańskich* był ostatnim, który próbował bronić *ratio* Descartes’a, ale także tym, który zakończył epokę Kartezjańskiego racjonalizmu.

Kryzys myśli absolutystycznej w wieku dwudziestym stał się — poza nielicznymi wyjątkami — zjawiskiem powszechnym. Swoją wyraz znalazł on w różnych formach. Najczęściej jednak w odejściu od rozwiązań holistycznych, podejmujących próby zarówno wyjaśniania rzeczywistości w ramach całości, jak i całościowego ujmowania i wyjaśniania rzeczywistości. Pierwszy znalazł wyraz w rezygnacji z rozwiązań nad społeczeństwem jako pewną całością na rzecz analiz nad człowiekiem jako egzystencją i osobą. Przykładem tego sposobu myślenia jest niewątpliwie egzystencjalizm i personalizm. Drugi, w odejściu w filozofii od myślenia systemowego na rzecz analiz przyznających. System w filozofii, ta podstawowa w tym myśleniu forma wyrażania prawdy, jawił się jako wyraz nierozdzielnej badawczej,² a nawet metafizyki. Jego wyrazem była także subiektywizacja samego myślenia filozoficznego i sprowadzenie filozofii do czegoś, co jest osobiste i indywidualne. Tak sądził nie tylko Nietzsche i Dilthey, ale również K. Jaspers, G. Marcel, Ljupen Heidegger pragnie w filozofii widzieć formę poezji, a filozofia chce zastąpić medrociem.

Wyrazem rezygnacji z pojmowania filozofii jako myślenia teoretycznego, ale również przejawem subiektywizacji i irracjonalizacji kultury europejskiej jest, jak sądzę, modna w naszym stuleciu tzw. filozofia dialogu i komunikacji. Dyskursywną i obiektywistyczną myśl poznania teoretycznego miałyby tutaj zastąpić „spotkanie w *Intym*” ma znajdować wyraz prawiem godną poznania. Niezależnie należy docenić tego rodzaju myślenie, zwłaszcza zaś jego wartość dla relacji międzyludzkich, ale należałoby także zauważyć, iż filozofii nie uprawia się przy pomocy uczuć i miłości do bliźniego, ale — jak dotychczas — niezastąpiony jest tutaj rozum, ujęcie bytu jako przedmiotu określonego filozofowania poznawczego i właściwe mu kategorie pojęciowe. Filozofowania i filozofii nie można zatem zastąpić spotkaniem.

Wiek dwudziesty to także wiek sceptycyzmu i relatywizmu. Zauważmy, iż relatywizm prawdy głosił nie tylko tzw. filozofowie subiektywistyczni, ale także ci, którzy uważali się za myślicieli racjonalistycznych, czy też mówiące dokładniej tzw. krytycznych racjonalistów.³ Można by tutaj wymienić choćby takich myślicieli jak K. Popper i L. Kolakowski. Ten pierwszy nie tylko w sądach o ogólności uniwersalnej odzyskiwał przymię myślenia metafizycznego, lecz również odrzucił możliwość uznania jakiegokolwiek prawdy za ostateczną.⁴ Analogicznie też sceptycyzm, a nawet dalej idący sąd formułuje

również Kolakowski. Wydaje się on sądzić, iż konsekwentne myślenie teoretyczne może być jedynie w sferze sceptycyzmu, a nawet nihilizmu. Wyjściem z tej sytuacji, zwłaszcza w sferze życia praktycznego, jest — jak radzi — rezygnacja z „zasady konsekwencji”, czyli niekonsekwencji.

Ten sposób myślenia znajduje także swój wyraz w filozofii nauki. To myśliciel nawiązujący do idei Poppera, T. S. Kuhn, sformułował ideę rewolucji naukowych i zmienności, a więc i relatywności samego paradygmatu myślenia naukowego.⁵ Konsekwencją tego sposobu myślenia o zarzaniem jego ukoronowaniem jest anarchizm metodologiczny P. K. Feyerabenda.⁶

Dodajmy, że również amerykański pragmatyzm rezygnuje z maksymalistycznych celów myślenia filozoficznego, a także z dążności do absolutystycznego waloru formułowanych w jego ramach prawd. W swoim odwołaniu się do sfery praktycznego działania człowieka i wyznaczaniu przez nią kryteriów racjonalizacji świata jest on nie tylko swoista forma nawiązania do europejskiej filozofii życia, ale również i formą rezygnacji z paradygmatu kartezjańskiego myślenia racjonalistycznego. Racjonalistyczna metafizyka została tutaj zastąpiona filozofią codziennej egzystencji człowieka, a idea prawdy jako kategorii czysto poznawczej — kryterium użyteczności.

Z pewnością obraz intelektualny wieku dwudziestego nie byłby pełny, gdybyśmy nie zauważyli, iż poza neokantyzmem i fenomenologią podejmowano także inne próby pojmowania rzeczywistości w kategoriach myślenia postkartezjańskiego empiryzmu czy też postheglołowskiego racjonalizmu dialektycznego. Były to, należyłoby podkreślić, także próby przełamania irracjonalnego oblicza tego czasu. Do pierwszych niewątpliwie należałoby zaliczyć nurty neopozytywistyczne, a zwłaszcza neopozytywizm K. Ols wiedzińskiego oraz nawiązujący do niego tzw. filozofię analityczną. Do drugich natomiast, marksizm wieku dwudziestego oraz tzw. neomarksizm szkoły frankfurckiej.

Niemniej jednak w przypadku tego pierwszego — próbując rozważyć go w kontekście myśli racjonalistycznej — również mamy do czynienia z rezygnacją z całościowych racjonalizacji rzeczywistości, jawiącej się poznającemu podmiotowi jako przedmiot możliwego poznania. Co więcej, tak jak to miało miejsce w myśli filozofów z bezpośredniego kręgu K. Ols wiedzińskiego, było również rezygnacja z filozofii jako dziedziny poznania teoretycznego. Świadectwem stosunku filozofów tzw. szkoły analitycznej do absolutystycznego racjonalizmu kartezjańskiego jest także programowo antysystemowy i antysystemiczny charakter uprawianej przez nich filozofii. Można by zatem stwierdzić, iż wraz z odrzuceniem tzw. racjonalistycznej metafizyki filozofia ta zrezygnowała z maksymalizacji myślenia racjonalistycznego. Ten jej charakter był może najlepiej wyraził J. M. Bochenski, definiując samo pojęcie racjonalizmu. Uznał on racjonalizm Oświecenia za zabobon, przestawiając go racjonalizmem odwołującym się do kategorii pragmatycznych.⁷ Dodajmy przy tym, że zasięg odzyskiwania filozofii analitycznej, przynajmniej w dotychczasowym jej wymiarze, nie wydaje się w sposób znaczący wykraczać poza grono jej zwolenników. A więc, trudno byłoby również mówić o jej istotnym wpływie na kształt intelektualny wieku dwudziestego.

¹ Por. E. Husserl, *Kryzys nauki europejskiej i fenomenologia transcendentna*, przekład S. Walczewski, Kraków 1987, s. 1 i n.

² „Pojęcie „krytyczny racjonalista” doskonale oddaje rezerwę w jaką odnosił się myśliciele uważający się sprawdzać za przedmiotem nauki surtu do samej kategorii *ratio*.”

³ „Pojęcie „krytyczny racjonalizm” bywają określani, obok K. Kolakowskiego i K. Poppera, czy też J. Habermasa, między innymi tacy filozofowie jak np. G. Almer i H. Albert oraz K.-O. Apel, Por. *Denken, das an der Zeit ist* (wyd. przez F. Rotzera), Frankfurt 1987, s. 34, 52 i n.

⁴ K. R. Popper, *Logika odkrycia naukowego*, Warszawa 1977, s. 36 i n., 39 i n.

⁵ Por. T. S. Kuhn: *Struktura rewolucji naukowych*, przekład H. Ostrołęcka, Warszawa 1968, s. 22.

⁶ Por. P. K. Feyerabend: *Jak być dobrzym empirykiem*, przekład K. Zamiaty, Warszawa 1979, s. 25 i n.

⁷ J. M. Bochenski, *Elementy racjonalizmu* piątą J. M. Bochenski. Mimo że opowiada się on za racjonalizmem w tzw. szerokim znaczeniu, to jednak poddaje krytyce racjonalizm ontologiczny, zaliczając go do tzw. zabobonów wieku dwudziestego (*Sito zabobonów. Kritis filozoficzny słownik zabobonów*, Paryż 1987, s. 89).

Problem jednak znacznie bardziej komplikuje się w przypadku filozofii marksistowskiej wieku dwudziestego. Ta bowiem niejako programowo odwyhyla się nie tylko do tzw. racjonalizmu dialektycznego Hegla, ale również i myśli odświeceniowej, bądź też, w innej wersji, do — skrajstwowanego w drugiej połowie wieku dziesiątnego w ramach filozofii pozytywistycznej — senjuszmu. A więc, była to filozofia, której źródła należałyby poszukiwać, jeśli już nie w racjonalizmie Descartesa, to co najmniej w myśli racjonalistycznej wieku osiemnastego. Dodajmy, że współczesny, główny przedstawiciel tego nurtu intelektualnego, neomarksista J. Harman, głoszący nawet na wzór odświecenia osiemnastego wieku, potrzebę tzw. nowego odświecenia, czyli upowszechnienia już posiadanej przez ludzkę przyrodę. Przy tym, powracając do samej filozofii marksistowskiej, czy też nawiązując do niej, należałoby podkreślić, iż była to myśl, której wyznaczała, obok egzystencjalizmu, nie tylko intelektualne oblicze wieku dwudziestego, ale i istotną miarę, także jego charakter społeczno-polityczny. Można by zatem w tej sytuacji postawić pytanie, czy przypadkiem nie zmienia to w sposób istotny przedstawione w dotychczasowych uwagach obrazu naszego stulecia?

Podążając tę kwestię, należy przede wszystkim odnotować to, iż w wieku dwudziestym racjonalizmo-pozytywistyczna proveniencja filozofii marksistowskiej zetknęła się z wymogami praktyki społeczno-politycznej, w której realizacji brała udział. Funkcjonowała zatem w tym wieku w istotnym swym wymiarze jako filozofia instytucjonalna. Już ten moment decydował, iż w swoich aspiracjach teoretycznych była determinowana w pierwszej kolejności wymogami życia. Ona także wyznaczała charakter i treść formułowanych przez nią tez. Nie bez znaczenia było również zastąpienie myślenia autorytetem tzw. klasyków, a często także i instytucji politycznych. Ewentualny racjonalizm tej filozofii co najwyżej pełnił funkcje nie teoretyczne, tzn. poszukiwania prawdy dla niej samej, ale instrumentalne, czyli służył uzasadnieniu określonych rozwiązań polityczno-społecznych, jeśli nie konkretnych decyzji. W rezultacie marksizm, z wyjątkiem przypadków, w których funkcjonował poza strukturami społeczeństwa, politycznymi, był nie tyle filozofią wieku dwudziestego, co jego ideologia. U podstaw tej ostatniej natomiast pozostaje nie tyle rozum, co interes. Trudno zatem byłoby widzieć w tym sposobie myślenia, przynajmniej w jego wersji instytucjonalno-ideologicznej, wyraz przełamania irracjonalizmu dwudziestego stulecia. Wręcz przeciwnie, marksizm, który niewątpliwie wyjaśniał w istotnej mierze — rzeczywistość społeczno-polityczną wieku dziesiątego i epok wcześniejszych i o tyle stanowił ich racjonalizację, funkcjonując w wieku dwudziestym de facto w swej jedynej nie zmienionej, to niejednokrotnie upodłożonej postaci, był irracjonalizacją właściwej mu rzeczywistości jako przedmiotu działania.

Konkluzja dotychczasowych rozważań może być zatem jedna: wiek dwudziesty to bynajmniej nie wiek Rozumu, to epoka Życia, a co najwyżej coka rozsądku uwikłanego w egzystencję i praktykę bytowania człowieka; stulecie irracjonalizmu, które niejednokrotnie przybrało szaty myślenia racjonalnego i co więcej racjonalizm oskarżalo za popełnienie przez siebie grzechy. Zauważamy, że to w imię życia, większe dla niego przetrzałem, bądź też jego wyższego standardu i pełni rozwoju możliwości ludzkich, prowadzono działalność polityczną i najwykwsze bastanie tego wieku. Takimi były także pierwsza i druga wojna światowa i wielkie rewolucje tego czasu. Przecież w obu wielkich wojnach chodziło o przetrzenie życiową, a w Rewolucji Rosyjskiej o lepsze życie warstw dotychczas upodłożonych społecznie i politycznie. Znamienny to fakt, zwłaszcza gdy porówna się z tym wydarzeniem Rewolucję Francuską i wojny

napoleońskie. O cesarzu z Korsyki mógł Hegel powiedzieć, iż był to „Rozum na koniu”, czy to samo można powiedzieć o Stalimie, Hitlerze czy też Mussolinim? Raczej była to „Żądza na czolągach”. A więc, lepsza siła życia praca we wszystkich kierunkach. Był to wiek, który może najpełniej oddawała filozofia Z. Freuda, zwłaszcza zaś jej symbole: Eros i Tanatos. Obaj są boskami życia, choć jeden jego początku, a drugi jego końca.

Konkludując, zauważamy, iż irracjonalizm naszego stulecia kształtował się w opozycji do rozumu, próbując go przede wszystkim zrehabilitować. Stąd jego konsekwencją był sceptycyzm i relatywizm. Powstałe jednak pytanie, czy wszelki irracjonalizm musi być taki i czy będzie? Czy nie jest możliwy irracjonalizm absolutystyczny i dogmatyczny? To są pytania, na które odpowiedź może dać jedynie przyszłość ludzkości.

Czy jednak nie jest tak, iż epoka irracjonalizmu i panowania życia nad rozumem nie kończy się wraz z naszym stuleciem? Czy właściwie nie należałoby raczej mówić o powrocie do ratio? Próbując odpowiedzieć na to pytanie, trzeba by przede wszystkim odwołać się do współczesnych prądów kulturowych, które posługują się tą kategorią, a zwłaszcza tych, które w rozumie i w działaniach na nim opartych znajdują swoje uzasadnienie. Można by tutaj wymienić pewnych przedstawicieli szkółki analitycznej, a zwłaszcza J. M. Bocheńskiego czy też zwolników myśli Husserla. Jednak ich znaczenie w kształtowaniu dwudziestowiecznego sposobu myślenia jest znikome. Można by stwierdzić, iż myśli ich funkcjonuje niejako na periferiach tej formacji kulturowej, co więcej, koniec wieku dwudziestego w kulturze europejskiej wydaje się charakteryzować brakiem nie tylko myśli racjonalistycznej, ale jakiegokolwiek myśli teoretycznej domowej i oryginalnej. Nie sposób bowiem uznać za taką powstających, zwłaszcza w Ameryce Północnej, kierunków tzw. filozofii ekologicznej, stanowiącej odmianę filozofii życia. Czyniby zatem stan ten miał być potwierdzeniem wypowiadanej na początku naszego wieku myśli Rickerta, iż *życie filozofii* zostało zagrożone przez *filozofię życia*?

Oznacza to w naszym przekonaniu, iż irracjonalizm nie przestał być *życiem* pod koniec naszego stulecia, co więcej, upojony pokonaniem rozumu może on w nadchodzącym czasie świecić epokę swojego triumfu. I to podkreślimy, triumfu nie skrywającego się pod szatami *rozumu*, ale występującego w całej swej nagomości i sile. *Czas życia i właściwych mu irracjonalnych* się nie wyduje się być zatem *czasem minimum*.

Choć być może, iż w swoim kształcie nie będzie to czas jednolity i życie będzie tożsac swoje fale po oceanie dziejów dwoma nurtami. Pierwszy z nich to ten, który wydaje się wyznaczać kultura zachodniej Europy, a może i Stanów Zjednoczonych, w każdym razie krajów zamożnych i uprzemysłowionych. Drugi, to nurt wschodu Europy i krajów jej bliższego i dalszego sąsiedztwa. Pierwszy to zagrożenie się w codzienności, w wygodzie życia i jego pamiętnościach: w jego materialnej stronie. Ale również w sceptycyzmie i relatywizmie prawdy i wartości. Drugi to irracjonalizm i absolutystyczny. Ten znajduje swoje źródło przede wszystkim w odrodzeniu wartości religijnych i ideologicznych (wśród których nie bez znaczenia będą idee narodowe, a nawet nacjonalistyczne) i niewątpliwie wyżej oceną wartości duchowe niż materialne. A to choćby z tego względu, iż to drugie będą niejednokrotnie mniej dostępne. Nie będzie to także irracjonalizm relatywistyczny, jak ten pierwszy. Będzie on mógł odwołać się do praw religijnych i właściwych religii wartości absolutnych. Jego uzasadnieniem będzie wiara. A więc: „*Stary Rzym*”, czy „*Nowe Sredniowiecze*”.

Który jest z nich lepszy, a który gorszy? O tym zdecydować same dzieje. A zwłaszcza samo pojmanowanie wyznaczających je znaczeń.

W naszych uwagach, — aby nie sprowadzić ich do prorokowania, i tym samym dostarczyć — wbrew intencjom — argumentów na rzecz myślenia irracjonalnego, możemy odwołać się jedynie do analizy przeszłości. Odwołajmy się zatem do analogii późnego Rzymu i średniowiecza.

Pierwszy — podkreślenie materialnej strony życia i związane z tym wartości — niewątpliwie może prowadzić do płaskości intelektualnej kultury europejskiej. Do wyprania jej z ideałów i zastąpienia ich zasadą użyteczności i przyjemności, czy też rozrywkę. Oznacza to także sprowadzenie człowieka do wymiara jestestwa użytecznego, do znaczy takiego, które winno być nastawione na zaspokojenie swojego bytowania i potrzeb innych lub też *homo ludens*. Niewątpliwie znajdzie to wyraz w technizacji i fachizacji człowieka jako osoby i jednostki i to zarówno w jego sferze cielesnej jak i duchowej. Technika i wzrost wartości materialnych tych społeczeństw może pozytywnie stymulować rozwój tego rodzaju procesów kulturowych. Świat człowieka kształtujący się w modelu, u podstaw którego pozostaje życie, wydaje się być tym, który — podobnie zresztą jak i starożytnych Rzymian — pogrywa współczesnego człowieka w materializmie, a być może także w bezsenności trwania jedynie tylko dla trwania.

Codziennico egzystencji ludzkiej (*Alltags*), przed którą ostrzegal jeszcze Heidegger, w której jednym przymierzonym jest rozrywkę, czy też zabawa a nie życie ideami, dla których wolał poświęcić życie, może się w tego rodzaju kulturze stać nie tylko podstawowym wymiarem bycia człowieka w świecie, ale również wymiarem nadającym sens temu byciu. Dodajmy, iż rozrywka ta, pozbawiona głębi intelektualnej i odwołująca się często do sfery wyznaczonej przez instynkt, może także być elementem stymulującym pogłębianie procesów irracjonalizacji kultury.

Irracjonalizm absolutystyczny, to niewątpliwie odrodzenie przekonania o wyższości wiary nad wiedzą. Wiedza jest bowiem relatywna. Tylko wiara może być absolutna. Wiedza nie jest w stanie oferować prawd absolutnych. We te tylko można uwierzyć. A zatem, wiara jest tym, co może przywrócić kulturowi europejskiej prawdy i wartości absolutne. Niewątpliwie będzie ona prowadzić do celów religijnie wartościowych, do wielkich idei i do wielkich czynów. Ale być może także i do nietolerancji, autorytaryzmu, a nawet przesładowań czy też wojen nacjonalistyczno-religijnych. Każdy absolutyzm bowiem neguje to, co wobec niego inne. Wszelka natomiast tolerancja wobec innych religii, innych narodów, czy też innych poglądów jest możliwa jedynie za cenę rezygnacji z przekonania o absolutnej wartości własnego systemu idei. Dążenie natomiast wyznawców jakiegokolwiek absolutyzmu do niepedzielnego zapewniania uznawaniego przez nich systemu wartości, oznacza za zasady niszczenie wszystkiego, co znajduje się po drodze do celu. Ten ostatni jest tutaj ważniejszy od konkretnych ludzi i ich poglądów. Absolutyzm jest zatem nie tylko nietolerancyjny, ale i konfliktowy. Konflikt, bądź też niszczenie tego co inne jest jego zasadą istnienia. Przy tym, należałoby zauważyć, że mimo iż konflikt nie zawsze musi być oceniany negatywnie (prowadzi bowiem do zmian, a nawet jego rezultatem może być postęp), to starcie zwolenników absolutyzmu — zwłaszcza we współczesnym świecie — może okazać się śmiertelne.

Konflikt, który nie zna granic swej zasadności jest zagrożeniem zarówno dla innego człowieka jak i ludzkości. Dodajmy, że zjawiska nietolerancji i wzajemnych antagonizmów mogą być pogłębiane niepopularnością — zwłaszcza w Europie Wschodniej i Środkowej — idei uniwersalistycznych. Tych, które w epoce średniowiecza owiane nimbem wielkości i powagi Rzymu (nie tylko ówczesnego ale i starożytnego) były momentem łączącym ówczesną różnorodność

ludów, ich interesów i kultur narodowych. Być może również, iż będzie to czas nowego chiliizmu i nowych prądów religijnych, czas nowej gnozy.

Choć równocześnie można by postawić pytanie, czy w wieku tak daleko posuniętej techniki, tak wspaniałych osiągnięć naukowych to wszystko jest możliwe? Ponadto można by tutaj dodać, iż przecież ludzkość ma już za sobą pewne doświadczenia, a zatem nie jest w stanie ich powtórzyć. Niewątpliwie. To jest możliwe. A wynika to między innymi i stad, że nawet największe osiągnięcia w dziedzinie badań empirycznych, a także wyjątki techniczne nie mówią człowiekowi, kim jest i gdzie jest. Nie daje mu zrozumienia jego własnej sytuacji. Tego, co można by nazwać samowiedzą kulturową epoki, w której przeżył to mu być. Nauka i technika porwała mu co najwyżej więcej wiedzy o aspektach tego świata i lepiej funkcjonować, w znaczeniu — wygodniej żyć. Religia wprawdzie może jak żyć, ale wykluczając wątpliwości, pozbawia krytycyzmu, czyniąc człowieka dogmatycznym, a nawet fanatycznym. Niewiele tutaj mogą zmienić wyznaczające ją prawdy i zasady moralne. Te bowiem każdorazowo interpretowane są w ramach znaczeń danej epoki i ich ramach także realizowane. A dużo łatwiej jest podejmować „ostatnie decyzje, w imię ostatecznych i absolutnych wartości”, niż w sytuacjach wskazujących na ograniczoność ich zasadności. Potwierdzeniem tego było także i stare średniowiecze. A zatem, choć nie można tutaj mówić o powtórzeniu średniowiecza jako pewnej epoki, to jednak można mówić o ukartalowaniu się sytuacji, w której życie ludzi zdeterminuje znaczenia oparte na wierze religijnej i właściwy jej absolutyzm wartości. Takiej sytuacji przebieg dziejów bynajmniej nie wyklucza.

Czy zatem — jeśli moglibyśmy wybrać charakter trzeciego tysiąclecia — nie lepiej byłoby odpowiedzieć się za epoką sceptycyzmu i relatywizmu niż za, być może, nowym dogmatyzmem i absolutyzmem. Jednakże kultura fundująca się w sferze codzienności, nastawiona na wartości związane z wygodą życia ludzkiego oraz pograżona w relatywizm i sceptycyzmie nie jest żadnym gwarantem ochrony człowieka przed wynaturzeniami groźnymi mu ze strony niego samego. Przykładą dostarcza choćby sytuacja Rzymu cesarów. Równocześnie — o ile przeprowadzone tutaj analogie można by uznać za zasadne — należy pamiętać, iż efektem średniowiecza — choć podkreślić, przenikniętego duchem starożytnej filozofii — było Odrodzenie i Reformacja. Czy jednak „Nowe Średniowiecze” będzie zaczynem „Nowego Odrodzenia”? i „Nowej Reformacji”? Konsekwencją Rzymu natomiast był upadek i zwycięstwo ludów barbarzyńskich.

Przedstawione dotychczas obrazy możliwego rozwoju kultury europejskiej mają przede wszystkim charakter modelowy, co pozwoliło na ostre zarysowanie różnic między nimi. Niemniej należałoby dodać, iż kultura europejska nie jest systemem izolowanych układów, a wręcz przeciwnie — zwłaszcza współcześnie — są to systemy znaczeniowe wzajem na siebie otwarte. Oznacza to zatem nie tylko wzajemny przepływ znaczeń, ale również wzajemność ich zróżnicowanie. W realizację może trzeba by zmówić nie tyle o dwóch układach znaczeniowych, ale o funkcjonowaniu w kulturze przyszłego stulecia dwóch systemów wartości. A mianowicie systemu wartości religijno-ideologicznych oraz życia-odwołujących. Oba jednak łączą to, iż są ufundowane w życiu, czyli-odrzucają się to tego, co irracjonalne, emencyjny czy też przeżyć, oraz do sfery zmianowego bytu ludzkiego: instynktów czy też popędów. Wobec tego, czyż nie dołżne stąd instancjonalizm? Na to pytanie, dziś można odpowiedzieć tylko jednym zdaniem. Zawsze jest tak, że: „Gdy rozum milknie, budzą się upiory”.

Andrzej L. Zachariast

przekroje POECI, POECI...

IWA DUNAŁ-KOZAKOW

PRZEKROCZYĆ WŁASNĄ MIARĘ

*Bede, cóż powiesz z latem nadmiarem,
słg, nie ładnie przecież;
z Toha.*

(1111 *Bede, pios. swawilo...)*

Bóg jest siemal wylącznym adresem wierszy Sochonia, w najgorszym razie — świadkiem jego intymnych monologów wewnętrznych, bezlitych modlitw, w których próbuje poeta ocalić siebie i swój świat. Bezsilnych jednak — bo niemożliwe okazuje się zatrzymanie chwili, ocalenie ułotnego piękna, uchwycenie przelotnego wzruszenia. Świat zewnętrzny nieustannie burzy wewnętrzny porządek i spokój, unicestwia dotychczasowe, nie pozwala na krótki nawet odpoczynek. Podmiot wierszy Sochonia bez końca usiłuje pojąć niepoznawalne, odczytać minione, służyć całokształtowi zdarzenia, zrozumieć ogół poprzez szczegóły. Poszukując Boga i samego siebie w najmniejszych okolicznych domach — wciąż jednak zatrzymuje się na granicy iluminacji.

Czas i przestrzeń w wierszach Sochonia stają się — dzięki przyjętej optyce — swą drogą, stanowiąc jednocześnie przyczynę do opisu wewnętrznych krajobrazów i przeżyć. Świat przypomina tu albus czy zdnik, w których następują zatrzymane gesty, emocje, przedmioty i ludzie — niczym mały zatopione w barstwie czy kopalnie okazy. Podmiot nie potrafi przy tym przekroczyć granicy dziełowej go od świata. Wykazuje się poza rzeczywistość, kłóci, ogląda, nie zdobywa się na uczestnictwo, mimo wiotkniecie wyrażanego podziwu wobec tych, którzy żyją rzeźnicą i po prostu, i nie zakłócając zbytniej refleksji radości przynależnej boskim dzieci.

*„Dawci błęski nago,
bo chroci je zmierek gwiazdy dalekiej”*

(1111 *AA, w tych nieopoj. swawilo...)*

Zandrosząc dzieciom i prostym ludzom, iż na co dzień i nieświadomo korzystają z łaski Boga, wyciera Sochonia bezsilność wobec niepoznawalnego. Oto Boga odnajdają jedynie ci, którzy woli na od przyznać jego poszukiwaniu. Nadmiat świadomości natomiast zmasa do pokory wobec boskich praw, uniemożliwiając podmiotowi ich odczytanie, a zarazem nie pozwalając mu na prośbę radości z uczestnictwa w boskim dziele.

*„Zresztą, po co być
atroskiem wobec ciebie, najpiękniejsza,
żywa przepowiadnio.
Spójnij się,
chocby ku zagładzie!”*

(1111 *Za chwały miłkie w brzoim...)*

*Co zrobisz Panie,
gdy pójdeś gdzieś dalek,
poza Twe niebo i Twe ziłowanie.*

*dalek mi wobocisz,
wspie bijrę ją w drogę,
i się poza Twojej władzy mierz.*

*co będzie z Toha,
gdy ja się oddole,
czy maszle kochać mojej stopy łład?”*

(Wobocisz)

Podmiot wierszy Sochonia poszukuje sposobu przezwyciężenia własnych ograniczeń i rozważa zatem możliwość uwolnienia się od nich poprzez ich zanegowanie. Zatrzymuje się jednak w połowie drogi, nie docierając do źródła tajemnicy, skazany na wieczną udręk własnych pragnień i własnej niemości, niezdolny do przekroczenia granicy zła, grzechu, poornia. Ostatyczny gest pokory łączy się zamyślną przed nim tę drogą:

*Błądźmy, na dobrą sprawę, spokojnie!
drogę krzywą znaczą stopy
nie naszych
Nig*

(Anonim)

Jedyna dostępna forma oczenia siebie, swojej godności, wewnętrznej autonomii, a zatem i pogodzenia się z Bogiem i światem jest — z góry przeciw skazana na niepowodzenie — próba zarzestrowania świata, zatrzymania chwili, oczenia ułotnych wrażeń. Nakaz aby:

*„pinał otwarce
tak, jak powinno się żyć.”*

(1111 *Bede, pios. swawilo...)*

Samotność i dystans wobec świata stanowią niezmienne składniki postawy poetyckiej Sochonia w jego kolejnym tomie wierszy — *Nagoci wieloznaczny*. Gromadzone obrazy — drzewo, kwiat, gość, ciało, drzew, blask, nie, dzień — jawią się jako znaki, symbole, przesłania domagające się odczytania, a nie — jako spójne elementy świata przedmiotowego.

Kolejne próby odczytania owych znaków, skrytych w ułotnych domnaniach — tak jak i poprzednio — skazane są na klęskę, w najlepszym razie prowadzą do twójki konstatacji:

*Chciałem uśmiechnąć się
do całego świata,
czekaj burgeny ulóż chłystok
szczęść to pierwierz.”*

(Ciel)

Konsekwencją owych niepowodzeń w ogarnięciu świata staje się zwątpienie:

*Stradłem pomiędzy płotem ogródi
a potostawioną przez nie ziemniaki;
Znamierem moim było zrozumiene
rzeczy ostanków i pierwierz.*

*Używałem tylko
cielci powołania.*

(1111 *Stradłem pomiędzy płotem ogródi...)*

Bóg przesłaje być adresem refleksji i zaplece stanów świadomości podmiotu, który drogą ciężkiej uświadamia sobie swoją samotność na drodze, po której stąpa:

Wygany jesteś z tego krajobrazu,
bo jesteś przysta do świata, bez ciebie.

(xxx Litka, znow się waga opadła...)

Jest to jednak samotność z wyboru, wymagająca co raz bardziej utwierdzającego się buntu wobec praw niepodważalnych. Monologi wewnętrzne Sochonia wzbogacane zostają o nowe tony — gorczy, buntu, ironii:

Więc jakże będzie daleki
je same zmniejsza twarz
i wargi ciepłota,
Więc daleki cisze przekleństwa,
okrywane utępowo, modlitwa
wymuszone przez cierpienie.
Jakże będzie daleki:
Bote Radzieci,
Matruze Zgody.

(xxx Więc jakże będzie daleki...)

Dotychczasowy dystans wobec świata, powodowany nadmieniem świadomości podmiotu, przetrada się w dystans wobec litoty Sprawcy, odpowiedzialnej za rozdanie tej świadomości. Bóg przestal być oto powiernikiem cierpienia i wątpliwości podmiotu, lecz stał się kimś, kto stał pomiędzy podmiotem a światem. Może był narządem i celem poznania, okazał się przynależny na drodze do wtajemniczenia:

Tak czy inaczej wypada zapytać:
Boga i siebie,
na ziemi i w niebie,
skoro tego nie ma przeciwnika.

(xxx Tak czy inaczej wypada zapytać...)

Zatem podmiot tych wierszy znajduje się oto w sytuacji nierozwiązalnej, albowiem opór jego stawia go w obliczu przeciwnika, którego pokonać nie można. Z tej perspektywy najgwałtowniejszy bunt wyglądał musi najwyżej niczym:

...słoty sprzeciwił
w łękach ust.

(xxx Na nie jest podważenie w białych...)

Gorzka świadomość biermy wzbogaca poezję Sochonia o nowy ton — ironii tragicznej, jak w wierszach *Stępczycie* (*Matu wiekcie stępczycie i dlatego płacze*) czy *Przed nami przyszłość*. Jedną z prób omięcia nierozstrzygalnych dylematów jest ucieczka w świat najprostszych gestów i rytuałów, pierwszych, najszybszych wzruszeń:

...Jestem już w Tobie,
kiedy strapiłona
zdmuchnęła kropelkę potu
z czoła dziecka:
Wiatu oczołony.

(xxx Wia był się Marzycie...)

Inną z możliwych do przyjęcia postaw jest pokora i rezygnacja:

Czekam spokojnie, choć gzech i zmęczenie
widać jak sokił nat nad ofiarę.

(Przemyski 6)

Przychodzi Bóg i trzeba oddać przysięgę.

(Przemyski 2)

Niepodważalny i obowiągujący pozostaje jedynie nakaz pisania — nazywanie w głos każdej chwili lęku i obawy. Tylko tak bowiem ocalić może w sobie podmiot człowieczeństwo i godność, obroczyć wiarę poprzez wątpienie.

Oszczędzone mi zostały krzywe wojny, ukarawis,
miłości dlapieję, nadrobis. Zostały pycha i tąpnowa
dwie strony
witary

(Przemyski 8)

Jan Sochonia: *Opuszczone promieje przed światem*. Wydawnictwo Miasteczka, Kraków 1990, s. 56.
Jan Sochonia: *Rzeczki waldrowa*. Wydawnictwo Miasteczka, Kraków 1991, s. 40.

JOZEF FERT

PRZEZ ZAKURZONY HORYZONT W DRODZIE DO BŁĘKITU

Czytam wiersze trzech książki zbiorane w trzech tomach wydanych w Lublinie w ciągu trzech ubiegłych lat: Tadeusza Domałdy (rocznik 61), Michała Słowitewskiego (rocznik 47) i Jerzego Sikory (rocznik 59); szukam płaszczyzn porównań dla interpretacji i ocen tych książek; nie jest łatwo, jako że pod jedną banderolą mają trafić trzy indywidualne osobowości poetyckie.

Wiersze ks. Domałdy, których wydawcą był sam autor, wydrukowały Lubelskie Zakłady Graficzne. Tomik nosi tytuł *Zakurzony horyzont* i zawiera notatki poetyckie z czasu zamkniętego datami 1980-1984. Autor zebrzał 60 wierszy z pięciu lat w tonikową całość, uznając widać, że były wystarczająco ważne dla niego i dla potencjalnych czytelników. Spojrzawszy w notę biograficzną dowiadujemy się, że twórca liczył sobie około 18-22 lat, wydawał — lat 28. Snując dalej ten biograficzny wątek zauważamy, że niernadko zdarzył się w tak młodym wieku rzeczy poetycko ważne, niekiedy trafiały się wizer domowe. Tym razem młodość nie miała chyba aż tak mocnych skrzydeł. Autor mógł, naturalnie, uszczelnić swoje wiersze w głębszej szafidzie lub poróżnić się przy składaniu książki kogoś przyjaznego, acz krytycznie wdrzącego, bo przecież autorstwo — uszczelnienie poróżniająco — ma się czorodziejki Kalipso (czy nawet Kirke...). Mogł to czy owo. Ale zdecydowanie się wystawił w bezitnosie światła draku i oio stois przed nami — bezironny: przed sądem czytelników, przed lasocem krytyki, który z całą przysięgą bezduszności, na jaką go stał, może przekształcić białą szuflacę. Zrobiłoby to tym ochotniczo, że jego opowieść po piórze bez wahania i zahamowań zatapał papierosze staczkę złudnych śladnich rwinów często jak karawele noszące wielkopomne odkrycia.

Docenił trzeba jednak odzwagę. Myślę, że może ona w przyszłości przynieść autorowi pewne zdobycze. Wczesne zdenerowanie z oporem czytelników nieraz potrafi podnieć wrażliwość artystyczną w nowy, głębszy nurt słowa. Tyle wstępnych zastrzeżeń, pora na przybliżenia. W wierszu *powoty* znajduję interesujące ostrzeżenie:

...Znamyżyc proste słowa
lepiej poczekał chwileczkę
niech odopiecz sista
serce trzonnie wzniesko
czego nie mogą pojść ludzie

Odwieczne (a przynajmniej odromoczone) antynomie: słowa i prawdy, serca i rozumu... mówienia i milczenia. Ale przecież — jak inaczej był poeta niż poprzez słowo, poprzez mówienie, poprzez łasanie tego, co oczywiście, w tym, co tajemnie? Jeśli bowiem nie postawi się swemu mówieniu celów właściwych samemu, to „mówienie wiarozawne” nie spełni warunków nawet potocznej komunikacji; będzie monologiem bez adresata, będzie braniem rejestracją przepływu myśli, które nie mają kierunku ani ujęcia. Tekst stanie się kamieniem gładkim na walcenie „otworzyć się”

Kreśli tu skrajną sytuację spotkania z tajemnicą, która w żaden sposób nie chce się wyjawiać. W konkretnych przypadkach znaleźć można bądź frazę, bądź wyrażenie, bądź nawet jakąś komunikatywną całość, np. następną, melodyjną czy rytmiczną wypowiedź. Oto przykład:

ocelowali wiatr jak łasek bluzerzu
rzekłada ballady owinie Młkiem
na plikach wspomnień o kładzie porze
ukłose do smu murzenia rólnej
iwiat tonie w chacie wspomnień
kaple rasy nule czerwini smule

(Zimoch)

Chwytam obrazy — napięcia i rozpad metafor; daję się kołysać rytmowi opartemu głównie na powrotności przybitych schematów składniowych i... właśnie. A może przy młócie gitar, może w całkowitym rozpozuceniu substancji słowa w żywiole muzycznym — „czemu”, ma sens, tyle że poezjansatem, pozayęzykowy. „Aston, jak wiem, akompaniując sobie na gitarze, interesująco śpiewa nie tylko własną poezję.

Jeżeliby coś podpowiadać autorowi *Zakazanego horyzontu* to chyba Horacjuszą próbę czasu, która może odsonić hierarchie wśród rzeczy ważnych, mało ważnych i w ogóle bez znaczenia.

Drugi z autorów — ks. Michał Słowicki („Sikory i Baszni”, jak to o duchownym poecie malarzu napisał Waldemar Michalski w „Tygodniku Polskim” nr 16 z 1986 r.) — wydal swą książkę w habelkowej oficynie Norberta Wojciechowskiego. W Lublinie objawił się żywioł poezji wydawał? Może „Norbertinum” będzie pretensją do godności „Poetyckiego Norbertinum”, bo to nie pierwszy tom wierszy przesyłanych...

Książka zawiązuje tytułem *W drodze do topoty* znaczenie dość trywialne — do arcy metafory wdówki od nieznanego ku nieznanemu; tak — nie jest to dziś nawet droga w kosmicznym labiryncie, który miałby jakiś racjonalny początek i potencjalnie zrozumiały kres. Ten tytuł zmataforyzował świat nie dający jasności i poczucia bezpieczeństwa. I taki też jest — można powiedzieć — ogólny ton tych wierszy. Autor — biograficznie (i nie tylko) rzecz ujmując — jest człowiekiem doświadczonego i bo w sensie najgłębszym romantyzmu. Jest to przy tym artysta malarz, co nie pozostaje bez wpływu na formację jego poezji.

Główna dominanta tych wierszy to poczucie samotności. Wszystkich i wszystkich, a szczególnie autorkę tego ja. Jestem sam, chociaż sam — w sobie...

Kłopot —
proszę o kilka słów
i o spojrzenie łaskawe
Jestem w błędnym
nie rozpoznaję siebie
w wygadłym zwierciadle
bez świadomości parki
za ścianą

(Racwiłło)

Czytelnik — nawet nie zorientowany w kapłanińskich realiach — zauważy, powinien zauważyć, sytuację spowiedniczą, „wpakujże w zwierciadło” to jedyny partner artysty, to jedyny słuchacz ciekawszego ja! — Snując więc wierszy-modlitwy. Jest kilka „rozmożeń wieczornych”, jest ich uderzająco niewiele: *Ofiarowanie, Predicatio, Uweleblenie*. Ale jeśli przy dobowad modalną radę modlitwy — to bodaj każdy z tych wierszy jest takim poetyckim pacierzem codziennych doświadczeń serca i umysłu.

Zmaganie z mrokiem — tak mi się jawi dramat eklewicyzmy ukryty w skorpole formy nowoczesnej notacji poetyckiej. Mroczny świat (dobry czy zły? — nie wiadomo) w zapasach z łakubstwem.

podjęci — zapomył o nasser
winie wymógł przetrzebi
Ade laki w kładym słowie
i znowu półprawy
znowu nagie

(Słow II)

Ta poezja — mimo daleko posuniętej skretowości i jakby zamierzonej nieczytelności — przenosiła miłą, pożądaną prawdę. Może to prawda dramatycznej niepewności całej? Może prawda autentycznego poczucia winy? Może twórcą przed ostatnią kłopotą — bezsenność?

byłci dzi
w losach morza
odwrotnych nurty
całe spojrzenie
pur racy siemieraly
twoje serce

w ścianach strachu
dotykałi wyznaczkę gwie
ślabohe przetrzebi

i cieni nie znalazł
przeszłość do czasu
i drogi za moim cieniem

(Prophet)

Talent poetycki to moc przemieniania słowa w dzieło sztuki literackiej. Poeta malarz, znawca żywiołów barwy i kształtu, światła i ciemności, faktury i głębi jest takim samym artystą w słowie i barwie; wyraża konkretno osobowość, by ocalić światło osoby:

zachęcał mnie ciałowik
do spaceru łagodnych
i uczu cichych
tychwie miał słowo
jakby przysięgi zbudował pragnął
między dwoma brzojami

zawoń tranwelant
bicie jego serca
jut go nie było
w polu widzenia

(Zawit)

Był niecierpliwym ciekłym na kolejny tom wierszy Michała Słowickiego. Trzecia z omawianych książek — tom ks. Jerzego Sikory Szułka *Młkim* — zawiera aktualny dorobek poetycki autora dobrze już osadzonego w pejzażu literackim (dla tomów wierszy, publicystyka literacka i in.). Zresztą, nawet pierwszy rzuć oka na te teksty przywodzi pewność, że mamy do czynienia ze słowem wyprodukowanym, świadomością, silnym i danymym pewnością posiadania siebie — bycia a siebie w domu.

Jestem taka piękna
oczy chłabrowe
w granicy zakłosa
jak malin zwiewna
przekrodo przy jałdki
nie siebie spazyczny
nie aluzję klakozm out

co na to Bóg?

zagał się razem z mną

Przypisalem cały — beztytułowy — wiersz, choć nie wszystko mi się w nim podoba; widocznie taki to już los krytyki: zawsze coś mu się musi nie podobać. Cóż to jest — w tym wypadku? Otóż — sam się sobie dziwię — to, co z całej skwapliwością chciałbym usunąć za najgłębszą. Chyba właśnie ta trudna do sformalizowanego opisu, a jednak emanująca konkretnością, ta powrośń siebie; ta — z rodzaju — Mozartowska i nieznająca artysty obdarzonego łaską niebu — jedyną, wobec domu utalentowanych Salerichów?.. No, nie wiem. Ale jednak coś mi w tych wierszach za wadzą; choć — z drugiej strony — z przyjemnością przetrwać kartki „szukajek błękitu”.

*tyłe światła skrytego pod powieką
tyłe ciepła drżemiego w zrewie
tyłe dźwięki zamaskowanych jak wiewki
tyłe nieważności okazywanej w polsperchu
(Caly ciałek)*

Prozę popatrzyć; zaledwie paru słowami autor — jakby od niechciana — wystrawiając co chce, np. taką zjawę:

*Poezja ma usta pokryte strzmem
krwawy welon i mglisto oczy*

— czy to panna młoda? — wdowa? — harpia?... Ale oto deklaracja:

*choćby już tyle razy
szedłem w transeowym pochodzie
nie wierzę w Twój kraj*

Ktoś, komu każde dotknięcie słowa zamienia się w wiersz, nie może, nie potrafi się pogodzić z tragiczną opinią, choćby wyrażoną przez bardzo wybitnego poeę:

*Od kłosa lat
proces umierania poezji
jest przypływow*

— tak mówi Tadeusz Różewicz w tomie *Twarz* z 1964 roku. Choćby mowa inna — również znakomity — artysta w tym samym (mniej więcej) czasie powiada:

*co będzie
kiedy ręce
odpadną od wierszy
(...)
powinno to być obywatel
ale nie jest*

— to Zbigniew Herbert w tomie *Napis* z 1969 roku. Czy coś się od tego czasu w dramacie poetów zmieniło?

W wierszach ks. Sikory brakuje mi chyba tego niepokoiu o poeę. Niepokoi mnie też wieloletnia dominacja potwierdzeni wobec nikogo! pytań. Dają zachwyt, niewiele troski. Pełnia kwintessencji! A może jest tak, bo została wybuchana — jedna z niewiela — próba o piosenkę, po Norwidowsku zatytułowana *Zmieszaj szary:*

*strzeż Panie od słów napuszonych
jak panie strasznych
w martwym krągłościem wiersza
od słów wyparowanych
jak śluby garnitur*

Dotkniętem chyba zmianie — choć nie najznaczniejszej — odczy tych wierszy; bogactwa reminiscencji artystycznych (z kręgu literatury — te są najliczniejsze; z malarstwa: podziw, uwielbienie i nawet pewien stopień pokrewieństwa wrażliwości; dużo z muzyki i w skrajniejszych tematyce), w formie frazy odwołanej i.t.d.; nie brakuje nawiązek, sytuacji; nie brakuje... niczego. Przestrzeń kultury: dociekanie, kontemplacja, wymiana wartości, za dużo to, czy za mało?

*ogładam plłona Maneta
widoki z Włocławca Normandzkiego
mglisto popieł nad Słonwą
wobal słowca
muki*

*taniec kolorów
gru światel*

lekarstwo na starość

Dominuje tu — i w wielu innych „szukających błękitu” wierszach — zapatrzenie w formę, zapatrzenie w sztukę i przeżywanie siebie w jakościach estetycznych aktywnych — podmiotu przeżywanego życie jako formę piękna. Jak bardzo intensywnie można tak żyć, świadczy chociażby *List do Słowa:*

*powinno chciałoby wiedzieć
co alycha w krajnie martwych wierszy
we źnie spotałem Gałęzki Jabłoni
do set nalliem białe płaski
wiesz, podarowa Cię wiosenne*

To chyba nie tylko metafora zrealizowana jako wyobrażony świat — to chyba świat odczuwany jak wiersze kusząca metafora.

Zamykam trzeci tomik i nie znajduję płaczący porównania dla omawianych trzech zjawisk poetyckich. Złazężył je przypadek, z którego nie wynikają żadne dalsze konsekwencje. Są to bowiem trzy odrębne i samonitne świadectwa świadomości siebie w świecie, który objawił się każdemu z nich po swojemu, i który — z większym czy mniejszym szacunkiem — spróbowali schwytać w pącejący wrażliwości i doświadczeń w sztuce słowa.

Tadeusz Dobrzycki: *Zabawny karykatur* (Nakładem autora). Lublin 1959, s. 54.
Michał Szumowski: *W drodze*, Nuchaczewo, Lublin 1950, nakład 500 egz., s. 34.
Józef Sikorski: *Słowa plłona* (Nakładem autora). Lublin 1951, s. 44.

TADEUSZ POLANOWSKI

POETKA — PROROK...

Czytałem najgłówniej tomik Marianny Bocian *Z czasu pełni: jest! Jest! Jestem!* i przytywałem rozdwojenie, gdyż znajdujące się w nim wiersze jednocześnie przytycały i odpędzały, mobilizowały we mnie postawę najwyższego zachwytu i potępienia, wzbudzały uczucie sympatii i niechęci. Andrzej Falkiewicz podobnie napewno odchodził psj „kontrowersyjną twórczość — mającą wielu wierszy sympatyków, ale zdecydowanie odrzucaną przez innych”. Krytyk dał się jednak „amizytowski” — w artykule *Ciało Marianny Bocian* („Akcent” 1950 nr 4) utrwalał swój widok zwolenniczy, i w związku z tym unowocześnił system tłumaczący tę twórczość.

Mnie wydaje się, że powodem owego czystelnego rozdwojenia jest istniejące w twórczości M. Bocian, rzec by można, prorockie, moralizatorskie przerysowanie, które powoduje daleko idące odmienną „od siebie”, wzmieszenie w czasie poetyckaj mowy na niebezpieczny wyrostki i — co istotne — nie w pełni stylizacji

podmiotu umotywowany dyapazon. Aby dalszą wypowiedź oprzeć o konkretny zacytuje w całości liryk M. Bocian xxx zbawiając siebie... (x12), który, nie będąc najczystszy z czysto wierszem tomu, nadaje się do przywołania, bo jest najkrótszy, a więc są trzy, cztero... ośmiokrotnie obniżając:

*zbawiając siebie wzajem systemy polityczne
zrykając świat do popiołów*

co polityczne

*od wiatów
na murdach rzuła i grobach
i mordem się stała
niczym litym na głobie*

*któ będzie oplakwał tych narodów
w powietrzu obłaczonym*

*przez zbrodniczy ogień
wyleży*

*w myśli bękarta myślenie na cudzym tronie
tylko o jednym
— jak uniwersalnie zabija!*

Wiersz *Prawo Śprawiedliwości* sprawiedliwość i miłość bliźniego ma za religijny zabobon a człowieka i naród za psak roztacza

Przywołany wiersz jest wypowiedzią anonimowego podmiotu, który nie bliźniego o sobie nie mówi, postępuje ukryty, jego obecną nradzą jedynie mowa, słysze wyrazy, określenia i tóć rozumowania. Padają słowa-pojęcia: „polityczne”, „święta”, „groby”, „tych narodów”, „zabić”, „człowiek”, zjawiają się określenia typu: „zbawiając się wzajem systemy polityczne”, „Prawo Śprawiedliwości i miłość bliźniego / ma za religijny zabobon”. A jaka jest budowa wypowiedzi? Została ona oparta o logiczną zasadę wywoła, którego cechą jest najpierw przedłożenie ogólnego stwierdzenia, a następnie przytoczenie egemplifikacji.

Porówna się pytanie, kto dzisiaj w ten sposób mówi? Może profesor uniwersytecki, a na pewno niektórzy „starzy daty” kamodziej trzymający się jeszcze dawnego języka i stąd wywodzącego się sposobu przemawiania. Tytuł budowania wypowiedzi w oparciu o schematy dodatkowego, czy zwłaszcza indukcyjnego rozumowania spójnik możemy w lryce Norwida, ale u tego poety-milijni określania są bardziej precyzyjne i powiązane z osobistym doświadczeniem, a wyrazy ogólne — przypłysoone określeniami konkretnymi.

U. M. Bocian dochodzi do głosu unielenie podmiotu spotykane w hymnach, odach i poematach opiewoskich klasyków warszawskich, połączone jednakże nie z retorycznymi, ale z romantycznymi, czasem religijnymi emocjami. „Temperatura” wierszy jest bardzo wysoka, obrazowanie nieraz kosmiczne, sprawy — najistotniejsze, ważne dla poetyckiego zaciśnięcia, katedrowe i ludzkie, i w swej sprawy: miłości i niesmiłości, dawania życia i zabijania; porównania, Boga, wojen, narodów i apokaliptycznych przesławań. Dodając do tego cząstkę nieobecność egzystencjalnych doświadczeń podmiotu i jego prezentowanie się jako miłośnik-kamodziej łatwo zauważyć, że poeta ja to może wiewi krytyczni ów bądź „porwać”, znieśmiółić i przekonać, bądź też zranzić i odeprzeć.

„Dla umotywowania tych sądnó mów cytat, tym razem z dłuższego wiersza, niemal pominięto wielkie mianko *Europa*, który to twór może być reprezentatywny dla skazania prookracji, oskarżycielskiej postawy podmiotu.

Europa
Petrarki Miłosa Erasma z Rotterdamu
Riksa i Kochanowskiego Goetzego Słowackiego

robboków zremicłobków skarzy cieli robboków
Świętego Franciszka z Asyżu Świętego Tomazsa
Daniego Hansu Mistrza Eckharda Gullera
Michała Anioła Norwida Bo Ia

Europa
Hilarek Polwarków zwierzęcych i Świątoko
geniaży zbraudi i polęgi
spredalci na targu niwroboków juno i dyplomacyzicie
polowce siebie

jak wolność do teraz zykali

rozpalani
tronie elepanckiej majętki są miankiem przeszłości
jak cicho i zjadzie pochłania ci czerwony rak
ale ty nie chcesz prawdy rozumieć ani widzieć siebie
bo bez serca rozum jest zawsze i wszędzie obłędem

Podmiot wiersza wielkie mianko *Europa* ma wiele cech prozaka, który zachowuje się niemal jak biblijny Jeremiaś: „Albowiem lekroś mam zabrać głos mójś obwieszczać: «Gwałt i ruin!» (Jer 20, 8a). Narrator M. Bocian ogłasza „gwałt i ruinę”, ale przesławnie je, która są przedmiotem, a nie ja, która dzieje się aktualnie, czy też dopiero w przyszłości się spełni. Jest to niewielkie uświelenie, uproszczenie sobie prozokkiego zadania, krok ku moralizacyjnej funkcji prozaka. Bohater wiersza tomiku Z *czasu jedni* ... trzucący gazy na rzeczywistość minioną nie ujawnia zaręczającej swą egzystencjalnej rotterki, swego cierpienia, które stale towarzyszy on. Jeremiaśowi: „Uwiedził mnie Panie, a ja pozwoliłem się ukość; szparnieli miś i przemogli / Słowaś się codziennie pomimiewokim, wyczerzy mi urągaj / (...) Żak Światło Powstać stała się dla mnie / (określone) zniewaga i pomimiewokim (Jer 20, 7, 8b).

I to nieukazanie w wierszach M. Bocian sytuacji podmiotu powtórnie odłabia się przekonywując obrazów, stwierdzeń i sądnó plomieniego mianka. Ale w tomie Z *czasu jedni*: *jest! EST Systemem* znajdują się wiersze, które łączą narrację z informacją o „ja” lirycznym. Do takich utworów należą najpóźsze temu wiersze-poematy: *kaplan i poeta* (ok. 140 wiersów), *wierciana Koncepcyjka* (ok. 120 w.), *Brzoza Janowi*, *kaplan i poeta* (ok. 90) oraz niemal całością, jak na powiecką praktykę M. Bocian, liryk na moście Turkułow we Wrocławiu. W środku tego wiersza znajduje prawdziwą perłę lirycznego wyznania.

*patrzy jak zabłążoną ręką odpływają dwa kłębki
jakby uniosły moją wiew i ludzkie miłczenie
znuw nie wierzę że nie uczyniam tylko roztawianiu
dyktowanego hadłom przez ich naturabną leniwę*

*percił mi troche nad tym brzegiem podyć
nie czuję się wyprzedzonym ani nadzwanym
ani powem czasu ani niewielokim
zadę gdy zawolacz
jak ongi matka
przed sobą by zamnąę w szczyłowym śnie (z 15)*

Na zakończenie warto o ostatnim, trzynastym, tomiku poetyckim M. Bocian (poetki mieszkającej we Wrocławiu, a urodzonej na Lubelszczyźnie), aby odłubić (ale nie odłubić) ostrość wcześniejszych stwierdzeń o braku informacji o przeszłości i dyktamach podmiotu, zacytujmy kolejną część tekstu z poematu *kaplan i poeta*. Tekst ten posiada dobre ukaranie obecną w tomie Z *czasu jedni*: *tytynka* (rodem z romantyzmu) koncepcję poety-prozaka. *Wierciana Koncepcyjka* (ok. 120 w.)
poeta jest wywołaniem tracącym w radeńi przepaci
gdzie wysył kapłana z powołania już nie śiega
miał się o czyste myśli i zabrowie duchowe porcy

nie pytał jejtyż się kapłanem w człowieku
nie pytał w powiatu co się stało
ze twarz moją też stano jak papież
nie miał mnie na kłamanie odwieka
i nie mówi mi święty że wierzący są radziwi wśród niebezpiecz-
niebezpieczni! kapłanie! przyjaciele!
nie psakom do żadnych rzyt nawet i kapłanich
bo swoje ręce nie mogą być moją ocalsięcą
gdy wyszł samozna się w okolicznie
którejś musi samozna przeżyć po 16-18)

Marianna Bocian, równieżierka Stanisława Baraszczyka, przynależała do pokolenia twórców odwołujących się do romantycznej tradycji. Z tym pokoleniem łączą ją „nieufność” do języka, kultury, krytyczny stosunek do przeszłości i teraźniejszości oraz sprzeciwianie zbyt poetyckiej formie wiersza koła na sześćdziesiątych.

Marianna Bocian: *Życiowa podróż* JESTEFonem. Wyd. „Koc”, Wrocław 1996, s. 11. Biblioteka Wrocławia nr 8.

ZYGMUNT JAN PRUSIŃSKI

ZŁODZIEJE CZEREŚNI

Mam przed sobą tomik poezji *Złodzieje czereśni*. Autorem wierszy i poematów jest Muzany na emigracyjnym szlakiu poeta Adam Linkowski i San Francisco. Książka prezentuje się znakomicie: obwoluta w trzech kolorach, wyjątkowa jakość papieru, czysty, piękny druk. Widać, że wydawca Artes Publishing, INC w Stevens Point to profesjonalista.

Poeta jakby w roli stróża wprowadza nas do ogrodu swoich wierszy przez furtkę — nazywając ją: *O porzyci i porwach słów kłusa*. Siara się odpowiedzieć m.in. na pytanie: czym jest poezja i komu służy? Jestem z nim, kiedy mówię.

Poeta powinien być panem
kiedy układa nos do imieritka szalowego
(Pauza)

Dziś poeta omija salony, bo salony go nie chcą. Zrezygnat „zra salonów” dawno minęła. W wierszu *Samotności pisanie* (...) samotność bijędy nie zalicza się do grona swoich przyjaciół lub nieprzyjaciół. Do samotności jest przyzwyczajony. Mówi wprost: *Ten który bóg się samotności i bólu nie może być poetą*. Czyżby kokieteria, czy rzeczywistość jakby sadana już od samego początku poetyckiego działania. Chcesz być poetą, musisz przeżyć samotność i ból. Kto jest zdolny ma zandrócić, kiedy pisać:

Moje wiersze to tabliczka
na sznurku własnego życia,
recepta na udane niebezpieczeństwo.

(Moj wiersz)

Adam Linkowski jest świadomy skazania na nieustanne doświadczenia. Z premedytacją przyjmuje — nie walczy, bo to nie ma sensu, — i twarzą rzeczywistości w narzuconej przez siebie formule: *Rolą poety jest być niebezpiecznym aż do granic niebezpieczeństwa*. — Mądrość nie walczy z wiatrakami...

Czereniowy Sad dopiero się zaczyna. Owocuje obrazami. Poeta nie kokietuje słowem, nie mruży oczu. Jest najwykryciem intelektualnym, który utrwało to, co wokół widzi. Mówi obrazami — są one i w smaku, i w dotyku, i w spojrzeniu, i w pamięci. Widać to także jak bardzo jest przywiązany do pojantu doświadczenia i młodości. Linkowski pisze, tworzy wiersze jakby wyrwane z wnętrza. Przepłata

ułożymy drobniarzami. Przyjrzyjmy się: sielankowe miły skojarzenia; mają wymiar ważny i orsy, Cargot tu nie ma i trud tłaczem; i się Basią Szczępka, i wyznani chłupiana, i babka Paulina, i ksiądz Wikary... Dosłowny jarmark z promienistej kochanych Pieszy. Jarmarczne stosunki, kolorowe odpady, wyzývające skojarzenia natury z człowiekiem: „Poczuła z twarzą babki”, (...),ogitki pod samą szyję w swoich mandarach zapięte jutwyne, na baczność wyprostowane; to nasi nauczyciele od biologii, historii, polskiego, „...marchuca do złudzenia przypomina panią od rysunków”. Waga malarstwa, poetycko przedstawiona. Metafory ikrną się jak rozbawici świętójanki, „...piana sobota w sukni piałków/czołkajka na zaślubiny z armią pęczków”, „...drewna czereniowiec trzęsące się lićmi serc”, „...myśli lejzista od schrabaczką skrzydeł”, „...senne okna mrużące oliwkami powiew”, „stara kobieta (...) każdym mieniem twarzą; podnosi niarko kurz”. W wymiarze wiersza brmi to następująco:

Poczuła kaganit to twarzą zaszarowało jego bat,
popłaskat po głowie, podupął po plecach
potwórki wymarzać się w konie farfacha.
(Babka Paulina)

Jest i IS po południu, normalny dzień pracy
ze chwile podniecie szare brzozy daniel
płyną jak worki przeladowane puzencią
wysypujące durne miasto — karczki. (...)
Prawie wszystkie są ze wsi
widac to gęły stawiający kroki na chodniku
a ich wielkie tyłki i biodra fabry przelazęją
bluzecz z bólu na bok.
(Pauzowe Thacki)

Obok jest ławka na niej ięj Stasia Szczepka (...)
przyjaciel przyrody i przyjaciel ludzi (...)
On w oczach nieba
moła była czereniowa dziadonka.
(Pauzowe miasto)

Autor *Złodziei czereśni* nie prezastaje na rejestrowaniu zjawiska. Szuka, docieka prawdy. Mówi: „...Jadłokół kazał mi wzięty we wszystkie i stawiać pytania i nie odpowiedzieć mi. Wipećco? powiem więc językiem bólu / mamgo mi bólu, bo czym jest skarga moja / wiotkiem kłosem łak udy dach gawronczki. Beztrosko wymyśle: może ja zawiesz chciałem tym być / co najkubiej; pstrągi azyzmali się / na światłom grzebiecie.

lablone patrzył w ogień
złoty i wesoło tańczył flamenco
i nie myślałem
z rozpaczy jakby wirującej
ponad płomieniami
kiedy nigdy do ognia nie powrócił
(O pauze)

Panie wybac mi nie potrafię
chwalić się
jak Dawid lub Salomon,
nie potrafię z taką siłą wierzyc w ciebie
jak Bohaterzy
Starego i Nowego Testamentu
(Sposób chłupiana)

Poeta jest szczerzy, szczuwy i po swojemu kocha. Nie chce być „wszystkim”. Jest sobą. Ma serce, którym rozporządza, jak grą dobrego instrumentalisty. Jest świadom, że Bóg istnieje.

Pamięć (...)
bez. Twój młodość, jęstrzywość
bez ciebie słodze czerwień
nie jest słodzą
tylko nie słodym drewnem
(Pamięć słodze czerwień)

Dla poety szczególną miłością jest miasto jego młodości: Pizywiec. Żyje w nim na odległość — i to jak! — *jak drzewo, słony, latarnie alchemii / jak ciemność, namierzony, obłoki, piasek. Poczucie ich osłona po brukach Czerwień w tych stronach...* — to znakomite kamienie z krakowskiej karczmy w „*Hubalcaj powoli z doświadczenia / napęsklony mizra odwoła delikatne / formy drzewce porannej rosy. Anioły grzeszne o aśmiałych lalek plantkowych / kto może im wierzyć, że / dźwiękiem nie podlegają. Na pewno poczucie niełatwo było przynajmniej. To miasto umarło we mnie (...)*” *dziś spojnik leży w transjencie / mojego serwa.*

Główny nurt poetyckiej refleksji w tomiku, to dramatyczna podróż do wybranego ośrodka „*ziemi obcej*”. Dobrze znam ten schemat podróży, gdyż sam brałem w niej udział i żyłem w tym gnieździe „*wielkich nadziei*”. Poeta zauważa: *Pociągi luksem / wiodą podniebia wciągają się / na wieńcówki dwozecz — strumień habki rze / do oceanu wolności. I dalej: Dwadzieścia lat później trzech złoździ czerwień / stanęło przed bramą obozu w Trautkirchen w Austrii. Doświadczony tej samej drogi i mi bliższe znaki zapisał dokonano przez poetę: *...nigdy do gabryli sprawdzić liść, / nie jeszcze nie dźwigi, / jak skrzyłka jak rosnę, / w smach słychać ich zwołanie. To oczekiwanie na list. A list przewyższa w tym zapisie. Boga dziękuję za przeszłość i przyszłość, / w modłach prot o spokojną noc... Żeby to zrozumieć, trzeba było się o to postawić, tam, w obozie. W tym dramacie narodowym, z czasów stanu wojennego, Polacy są co dzień przetrzymywani przepychanki narodowościowo, często kończące się i śmiercią. Tym tragicznie, że niby tak blisko było się odu. Czyżby faktycznie był to od gołoty...? Poeta spisywał dopowiadając: to skandal XX wieku. Skandal wywołujący, który zabrał tysiącom ludzi własną ojczyznę. Tego nikt nie jest w stanie uprawiedliwić.**

Uciekli do wolności
a wpadli w otwarte ręce kapitalizmu
w którym dyktatorem jest życie
stępa — kapitalista
niewolnikami — oni (...)
porwali się na świat w imię
zadowolonej ziemi obcej
(Aubade 38 Gory)

I zaraz, jakby w obłędnie ekstazy, która szybko miją, dodaje:
nie ma powrotu z ziemi obcej
wszystkie próby wyzwoleń powrotu
to ubieranie nieboszczyka
w nowe buty
(Nie ma powrotu)

ochłodzi szybko w ziemię
wronę jak chwast
objętną korozjoni sxy
dopiero później uświadomił sobie
że od urodzenia
jestem bęglarzem na gępe
(Nie)

Dla tych, którzy tu ciągle przebywają, poeta ma specjalny repertuar. Jakby z rękawa wydyszał jesienimi liśćmi. Sam przecież poznał sam obój ziemi.

(jak za bogactwem jak ryba na haczyk), (...)
emigranci po pewnym czasie
zostają się bęglami
nieświadom w świecie przyrody
rozpoczynają nowe życie,
które różni się
rybą tym od starego,
że bardziej jest swe
nowe droższe wędnienie.
(Uwzrost z obłądkiem)

Często Polak Polaka się wyzdzi. Unika go jak ognia. Wprost plonie niewiedzą:

Są rodacy
poszukający pracy
na dziełach polskiej mowy,
zspodłobyż na wydfetraci wzrokowi
dziewka poporzonego pokrępyq.
Są rodacy
o umiwnia życia —
o twarzyczki ich czmyżmy się
głębokim kłótnym przez jasztrabki
po bezczelnym śniebie —
(Są rodacy)

Poczci protestować więc protestować i upominać: *Kto nie znalazł szczytów w ojczyźnie / nie znalazł go poza nią. Chciałbym potęgował się przy frzyce jego wierszy, kiedyś mówi bez żadnego wysiłku: *Gdy śpię nogi mam w San Francisco (razczwodził) / a głowę w Pizywiecz (ony).**

Dobrze się stało, że tomik ten po wielu trudności ukazał się w księgarniach. Poczci dziękują za wzruszającą podziś pedagogicznymi skrzydłami. Bez wątpienia *Złotobież czerwień* są wydarzeniem literackim na emigracji. Tomik powinien być także dostępny w kraju. W roku wydania tej książki, Adam Lizakowski został głównym buraczem I Wiedeńskiego Konkursu Literackiego im. Marka Hłaski, zorganizowanego przez Korrespondencyj Klub Pisarzy Polskich „*Metafora*” w Austrii. I to chyba nie przypadek.

Adam Lizakowski: *Złotobież czerwień*. Wyd. Artes Publishing INC, Iverton Point (USA) 90, Str. 96.

ADAM LIZAKOWSKI ur. 24 grudnia 1956 r. w Dzierżonowie na Dolnym Śląsku. Debiutował w roku 1990 w warszawskim „*Tygodniku Kulturalnym*”. Od 1981 r. przebywa poza granicami Polski. W 1984 r. wydał tomik wierszy w języku polskim i angielskim pt. *Combustion Poetry* (wyd. Speedy Gonzalez Press, San Francisco). W 1986 r. wraz z weteranem wojny wietnamskiej Naelem M. Waresem wydał tomik wierszy w języku angielskim pt. *Anteroson Poetry* (wyd. Trojan Horse Press, San Francisco). W 1990 r. publikuje tomik pt. *Wiersze amerykańskie* (wydawca oficyna OBOK — Dzierżonowski Ośrodek Kultury w Dzierżonowie). Wiersze jego były drukowane także w wielu czasopiśmie i antologiach amerykańskich oraz czasopiśmie krajowych i emigracyjnych jak „*Kultura*”, „*Pury*”, „*Nowy Dziennik*”, „*Nowy Jork*”, „*Tygodnik Powszechny*” — Kraków, Adam Lizakowski mieszka od 1982 r. w San Francisco.

O CHŁOPCU Z DESZCZU

Debiutanci tomik Zofii Bieleckiej *Barwa smutku* można odebrać jako sentymentalne credo poetki. Już od tytułu ciąży nad nim atmosferą „wstrząsanej” i „zakochanej”, która jest pogorzona i łowem: „przećcił już wiedzianka”. W tej warstwie recepcji jest to jedna z wielu niebierzących książek. Na granicy notaknika lirycznego łatwo się zatracić. Nie jest proste strzyżynie dystansu wobec dnia, dane wyarktyz do wobec historii własnej miłości. Zresztą już sama struktura tomiku ustawia jego lekturę jako brulionu przeżyć pomiędzy zapachem rosy (liłowych) i traw (sztywnych majem. Od „odurzania haszyszem pieśniami”, „uskrydlenia miłością” po „odebranie blasku jej oczom” i „andragogium światu”. Jest to więc swoisty rorshachek z miłością, rozrachunek smoly, która rosnąca nad miłością własną życiową mądrość, a więc i świadomość odchodzenia, nieuchronnie ciągną nad nią. Mylący jest ów ry panowania nad miłością, kiedy otaczanie i tak wszystko się płacze:

to przecięci tyłko
mięj się rozpadł świat

Można te książkę czytać także inaczej. Wiedzy obecna jest w niej i sama poetka, i świat jej miłości. *Barwa smutku* jest książką o chłopcach z deszcza, „o ródowej musli swojego ciała”. Jest to książka o jego miłości, „o pierzeży życia barwie”. Tak lektura młomiku sprawia, że tętni od najprawdziwszych wzruszeń, że skargi brzmia jak zmaganie, i nie przypomina on wysiłkiw rozczarowanej naczynnej ani nawet dotyk, z którą można fotografować się w kwiatkach. Nawet owa świadomość rozstania, która jest atmosferą przeszerzania, staje się czymś innym. Ona straża stan nagłego, który nie jest obłądem, lecz pogodzeniem:

Indywidualny góran
niepowinno być
twój zista herbaciana
czeka

Ta, że *Barwa smutku* można czytać na kilku płaszczyznach znaczeń, jest ukrytym, ale zapo, które w jakimś zamierzeniu zostaje. Świadczy też o swobodzie umiejętności dotychczasowej wieszni i dziwnymu ścisłości „w mierzonym doznaniu czeremchy”. Można właśnie stąd wywodzić się smutek, który stanowi klimat tej książki.

swan
czarne kwiaty
niegł ustalady
pierwszy żnię
pierwszej
bez ciepła
żnię

Filmowe będą pytanie o sprawcę klimatu tej poetki; jest nim Zofia Bielecka czy czytelnik? A może i ta gra jest zamierzeniem? Wszystko dzieje się w zamkniętej roślaność słów, gestów. I owa noc między dwiema otchłaniami, jak u Romaina Rollanda.

Zofia Bielecka: *Barwa smutku*, „Verna”, Białystok 1996.

Z RÓŻNYCH STRON

JANUSZ JUSIAK

PONOWNIE ZACZAROWAĆ ŚWIAT

Wiadomo, że każda wielka epoka w dziejach nauki tworzyła pewien model popamiętania przyrody. Średniowieczną była kosmosu była głównie spełnieniem potrzeby wiśkiego laika, nakierowanej uwagowością przy konstrukcji systemu jego intelektualne piękno, odbłak wzmocnności ukrytej w naturze rzeczy. Czołwiczek tamtych czasów postrzegł bowiem swe miejsce w świecie na te przemalującą wszystkich, hierarchicznie uporządkowanej organizacji elementów, która kontemplacyjnie wyposażonemu umysłowi miała gwarantować poeński wgląd w magię i potęgę Boga.

Nauka klasyczna usunęła w ciół ten teologiczny. Miski ówczesnej poezji obraz przyrody, wywołanej je jego miejsce wzbudziłnie podługanego samemu sobie zegara, symbolizującego prostotę i niezłomność prawa natury. Galileusz i jego następcy wierzyli, że świat fizyczny w swej istocie jest jednorodny, a jego zjawiska złożoność pozorna, dająca się sprowadzić do jednej prawdy zawartej w matematycznie wyrażonych zasadach ruchu. Newtonowska dynamika stała się zapowiedzią poznania zdołnego dostarczyć opisu wszechświata przestającego przez wszechwładzącego demona, którego zdołność pojmowania pozwałała mu rejestrować w dowolnie wybranej chwili położenia i prędkości ciał oraz dedukować ich przeszłą i przyszłą ewolucję.

Także wiek dziewiętnasty, choć nie zwrzał jeszcze z przewidywaniami Laplace'a, iż przyroda spełnia ściśle wymogi racji i jest dla umysłu ludzkiego całkowicie przejrzysta — stworzył własny wzorec rozumienia dominujących w niej procesów. Tym razem przyrodę porównano (była to swank epoki) rewolucji przemysłowej do wzniesiącego swój bieg maszynę parową. Podstawę niezbędnych dla dokonania tej obrazowej ekstrapolacji dostarczyły nowo odkryte prawo zachowania energii oraz słynne prawo wzrostu entropii. Kiedy przekształcono się o siemnościolki opatrania silników cieplnych w ten sam zjawisko, różni w dziedzinie tłumaczonego działania urządzeń mechanicznych, za kluczowy fakt uznano bezwzględne znikanie paliwa zużywanego przez spalającą je maszynę. Niowidzialnej dyspacji ciepła sładny zonal stan absolutnej dąbkości, ściślebie prowadzącej właściwości ka energetycznej samogładzie.

Prototyp teoretycznego modelu zwykły silnik kontrastuje z wewnętrzny bogactwem modelowanego przedmiotu. Z konieczności pomimo musi szereg jego ważnych aspektów. Może nawet ustanawiać trudny do zmielowania przedział między tym, co poddaje się intensywnej manipulacji zaspakajają jedynie rozbudzając wolę panowania, a światem codziennego oglądu rzeczy, jako oddległe od abstrakcji nauki. Model ten jednak te zalety, że upraszczając dostarcza orientacji w chaosie zjawisk, a jeśli jest dostatecznie ogólny — syntetyzując rozproszone osiągnięcia w jedną, spójną całość. Jako taki stanowi jedną z niezbędnych czynników w rozwoju wiedzy. Ale czy wyzroszona świadomość ograniczenia własności wiły przyrody stworzonych przez naukę klasyczną nie błokuje dziś prób tworzenia nowych, bardziej ogólnych ijęt realności fizycznej? Czy wpośkokanie przyrodokomawizmu doprzają już do syntetyz opowiadającej dążącemu jego aspiracjom? Czy jego niebysły sądzły rowoży, dokonujący się w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat w atmosferze niepewnej porocji nauki w kulturze, zagnawował w dokonania umyślnijawiające wykazanie, iż preferowany przez nie typ racjonalności nie zagraża człowiekowi i nie powiększa jego alienacji?

Pytania te są punktem wyjścia podstawowego walku rozważań książki będącej przedmiotem tego omówienia. Jej główny autor, Iwa Piatigorski, jest dziś jednym zczołowych przedstawicieli termodynamiki chemicznej, dyscypliny badającej zależności między energią mechaniczną a ciepłem. Urodzony w roku 1917 w Moskwie, uczył

się najpierw filologii klasycznej, historii i filozofii. Zdobył również solidne wykształcenie muzyczne (w młodości był podobno dobyte pianino, ale ostatecznie poświęcił się chemii, którą studiował w Wolnym Uniwersytecie w Brukseli, gdzie w roku 1941 uzyskał stopień doktora). Głównym przedmiotem swojej zainteresowań uczynił poezję czasu w fizyce i chemii, co kierowało jego uwagę na badania dynamicznych procesów zachodzących w przyrodzie. Dzięki opracowaniu podstaw teorii tzw. struktur dysypatywnych, stanowiących pomost łączący strukturę żywej i nieżywej materii, wniosków do współczesnej chemii i fizyki i oryginalny wkład. Za całokształt swej pracy naukowej otrzymał w 1977 roku Nagrodę Nobla. Jest także autorem dwóch książek, w których w przystępny sposób wykłada podstawowe twygi swej teorii oraz podaje ich filozoficzną interpretację. Drugą z nich jest opublikowana pierwszotną 1979 roku w Paryżu rozprawa nosząca tytuł *La nouvelle alliance. Vers une angélique et la praxi* (*Order out of Chaos: Man's New Dialogue with Nature*), również się od francuskiej poszerzonej interpretacji określił trzeciej, stała się podstawą jej późniejszego przeobrażenia.

Prigogine należy do nielicznych osób, dla których głównym źródłem wiedzy jest jednostka nauki nie tyle w stosowanych przez nią metodach, co raczej w treści jej centralnych teorii. Teorie te oraz wspierające je założenia filozoficzne rozważa na tle historii nauki. Śledzi ich powolne zmiany oraz reakcje, jakie wywoływały w innych dziedzinach kultury. Szczególnie dużą miejsce zajmuje autorom książki analiza pomiarów i świadomościowych następców Newtonowskiej syntetyzacji nauki fizycznej. Wiedle ich oceny, dzięki ogłoszeniu *Principios wielkiego Anglika* to jedna z najdłuższych rozważań o dziejach ludzkości — nie tylko z racji generalnego powiązania w logicznie spójną całość wczesniejszych prób wydułczenia ogromnej klasy odwranych faktów, ale także z uwagi na osobliwą postawę, jakie przyjęcia wymagała wiara w prawdziwość zawartych w tym dziele twierdzeń.

Postawę tę określał dwa, rzadko przez Newtonem uwspólniane, czynniki. Z jednej strony, jakżeś odniesiony przez nową fizykę mógł być interpretowany jako świadectwo faktu, iż oto człowiekowi udało się nawiazac rozmowę dialogu z przyrodą. W ciernym eksperymentowaniu i matematycznej formie zapisał związków między zdarzeniami nauka było widzieć uniwersalny język, odwołując możliwość utrzymania nieznanego wcześniej typu komunikacji. Lecz jedynie z osobów tego dialogu było — paradoksalnie — odkrycie mikrogo, obecnego na drodze sprawy świata. Zrozumienie przyrody do układu strukturalnych atomów i atomów w bezgranicznej przestrzeni dostarczyło naukowego uzasadnienia lęku człowieka przed swym otoczeniem. Zastępując nasz świat wartości i domać zmysłowych zgrupowanych światem (loki, nauka nowożytna kulturowie odchodzi się od życia. Myśląc iśnią ludzka miała teraz raze, by oraz się całkowicie samotną w bezmiarze kosmosa. Filozofia przelomu osiemnastego i dziewiętnastego wieku tylko wzmocniła to przeświadczenie. Czyniąc z ontologicznego dualizmu realnego bytu i subiektywistycznej pojęcia świadomości niekwestionowane założenie wiązkości przewodzonych w tym czasie rozważań, utrwalila rozdział między przyrodą a człowiekiem.

Nauka klasyczna nie była więc w stanie uporać się z pewnymi fundamentalnymi aspektami otaczającego nas świata. Autorzy dowodzą jednak, że syntezę Newtona na dziś już tylko znaczenie historyczne. Nauka naszych czasów stawia bowiem przed sobą całkowicie nowy wyzwanie. Ale najistotniejszym jej celem nie jest, jak to niedawna jeszcze często sądziło, ograniczenie wybranych wyjmujących się logiczemu porządkowi mikroświata czy rozwikłanie tajemnych związków między mechaniką kwantową a parapsychologią, lecz odalenie drogi do zrozumienia dynamicznych procesów tworzących wszechświat.

Zdaniem Prigogine'a i Stengers, podjęcie tego wyzwania wymaga przekształcenia podłoża naszego pojęć nauk przyrodniczych. Tradycyjna fizyka oparta była na przekonaniu, iż prawa przyrody mają charakter deterministyczny i opisują światła obwaralne, dla których żaden kierunek upływu czasu nie jest uprzywilejowany. W konsekwencji, procesy losowe i nieodwracalne traktowała jako wyjątki. Jej brak zainteresowania światem fenomenalnym i realnym czasem, czyli dziedziną makroskopowego poziomu natury, był logicznym następstwem przyjęcia tej paradygmatu. Lecz dziś — argumentują dalej autorzy — coraz bardziej rosnące znaczenie uświadomienia naukowego przynosi, twierdząc, że niektóre podstawowe prawa przyrody są naturalnie (należy do nich na przykład wspomniane prawa wzrostu entropii) mają charakter nieodwracalny i stochastyczny. Tm. przypłytkowo, nieprzewidywalny.

Wiątkości otwartych systemów wszechświata oczytuje bowiem stan daleki od równowagi (co z natury jest do niej zbliżony). Stan taki Prigogine nazywa „strukturą dysypatywną”. Na przykład każdy organizm żywy utrzymuje się przy życiu dzięki nieustannemu, dynamicznemu przepływowi energii, który wymienia ze swoim otoczeniem. Przypływ ten nie jest jednak statyczny. Dokonuje się poprzez ciągłe fluktuacje i turbulencje, czyż nagle przemienienia, wywołujące pojawianie się w tak zwanych „punktach bifurkacji”, gdzie zalegające się deterministyczny opis, nieprzewidywalnych warunków, przypływających system od jednego typu zachowania ku zachowaniu nowemu i nieoczekiwanemu.

W przekonaniu autorów książki stochastyczny charakter tego przepływu nie narusza obrazu świata rządzonego, jak niektórzy współcześni ucząca sądzi, przez bezwzględny z ładnego punktu widzenia przypadek, lecz jest jedynie synonimem spontaniczności i nowości procesów współdziałających jego trwanie. Obserwowanie w nim uporządkowanie nie jest przeciwstawne skutkającym przypadkowym akcjom atomów i ich nieregularnych połączeniach następującemu ciągłemu odstraszaniu się struktur dysypatywnych do swojego otoczenia. W pojawianiu w ten sposób rzeźniczość jest naturalnie miejsce na przykład, ale tylko dlatego, że nowe warzy zachowania mogą być wyzwalane nawet przez bardzo małe, nie dające się przewidzieć zmiany lub zaburzenia układu. Wzrost, podobnie jak organizm żywy, ma bowiem swą historię. Nigdy nie wraca do stanów, w jakie znajdował się wcześniej. *Złożenie pasującego w tym porządku nie są więc, jak w nauze klasycznej przyjmowano, deterministycznie rozumiane prawa łączące u podstaw wszelkich przeobrażeń przyrody, ale nieodwracalny i nie w pełni determinowany — rzez by materia, znaną jedynie się historycznie — przebieg procesów naturalnych. Dokładniej mówiąc, mechanizm, który dobiera porządek z chaosu powodowanego nieustanną kreatywnością materii, jest brakiem rządu struktur podtrzymujących stan swojego życia. W myśl wykładane w książce koncepcji, materia nie jest bowiem ładną z góry daną rzeczywistością — na przykład zbiorowiskiem martwych, wyizolowanych elementów, podlegających wyłączeniu wpływowi sil przyciągania i odpychania — lecz czynną na wkrót aktywnym, odniesionym do swojego „otoczenia”, na którego oddziaływania „opowiada” modyfikacjami same siebie.*

Ważną konsekwencją zawartych w pracy rozważań dotyczących struktury nieodwracalnych zmian w przyrodzie jest nowy pogląd na naturę czasu. Dotychczas fizyka skłonna była umawć czas fenomenalny za iluzję. Przekonanie, że czas jest zasadniczo parametrem geometrycznym, pozwalającym śledzić następujące do sobie kolejki stanów dynamicznych, utrzymywano się w niej od ponad trzystu lat. Wszak ambicją nauki nowożytności było przedstawienie świata, która byłaby na tyle uniwersalna i obiektywna, że nie zawierałaby żadnych odniesień do obserwatora, do jego „zera”. Jednak Einstein zagadnienie istoty przyrodniczych i doświadczenia zmysłowym różnic między przeszłością, teraźniejszością i przyszłością sytuował poza domeną fizyki. Prigogine utrzymuje, że paraliżowana przez naukę nowożytną obiektywizacja czasu doprowadziła do jego zdeprecjowania. Oddzielenie czasu od rozumianego było następstwem przeważenia o istnieniu w przyrodzie pewnego fundamentalnego, a zarazem prostego poziomu. Lecz w świecie nowych odkryć nauki przeważenie to jest bezpodstawne. Centralne teorie współczesnego przyrodniczo — Prigogine i Stengers za także ujął teorię cząstek elementarnych, poinsteinowską teorii względności, dynamik stanów nierównowagowych i termodynamik chemizacji — przekonują nas, że żyjemy w świecie niestabilnych przemian obcych na każdym szczeblu organizacji materii, w rzeczywistości, której uporządkowanie tworzone jest niejakos na bieżąco, w trakcie swego stawania się. Wiedza to zmieniła nasz sposób wyobrażenia, czym jest czas realny. Czas musi być naszym tworzeniem, a zarazem czymś pierwotnym, wyprzedzającym każdą abstrakcję i niezmienną — czymś, co w istocie swoją bliskość jest przekraczany przez jednostkę czasowi egzystencjalnemu.

Wedle autorów zrozumienie polewistów między charakterem zmian zachodzących w przyrodzie a strukturą ludzkiego doświadczenia czasu stwarza szansę na głębsze stanożenie jakości współczesnej nauki i kultury, jakim się go w pełni współczesne przyrodniczo, jest ani bezdusnym automatem, ani zatrzaśniętą swoją więg maszyną, w nim prawo przypuszczal, iż wozy niezbędne dla uchwycenia istoty zachodzących w nas procesów czepnąć można z wewnętrznej poczucia samerzeczy.

aktywności, jakieś doświadczenia we własnych aktach postrzegania, myślenia i działania. Otwiera to możliwość przemyślenia kulturowego: w skłach dzielnicy „dwa kultury” — naukowej na badanie czasu kultury; maczej części nauk społecznych i humanistycznych oraz abstrakcyjnej od jego istoty; treści kultury nauk przyrodniczych. Wystrajając ten podział, Prigogine i Stengers istnieć podkreślają swą wiarę w wywołanie niezamierzonych skutków ukrytych w pokładach ludzkiej racjonalności, zdolnej — jak sądzą — odrzucić zasady utycznego racjonalizmu, którym się rzadko dotychczasowa eksploatacja świata. Toteż ich wyobrażenie przyszłej wiedzy o realności fizycznej i gospodarczej z nią człowieka wolne jest od obcego duchowej porażenia naukowego mistycyzmu. Jestli nawet zawiera elementy pozaracjonalne, to bliższe są one wyobraźni poetycznej niż religijnej. Można by w również określić jako metafizyczne, gdyż występują z próby zrozumienia istoty człowieka w jego wchodzącym w jej zakres.

Poetykę wymową ma zwłaszcza użycie w zakończeniu książki określenie dynamicznego opijania na wszechstronnie „postnowoczesnego rozumienia czasu”. Jak z wielu świadectw autorów wynika, chodzi o zarzucenie powolności, bo zatrzymanie w czasach nowożytnych, odkrywanie niemierności równości oceniania człowieka. Dzielnica nauka wraca do genialnych instacji prekursorskich, do biologicznego modelu spontanicznego organizowania się rozproszonych elementów. Obszar świata, jaki ma być, nie przepowiada jednak wyłączonego z biegu ludzkiej sprawi widowska. Jego niedzielnym składnikiem jest bowiem tam jego twórcza, współczesny człowiek, zmieniający swoje środowisko na bezprzekładną skalę. Ma on wyczerpać beznieru niespełnionych możliwości, jakie niesie z sobą dż przypisywany czas, w którym przysło ma żyć. Ale ma też świadomość, że prowadzi grz z nieprzewidywalnym. Nie może nie poczować się do odpowiedzialności.

Z pewnością, odcierając się o poezję sposobu prezentacji najbardziej filozoficznego wku książki miał słaby wzmrozić jego dramatyzm. W istocie bowiem nawet krytyk nieznajomy z teoriąi współczesnej fizyki także uważa, iż ściśle naukowej analizie Prigogine’a i Stengers są tylko tłem dla spekulacji, jakim się ostentacyjnie oddają. Spekulacje te, czego autorem w pełni są świadomi, mają w dużej mierze formę apeli, nawołującego do odjęcia od tradycyjnego pojmowania zadań nauki. Są bardziej programy przyszłej świadomości metanaukowej niż teoretyczna oferta dostarczająca zgodnej się współczesnym przedmiotom poznania. Instytucjonalna nauka nadal bowiem trwa przy sprzeczliwych metodach badawczych, nadal wyjętym ciał przewidywalnym i kontrolnym nie rezygnując srybnych chętkach poezji.

Być może wiata, jaką mającej w książce belgijskiego chemika, jest dziś zbyt trudna do przyjęcia. Wiemy, iż w Francji społeczeństwo i chłodnym przyjęciem. Być może narzby dramatycznie akcentuje swikłanie człowieka w niepewny i niebezpieczny świat. Ale poczta świata, jakie Prigogine uprawia, nie jest słodką liryką. Z jej znaczących głębin dobywa się jedynie ton nadziei.

Ena Prigogine, Isabelle Stengers. Z okazji ich porażek. Przekł. Katarzyna Lipowicz, przedmowa i opisy: Bogdan Borkowski. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1996, ss. 306, nakład 20 tys. egz.

TADEUSZ SZKOLUT

KŁOPOTY Z POSTMODERNIZMEM ARTYSTYCZNYM

Sztuka lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych uprawia w konflikcie badaczy i krytyków, przewyżając do tego, iż twórcy współczesni występują zwykle grupowo, formułując programy (choćby one programy zmierzały do samokwifidacji sztuki jako wyodrębnionej dziedziny kultury symbolicznej), ciężnie teoretyzują na temat samej sztuki (nurt „metadziśności”, reprezentowany m.in. przez konceptualizm), manifestując swą kuld dla nowości i oryginalności za wszelką cenę, przejawiając kontestację nastawianiem wobec „obiektywizmu” (ostatecznie przegrywając z jego rozumieniem) i czas w wysiękłej poezji w ramach establishmentu kulturalnego) itp. Innymi słowy, bezradność teoretyczna i siemołność ustalenia klarownych kryteriów wartościowania

sztuki się udziałem tych badaczy i krytyków, którzy przystępują do wyjątniania i oceny; najnowszą sztuką i apudantem kategorialnym i profesjonalnym aktywnymi wytworzeni w wykład obcowania z wielością artystyczną o rodowodem awangardowym.

A tymczasem sama idea awangardowości zdaje się bezprowie odchodzić w przeszłość. Sztuka dzisiejsza nie uznaje się bowiem za nowości dla nowości, nie ma ambicji projektowania przyszłych ludzkości, obce są jej wszelkie stopnie narzenia, nie podziela optymistycznej wiary w stały postępi historyczny, w potęgę rozumu ludzkiego, oddolnego rozwiązać wszystkie problemy człowieka (tak wybierając problemu niepełności). Krytyka natomiast, sztuka naszych czasów bez widocznego Jaha wyreka się swej misji cywilizacyjnej, rezygnuje z radykalizmu estetycznego i społecznopolitycznego, tak charakterystycznego dla awangard XX wieku.

Sztuka u schyłku XX wieku robi wszystko, aby uniknąć żadnych opcji światopoglądowych, zdecydowanych wyborów aksjologicznych. Opowiadanie się za jakimś jednym stanowiskiem oznaczałoby bowiem odwołanie innych, konkurujących idei i wartości. Twórcy dzieł sztuki natomiast, skłonni są do akceptacji „obiektywizmu” i zachowują wrażliwość sprzeczną; starają się raczej między wrażliwością niż proponować jakieśkolwiek rostrzygnięcia konkretnych dylematów moralnych, religijnych, politycznych itp., czy tym bardziej — oferować nową syntezę ideowo-estetyczną, nową całościową wiedz człowieka i człowieka, wyłożoną przy pomocy jednolitych środków wyrazu estetycznego. Dzieła sztuki konstruowane są w taki sposób, aby mogły ewoluować daleko impadę aksjologiczną biegnące w dowolnych kierunkach, aby mogły porażać różne strony osobowości, zawadzać nieustannie na takie pragnienia, kabici, porządku.

Czyżby zatem owa „dywersja stylistyczna” sztuki końca wieku stanowiła swoisty estetyczny ekwiwalent ogólnego „rozproszenia” i zamętu aksjologicznego, odczuwanego naszą spoką, rozczarowania do ideów szeroko rozumianego „modernizmu kulturalnego” (najlepiej owe kształtowanie w racjonalistycznej myśli Oświeceniowa europejskiego) i zarzami niedołęga do wypracowania jakiegos nowego „horizonta ideowego” (określenie M. Bachtina)?

Czyżby indyferentny aksjologiczny sztuki i jej niechęć do wybiegania wyobraźni w przyszłość pośrednio wyrażały nasez dłaone klęki przed przewidywanym rozwojem wypadków, który nie zdaje się odpowiadać latwego rozwiązania obecnych konfliktów i napięć kulturowo-cywilizacyjnych? Czyżby sztuka (która jest zwykle czynnikiem integracji restrykcyjnym „podziemnie” walczącym zachodzące w systemie socjalizatorowym) tym razem zawiastowała nadchodzące przeobrażenia, polegające — najpóźniej rzecz biorąc — na stopniowym wyzercypaniu się kreatywnego potencjału „projektu modernistycznego” i przechodzenie całego „nowoczesnego” układu życia społecznego i kultury w jakiś znacznie nie określona „postmodernistyczny”? Podobne pytania nieodparnie namawia się przy lekturze kolejnej książki Alisy Kępińskiej. Autorka *Żywioła i miła* przyznaje, że zmiany dokonujące się w sztuce na przestrzeni ostatnich kilkunastu lat sygnalizują przekształcenie o znaczeniu ogólnokulturowym. Sądzę, że refleksja nad przemyśleniami sztuki dzisiejszej powinna prowadzić do pogłębienia samowiedzy na temat złożonych problemów, z jakimi boryka się nasz „miedziopokój”. A Kępińska podziela bowiem przekonanie, wyrażone przez siebie myśliciele współczesnych, iż ludzkość znajduje się obecnie w okresie przejściowym, w okresie erozji etosu modernistycznego i wyłaniania się zarysów nowego rozpoznającego jeszcze dotychczas ludu „postnowoczesności”.

A Kępińska doskonale zdaje sobie sprawę z wieloznaczności terminu „postmodernizmu”, dostrzega zawarty w nim ładunek wartościujący. A jednak byłaby skłonna pozostawić tę umową nazwę, przynajmniej w odniesieniu do dominującego nurtu sztuki współczesnej (por. rozdz. II). *Postmodernizm — Bądź teoretyczny?* Można by dodać, że pojęcie „postmodernizmu” jest nadze przydatne także z tego względu, iż przedrestuje „post-” dobrze oddaje stopniowy, nierozwiązujący charakter dokonujących się przemian kulturowo-cywilizacyjnych. Postmodernizm — w opini większości badaczy tego fenomenu — nie jest antymodernizmem (choćaż zdarsza się, że pod standardem postmodernizmu występują zarówno twórcy anachronistyczni, jak „premoderniści różnych orientacji), jest staro nowości, „stan ducha” (określenie J. F. Lyotarda), którego dominanta ideowo-estetyczna jest nadsiębie się poczucie zmierzcha nowoczesności, zalamywania się symfonią tradycji, stonawczego od dwustu co najmniej lat się napędzającą naszej cywilizacji naukowo-technicznej.

◦ Oweo poczuci wykrazania si wтары w artystycznej tradycji modernizmu kulturowego towarzyszy róznicz zmianie nastawienia wobec ówczesnego dotychczasowego dziedzictwa kultury europejskiej. Jednym z istotnych wyznaczników postawy postmodernistycznej – jak trafnie wskazuje A. Kępińska – jest uwanie wzglédności wszelkiej tradycji, zrówanie róznorakich wátków spo¿yciu kulturowemu (bez wzgledu na to, czy pochodzà ze sfery kultury „wysokiej” czy „popularnej”) w jednorodny, sp¿aszczonej opiece teatralizacji. To właśnie czerpià niektórzy badacze okreólajà miàsem „braku góej” w kulturze postmodernistycznej, odwołaniem „do¿dowalności historycznej”, zmieszczeniem krytycznego dystansu wobec przedmiotu kultury (F. Jameson).

◦ Historia kultury przestała by¿ układem odniesienia, który umóliwiał (chozaby przez spó¿ negacje) wykrystalizowanie własnych stanowisk aksjologicznych kolejnym, wstępującym w dojrzałe życie pokoleniom twórców. Stała si¿ natomiast terenem nieustannego spektakla, barwnego jarmarku, na którym ciówików „posiódziorczyony” (tj. o „Jednej historii” opowiadał w 1989 roku Francis Fukuyama w „Shogunowie” – owd tym samym tytułem) mo¿e manifestować swo¿a nieograniczonà wolno¿d¿ochowà, mo¿e stawia¿ róznorakimi ideami i wartoœciami, wybierajà je i porównujà w zale¿ności od chwólowego kaprysu. Sztuka postmodernistyczna mimo jaskrawe demonstrowanie upodobania do historycznych form, stylów, symboli itp., mimo nadmiernego czerpienia nape¿enia swych dzieł mozymi wzorczytymi z tradycji kulturowej i artystycznej, w gruncie rzeczy kwestionuje wartoœ¿ historycznej tradycji. Elementy tradycji, wywiesne z róznej góej historycznej i dowolnie ustawiane (rekombinowane) w obrzbie dzieła postmodernistycznego, tracà swà góej i powagã, stajà si¿ zale¿nie pustymi schematami, kliszami oddalajàcymi nas do innych klisz kulturowych (o tym właśnie zjawisku interesujàco pisze A. Kępińska w rozdz. 6 pt. *Wymagajà si¿ z kontekstu kultury*).

◦ Do powo¿czenia si¿ do podobnych postaw niewi¿póej przyrzàla si¿ m.in. niebywala ókapanie telewizyjno-elektronicznych óródków masowej komunikacji, które bez chwóej wyjednania gonià za najnowymi wydzarzeniami. Fakt i informacja o nim czóej wyjednania dziajà przez równocześnie, co sprawa, i¿ za odbiorcy podlanej stalej prozi mas mediów rzeczywisty definiuje si¿ poprzez ciàp „następnego teraz” (termin Ch. Newmana: *the next present*), a granica mi¿dzy realnoœcià i jej obrazem jest coraz d¿aliej oddzielna (por. rozdz. 5 pt. *Zmòcone klisze kultury: góje jest nasz ¿ycie?*).

◦ Najbardziej wy¿ek porównawczy książki dotyczy wlasnego mi¿dzenia i roli sztuki artystycznej w ówie zmniejszajàcej sytuacji sòkulturowej, która twórczoœ¿ wstplacena odzwierciedla (resp. wyraża), ale nie i współkazuje. Przed estetykà staje w zwiàzku z tym zadanie reinterpretacji starego problemu „sztuka a rzeczywistoœ¿”, zadanie tym trudniejsze, i¿ nie tylko pojóje „sztukà” utracià dawnà klarownoœ¿ (gówie za sprawa poczujàcy powojennej nowonagrody spod znaku artystyki), bez systemu, który wyznacza, ale nie i współkazuje, bez przerywanych przez óródek masowego przekazu). Poczucie ógólnego zagubienia i niepewnoœci potójeje si¿ jeszcze na skutek ujawnienia si¿ ambivalencji postóbi naszo-œciœciœcznego.

◦ Czy¿ jednak sztuka postmodernistyczna robi cokolwiek, by ów nieprójezrnyà rzeczywistoœ¿ sòpoczno-kulturowà wyrzbił barzeli¿ zrozumia¿, czy¿ stara si¿ odwróci¿ ciówikowi orientacjã w ówym Źwiecie poprzez, Źwiecie ókmalczem, ó¿ kapii, których oryginały dawno zaginęly lub zostały zapomniane? Niezdadno zaowzjà, i¿ pytanie to w istocie dotyczy móliwoœci spoznania przez sztukã postmodernistycznà funkcji ódenalicyzacji, funkcji demitifikacji rzeczywistoœci w imi¿ estetykacji ciówikowa, przyswóienia go samej sobie. Sztuka, która Źwiadomie rezygnuje z próby wzmieszenia si¿ na wyzwy, metafizyczny poziom refleksji o Źwiecie i ciówikowi, by stamtà¿ dokona¿ krytycznego ówzdu własnej kultury, narzuca si¿ na straszliwy narzut, i¿ zamiast róznic¿ schematy fazyjnej ówidownoœci, utrwalà je.

◦ A Kępiñskà nieobecne s¿ tego typu wátpliwóci. Jednakze autorka stara si¿ je zagai¿y, sugerujàc innà interpretacjã: by mo¿e swoisty „moment prawdy” sztuki postmodernistycznej (resp. transawanguardia) zawiera si¿ wlasnie w tym, i¿ dokonuje óna niekà „demaskacji drugiego stopnia” (s. 312). Kierujàc si¿ ówzrykà fragmentów ócytów, imitacji i neostylów, ukazuje tym samym, i¿ jest poistoty ókrazem na wsepniecie w fikcyjnym, „widmowym” Źwiecie kulturowych znaków, mówów i symboli, których inoza tró¿ dawno si¿ uómiła.

Innymi słowy, autorka skłonna byłaby mimo wszystko przypisat tej sytuacji pewnego rodzaju dzialanie wywólowe, polegajàce na wprowadzeniu nas w stan „pówtynowej ókwalifikacji”, zapocàtkowujàcej krytyczny narzud nad wyzyskà ciówikowa wódnocznego, zamkniãtym w zaklętym krzgu samopódzajàcych si¿ ciówów kultury. Równie¿ tak charakterystyczna dla sztuki (i filozofii) postmodernistycznej rezygnacja z pojócia podmiotu ludzkiego jako w tym układowanemu centrum interesów, pragnieñ, dajàr itp. (o tak pojóje „Amერი ciówikowa” pisał M. Foucault) jest dla autorki znakiem „obuwajàcej katastrofy”. Sztuka postmodernistyczna, likwidujàc kartezjanski óbrat „si” (zmarkowanego do swojej funkcji porównawczej i przeciwstawnego celom zrewolucyjnemu Źwiata, który staje si¿ wlasnie óbiektem praczyszczonym do pomawiania i praktycznego zawładniwania nim), przygotowuje grunt dla ponownego zakorzenienia ciówikowa w Źwiecie (przemieszczenie akcentu z porównawiania i ópanowywania Źwiata na „bycie w Źwiecie”) i do¿wiadczenie go całym sobà. A zatem nale¿oby tu mówi¿ nie tylko o istocie podmiotuwo¿noœci w ógóle, o rozpazdnie „ja” jako takiego, i¿ o sytuacji petyi bycia óczowego ciówikowa, o ówzwaleniu całego poczucia zawartego w naturze ludzkiej.

◦ Jak więc widzimy, A. Kępiñska jest niewi¿póej dobrym ówzrokiem sztuki postmodernistycznej, bowiem wszelkie wátpliwóci, jakie mogaby si¿ pojawi¿ przy próbach rekonstrukcji kulturowego sensu twórczoœci transawanguardia, tłumaczy na jej „kory¿ki” (przykładowo podobnego, nadmierne aprobowywanie stosunku autorki mi¿dzy by podaj siwoej). Trudno byłoby czynie¿ jej z tego narzut (wyzwalenie własnych ówzrobiej przez próci¿ dobrzy, bowiem pewem krytyka artystycznego), góby ówo nastawienie wartoœciowe nie rzutowało na sferę ópicy i wyjednania faktów artystycznych. By¿ mo¿e zestawienie ómego wypadku by inaczej, góby autorka óbrała nieco szerszà perspektywã badawczà. Potraktowanie przeobra¿en dokonujàcych si¿ w sztuce d¿iszej jako symptomu pewnych góebzych przeobra¿en kulturowo-cywilizacyjnych jest z pewnością ówocnym zakóciem teoretyczno-metodologicznym. Niesiety, autorka koncentruje swojà ówagã prawie wylcznie na zagadnieniu ówklaskà sztuki postmodernistycznej w pewne procesy kulturalowe, pomijajàc problem jej ówarunkowañ i funkcji w ópolczaniu z ówry szerzej sòpoczno-politycznych interesujàcy przykłady takie wlasnie sòciologizno-politologizujàcymi ódnaj-dziejemy m.in. w cyklu esejów amerykańskiego krytyka literackiego F. Jamesona, interpretujàcego fenomen postmodernizmu jako rezultat logiki kulturowego rozwoju „ógólnego kapitalizmu”. Równie¿ J. Bauman, rozpatrujà zjawisko postmodernizmu na koniekie procesów zachodzàcych we współczesnych „postindustrialnych”, „masowych”, „konsumpcyjnych” itp. sòpocze¿stwach wysoce roównie¿nych krajów Zachodu. W Polsce ówte społeczne aspekty sztuki postmodernistycznej starajà si¿ uwzglédni¿ S. Morawski i A. Jaworska.

◦ Reasumujàc, książka A. Kępiñskiej, dokonujàca wóptnego rozpoznania problemu sztuki postmodernistycznej, stanowi masurajã góej w dyskusji o postawie sztuki postmodernistycznej, a wraz z nią nasza przegłowska, pełna niegómoœci i ówzacznoœci ópoka postnowoczesna.

◦ Alicja Kępiñska, *Dzieje ómal*, Warszawa 1990, s. 196.

JACEK LEJMAN

VONNEGUT – NAJWIĘKSZY WSPÓŁCZESNY PISARZ OŚWIECENIOWY

◦ Paweł Jurek, *Życie, tym i kópie Kubala: Tak, ale óci mi szepcze... z ówzrobiej niezrównanej*. D. Diderot, *Ókufi Futurologi i jego pan*, Dam. T. Zelenki, Warszawa

1985, s. 209). Powyższy fragment dzieła Diderota wydaje się być doskonałym mottem do najnowszej książki Kurta Vonneguta *Recydywista*. Jej główny bohater Walter F. Starbuck to współczesny amerykański odpowiednik K. Kubisa. Nie ma się władnie nie udaje, a nawet chwilowe sukcesy w efekcie doprowadzają go do kolejnych katastrof. Nim jednak opowieć ocoi woję z życia Waltera, kilka słów o autorze *Recydywisty*.

Kurt Vonnegut znany jest polskiemu czytelnikowi głównie z powieści, z których najpopularniejsze to: *Pianista*, *Syreny* z *Tytanu*, *Kocia kobyłka*, *Rezerwa numer pięć*. Prace te w Polsce wydane zostały: *Dwóch panów Big Mobergów*, *Panie Rozwazni* i *Szkielety matorów*. Jest to niewątpliwie autor nieśmiertelny, choć twórczości kilkunastu trudno jest przeżyć obok siebie. Vonneguta można uwielbiać, choć to również dobre drażliwość. Najtrudniej jest go chyba jednak nasładować. Jego powieści, dość różne tematycznie mimo niepowtarzalny styl, będący połączeniem dziwniejo opowiastki z kabaretnym niemal humorem. Miarą książki Vonneguta jest to, że kpi o przedmówcyżach ze swych bohaterów, kpiąc z otaczającej ich rzeczywistości ponownie używając cytowników.

Jakkolwiek *Recydywista* jest, jak już wspomnieliśmy, wyjątkowo (długą to już z kolei) wiersz *Kubisa Fatalisty*, a w walnym w tym wypadku warstwie filozoficznej się wyraźnie do *Powisaku filozoficznego* Woltera, to jednak w dalszym ciągu zachowamy zostaje ów charakterystyczny dla Vonneguta styl. Można powiedzieć, że kontynuację w ten sposób pisanie, charakterystyczny szczególnie dla takich powieści jak *Szkielety matorów*, *Kocia kobyłka* czy *Rezerwa numer pięć*, dzięki któremu zyskał sobie ogromną wiarygodność i życzliwych wrógów. I tutaj znalezienie się pierwszy kłopot z Vonnegutem. Jego pisarstwo nie da się nijak nazwać filozofią. Patrząc na *Pianistę*, jego, upieraliśmy się, „najbardziej filozoficzną” powieść, odnosi się wrażenie, że mamy do czynienia z antytopią. Gdzieś bowiem znajduje się przeżywczy krytyka tzw. technokracji, ale i marksistowskiej teorii społeczeństwa i ekonomicznego! Jednakże postulate jego powieści odbiegają tematycznie od *Pianisty*. Niektóre z nich, jak choćby *Kocia kobyłka*, określane są mianem literatury SF. Czy jednak jest to rzeczywiście fantastyka naukowa? Sprzecznym walnie. Niewątpliwie element fantazji jest tu coraz aż nadto widoczny — Vonnegut lubuje się w tworzeniu niesamowitych opowieści. Trudno jednak domniakić że tam większych elementów „znaukowości”, charakterystycznych dla powieści SF.

Recydywista jest powieścią tradycyjną. W sferze narracyjnej bardzo przypomina wczesniejszą pracę Vonneguta. Nie jest to jednak z całą pewnością literatura SF, nie jest to też jakakolwiek odmiana antytopii. W sferze fabularnej jest to powieść wiersz baśniany (przynajmniej jak na Vonneguta). Opowiada historię życia popołudniowego pod każdym względem człowieka, widzianą jego własnymi oczyma. Główny bohater to typowy amerykański niedużacz. Protégowany pewnego szlachetnego i przemyślnego badacza na Harvardzie, gdzie sympatyzuje z komunistami. W wyniku tego traci poparcie swego mecenasa. Przechwytywany przez senacką komisję, zupełnie niewiadomo, czywyjść z pewnego rodzaju zapowiadającego się polityka, w wyniku czego rozi: karierę negatywną. Znający odwołują się od niego, a małżeństwo pracy granicy z cudem. Wreszcie dostaje pracę przy tragedii Nixona, lecz jest ona władnie pobawiona sensu. Dalej siki się z nim nie liczy. Wmieszany przypadkowo w aferę Watergate, dostaje się do więzienia. Po wyjściu z zakładu karnego w wyniku przypadkowego zbliżenia okoliczności spotyka swą dawną żonę, ukrywającą się, bezgłęboko zważowaną i dementyczną multimilionerkę. W efekcie zostaje wzięty przez ogromną korporację. Historia kończy się w przeddzień jego kolejnej podróży do więzienia. Tak oto, w największym skrócie, można opisać historię Waltera F. Starbucka. Nie ona jest to jednak najważniejsze. Kto za zwykłe było w jego powieściach, Vonnegut nie próbuje nawet ukrywać, że jest ona tylko pretekstem do mówienia o rzeczach istotniejszych.

Cóż nam ohen wiecie ten razem przykład Vonneguta? Na pierwszy rzut oka niewiele widać ni Diderot, gdy przemawia o swoim bohaterze: *Jestli jest napisane w gwieździe, że będziecie miłi roboty, daremnie byli się mordować, będziecie je miłi; jeśli jest napisane przeciwnie, daremnie oni będą się mordować... nie będziecie ich miłi, jeśli tedy przyrzekiecie...* (s. 208). Jednakże patrząc z perspektywy wczesniejszych powieści na *Recydywistę*, dostrzegamy jakby jego orodo filozoficzne, spisanie nieprzypadkowo takim właśnie „kabaretnym” językiem, którym się, nie jest pisaną *Pianistę*. Da się ono skreślić w dwóch hasłach: akcydentalizm i determinizm. Wzruszenie potocznie nie są one ze sobą sprzeczne.

Akcydentalizm jawi się tu jako przejawienie, ale i w wszystkim decyduje przypadek. Przypadkowe i często wręcz nieprawdopodobne zdarzenia wpływają na losy jednostki, ale i na losy świata. Walter przypadkowo wymyśla nazwisko Lelanda Clewasa wśród wielu innych nazwisk sympatyków komunistów, przez co jego dalsze losy stają się takie a nie inne. Przepadkowe spotkanie z Mary Kathleen sprawia, że Starbuck zyskuje wreszcie pewną porcję społeczeństwa. Wpewej nawet: przypadkowe spotkanie między stają się, dzięki protekcji Waltera, niemal z dnia na dzień wiceprezesa korporacji.

Przypadki dzieła się na walnie i może właśnie, przy czym o podziale tym decyduje w zasadzie przypadek. Determinuje on całe nasze życie, ale i losy świata. W końcu są one w rękach ludzi. Jesteśmy niewolnikami przypadku. Wzruszycie, co nas otacza, jest stale, pozbawione sensu, lecz nie logiki. Zasadą sylvozijną działa tu bowiem z prawa Laplace'a, jest to jednak działanie ślepe, bezcelowe. Należy natomiast, amerykański bohater, nie czynić więcej niż przynająć pogodę.

Taki świat może być, lecz tylko do pewnego momentu. Czy zatem można się z tego, co chce nam zgotować los? Walter przez chwilę wątpi w samowolność takiej postawy. Czy jednak wątpi w jej skuteczność?

Tytułowy recydywista to ktoś więcej niż osoba kilkakrotnie naruszająca obowiązujące normy prawa. Vonnegut definiuje go jako kłopotnik, kto notorycznie powraca na drogę przestępstwa i zachowań antyspołecznych. Cóż to w końcu za przyjaciel? Odnosi recydywista to ciotków, kłórnym nie niszczącemu dągi i odbiera, ktoś, kto nie potrafi trzeźwić własnego życia. Jest to osoba, która przezwa wadskie „ważne przyrządy”, która ich nie zauważa. W tym sensie jest to notoryczny przestępca i osobnik społeczny. „Wyrażając krzywdę sobie, molestuj przy okazji wyrażając ją i innym” — zdaje się mówić Vonnegut.

Autor *Recydywisty* mimo wyzwołał apelację o zachowanie postawy stoika. Jeśli jest się już życiowym Jajlapp, należy godzić się z losem, akceptując nawet najbardziej drwiącemu jego tragedię. Tak właśnie czyni większość bohaterów Vonneguta: Leland Clewasa, kłórnemu Walter mizycznej karierę, jest mu za to wdzięczny, odnajdując szczęście w zwyciężaniu, szarym życiu.

Jeśli już konieczność trzeba się jakoś deklorować, przyjmować jakąś postawę, niech to będzie postawa Kubisa z powieści Diderota. A świat? On i tak w końcu ulegnie zagładzie. Co go zabił? *Cholesterol* — zawał! *Frank Fabiano* — *Cholesterin* brak powagi — *powiadają*... — *Jest silniejszy na świecie niż sie obedi, go stare się za obedi, a przede wszystkim, jałam odnowę współwzrostu się w to chętną kabale*, (s. 209). Wszyscy wybuchli śmiechem.

Kurt Vonnegut *Recydywista* (tytuł oryginalny: *Zabłędz*, tłum. Jolanta Kozik, „Czytelnik”, Warszawa 1986, s. 381).

MONIKA ADAMCZYK-GARBOWKA

PODRÓŻE ŻYDOWSKIEGO DON KICHOTA

Kilka lat temu Wydawnictwo Dolnośląskie zainicjowało bardzo interesującą i potrzebną serię utworów pisanych przez klasyczne literatury jidysz. Do tej pory ukazały się cztery pozycje Biblioteki Między Żydowskich: *Dzieje Tweli Mleczara* i *Z Jarmarku Szostana Alchama*, *Plugi z Nazarena Szostana Asza* oraz *Opowieści Beniamina Trzeciego Mendele Mejchera Sforina*. Wszystkie te książki wydawane są w jidyszcie, zwanym grafizacją, jednocześnie w twardym i beczkowym wydaniu, w starszymy opracowaniu. Każda pozycja opatrzona jest wyczerpującym wstępem autorstwa Salomona Belis-Legisa i opatrzona słownikiem. Wpiszono przekładów dokonał Michal Friedman. Wydawnictwo zapowiada w niedługim czasie *Ulley Israela Rabona*, *Zielone akwarium* Abrahama Suckera i powieści brak Singerów, p. ni.

Brak *Aszara* Izraela Isroza oraz *Sztanua* w Górze Inacza Buehawa. System Alchem jest w pewnym stopniu nowym polskim czytelnikiem, choćby ze względu na postać Tweli Mleczara, który zwykł popularności na całym świecie dzięki mistyfikacji *Szyfrowy szlach*. Kto jednak slyzał o Mendele Mejcher Sforinie?

A przecież jest to postać niezmiernie ważna dla literatury żydowskiej. Gdyby nie on, kto wie jak potoczyłby się los literackiego języka żydów, był może jego nowym opóźniony się o parę dekadówek lat.

Mendele Mojcher Sforim, Szolem Alejchem i Lech Lejb Pere zamawiani są za trzech „świędlich” literatury żydowskiej. Ten pierwszy zwany jest dziadkiem, drugi ojcem, a trzeci synem ze względu na daty ich urodzenia i rozpoczęcia działalności literackiej. Zmarli jednak w odwrótnej kolejności: „dziadek” w 1917 roku, „ojciec” w 1916, a „syn” w 1915.

Mendele Mojcher Sforim to literacki pseudonim, urodzony w 1836 roku na Białorusi Szolem Jakuba Abramowicz. Podobnie jak pseudonim Szolem Alejchem (prawdziwe nazwisko Szolem Rabinowicz) jest on nacechowany semantycznie i znaczący: „Mendele” sprawdzacza ksiązek. Jego pierwsze opowiadanie *Dotychczasowe myślenie* opublikowane w 1864 roku w piśmie „Kol mewaser” (Głos obywatelski) otwiera nowy rozdział literatury żydowskiej. „Maby, rzekły solowienki”, układy białe i kłopotane – bohaterowie, na przemian tragiczni i komiczni pojawiają się będą później na kartach utworów wielo piastry żydowskiej, przeląd nawet do literatury amerykańskiej i zostaną uciemiśnieni w postaci „szefela”.

W czasie gdy Mendele Mojcher Sforim zaczynał swoją karierę literacką, żydów traktowany był przez wielo środowisk żydowskich i lekceważony, jako język kobiet i prostych ludzi. Mendele jako pierwszy uznał, że jedynie w języku żydowskim można szczerze odzwierciedlić świat Żydów, gdyż język hebrajski, zarezerwowany do studiowania świętych ksiąg, nie był w stanie oddać spraw codziennego życia. Swoje credo przedstawia m.in. we wstępie do wydanej wiedeńskiej książki: *Zanim piastry Żydowskiej, którym do pięć nie dorosłem, sądzę nie wyjąć i napisać książkę o podróży Beniamina po hebrajsku, ja spróbuję zmuszając opisać je w skróconej formie prostym językiem żydowskim* (s. 25). Do podobnego wniosku dochodzi również Szolem Alejchem, a także – już w nowej epoce – Isaac Bashevis Singer, który także zaczął pisać w języku hebrajski, aby jednak szybko przestawił się na jidysz.

Jeden z kolejnych utworów Mendele Mojcher Sforima, *Di klacze oder esar baale* chajim (Kłacz albo opiekun zwierząt), również przesiadł do historii literatury żydowskiej jako alegoria Żydów – kózka ofiarne.

Podobieństwo *Trzeciego* do chyba najgłębszego swego utworu piastry, Jego bohaterami są klasyczny szefel, narznięti i niedoścignięci żydowie, Beniamin oraz jego żona bardziej niewykształceni i naiwni towarzysze podróży, Senderl, Dammie, miano Beniamina *Trzeciego* przejmują Beniamin z Tuniejadówki na czasie autentycznych podróżyk żydowskich z dwo wczesniejszego okresu noszących to samo imię; próbowany jest również i do innych wtyków odkrywco. Cel ich podróży sformułowany Eric Isasz, gdzie zamierzają przekroczyć miłyk rdzki Samantua i dotrzeć do diastetacji zainicjowanych plebion Izraela. Cała powieść utrzymana jest w konwencji heroicomicznej. Gdy opuszczają Tuniejadówkę i wsiadają ich rechet lab i śpiew ptaków, który jakoby chciałby powiedzieć: „Śpiewający i witalny na radzie i poecie tego wspaniałego jeponowca, który właśnie stoi przy wiatrak. Tu przecież Beniamin, Beniamin we własnej osobie, Beniamin z Tuniejadówki, współczesny Aleksander Macedoński, który właśnie opuszcza swoją ojczyznę, porzaca żonę i dzieci i udaje się z żoną, hen jakubka daw, gdzie go przyjeżdża”.

Trasa „naszych bohaterów”, jak ich określa narrator, wiedzie z Tuniejadówki poprzez Piawki i Teletywkę do Gilgusa. Na widok rdzki w widzielić nazwie Patupilnowica Senderl dochodzi do wniosku, że jest to chyba największa rdzka świata, ale Beniamin, który jest od niego bardziej oczytany zapewnia go, iż to „łmiec w porównaniu z Jordanem”, tym niemniej wpada na pomysł, aby w dalsza podróż udać się wroczym śliskiem.

Wszystkie nazwy są oczywiście zmodyfikowane, ale nie zmienia to faktu, że kryją się za nimi prawdziwe wite i mistycyzka odwrócone w sposób bardzo pociągawo, ukazane w całej nocy i zaniedbania, choć nie ulęga oczywiście wątpliwości, że rzeczywisty satyryczny charakter utworu pewne fakty zostały przeksztalczone.

Beniamin i Senderl nie docierają rdzka jasma do celu swej podróży, lecz kończą ją zwróbowani podległemu do armii carskiej, gdzie zresztą też nie posiadają długo ze względu na swoją wyjątkową niezdolność.

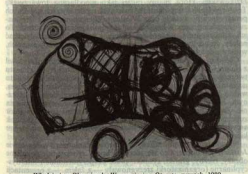
Ostrze satyry dodanych w tej krótkiej powieści wszystkich, tak Żydów jak i gojów, nie oszczędza żadnych przejawów żydowskiej cyfryzacji. Mamy np. do czytania

z parodii rozważań talmuicznych w takim oto sposobie rozumowania mieszkańców Tuniejadówki: *Nie do się sprządnąć zaprzeczają, że Beniamin jest trochę szladyt na świecie, bardzo namier przyloty. Z tego jednak bynajmniej nie wynika, że nasz był również wariatem. Gdyby tak było, to dlaczego zwirowano dopiero teraz, nie zaś wcześniej? Przed dwoma laty, a także rok temu upaly były przecież nieporównanie większe. Jakże więc stał wnikose? Wnikose nauwa się sam. Weźmy dla przykładu naszą rdzka: Rdzka nara, a fakt to niechęty, co roku pochłania człowieka. Od kilku jednak lat nikt się w niej nie utopił. Przeczenie. W ostatnich latach poziom wody obniżył się. Głębokość niecała przycięła nieco nowo. A co do Beniamina, to zastawmy go w spokoju. (s. 34).*

Choć niemaż w czasie lektury uśmieszliwy się, a nawet wybuchający śmiechem, wymowa utworu jest tragicomiczna. Każde z opisywanych wydarzeń rykuje bowiem innym wymiar w zależności od perspektywy, jaką przyjmijemy. Bo choć zabawne są sceny opisujące konfrontacje Beniamina i Senderla z gojami, kryjące się w nich tragizm polegający m.in. na niemożności porozumienia się z jednymi z drugimi, za co odpowiedzialna jest polityka rdzka zmniejszająca Żydów do izolacjiżmnia. Także jeśli pomysłowość o losie kobiet, na które spadał ciężar utrzymania rodziny, jako że obowiązkem męża było przede wszystkim studiowanie Talmudu, zwanego „bohaterów” wzbudzać przede wszystkim współczucie. W rzeczywistości nie tak rzadko zdarzało się, że mał opuszczal rdzka udając się w nieznaną, a wtedy kobieta zostawała agną czyli opuszczoną żoną, która nie będąc prawie rozwiedzioną była z pewnością wdowątwał się mogła powstrzymać wujk za męż. Jest to zatem śmiech przy tej, ale towarzyszący Żydom europejskim w ich wędrownym losie, postawa uśmieszliwająca przetwarzanie w najbardziej bezładniejszych okolicznościach. Ujmując ją symbolicznie Isaac Bashevis Singer w jednym z opowiadań przedstawia bohatera opuszczonyego przez żonę. Jedno oko Ojczera płakało a drugie się śmiało. Tekniał bardzo na żonę, ale z drugiej strony, jako że był bardzo bogobojny, cieszył się, że przekała imięcie przekroczo stojąca między nim a Bogiem.

Wydana przez Wydawnictwo Dolnośląskie powieść zamawiana jest przez niektórych krytyków za za wydatkowaną. Jeśli natomiast być w ten sposób postrzegana w czasie jej opublikowania (poza tym Mendele Mojcher Sforim znany był z ciężkiego przebrania i poprawiania swoich utworów), współczesny czytelnik, przewyższony do otwarto formy powieści dwudziestowiecznej chyba nie może wyobrazić sobie innego fiala. Fakt, że zakłócenie jest tuż definitywnie sprawiło, iż powieść osiąga większy dynamizm. Bohaterowie mimo tragicznych przeżyć nie tracą powojki ducha: *Beniamin pięknie się akłonił. Senderl wywrzucił się jak strawa i narzutowym brakiem rzeczy w ilad za Beniaminem.*

Mendele Mojcher Sforim. *Podobieństwo Beniamina Trzeciego* (tłum. Michał Fedorow). Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1991, s. 128.



Włodzimierz Olejniczak: Wprowienie z *Trzecim*, rysunek, 1989. Katalog „Antysty” – Repr. Czesław Herda

plastyka

LECHOSŁAW LAMENSKI

Jesteśmy

Fakt, iż na werniszu wystawy *Jesteśmy*, w gmachu warszawskiej Zachęty, w dniu 1 września br., przybyła niemal cała elita kulturalna stolicy, a także wielu reprezentantów różnych środowisk twórczych w kraju, nie licząc licznie zgromadzonych artystów (zarówno krajowych, jak i tych tworzących poza granicami Polski) oraz przedstawicieli najwyższych władz Rzeczypospolitej, można rozpatrywać co do najmniej dwóch aspektach.

Po pierwsze, miał miejsce akt tworzy, zjawisko z pogranicza pop kultury, wobec którego nie można przejąć obojętne, a po drugie, nadal — jak za dawnych „dobrych” czasów — trzeba się pokazać w ściśle określonym miejscu, bo tego wymagają zarówno etykieta towarzyska, interes jednostki, a zwłaszcza snobizm. Telewizja Polska, której stosunek do rzetelnego przedstawiania ważkich wydarzeń kulturalnych nie zawsze można uznać za wystarczający, żeby nie powiedzieć wręcz obojętny, tym razem przepiękną samą siebie. W świetle jupiterów pokazano elegancki tłum kobiet i mężczyzn, a następnie ekran wypełnia „gadające głowy”, mniej lub bardziej znanych artystów. Ponadto raczono sfrustrowanych widzów „pożyczkowymi” widoczkami ekspozycyjnych prac, pokazując je „jak leci”, bez żadnej uchwytnej koncepcji i bez stosownego komentarza.

Uwinni słuchacz, mógł się wszelako dowiedzieć, że wystawa jest dziełem dwóch Pań, historyków sztuki z wykształcenia: Elżbiety Dzikowskiej, którą zawsze raczy jako nieodłączną towarzyszkę Tony'ego Halika, współautorkę świetnych reportaży z ich wspólnych peregrynacji po świecie oraz Wiesławę Wierchowskiej, której nazwisko wiele znaczy w kręgach badaczy polskiej kultury i sztuki. To ich samozaparcie, niespożytej energii i wytrwałości wzdziacciać należy, że po trzech latach intensywnych prac przygotowawczych, wystawa doszła do skutku.

Chłodny, beznamiętny obiektyw kamery telewizyjnej wywolił z tłumu widzów okupujących stare i nowe sale Zachęty kilkunastu twórców. Jednocześnie wyrazili oni swoją radość i aprobację z faktu uczestnictwa w werniszu, uznając wystawę za bardzo potrzebną, ważną dla polskiej kultury, ciekawą, także pod względem artystycznym. Jedynie wypowiedzi Andrzeja Matyja, była zdecydowanie na nie. Znany krytyk sztuki był zdania, że pokazane prace to zbiór zupełnie przypadkowy, o bardzo nierównym poziomie, gdzie obok arcydzieł współczesnej sztuki znaleźć można także najwyklesze kicz.

Nig nie zamierzam zanudzać czytelnika rozważaniami: co na wystawie *Jesteśmy* jest dobre, a co złe, niepotrzebne. Czy wszystkie pokazane obrazy, rzeźby, grafiki, rysunki, prace eksperymentalne i interdyscyplinarne (organizatori zrzeczywno — z zalem — z prezentacji

tkaniny i fotografii) powinny trafić do sal Zachęty, czy też raczej należało je pozostawić w pracowniach twórców? Nie to w końcu jest istotne. Jak zawsze przy tego typu ekspozycjach mamy do czynienia z pracami słabszymi i lepszymi, a kryteria ich oceny tak samo są różne, jak różni się oceniający je krytycy. Co prawda autorki wystawy przyznały we wstępie do świetnie wydwanego katalogu¹ (będącego niewątpliwie największym hitem, sukcesem ekspozycji), że jednym kryterium wyboru prac był ich poziom artystyczny, ale mimo wszystko daje się zauważyć wpływ subiektywnego patrzalnika na sztukę.

Ponieważ Elżbietę Dzikowską i Wiesławę Wierchowską interesuje to co się dzieje w sztuce współczesnej, zaproszonoaby, aby wystawa obejmowała wyłącznie prace powstałe w ostatniej dekadzie, czyli w latach 1980-1990, niezależnie od tego czy wykonali je artyści starego pokolenia, tworzący na emigracji od dziesięcioleć lub czy też młody absolwent ASP, obecny na zagranicznym rynku sztuki zaledwie od kilku lat. I chociaż intencją obu pań była próba obiektywnego i wszechstronnego ukazania tego wszystkiego co — z różnych względów — umknęło świadomości Polaków zamieszkanych pomiędzy Odrą i Bugiem, to jednak trudno uznać wystawę *Jesteśmy*, za wyczerpującą temat. Mimo objęcia kilkunastu prac 164 artystów, jest to na dobrą sprawę zaledwie wierzchołek góry lodowej, cząstka tego co można jeszcze odnaleźć na różnych kontynentach, gdzie mieszkają nasi rodacy.

W Zachęcie znalazły się prace tych plastyków, do których udało się dotrzeć, którzy w ten czy inny sposób zaistniali w notacjach z adresami organizatorów, odpowiedzialni na ich zaproszenie. Ale czy można stwierdzić z całą pewnością, że oto wszyscy znaczący artyści polscy, bądź przynajmniej się do polskich korzeni, tworzący poza ojczyznym krajem, znaleźli się w Warszawie! Na pewno nie! Obie pańie miały tego pełną świadomość pisząc, że *ostatnie kształty wystawy ustaliły został podczas naszych wyjazdów do kilku, niestety nie do wszystkich, skupisk polskich artystów*. Na przeszkodzie stanęły także ograniczone możliwości finansowe. Początkowo nie spróbujmy rozwiązywać idei wystawy skomplikowaną sytuacją polityczną, później, gdy się to zmieniło, pojawiły się problemy ekonomiczne. Przeszkoda nie do pokonania okazały się ponadto ściśle określone warunki ekspozycyjne Zachęty, mimo że postanowiono przeznaczyć na wystawę także sale nie wykorzystane, w dobudowanej niedawno części gmachu. Niemniej systematyczne zorganizowanie, otwarcie i, zaczęło się. Dla jednych (tak jak Andrzej Matyja) był to pobawiony głębszej idei, szalenie wybiórczy, niejednorodny pokaz; podczas gdy dla innych bardzo frażującą, dostarczającą wielu przeżyć i emocji ekspozycja.

Na pewno wystawa jest wydarzeniem, ale — przynajmniej dla niej podpisano — przede wszystkim dlatego, że w jednym miejscu i w tym samym czasie, pokazano tak wiele prac twórców emigracyjnych. Ale kogo dzisiaj można uznać za emigranta (przynajmniej na polu kultury), w sytuacji gdy pekąją sztucznie postawione mury, znikają zasięki i transeje, Europa jednoczy się, a świat wydaje się być w zasięgu ręki! Jeszcze przed 4 czerwca 1989 roku, pojście to miało ściśle określony sens, ale teraz? Wydaje się, że nawet już czas, kiedy słowo emigrant powinno znaczyć bezpowrotnie z naszego języka. Przecież mamy coraz więcej do czynienia z twórcami rodzimymi, którzy nie rezygnując z obywatelstwa polskiego, odznaczają część swego życia zawodowego spędzając poza granicami kraju, odbywając — już bez żadnych przeszkód — podróże artystyczne pomiędzy Warszawą a Paryżem, Londynem czy Nowym Jorkiem. Coraz popularniejsze

¹ *Jesteśmy*. Katalog wystawy w Zachęcie. Pod red. Elżbiety Dzikowskiej i Wiesławę Wierchowskiej. Warszawa 1991, s. 224, cena 1220 000.

staje się pojęcie „Europejczyka”, obywatela świata, który, aby zainicjować na międzynarodowym rynku sztuki, musi aktywnie uczyć, niszczyć w życiu kulturalnym tych krajów, które obrał za miejsce dla swoich działań artystycznych.

W tej sytuacji wydaje się, że wystawa *Jesteśmy* otwarta została w ostatnim momencie. Już za rok czy dwa jej formuła nie miałaby racji bytu. Dziś! Jeszcze tak. W końcu prace zamontowane w salach Zachęty to dorobek kilku pokoleń polskich emigrantów. Zresztą bardzo różnorodnych emigrantów. Obok artystów najstarszego pokolenia, którzy trafili na brzegi Szwecji czy Tamizy w wyniku studiów bądź podróży jeszcze w okresie dwudziestolecia międzywojennego, są także emigranci powojenni, nie widzący siebie i swojej sztuki w komunistycznej rzeczywistości. To artyści, którzy przez wieki lat czekali na możliwość wyjazdu do Paryża, symbolu sztuki wyzwolonej, nie skropionej sztucznymi ograniczeniami administracyjnymi czy abstrakcyjnymi i szkodliwymi dyktamentami politycznymi. To wreszcie — bardzo liczni — twórcy pożytni lat siedemdziesiątych i ogromna fala emigracji Solidarnościowej, nie zawsze politycznej, także w znacznej mierze ekonomicznej. Najbardziej prężni, aktywni, żywo reagujący na wszelkie zmiany i nowinki artystyczne, potrzebni komplekta prowincji, radzący sobie z uczątliwym bagażem tradycji. Malarze, rzeźbiarze i graficy, których dorobek bardziej mięci się w ramach sztuki międzynarodowej, niż w orbicie kultury polskiej.

Ciekawe, że wielu artystów starszego pokolenia potrafiło zachować swój rys indywidualny, a zwłaszcza swą polskość, niezależnie od obowiązujących aktualnie mód i tendencji, podczas gdy najmłodsze pokolenia całkowicie zasymlowały się z trendami panującymi w krajach, w których przyszło im tworzyć. Coraz trudniej więc mówić o pewnej, czytelnej odrębności kulturowej polskich kolonii artystycznych, w których pierwsiestkimi rodzinami decyduje o charakterze poszczególnych dzieł. Pozostaje jedynie talent, poparty solidną pracą nad samym sobą, finalność wypowiedzi plastycznych, które otwierają — z czasem — drzwi do najbardziej prestiżowych galerii, zapewniają lukratywne kontrakty i posady wykładowców w akademiach oraz instytucjach sztuk pięknych, czyniąc z przyszłowsz nad Wisły, podążaną i poszukiwaną elitę kultury.

Ale nie wszędzie. Wystawa *Jesteśmy* uzmysława jak diametralnie różnią się drogi do artystycznego Parnasu, tych którzy wyjeżdżali na Zachód i tych, którym przyszło tworzyć na wschodzie Europy, głównie na ogromnym obszarze ZSRR. Poszukując wolności artystycznej i lepszego jutra w Francji czy USA, zaczynali bardzo często od zmywania naczyń, sprzątanía pomieszczeń biurowych, różnych prac złeczonych, jednym słowem, od zwykłej, niezadko bardzo ciężkiej pracy fizycznej. Dopiero po uregulowaniu spraw bytowych podjęwali studia uzupełniające, uczyli się języków, poszukiwali sponsorów. Gdy nieco okrzepli, powracali do twórczości, sięgając po materiały pozwalające wypowiedzieć się w wszystkich możliwych technikach plastycznych. Początkowo właśnie z tego względu następowało zachybianie się ogromną skalą możliwości wyrazowych, łatwością przechodzenia od teorii do praktyki. W rezultacie sztuka ich stawała się rodzajem efektownego fetysza, ale tylko fetysza, pozabawionego wewnętrznej ekspresji i głębszej myśli przewodniej. Z czasem artyści ci kładli coraz większy nacisk na harmonię formy i treści, tworząc — z powodzeniem — własny, odrębny świat znaków plastycznych.

Zapewnie inaczej przedstawia się sprawa z naszymi rodakami ze Wschodu. System państwa totalitarnego, wszechobecność jego agent inwigilacji, zależność od nich, nieustająca penetracja prywatnego życia obywateli, a także ogólna niemoc i bieda, piętrzyły

niewyobrażalne przeszkody przed tymi, którzy pragnęli być sobą, mówić własnym językiem, przynajmniej na polu sztuki. Programowe zinstytucjonalizowanie całego życia kulturalnego, podporządkowanie najbardziejjonych jego przejawów, nieustannej kontroli ze strony państwa, nie pozostawiały marginesu na własne „ja”. Nawet sztuka tworzona programowo do szuflady (w oczekiwaniu na nadziejsie lepszych czasów), jeżeli tylko została uznana za nieprawomysłną przez „opiekunów” państwa, była tępona, na jej autorów czekały galagi lub inne miejsca odosobnienia.

Tym bardziej należy podziwiać determinację twórców, którzy nie poddawali się i tworzyli wbrew wszystkim i wszystkiemu. Naturalnie warunki w jakich żyli nie pozostaly bez wpływu na ich sztukę, na sposób myślenia o niej. Świat znaków plastycznych, jakim się posługiwali był daleko uboższy od tego wszystkiego, czym posługiwano się na Zachodzie. Silnie swiarko realizmowym widzeniem rzeczywistości, zawlecy lub mowianu Dominowiu pejzaże, sceny rodzajowe, gdzie człowiek i jego codzienne problemy górowaly nad śmiałymi rozważaniami formalnymi. Ale sztuka ta, mimo czytelnego piętna systemu totalitarnego zachowała jednak autentyczny wypowiedź, urzeka prostotą użytych środków plastycznych. Wyczuwalna staje się atmosfera jesiennych pól, krętych uliczek małych miasteczek na kresach, mrocznych wnętr, przesyconych zapachem kiszona kapusty i świeżo parzonej herbaty. W rysunkach i obrazach olejnych odbija się zwykłe codzienne życie z jego radościami i smutkami, piękno bezkresnej przyrody, znacznie rzadziej wspomnienie tragicznych chwil, tragizm lat spędzonych z dala od najbliższych, w głuszy, gdzie był tylko kat i jego oflara.

Z nieszłorów polskiego życia na emigracji zwracają uwagę plótna Józefa Czapskiego (trzy pejzaże i jedna martwa natura), emanujące wewnętrznym spokojem i skupieniem oraz ekspresyjne, przesycone żarliwą modlitwą, kompozycje religijne Mariana Bohusza-Szyszko. Czapski (ur. 1896 w Pradze), ostatni z wielkich, zamieszkały od lat w Miami — w LaFite, współtwórca Instytutu Paryskiego, kolorysta, wspaniały malarca i pisarz o szlacie (m.in. autor świetnej monografii Józefa Pankiewicza z 1936 roku), jeden z nielicznych więźniów Starobielska, który cudem uniknął maskary w lesie katyńskim, pozostał wierny utrwalaniu na plótnach fragmentów otaczającej go sztuki (np. loży teatralnej z samotnym widzem, pustego baru, wnętrza kawiarń i wagoma metra), stosując ostrą, sugestywną kreślę konturów wzbogaconą nasycioną barwą plama. Bohusz-Szyszko (ur. 1901 w Trokniekach na Wileńszczyźnie), absolwent Wydziału Sztuk Pięknych Uniwersytetu Wileńskiego, po latach spędzonych w oflagu i tułaczce po Włoszech, osiadł — w 1947 roku — na stałe w Anglii, oddając się z pasją tworzeniu kompozycji religijnych do wielkich kaplic i kościołów Londynu. W zakończonej przez siebie Polskiej Szkole Malarstwa wykładał ponad setkę artystów, wywierając swoją sugestywną, bliską niemieckim ekspresjonizmom sztuki, niemaly wpływ na młodsze pokolenia polskich malarzy, osiadłych nad Tamizą.

Bardzo liczna, dobrze reprezentowana grupa, stanowiąc artyści młodzi o jedno pokolenie, dziś już sześćdziesięcio- i siedemdziesięcioletni, prawdziwi klasycy o ustalonoj renomie międzynarodowej, Europejczycy z wyboru, którzy nigdy nie zerwali kontaktów z Polską. Do grona tych twórców zaliczyć można Romana Cieleszica (rocz. 1930) — niezrównanego autora plakatów i ilustracji, wykorzystującego szeroko możliwości estetyczne jakie niesie ze sobą fotomontaż; Andrzeja Czeczota (1933) — rysownika i grafika, uprawiającego rubryki, pełen specyficznego humoru sytuacyjny rysunek satyryczny o ograniczonym purnonsensu, który potrafił znaleźć dla siebie miejsce w nowojorskiej elicie kulturalnej; Zbigniewa

Dłubaka (1921) — współorganizatora ruchu sztuki kontekstualnej, uprawiającego na równi purystyczne, geometryczne malarstwo z fotografią; Wojciecha Fangora (1922) — autora legendarnego już, socrealistycznego *Matki Kosiarki* z 1951 roku, a następnie opartowskich, malowanych sprayem kręgów, który zaskoczył dziś warszawską publiczność nową (ponownie realizacyjną) konwencją swego niespokojnego malarstwa; Jana Lehensteina (1930) — malarza wrośłego w krajoznawczy Paryż od ponad trzydziestu lat, także grafika, niepowtarzalnego ilustratora Apokalipsy św. Jana; jego twórczości poświęcił wiele miejsca „Akcenty” nr 1/1991; wreszcie Jana Leniów (1928) — uznanego i cenionego awangardowego twórcę filmów animowanych, plakacisty i ilustratora oraz Romana Opalkę (1931) — autora namalowanego w 1965 roku obrazu, na którym znalazły się tylko cyfry od 1 do 35.327 (zainicjował nim „liczenie”, stanowiące istotę i sens jego pracy twórczej tak długo, jak tylko będzie mógł utrzymać pedał w dół).

Kolejne grupy artystów, tych młodszych, czterdziesto- i trzydziestoletnich, nie prezentują się może tak efektownie, nie mają tego samego „wysokiego poziomu”, choć i tutaj znaleźć można wiele ciekawych prac. Wymienimy chociażby Ewę Kuryluk (1946), wrażliwą malarzkę, krytyką i historyką sztuki, łączącą delikatny, obnażający ciało ludzkie rysunek z krachoczną i przestrzenną twórczością bałweń, wypełniającą przestrzeń lat wystawowych, czy też Jana Sawkę (1946), byłego kierownika graficznego krakowskiego teatru STU i studenckiego klubu „Stodola” w Warszawie. Artystę interdyscyplinarnego, uprawiającego malarstwo, grafikę, rzeźbę, scenografię, plakat i ilustrację książkową. Cenionego współpracownika „The New York Times”, laureata złotego medalu na Międzynarodowym Biennale Plakatu w Warszawie w 1978 roku. W tym samym przedziale wiekowym mieli się także uznana twórczość Igora Mitrojana (1944), zadomowionego w Itali zrzeźbiarza, w którym krytycy wloszy widzą drugiego Michała Anioła.

— Artystki — nazwijmy ich kresowymi — nie mogą się pochwaląc takimi sukcesami, ani uznaniem krytyków. Tylko ich najmłodsza, dwudziesto- i trzydziestoletnia, potrafiła skorzystać z dobrodziejstw kilku lat pierestrojki i pokazały się Europie (np.: Artur Klinow, ur. 1965; Anatol Rzewuski, 1958; Irina Laptiewa, 1955), chociaż sztuka jaką uprawiają daleka jest od modynych tendencji, zdominował ją ekspresjonizm i nadrealistyczne widzenie świata.

Starsze pokolenie, pokolenie zesłańców, z trudem przeżyło się przez grubą mur obcojęzyczności i niezrozumienia. Przykładem niech będą dramatyczne losy Stefana Centomirskiego (1928), którego ojca rozstrzelano w 1937 roku, matka wyszła z galugu dopiero po śmierci Stalina, a on sam dziesięćno spędził na zesłaniu w północnym Kachetanie. Od początku swą twórczością malarską znalazł się w murze sztuki nieformalnej, skrajnie się tym samym na brak oficjalnego uznania. Zamknięto przed nim galerie i sale domów kultury, komisje kwalifikacyjne regularnie odrzucały jego płótna, zarzucając im zbytni formalizm i pesymizm. Na wystawie w Zachęcie artysta pokazał m.in. zespół sugestywnych prac wykonanych w technice mieszanej (malarstwo + rzeźba), poświęconych ofiarom stalinowskich represji, gdzie proste symbole (batycycki), udanie współgrały z ekspresyjnymi kształtami i organicznymi plamami barwnymi.

— Artystów, budujących cudowny świat marzeń i snów, w oparciu o przetrzone, bliskie nadrealizmowi formy i kształty, można było znaleźć w Zachęcie znacznie więcej. Licznie prezentowali się także kontynuatorzy ruchu „młodych dzikich”, sprzed lat kilku, kilkunastu. W ogóle wystawa sprawiała wrażenie wieży Babel, gdzie nie wyżej, tym panował coraz większy, trudny do opanowania chaos. Niektórzy z sal przerywiali o ból głowy nadmiernym zagęszczeniem, różno-

rodnymi obrazami olejnymi i rysunkami (te techniki dominowały) atakowały widza z każdej strony, bez chwili wytchnienia. Ale być może o to właśnie chodziło autorom wystawy. Znaczący oglądających, uzmysłowili wszystkim zainteresowanym skalę problemu, który wymaga dalszych wnikliwych prezentacji, w ramach kolejnych pokazów, obejmujących już tylko jeden z wybranych działów (np. pominiętą tu razem tkaninę czy fotografię), ale w większym zakresie czasowym.

Warto jeszcze dodać, że wystawie *Jesteśmy*, towarzyszyła konferencja naukowa Instytutu Sztuki Polskiej Akademii Nauk (Pałac Staszica, 4–6 IX 1991), poświęcona polskiej kulturze emigracyjnej po II wojnie światowej (w ramach czterech działów: literatury, plastyki, filmu i muzyki) oraz przegląd filmów artystów polskich tworzących za granicą. Było więc w czym wybierać i co oglądać.

październik 1991

Lechosław Lamęcki

Autór obrazów reprodukowanych na okładce o sobie:

Urodziłem się w 1938 roku w Wilnie.

Studia rozpocząłem w Krakowie, a dyplom otrzymałem w Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach, gdzie mieszkałem od 1958 roku.

W latach 1967–71 byłem członkiem grup „Arka” i „Oneiron”. W roku 1968 miałem w „Galerii Katowice” PSP — ZPAP.

W latach 1968–1970 byłem organizatorem Katowickich Spotkań Twórców i Teoretyków Sztuki.

W okresie 1967–1971 wspólnie z Henrykiem Wańkiem podjęwaliśmy różne działania i akcje artystyczne.

W latach 1967–1978 zajmowałem się podziemną działalnością wydawniczą związaną z problematyką kultury i religii.

W 1978 roku wyjechałem do Stanów Zjednoczonych. Pobyt ten, pierwotnie planowany tylko jako rodzinny (w 1979 roku zmarł mój chory, od wujów przebywający na emigracji ojciec) i artystyczny (w 1979 roku byłem stypendystą Fundacji Kościuszkowskiej), przedłużył się do 13 lat po wyproszeniu stanu wojennego w Polsce i moim uczestnictwem w organizacjach solidarnościowych działających w USA.

Udział w wystawie artystów emigracyjnych „Jesteśmy” — m.in. pracami reprodukowanymi na okładce „Akcenty” — (Zachęta, Warszawa, 1991) i mój przyjazd do kraju we wrześniu 1991 roku były dla mnie pierwszymi od 1978 roku.

Obecnie przygotowuję w Katowicach BWA wystawę retrospektywną, której otwarcie przewidziane jest na kwiecień 1992 roku. Pokażę ona trzydziestoletni okres mojej twórczości.

Ważniejsze wystawy indywidualne:

1963 — „Krzywe Kolo” — Warszawa

1971 — „Biuro Wystaw Artystycznych” — Katowice

1971 — „Galeria A” — Gniezno

1972 — „Biuro Wystaw Artystycznych” — Kraków

1978 — „Galeria Katowice” w Katowicach

1979 — 87 — „dniowy wystaw indywidualnych w Nowym Jorku i USA

— Brałem udział w wielu wystawach zbiorowych w kraju i za granicą. Obrazy w zbiorach muzealnych w Warszawie i Poznaniu, w muzeach Śląska i innych oraz w zbiorach prywatnych krajowych i zagranicznych.

Andrzej Urbanowicz

muzyka

KRZYSZTOF KARPINSKI

Zamojskie festiwale jazzowe

Niewiele jest na świecie festiwali poświęconych wokalistyce jazzowej. Z tym większym uznaniem trzeba spojrzeć na Międzynarodowe Spotkania Wokalistów w Zamościu. Wywodzi zaczęło się w Lublinie, kiedy to w kwietniu 1970 r. posoadała do życia Labeliska Spotkania Wokalistów Jazzowych. W zamierzeniach organizatorów co roku miały odbywać konkurs wokalistyczny, a nadto miało to być przeglądem tego, co w wokalistyce europejskiej, a także światowej najciekawsze. Szybko zrzegowano z corocznych konkursów i odbywały się one co dwa lata. Co do tego, czy oglądano i słuchano wokalistów najciekawszych mielibym pewnie wątpliwości, ale to temat na oddzielne rozważania. Niemniej jednak występowi wielu znakomitych muzyków i wiele zespołów, a konkursy wyłoniły takich laureatów jak Wojciech Skwerduski, Marek Strykowski, Leonard Kaczanowski, Hanna Banaszek czy Stanisław Sojka. Shahałami nadto Moniki Bergkvist, Beryl Bryden, Kiyi Magnusson, Ann Burton, Rachel Gould, Sheila Jordan, Karin Krog i wielu innych.

Odbyły się również edycje Lubelskich Spotkań (1970-1980), zanim ograniczył się organizatorzy zrzegowali z tej imprezy. Tam sam festiwal odbył się w Zamościu w 1984 r. dzięki grupie zapaleńców, którzy postanowili podjąć się trudów organizacyjnych i kontynuować Spotkania. Jednak nieco wcześniej, bo w 1983 r. w Zamościu obchodzono dziesiąty rocznicę śmierci zmarłego tragicznie niewidomego pianisty Mieczysława Kosza i wtedy właśnie powstał tutaj i Zamojski Mini Festival Muzyki Jazzowej Jazz na Kresach. Od roku 1984 mamy zatem w Zamościu dwa festiwale jazzowe. Odbywające się w maju Jazz na Kresach i we wrześniu Międzynarodowe Spotkania Wokalistów Jazzowych. Są to stałe, cykliczne imprezy odbywające miało i znajdujące się we wszystkich kalendarzach jazzowych. Podczas Spotkań wystąpiła cała czołówka polskiego jazzu, a także wielu wykonawców zagranicznych: George Fame (Anglia), Hanne Reid (Dania), Comy Schumann (Holandia), Mulata Astateke (Etiopia), Peter Lipa (Czechosłowacja), Chico Lindval, Monika Borrefors i Vinnaya Hagelberg (Szwecja), Peter Giger (RFN), Mathis Sado (Francja), Jean Herington, Sylvia Williams, Etta Cameron, Lit McComb, Deborah Brown i Lincoln Beachamp (USA), Maria Joao z Portugalii i Aki Takase z Japonii. Jest to imponująca lista jak na krótki okres trwania festiwalu.

W ramach Spotkań Wokalistów odbyło się dotychczas pięć konkursów.

W 1984 r. zwyciężyła Lora Szafran, drugie miejsce zajęła Izabella Zajac, a trzecie Daria Pakosz-Kruczek — wtedy jeszcze studentka Akademii Muzycznej w Katowicach. Nagrodę dodatkową otrzymał Jorgos Skolias, eks-celompok takich zespołów jak *Krakul*, *Tw Break*, *Banapace*, a ostatnio występujący z formacją *Young Power*. Recenzenci wykazywali na wysoki poziom konkursu. Kazimierz Czyż pisał: „Co do samego uczestnictwa to stwierdzić trzeba, że wspaniale z nich to już właściwie zrezygnowali, czegoś lepszego od „gwiazdy”, której tego rodzaju wywyższenia misteryi odmówi...”

¹ „Jazz Forum” 1984, nr 5.

Był to udany festiwal. Poza polskimi jazzmanami wystąpili artyści zagranicą między innymi z Anglii, Francji i Czechosłowacji.

Przeważało okolicznościowe wydawnictwo „Jazzowe retrospekcje” będące fotograficznym zapisem tej imprezy. Autorami byli młodzi fotograficy najmiej — Andrzej Błak i Marian Sierpięczak; Spotkania omawiano w „Notecie Jazzowym”, „Sztandarze Ludu” i „Kurierze Lubelskim”, nie zabrakło też relacji w „Jazz Forum”. Pisano bardzo ciepło, podkreślając szczególną atmosferę koncertu i wyjątkowo dobrą organizację.

W roku 1985 konkurs stał na słabszym poziomie. Startowało tylko osiem uczestników, pierwszą nagrodę nie przyniósł. Dwie równorzędne otrzymały Helena Muszkaniec oraz Beata Mołak. Rozpoczęcie konkursu krytykowano, a przedświadczenia jury — Krystyna Protko zgłosiła szerszą propozycję, by konkurs organizować raz na dwa lata, co niewątpliwie podwyższyłoby jego poziom. Wśród gości festiwalu znaleźli się etopki muzyki wibrantista Mulatu Astateke oraz wokalistka z Holandii Comy Schumann. Wystąpili też nasi czolni muzycy Wojciech Karolak, Tomasz Szkalicki, Krystyna Protko i inni.

Trzynaste Spotkania Wokalistów w 1986 r. odbyły się bez konkursu z powodów materialnych, mimo to miały bogaty program. Gości zagranicznych reprezentowali Etta Cameron, Peter Lipa i Monika Borrefors. „Reprezentanci” Polaki to między innymi *Wall Away*, *New Presentation*, *Young Power* i *Gold Washboard*.

Odbył się ciekawy koncert „Złote lata swingu”, a w programie znalazły się *Swingter* Janusza Zabiegłowskiego, *Big Band* Wiesława Paternoga, grupa *FOJ i In Tune*. Można było obejrzeć scenografię Salona Filmu Jazzowego, a także wystawy fotografom autorstwa Piotra Kloksa oraz sprzętu firmy JMR — Electronic z Berlina Zachodniego.

Recenzenci pisał: „Doprawdy, przedtęmi dzieje się rzeczy, gdy prowadziła szranka sięga do źródeł. Etta (Cameron) nie ma pryncypu tak zżerze i tak głęboko w swoim rozumieniu, swoją próbą do Nafetyżego, że sola skomienienia i wstania...”



Międzynarodowe Spotkania Wokalistów Jazzowych, Zamość 1987 r. Fot. Krzysztof Winarski.

W 1987 r. konkurs znowu stał na wysokim poziomie. Była to jedna z najlepszych imprez. Zgromadziła 11 uczestników, w tym sześć pań i pięciu panów, oraz dwa zespoły wokalne. Zwyciężyły kobiety, małaonia Pascal von Wölbelski z NRD i wale nie genera Justa Waldock z RFN. Trzecią nagrodę zdobył wokalista i pianista

² Andrzej Schmidt — „Jazz Forum” 1986, nr 6.

z ZSRR, prawie niewidomy Sergiej Maniank. *Zamieszanie w Zamościu, Śpiewał jazz, Jazz w Zamościu, Niezłomny z całego świata spojrzę się w Zamościu* – to tytuły artykułów prasowych związanych z zamkniętą imprezą. Niektóre moje reklamacje po drodze na wyrost, ale świadczą o zainteresowaniu festiwalami takimi i dziennikarzy. Ten konkurs miał znakomitą oparcie. Można było obejrzeć wystawę fotograficzną *Jazz Photo – 1986*, gdzie zgromadzone zestawy nagrodzonych i najlepszych prac trzech edycji Międzynarodowego Konkursu Jazzu Photo. Odbył się ponadto pokaz nowych polskich filmów *O rany, nie się nie stało i Markaruz* z muzyką jazzmanów Wojciecha Koniciewicza i Mariana Bogdanowicza. *Były to burdo intersekcje spotkania. Nie udało przedy, udyły, rozczarowały i niepowodzenia. Konkurs miał oficjalnie rangę międzynarodową – nagrania zostały wydane, był zabrał wszystkie trzy nagrody i wyróżnienia. Konkurs zatem nie zasłony, pomimo dławienia siebie naszych wokalistów.*⁴ Obecny był wtedy dyrektor Poljazzu Marek Cabanowski i moje dzięki temu powstał fotograficzny zapis tego konkursu w postaci płyty (PSP-218).

W 1988 r. konkurs stał na najwyższym iwasotom poziomie. Startowało 13 uczestników z Polski, Czechosłowacji, Węgier, Związku Radzieckiego, Danii i Rumunii. Wygrał krakowski wokalista Marek Bałaj, drugie miejsce zajęła wokalistka i pianistka Aziza Mustafa-Zade z Azerbajdżanu, a trzecie – Anca Parghel z Rumunii. Atrakcyjne nagrody ufundowała firma Samsung. Wśród gwiazd znalazły się tak wymienieni wokaliści jak Deborah Brown, Vianaya Hagberg i Ursula Dudziak. Odbyło się także szenie imprez iwasotomowych, które uświetniły Spotkanie.

Koncerty festiwalowe były wyjątkowo atrakcyjne między innymi z tego powodu, że artystom akompaniowali formacje Zbigniewa Namysłowskiego, Pianażna Wroblewskiego i Wojciecha Niedzieli.

W następnym 1989 r. szesnaste Międzynarodowe Spotkanie Wokalistów Jazzowych rozpoczęły się 22 września. Najpierw występowała Hanna Banaszak z gitarzystą Januszem Stróblem, a później z zespołem Karziera Korkisa. Użytełymi kompozycje Gerishwina, Komedy, a także Jonasa Kofy. Artystka zaprezentowała swoje nadzwyczajne możliwości głosowe, profesjonalnie i dobyte smak. Ten koncert był doskonałym wprowadzeniem do prezentacji jak stricte jazzowych. Kolejnym punktem programu był bowiem występ naszej czworoj wokalistki, Juri Sraffan. Jej silny alt trafił do wszystkich. Ali nie powtarzał tego, co już wielokrotnie napisano, wystarczy powiedzieć, że jej wokalistyka to swadłowie na brzoń dźwięku i bardzo dobre brzmienie głosu. Trzecią gwiazdą wieczoru był amerykański Murzyn, bluesman z Chicago, Lincoln Beachamp. Ciekawa postać, Murzyk, pian, poeta, aktor i wykladowca w jednej osobie. Śpiewa, gra na harmonijce ustnej i wydaje pisma jazzowe. Akompaniował mu zespół stworzony na kaswie daty Srem – Sruakali. Beachamp śpiewa bardzo ekspresyjnie spacerując przy tym, a nawet tańcząc. Publiczność zamajską przyjęła go owasnie.

Następnego dnia w sobotę wieczorem koncert rozpoczął osiemnastoletni wokalista z Kijowa, Oksana Kukulowa. Ma karęrowy głos o szerokim skłai, godną podług tego występ najlepiej wypadła akompaniacja jej sekcją w składzie Karolka, Muniak, Bartkowski. Okazie daleko języcie do doskonałości. Jest jednak młoda, więc kariera stoi przed nią otworem. Kolejne punkty programu to występ Marka Bałaj, a później Stanisława Sojki. Ci trzejci wokaliści języcie raz pokazał swoją klasę, wczesztoność i profesjonalizm.

Na zakończenie festiwalu Deborah Rachel Goul, amerykańska wokalistka zamieszkała w Szwajcarii. Starsi byliśmy Spotkami pamiętają ją z konkursu w roku 1979, kiedy zdobyła wyróżnienie. Teraz akompaniowała jej trio Karolka, Muniak, Bartkowski. Rachel Goul, nieco introwertyczna, śpiewała z dużą ekspresją. Repertuar wypełniał standardy oraz jej własne kompozycje. Akompaniując trio zamoknie dopasowało się do wymagań wokalistki. Był to pod każdym względem wyjątkowy i chyba najlepszy koncert.

Na siedemnaste Spotkanie, mimo pasującego kryzysu, przyjechało wielu znakomitych artystów, a festiwal można zaklęć do udanych. Był bardzo dobra atmosfera i taka organizacja. Przez trzy dni Zamość rozbrzmiewa muzyką jazzową, a sale koncertowe były wypełnione po brzegi. Wieczorne koncerty odbywały się w salu Wojewódzkiego Domu Kultury, nocne zaś w amfiteatrze oraz klubie jazzowym Koz.

W przerwach ślubności mieli okazję obejrzeć wystawę fotografi jazzowej zorganizowaną w hali WDK.

Wszystko zmogły się w cwarnek 27 września 1990 r. o godzinie dwudziestej w Kolegiacie Zamkowej, a więc w nietypowej dla jazzu scenie. Wystąpił tu zrecitalem Czesław Zaniewski. Wprawdzie nie śpiewa na języcie, ale także jest wokalistą i organizatorem uznał, że uświetni festiwal, tym bardziej że brał udział w pracach konkursowego jury. Nietypowe też było otwarcie festiwalu przez konferansjera Andrzeja Jaroszewskiego. Użyłszy, co nieczęsto się zdarza na takich imprezach... kilka słów pochwalnych. Później śluchaliśmy już tylko Zaniewski, a kołocił wyponiło się po brzoń.

Następnego dnia po południu odbyła się w amfiteatrze pierwsza tura przesłuchań konkursowych, a wieczorem w sali WDK koncert plawy. Najpierw mienirciał dal zespół *Walk Away*, który następnie akompaniowali Beacie Mokli, Lorzę Szafian i Mieczysławowi Szezelimowski. Wszyscy razem i każdemu z osobna. Później na scenie zobaczyliśmy Marka Bałaję. Ten krakowski Murzyk i niezręczny plastyk okazał się języcym punktem trzech Spotkań. Jego zwycięstwo w konkursie wokalistów w 1988 r. nie było przypadkowe. Od tamtego czasu znacznie rozwinął swoją działalność, śpiewa stylowo i ciekawie improwizuje. Użytełymi całą gamę standardów w wykonaniu artysty i akompaniującego mu tria. Bałata to wokalista wczesztoność technicznie i muzycznie, pod wyraznym wpływem Bobby'ego McFerrina.

Na zakończenie wieczoru występ gwiazdy. Okazała się nią w każdym calu Michèle Hendrickx, córka Jona Hendricksa znanego z *Triu Laskowej-Hendricksa-Rosa*. Była wspaniała, a akompaniował ją z dużym wyczuciem i inteligencją *Triu Arusa* Dwulwieca. Uświetlania przez publiczność amerykańską jest to wokalista rzeczywicie dalego formatu i dobre stało, że mogliśmy jej posuchać po raz pierwszy, a mamy nadzieję, że nie ostami w Zamościu. W sobotę (29 września) następnym popołudniem odbyła się II tura przesłuchań. Młodym wokalistom akompaniowało trio Zbigniewa Jakubka i Wojciecha Niedzieli. Śluchaliśmy głównie standardów w przeróżnych konwencjach. Jury pod przewodnictwem Richardsa Rossa z USA nie miało większych kłopotów z wypowianiem zwycięzców. Podczas wieczornego koncertu ogłoszono werdykt. Zwyciężył reprezentant Holandii Roland Douglas, drugi miejsce zajęła Ewa Uryga Kędziara, a trzecie Marzena Szusarska. Wyróżniono naszą gwiazdę *The Wilfusz Revival Singer*, Polinę Dmitriową z ZSRR i Michèle Bergeron z Belgii. Nagroda przyznana uhonorowana została najmlodsza uczestniczka konkursu Anglika mieszkająca w Belgii – Kacie Mayne.

Po oficjalnym ogłoszeniu wyników konkursu rozpoczął się koncert festiwalu, w którym wystąpił laureat.

Roland Douglas języcie raz potwierdził swoją klasę, okazując się wokalistą najbardziej doświadczonym i już profesjonalnym. Następnie wystąpiły trzy gwiazdy. Sergiej Maniank ze Związku Radzieckiego oraz Richard Ross i Maxine Howard z Stanów Zjednoczonych. Sergiej Maniank był już w Zamościu w 1987 r., występował w konkursie i zajął wtedy trzecie miejsce. Ten prawie niewidomy wokalista śpiewa muzykę rytmu i bluesową akompaniując sobie na fortepianie. Robi to znakomicie, dlatego też jest bardzo lubiany przez publiczność. Jeden z krytyków napisał kiedyś, że jest on niezwykłym krytykiem o bogatej skali środków wyrazu i wypracowanych technikach instrumentalnego śpiewania solowego. Opisał też potwierdził szczerzym występem, chociaż obecnie śpiewa bardziej zespołowo.

Richard Ross wystąpił z *Triem Arusa* Dwulwieca i wzmocnionym przez saksofonistę Tomazę Sruakalię. Przewodnicząc jury, czarny amerykański wokalista o mocnym solowym głosie, introwertyk, śpiewa ostre i znakomicie swinguje. Blues w jego wykonaniu to małe arcydzieła. Do wysokiego poziomu dotarłowski się akompaniując mu zespół polskich muzyków, składają zamoknich.

Ostatni punkt programu to show Maxine Howard, czarnej wokalistki zamieszkałej od 1986 r. w Europie. Występowała już w wielu krajach świata wzbudzając duże zainteresowanie swymi koncertami. Potrafi wznawiać bełpotności koncertu z publicznością, która zwracając uwagę z rękami w Zamościu. Jej występ przetrwał się prawie w jam session, podczas którego zaproszeni przez nią z wędrowni muzycy dołączyli do zespołu, a akompaniował jej *St-Sz Blue Bird*, czyli Sruakali i odromyany. Maxine Howard jest podobno nową królową bluesa. Występ w Zamościu to potwierdza.

⁴ Andrzej Schmidt – „Jazz Forum” 1987, nr 4.

„Osiemnaste Spotkania Wokalistów (5-7 grudnia 1991) to impreza, wyłączenie w krajowej obsłudze. Ze względu finansowych jej tradycyjny wzrastający termin przesunięto na pierwsze dni grudnia. Ta zmiana i brak odpowiedzialności relacyjnej nie wpłynęły na zainteresowanie festiwalem. Po raz pierwszy widziałem w Zamocisku salę Wewnętrzskiego Domu Kultury świecąca pułkami. Mimo to koncerty Ewy Bień i Marka Barty były udane. Do ich wysokości formy dostroiła się orkiestra *All Stars Band* pod kierunkiem prezesa Polskiego Stowarzyszenia Jazzowego trębacza Henryka Majewskiego i pianisty Andrzeja Jagodzińskiego. Później wystąpił Marzena Słusarczyk laureatka zamociskiego konkursu z poprzedniego roku oraz niewidomy Bronisław Harasimik. Oni także zaprezentowali wysoki poziom, co sielnicza nie kompetentna publiczność natychmiast zauważyła.

Koncert dowcipnie i z pełną swobodą prowadził Marcin Kodyrzyński, a jedna ze słuchaczek wyśmiała wyświeckę do jazzowej stolicy Europy — Paryża, sfundowana przez jednego ze sponsorów festiwalu. Pozostałe występy miały miejsce w klubie *Kosz*, gdzie oglądano i słuchano duetu gitarowego *Flamé Kadek* oraz zespołów *Harley Lip*, *After Blues* i *Bole Street Band*. Jak cięskawostkę podano, że galowy koncert teki Spotkań odbył się w Warszawie w telewizyjnym studium programu II i był na żywo transmitowany. Było to przeniesienie koncertu, który dzień wcześniej odbył się w sali zamociskiego WDR. Dodatkowo wystąpił Mieczysław Szczęśniak, który śpiewał standardy jazzowe przy akompaniamencie młodego adolumenta pianisty Joachima Mendla.

Zamojskie Spotkania Wokalistów Jazzowych mają jednolity profil programowy i co jest bardzo ważne swój nieopowarzalny klimat.

— Nie ulega wątpliwości, że wysoki poziom Spotkań został utrzymany i należy mieć nadzieję, że tak będzie też w latach następnych.

Inny zamojski festiwal to Jazz na Kresach, impreza mniejsza, jednak warta przypomnienia. Odbywa się od 1983 r. — początkowo w kwietniu, ostatnio w maju. Dominują w niej zespoły polskie, ale występowali już przedstawiciele Francji, RFN, Czechosłowacji, Serwacji, Danii, Holandii i Związku Radzieckiego. Trzeba od razu powiedzieć, że ten festiwal obecnie nie ma konkretnego profilu programowego, jednak bywało inaczej, by przypomnieć np. hasło *Free Cooperation*. Chodziło wtedy o wzajemną współpracę muzyków występujących w różnych formacjach. Należy zatem mieć nadzieję, że organizatorzy powiodą do tej praktyki, a wtedy także z festiwalu będzie miał swoje oblicze. W każdym razie Jazz na Kresach to prezentacja czołówek polskiego „młodego” i „starszego” jazzu. Dzięki festiwalowej popularności tej muzyki coraz bardziej wznoszą, co zauważa się odnotowując dobrą frekwencję w salach koncertowych. Jazz na Kresach to również koncert w sąsiednich miastach (Chelm), także „Jazowa Akademia Pana Kleksa”, która przyciąga dzieci, uczniowie wraz z rodzicami.

Jazz na Kresach to festiwal młody, ale wiele tu się już zdarzyło. Oby tylko wystarczyło sił (i pieniędzy) organizatorom. Pamiętam, że rok 1984 zgromadził rekordową ilość wykonawców, w 1985 r. dominował jazz nowoczesny, a w 1986 r. było najwięcej zespołów zagranicznych. W 1987 r. przejechało jakby mniej uczestników, mimo że licznie zapowiadali swój przyjazd. W 1988 r. festiwal był bardzo skromny i nie obfitował w widoczne wydarzenia. Występowały zespoły krakowskie (*Elektryczny Parówek* Marka Strykowski), warszawskie (Krzysztof Kierek, Piąty Wroblewski) oraz enerdowski *Dziwielender*.

Zastanawiam się wówczas, czy to Jazz na Kresach, czy Kreski jazz. Trafnej odpowiedzi udzielił Kazimierz Czyż pisząc: „Początek festiwalu drogi znamy, jej kresu nie widać...”¹ I miał rację, bowiem w 1989 r. program jazzowy był znówu bogatszy. Z Holandii przejechało prawie 40 studentów z Wydziału Improwizacji Jazzowej w Konserwatorium w Tilburgu, którzy w różnych konfiguracjach personalnych, od duetu do big bandu, dali znakomity pokaz gry. Była też okazja, aby po raz pierwszy wysłuchać w Zamocisku dobech muzyków z Litwy. Tępi pianisty Gintasa Abariusa, absolwenta konserwatorium wileńskiego, było wstępnie rewelacją festiwalu. Jazz na Kresach w 1990 r. choć nie należał do największych, ale dzięki sponsorom odbył się i był udaną kameralną imprezą przy wyjątkowo go brzegi sali zamociskiego Amfiteatru. Szlachetny standardów w wykonaniu SOS (*Situa Oprzowne Swie-*

głych) czyli Henryka Majewskiego and his boys, solowej gry Krzysztofa Siemysłowskiego i jazz rocka w wykonaniu *Je Suis*. Ponadto wystąpili z powodzeniem klamcy polskiego jazzu, a mianowicie kwartet Zbigniewa Namysłowskiego i trio Janusza Munliaka.

Jazzowe zmagania dziesiątego Jazzu na Kresach toczyły się przez trzy majowe dni i doce 1991 r. w Kolegiacie Zamojskiej, Kazanatach i gościnnie w klubie *Kosz* należącym obecnie do Stowarzyszenia „Zamojski Klub Jazzowy”. *The Willow Revival Society* rozpoznał festiwal swoim adunym występem w Kolegiacie. Szlachetny piękny muzyk gospoła i negro spiritual. Zespół to brama wielu przeglądów i konkursów. Następnego dnia w *Kocz* wystąpił kwartet Krzysztofa Pogka ze znakomitym skrzypkiem Henrykiem Gembalimkin znanym z takich formacji jak *Buspace*, *Swave* czy *Yong Power* oraz warszawski zespół jazzu tradycyjnego *Blues Fellow*. W Kazanatach zaś słuchano wokality lubiącego przyjeżdżać do Zamościa, Jędrusa Skośka i grupy *Easy Rider*. Sobota była dniem bluesowym. Ten gatunek muzyki jest bardzo popularny i lubiany, dlatego też koncerty *Newest Zmoia* *Blues* Tadeusza Nalepy i młodzieży *Street Blues* odbyły się przy pełnej sali. Obok nich dobrane radnieli sobie zespoły zamojskie *Krótki Blues* i *Hecklers* *Blues* i *Polak* *Sartyn Band* z Krakowa oraz *Quadrant Quintet* z Chelma. Był to przyjemny festiwal a wraz z nim zainteresowanie publiczności tą imprezą świadczą, że jest ona potrzebna. Dobrze by było, aby ją kultywowano, co wobec ogólnie małych trudności nie jest takie proste.

Ojcem chrzestnym zamociskiego jazzu, zwanym tutaj także „Hetmanem jazzu”, był Piąty Wroblewski, który upodobał sobie Jazz na Kresach i zawsze — no, prawie zawsze — w im uczestniczył. Jednym z ważniejszych organizatorów jazzu w Zamościu jest wspomniany już klub *Kosz*, noszący imię Mieczysława Kosza, który urodził się w podzamociskiej miejscowości i niedługo Zamojskie zmajduje się jego grób. Klub powstał w 1982 r., a założony go Marek Rzeczkowski, Krzysztof Seymowski i Grzegorz Obst.

W statucie klubu czytamy, że zrzeka on ludzi zaangażowanych w animację kultury muzycznej, a przede wszystkim jazzowej. Klub mieści się przy ul. Zamkowej w ładnym budynku pamiętającym jeszcze carskie czasy. Jest tam imponujących rozmiarów pianino z dobrym fortepianem, a przed wejściem do klubu drewniana tablica z wierszem:

Odcedł
Bo
za mało kochaliśmy
jego pulch ręką
i za muzykę
Teraz już nigdy nie wybieramy mu
piętna.

Jeżeli zatem sakony artystyczne Mieczysława Kosza natchnęły zamojskich jazzmanów do stworzenia klubu jazzowego, a tenże klub organizuje imprezy przyciągające publiczność Zamościa i okolic, to można zastrzec, że to *ów* pianista przyczynił się do wzrostu zainteresowania muzyką jazzową w tym regionie Polski.

— Nie bez powodu pisał Anna Bocian: „... Bo jazz to życie z całym jego bólem, które gdyby ktoś chciał poznać i oddać, powinien postuchać śpiewanego w *Zamocisku* *Blues* (...). Jazz to choroba, która już wielu zabrała, łącznie z Mieczysławem Koszem”.

Krzysztof Kurpiński

¹ Program IV Festiwalu Jazz na Kresach.

² „Dziennik Łódź”, 20.09.1986 r.

★Listy★ z Nowego Jorku

URSZULA M. BENKA

DREŹCZONA W SNACH

Kamieniem poetyckim jest sen. Trądo światła i zarazem ciemności, która pozwala odczuć, jak nieskończony ongiś nól, świat Ratio od wyspy Zrozumienia. Namalował ją Becklin, nazwał — trochę nieistotnie — Wyspą Śmierci, przystankową cyprysy, umowne drzewa smutku, które tylko incydentalnie wskazują coś poza fałszem. W gruncie rzeczy zachodzi świat wyrwał śmierć z filozofii, zawarł głucha pod nagrobny kamień, odwrócił nadło murem i światłomij, traktując wszystko co po Niej się może zdarzyć, jak przedłużenie egzystencji dostrzeżonej, zresztą nudnej przeważnie, bezmyślny i będącej groteskową częścią czasu. Od tego można zacząć od pytania, czy faktycznie w Nieskończoności można tracić czas i energię na sądy, na werdykty, na fakty i zarzewnienia w obracaniu wyroku, pomiędzy chwilą zgonu a definitywno wyroku publikacji? Malarsztwo na Zachodzie od wieków przecięła się w tanecznej tematyce: obrazy zmarłych kwiatami, trąb anielskich, proporcjach łopocących na wietrze — w ich liczbie parę zaledwie dzieł dopuszcza tutaj Ruch albo Pustkę. Śmiało malował w ten sposób Hieronim Bosch: świetlne wiry, wspinające JAK próżnia, wyciągające drogę, która właśnie dopiero poza ziemskim królestwem granitacji może się narodzić otworzyć. O ile „Jam jest Drogą” ma jakikolwiek sens, to właśnie w znaczeniu odległym od horyzontów na teraz i tu.

Patrząc jeszcze wparcie, śmierć jednostki zobaczyć można w odewniu od kojącej liryki zasłanych starannie mar lub grubych żelaznych drzwi do celii z elektrycznym krzesłem. Mianowicie coś, co pokazał na moment film „Ostatni brzeg”: puste wydłużone ulice nie rozsypanych jeszcze miast Australii, pod obłętym spadem dnia — dnia który przecięła kiedyś nastąpi. Myślę, że to najbardziej niezmienna z prawd. Był dzień, kiedy upadł ostatni tur, wcześniej mamut, ostatni Neanderdalec. Jeśli nawet ostatnim żywym człowiekiem na ziemi nie będzie umierający a tylko wsiadający w jakiś niewyobrażalny na razie Okręt, pozostanie ta sama rzeczywistość, planety wystawione na pastwę Boga? Obiekty wyich dziejowych praw? Kosmicznej elektromechaniki? Czy temu jedynemu z ludzkości duma będzie jakaś refleksja, której wprawdzie nie mogą podzielić, skonfontować — tym niemniej może do niej dorosnąć lub nie.

Świadomości odpycha obrucząc tę wziętą próbie się karmić Katastrofą: chyba po prostu po to, aby prawda ostatniego człowieka i jego osobiste wedy tragedii znalazła jakąś w halasie rwących się bomb. By to nazwać głębią, przypadkiem, zmaganiem dziejów, zmaganiem wrzeszczu biografii (której człowiek zaszkodził bardziej niż może wszystkie populacje wirusów i spadające w jasny dzień meteory). Identycznie jest w mikroświat jednostek. Śmierć faktycznie spowodować może psychopata

strzelający w popularnym barze na uniwersytecie Berkeley w Kalifornii do wesołych studentek, albo czarna bezdomna podkładająca ogień pod worki plastikowe, w którym zasnął na ławce jej pijany bezdomny znajomy. Zwykle jednak do rady uniknąć tych tragicznych przypadków, a mimo to.

„Osi wszyscy pomierają. Wyobraź ich sobie leżących”, powiedziała mi Kati, uroczą aktoreczką próbującą tu kariery na Broadwayu. Obseja śmierci przesładuje Kati od kilku lat, najpierw to pogałała na z pewnością narcystycznych wyobrażeniach siebie w tramwaju lub na łopoczącym, gdzie, dajmy na to, znalezione by ją, jeszcze cała tchnącą wdziękiem młodocia. Opowiada mi pedantycznie, więc pościel szafłrowa, na jej łóżeczko włożyła i fioletowa bielizna, a jedwabiu, koniecznie także pasek do pończoch z podwiązkami albo leżący na białych gorzku. Otywiecie, muzyka, bukiet kwiatów w wazonie, poza wystylizowaną aby każdy policjań, lekarz, fotograf czy wrzeszcz wielbił sąsiad zapamiętał na zawsze, jak Kati była cudna, jak gódna pożądania, jaką stracił im osobliwie sprawiło jej odepnięcie — cieleśnie, bo pozostali przez niepochwytym ciemnym igłomiatu. Bardzo chciałam się jeszcze pewnie i pokazać jej fotografie z „Bondage Life”. „A czy tak by mogła wtedy wyglądać?” Skłęta głową. W jej oczach zabyłosi coś drapieżnego.

Później Kati budziła się w nocy, miała nerwicę serca i zdarzało się jej kilkakrotnie chwytając słuchawkę telefonu by wzywać pogotowie, bo „Jak pomyślę, że trzeba tamtydy iść, przez te całe otchłanie, sama do jedyna, te wszystkie parszki odległości...”. „I nie mogę się modlić do Boga, bo mi wstyd, że tak więc się na łąkę ze strachu, wiem, jak kuba, jak karaluch, a tu nade mną ta jego noga, zbuntowana wiesz, kurwa, chcesz, to mnie miady, i tak to kiedyś zrobisz, przejdzie Ci cały ten filozoficzny odruch”. Gdy na niebie rozmigocą się gwiazdy, Kati cierpliwie, czaje prawicę fizykalnie, których trzeba jej będzie iść, wirów których konstelacji — wybrała to sobie plichotną, w ciemności, idealnie zastępczej ciszy, jest pewna, że nikogo nie spotka, że w absolutnie nieruchomym kosmosie wszechziwiata będzie jedynym ruchem, a potem natknę się na samą kłozę, odepchnię, jak biały niedźwiedź w menażerii Central Parku od skłanej szyby, i powrórzy drogę z powrotem — do nowego wcielenia. „Ja nie jestem stąknutą, Najlepiej jest nigdy nie pomyśleć, że śmierć to jedyna rzecz w życiu, która stanie się z tobą na pewno”. „A habi: Dreamtopos Ursuli Le Guin? Wydała tylko cykl wierszy, to nazywa się Dziekie Anioły? Koniecnie zobacz”.

Ostatniej nocy śpiąca szlam przy śmierci: miała trzy twarzy: w bańki, w brzęcie i tej trzeciej nie widać. Ze mną i z nią tamtedy szedł mój mały i cichy przyjacielski ktoś, „Tu droga”, mówi śmierci o ustach białych, „zoraż się — poczekaj chwilę — skłocz”.

Na ustach z brzuw uśmiech był, na trzecich zgola nie. Szliśmy na wzgórze szczyt.

Ursula Le Guin wkłada prawdziwie się do wierszy, w ten sposób pisząc niewiadowalną autobiografię. Kolejność wierszy w zbiorach niekoniecznie pokrywał się musi z kolejnością ontycznych wydarzeń, w redagowaniu tomu poetka kieruje się raczej wiedzami rozumnymi, i taką im nadaje interpretację. „Wyobraź sobie nie kończąca się nigdy ulicę, którą idziesz, mijasz syna, kończąc koniec w milczeniu, gdzieś

daleko są wzgórza i słonce". Kati mówi z przypięzonym oddechem, wzbija mi szczupłe palce w przedramię i mruży oczy. "Widziałam takie wzgórza w Fair Haven, przepłowione mgłą. Myślałam, że już po mnie, że ta mgła się przysunie i zlituje mi samochód z przelicy, a dolina na prawo była czarna". Kati zaciera mi dotyk. "Erotyki", w kącie, gdzie książki poświęcone są wyrażeniom osób porwanych: z Tamtej Strony. Gdyby była ostatnią żywą ludzką istotą na Ziemi? Och, nie... Temu komu chyba żaden poeta nie zadedykował nigdy jednego wersu". "Ostatniemu człowiekowi na ziemi, znanemu jak mops, bez najmniejszego pojęcia, czym on się sobą nie, choćby to było dziecko, kobieta w ciąży? pomyśl, czy możliwe jest wtedy zdecydować na zabieg, czy na poród? Masz, przewidziany, w kieszce tui francuskiej tabletkę powodującą, że przetrzeźnia byś w ciąży i wydrzeżyś ją polkąną. Ale wybrał sobie, rodzi się dziecko. Fajne, zdrowe, hobas wymachiye nóżkami, wypychasz mu pełną pierś, i ono sobie ssie, ale to jest dziewczynka, ale jeśli nawet chłopak, masz, śpiący na dnie, czystożrebi, czuje się sprawiedliwie młodo i w pełni sił, no, ale grozi ci klimakterium". Aktorka czarna sartażka kraćciasty szal, od East River powiało wilgotnym zimnem.

Spotykamy się czasem, spacerujemy, najchętniej po ponurych zakątkach, jakichś włainie w tej okolicy, pełnej śladów potworów sprzed dwudziestu już paru lat, jest sporo, a pod bramami ścieżki na wyznaczeniach z domu krzątańców Lotynosi, nie robią nic, tylko siedzą i patrzą, i słuchają gorących rytmów swojego rozdygotanego Poludnia. "Taki facet jak ten — może wypaść, że byłby Ostatni!" Męczyzna sprawia wrażenie „macho". Otyły, władczy, krótkie nogi ledwie dosięgają do ziemi z krzeselka, a przed nim troje dzieci, śmiących, ognistookich, dziewczynka w falbanianej sukience z polylakowej różowej satyny, kokardy z nylonu, bransoletka i czarne lalkierki. Ma trzy latka. Za siedem lat może już będzie miała swoją poetkę. "Podczas festy nie sposób się przejechać do highway. Dzieciaranka i dostojne całe familie. Nad East River zawieszają hamaki, kładą kocce, rozbijają namioty, baloniki, wiatraczki, pod gołym niebem, szaszłyki, kiełbaski, z jalapeño, sosem salsa, z pimentos. Pieczona czarna fasola, mekrykarkie burritos, kureczaki, Wienawidzję kureczaków, a sama myśl, jak strasznie są faszerowane hormonami." "Zyją sobie z zaskiwów czyli z dobrych uczynków i rozmatają się, a gdzie się obierzyżysz, to kościół. Nabożeństwa są po hiszpańsku, oni wcale się nie przejmują angielskim". "Do zbawienia chyba nie jest angielski konieczny" spytałam. Pomyślałam o drodze, samotnej, wybitnie próżni wśród nieosiągalnych dalekich gwiazdowych systemów. "Kati? Widzimy trochę w rzeczywistości, czy kiedyś wyobrażalaś sobie, że mijasz czarną dziurę — i co wtedy?" "Tam nie ma czarnych dziur, raczej już w niej się jest. Gravitacja dotyczy materii, a to co czuję, jest jak prąd, tylko strasznie, rozpaczliwie zwolniony, jak na zwolnionym filmie — jeden krok może trwać lata, a cała to monstrualna odległość...". "No, ale potem jednak trochę powracasz do życia, odzłaziasz się jak niedwiedziej od wiatru i rodzisz nowego, prawo reinkarnacji jest silniejsze od białych nógów, od tej stopy zawieszanej nad tobą, czy nie?" "Nie wiem". Kati miała łzy w oczach, zresztą spieszyla już do teatru, o ósmej spektakl, a dookola robiło się ciemno. Kręciła romans. Jej przyjaciel, też aktor, wśliznął kobiecie, chyba nie miał pojęcia, że przystojna brunetka na francuskich obcasach, w opiętej gładkiej mini, którą tak bardzo lubił widać do rzućowania w swoim specjalnie urządzonej pokoju, ma na tej żółtej obsejse, Gdyby wiedział, przypuszczam, poczuli się trochę nerwowo. Pomachała mi ręką — dla harmonii obrazu powinna się teraz poizłżnąć na krzewniku i wpaść pod nadświetlającego szarego forda.

Wiele dni później liście już pospadały i zaczęła się bezładniejsza jesienna chlapa) usłyszałam, jak na ślicy ktoś wykrzykiwał do

przechodniów: "Umrzeć". Miałam go z wahaniem; już na oko było widać, że wariat. Mój znajoma z Polski, dziennikarka i redaktorka, powtarzała z uśmiechem parę zwolnień kamienicznych też, że w tym mieście ciężko jest żyć, rozi się od patologii, znająca wyraziła się również „patole", co — zdaje się — dodawało mocy jej pogardzie dla tych par excellence inaczej myślących, ale wycieszałam się z tego, bo żyjąc już któryś rok z dala od dawnych norm nie chciałabym ich wymazać ze świadomości, Zresztą, napisał już. Paweł: "W czyinkolewiek sądzisz drugiego, sam siebie postąpiasz." Siedzieliśmy w „Dajo" na St. Mark's Place, między 213 Awestu. Dziennikarka rozwinęła paczkę, wydobyla kapuony otworzył temu album Johna Christiana, "Symbolist and Decadents", otworzyła na "Wyspie imcerci", dotknęła palcem łódkę, wioła, nakrytego nieznanobułym obrusem stołu. "Jest jak alteru. Wędrujacy". Po zawiatach", po chwili dodała, rozwiodła się następnie nad maciurką Arnolda Böcklina, i że temat ten przykądło na obłogie lata gdy mieszkał w swojej willi nadmorskiej. To samo zresztą głosił tekst obco reprodukcji, że obsejsa i willa nad morzem, a niemłoda kobieta sunęła ciągle w jej pięknej żabąbaną ręką poajnych płamach, po iwielistym cahnio osoby wyprostowanej na łodzi, stojącej przy altarzu jak kapłan. W pewnej chwili ten cahn otoczyła jakby krwawa polwinata, bo rubin jej pierścienka rzucił pobłask, i wtedy znowu z alcy dobiegł nas historyczny krzyk, padło słowo „trupiarz"; odniosło się do Nowego Jorku, wsiemchnęłam się, i ona, bardzo łagodnie, z cichutkiem „przepraszam", wsiemchnęła się do mnie też.

Urzula M. Benka



Antoni Urbanowicz: Korona czerwona. Fot. Jarosław Mazanek

TADEUSZ CUGOW

ŻEGNAJ, UKOCHANY MARANDO

Plakalem. Nagryzajęcej pod mekko plakaleni. Ci, którzy nie umiają jednej lzy, nie muszą być z kamienia, oni płaczą w głębi duszy, złączą się z olśnieniem, kłami, ale płacz jest tak sam. Rozpaczać może się wyłącznie, nawet będzie nam dręczyć i sadzić, aż w końcu zabije. Trzeba ją puścić na szeroką wodę, niech tęczy między dnem i dachem wody, niech się umczy, utrudzi, dopiero wtedy odleżać albo zainie.

Plakalem, wiedząc, że po tych deszczowych dniach, nawet jeśli zawiśnie słoneko, jest czas płaczu. Człowiek zawsze cierpi i płacze w samotności. W tej samotności najbardziej zamieszka, nawet jeżeli obok niego stany ludzi, każda lwa ma swoją czepetliwość i po innych takich wpływa do palatyki.

Tęgo się nie da rozładować, dookólniem, słowem, czy najbardziej współczującym prętem. To jest natura dotychczasowego życia, rozlewisko wszystkich pięknych i szarych dni, pełzających plamieniem za zarodoporno żywą oką. I nie zobaczysz tego, nie wchwycesz, zżyła jest matowa, plonnie skryta.

Plakalem i nawet gdyby mi zabroniono, też bym płakał. I kiedy już mnie ogarnęło do końca, przekładając mowami dnem opłakanych grubości, wyzdziałem na drogę oddzielającą emontarne kwatery. Moja filozofia wdróżyła. Ili, konieczność i w każdej stronie świata, kto stoi w miejscu, nie jest. Ili, konieczność i, w marcu cierpienie traci moc, odpada kawałkami w Notu, w śnieg, traci przyczepność i barwę. Już się nie lepi do palnicy, nie wkręca w słój mięzga.

Pokładam powściągnięte cierpienie. Stoił sam połowidła ziemi (jeszcze tak samowita, że omnie się burza i deszcz, śnieg zmieszają na twarzy, nawet wiatry — wędrowny piasek — nie tygnie wierzchem w oczy). Wtedy staje się masywny, nieprzystawalny do żadnego kręgotania, nie ustraszony z żadnym dopaństwem. Nawet makrokosmos w takie pukaże mamarki, a wszystkie Prany, Akasy i Czasty opuszczają zmrowiałe ciało i bującego ducha.

W drodze na emontar i w dniach poprzedzających pogrzeb, przyrzekałem, że wygłoszę plonioną mowę, że będę recytował Twoje wiersze. Przyrzekałem sobie, że będę mówił a Tobie wspaniale dowcipnie, kpiaroko, tak jak Ty byś mówił przede mną, tak jak w Wierki, nad przykładem Platona. Chciałem, żebyś Ty mówił przede mną, żebyś nie było mnie widać w tej poetyckiej homilii, żebyś ani razu usłyszeć Ci tylko głosu. Żebym mógł wspanie oddać klimat Twojego żarliwego jak dekolag serca.

Staliśmy z Bogusławem kilkadziesiąt metrów od piękności w ziemi, które od tej chwili miało być dla Ciebie osią Nowego Czasu, po tamtej stronie Nektaru. Staliśmy razem, bo on zawsze mógł uwalniać dopaństwo i pozostawał w akcie, kłopotliwym tykami moją duszę, był czas najwyższy, był wyartykułowany z śmiechu. Staliśmy obok, nie mówiąc słowa, uszczepiłem tej narowej i piękniej prawdy, że nawet najpiękniejsza pianka kiedyś zardziecha. I dlatego że najpiękniejsza, to nigdy w swoim czasie, a zwykle przedczesznie.

Przymalłem w kieszeni tomik Twoich wierszy, zupełnie nie wiedząc, co robić dalej, palił mi dłoń, jak kiedyś pierwszy papieros, który palił mi dłoń w kieszeni i nie chciałem się przyznać, co tam trzymam.

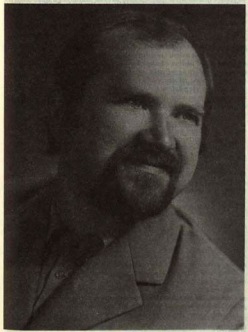
Cztery fabolki miały trwać spokojnie, magistralicznie. W pierwszej chwili chciałem

skrzyknąć roztykłą kolegię i ponieść z nim Janusza, do tego samego domu, przebiec to był nasz pogrzeb. I tu wola nie obudzić się na czas. Moje miejsce było chore, moją kreację trąd przegrano, moje stawy miały elastyczność.

Mogłem tylko, całując przycupniony, dowieść się do miejsca, gdzie pod naszkórkiem ziemi wstąpiła Przyziemia. Tam będzie trwał, sam ON BĘDZIE. Strachnik rozłożył się flazy zmoch powieści, wspaniały kpiarz i wesołek, polski piarar pełnej krwi. Pan z Panów Rostkowi. Literatury JANUSZ OLCZAK.

Tak uszczepiłem tej niemywicy w jego wnętrzu. Analem za nim w ostatnią drogę, do poczłanki przed salą nadgrobą, obłąk haldego z nam wywołują kiedyś po nazwisku i będą będzie musiał opowiedzieć swoje życie. Ile miłości, ile niemiłości, prano, łwo, wianen, na. Wianen, nie wianen. Ile miłości, ile miłości.

I znowu chciałem mówić, byłem przy głowie, tylko głos nie był przy mnie. Gdzieś sam pędziłem w płacach rozszali, przedkładając się z trudem przez zacięnięty krętuł, ale nie było w tymie wyciemie obchody jednego słowa ŻEGNAJ. Gdy wstąpiła poeta, płacząc z całym światem. I wtedy płacze wstąpiło, pukał, zwierzęta i kwiaty. Wtedy bierzesz na siebie jakąś mglistą powłokę, po części czarna, to znów biały. I już nawet nie wiesz, czy pędzisz jeszcze w znośnymym kształcie ciała, czy już jesteś jak on wotły. Tak obdoby od prawdy o sobie szubiejaz w nieokreśloności.



Janusz Olczak. Fot. Archiwum.

Staralem się być jak najbliższe Ciebie, żeby nikr nie myślał, iż przestraszyłem się skłębienia imierci i opuszczam Cię w takiej chwili. Staralem się nie patrzeć na Twych bliskich, ponieważ mił był też ramul, a hańsę mój rakte amierci od nadmieru cierpienia. Do czegoś dojadają swój, kłobiel się przezwia, wino zamienia się w zwinioną krew, a tu przepają do dna dazy.

Różnica zmarłego powinna być nienowa w karkzie, cawkownie obywateli. Włady, w tej najwłaściwiej chwili łobie odwracali od ziemi ciężką masę, ona powołała przegrywając na chwilę o nich zapomnieć. A nieważa tworzą pcha biała powołała winem podważaniem radości się tyćiem.

ZYCIE. To cadołny męczyący marz konwojowany przez imierci, nie zdążył na czas wstać, zastąpił, wstąpił w ostatnie słowo, które nie wzdąże się zmieścić, a rapard załobny zawsze brami baczaj.

Jeliż strana pękła w czasie stryżenia nie to, jeliż w czasie konarciu, wady najbli. Twoja pękła w czasie gdy ja nie pamiętam, który skrzypsowy koncert grał, czy odłobne marzenia Schumann'a, czy poemat Fichera. Pękła napę w czasie miedzy najwyższego diwiska, kiedy melodia odrębna i ładniejsza oraz, fuga nadawaliwoi, w prosty lini łączą się z niebem i zaskakują po prawicy ZYCIA.

Pękła tak napę w czasie wykonawania najwyżej frazy i tylko echo odpowiedziało BYTEM!

Na kłobie słowa zapracowało tyćiem i od las wie w tym kady. Przewiła mieszkałem a Ciebie w akademiu na Sławistkiego. Gdy dowiedzieli się, że gdzieś na pokojony nocą poezja z Wilna, przyprowadzili mnie do siebie, odstąpię lótko. Spędzali wtedy całe dni przy stołku, zapiające krótkim odwołaniem grube zesty. Czasem wyaktywaliśmy do CHAMA, na str. Pamiętam, powiedzieli do mnie: „Wiesz co, Kwiak, jak ja się, to się cię, jak nie piję, też się cię”. A kiedy bardziej – zapytali. Popadli w głęboką zadkę i po dobrej minucie odwrócił „Jak piję”. Takiego zadania Cię przed cztermi wiekami i takiego zegnam. Byli najwłaściwiej postacią tego miata, wyposytowi we wszystko, co parzebie kłob. Zawsze mieli otwarte dla wszystkich ramiona, jak nasz wileński dom na wędze.

Pochodził z tego pokolenia poetów, którzy POEZJĘ traktowali poważnie i nigdy nie bawili się w zabawne osy. Mówili: Jedyń poezji winno być proste, białe, jak. Tak. Nie. Jeli. Nie ma. Tyko szczy jak Ty ameli go widzieć w pełnym blasku. Jak Ty, jak Janusz Zermicki – mił tak kiedy napisał do innego poety, po otrzymaniu jego tomu wierszy: „Stary! Kocham Cię. Poemata na całe szorokie ramion”. To on, nasz wspólny przyjaciel, napisał: „Kiedy wstrę pochowanie moje w jęć”. Słowa te wpały mi w ucho w 1963 roku, kiedy rozpoznawałem stalinia podłożenia na UMK w Toruniu, gdzie już nie zastanawiałem się Ciebie, ani Zermickiego, dogłębnie tylko Warszawa poetocką legendę i kilka wierszy cytowanych przez studentów.

Widziałem Twoją matkę, Cielowik wychodziła z jej łona – pomyślałem – odbyła jakiś szalenie taniec, gambitę dziewięćdziesiąt marzenia, dorosła podór do Legolanda, skończył powierzyć, zesty cępkę wstępną obwar, straka odwołania w trawie. Życie pękło po to że zmierzliś ładnym zegnam, ani też biologicznym rytmem jego ciała. On podlegał innemu natrąm czasu i przestrzeni. Jego prowadzi klepsydra wyrobiona, szalinstwa i zatrępnia, przepływać przez ucho gdzieś zion siaranka kosmicznego zjawiska.

Janusz Olczak żyje. Dwadzieścia wspomnień księgi od chorującego dzieciństwa „Białych kolonyżków” – po dojrzałość. „Uniwerysytet i wampirów ósmego Lissajusa”.

Jeden wiersz, jedna książka, jeżeli prowadzić przysta i donozna, pochłania często rok kalendarzowy pisania i kilka następnych tyca. W strze słowa, w krajobrazie szalinstwa, nie dostaje się tu darma. Za kadłaj las, spójnazy wierszem górkę lądowca, trzeba płacić cenę najwyższą – podwójnym udzieleniem serwu, udzieleniem miłości i udzieleniem imierci. I nikt nie wie, gdzie z nich będzie ostatnie.

Zawsze tworzyliś nam ukochany Seneka i każdy następny dzień uwielbiały na dorozęć, a każde doświadczenie za ogromny majątek.

Niewdowo zachowywali: „Jeli! Big dorozel nwa jeszcze dzień jurazęży, przynajmy go z radością. Ten jest najczystszy i samki korzystaj z tyca, kto bez Obawy wyklepł juraj! Kłobówkiewicz powiedział sobie tytem był, codziennie wstaje po nowy tyk.

I dodał: Smierci się nie trzeba bać, tylko trzeba umieć się jej wyżyć”.

21 marca 1991 r.

Tadeusz Cugow

ZYGMUNT MIKULSKI

ZAMIAR BEZWŁADU

Czytam kilka tomików debiutanckich wydanych w ciągu ostatnich dwóch lat. Jeśli założeniem poezji jest poszukiwanie, to dzisiaj (nie chodzi o współczesną, a jest czymś szerszym) poszukuje „braku odpowiedzi” na pytania egzystencjalne. Wynika to z dwóch źledeży. Pierwsza, żeby nie opowiedzieć się za jednoczłonnością, skoro wymiar świata (tu wyraża się „światłość rzeczywistości” Chwastka) są tak różne i skomplikowane; druga – żeby nie utracić porozumienia z czytelnikiem, który przynajmniej do niedawna ze strony autora oczekuje za swój awans, bo zrównanie w niemożności. I to „nie wiem”, „nie potrafię”, „nadmarnie strakam” tak zapożawo w dżit praktycznej filozofii wyrażania, że wrócić obywateli jako wydmog wykluczający z prawa do sprawiania tej profexji kłob, kto „nawimie” stara się wyśledzić. Chocby na swój prywatny użytek i ryzyko.

Czego konsekwencją jest liczenia na dowolność. Bo skoro autor na tyle się przynal, to przecież nie można mi odmówić wiarygodności, zatem każde jego sformułowanie jest godne uwagi, a jeśli na razie jakieś nie budzi aprobaty, to tym bardziej wymaga się od czytelnika, by wykonał zabieg dojdąca do zrozumienia początkowo nie uchwyconej wtyi. I przetrzasza się na czytelnika poszukiwaniem artystycznej argumentacji mającej uzasadnić trafność zastosowanego sformułowania. Np.

patrzył na ciele dźwięki topoli
myślał
że miłość dźwięki

Jeliż w zakłębieniu przyjmujemy, a władnie przyjmujemy od autora ścisłość o wyśledzonej rzeczywistości sprawiającej niestwarzalność logicznych związków dla wyjaśnienia zjawisk, możemy to przyjąć i samym sobie domowywać, ale jeśli autor nie zadbał o wyprzedzenie tego zwrotu z przyjętych skojarzeniowych przesłank, trzeba mówić o dowolności, a także o odwołaniu się do odpowiedzialności za własne widzenie. Czy ten obrat eksplicywnym faktem, że topola jest wydmog, wój piec jeli podobny do liali czy – dalej – przegrody, a tróć tyca narobna na ten przemił to władnie miłość? Nie przekładamy poezji na próg, ale przecież nie otręmyśmy tu nas, co naprowadzałoby na pytanie trafność spostrzeżenia – poza deklaracją o bezradności, która pozwala na wszystko.

W dziedzinie poezji daje się też zauważyć zjawisko, którego autorzy chcieliby dać nazwę „szlachetnej rezygnacji”, „odróżnienia łatwych piękności”, „samoregniczności” postępującego od naszey”. Pochodzi ono z opanicy wobec dawnego „opracowania”, „hipertrofia metafizycznej”, „introwertycznego gadulstwa”, które składowo „nieświadomości sytuacjach lirycznym”. Można tak rozumować, ale realizacja tego założenia przynosi w rezultacie nader często zdawkowość, monotonność, nawet nie realizm, ale poziom postawowy walorów słowa, które oprócz znaczenia obowiązują jest do posiadania jakiejś intencjąj urody, jeśli ma być poetyckie.

W analogii do antypoczątki powstała maniera antypoezy, która w tym „smy” ma niezręde sprzecz wobec „wykubosławianego już” wznosę przez „pięknie”. I tak zamiast wiersza powstaje „zapis” domania, który przez osk „akromolność” uwalnia się od zarzutów awangardowej hipotrofi formalnej, czy ekstrojntycznego gongorytu. Oto wiersz:

... i w: Antoni
... w: przystaj się
... by cieleń mijał
... z nastaniem poranka

Wszystko. Ma powstaje sugestia o znaczeniowym bogactwie niedomówienia, o dyspolicie, dystynkcie i dyskrety słowa ograniczającego się do słuzi, pozosta wjącego tym większą swobodę wyobraźni czytelnika. Gdyby to była dądnosc do poetyckiego oficersy, który w prozie można nazwać książką w jednym zdaniu. Tymczasem

powstaje niedosty, miejsce nie wypełnione umową z autorem, którego wymowę przekroczenia trzeba przyznać „na wiarę” jego filozoficznej deklaracji.

Wnioś to *zbiór słów*. Nie można analizować poprzez koncepcję i paradygmat filozoficzne. Jest poddany rygorowi języka, intersubiektywnego komunikatu, konwencji. Z tych ograniczeń wynika swoboda i perspektywa poezji.

Zygmunt Mikulski

KRYSTYNA WILKOSZEWSKA

KONFERENCJA „METRUM OF ART”

W dniach 21–25 sierpnia 1991 odbyła się w Krakowie III Międzynarodowa Konferencja Estetyczna, pod hasłem *Metrum of Art*. Organizatorem konferencji był Zakład Filologii UJ kierowany przez prof. dr hab. Marię Golaszewską, główny inicjator wszystkich trzech dotychczasowych konferencji (I — w 1979 r., poświęcena była problemowi *Kryzysu estetyki*, II — w 1985 najmławszy ze zagadnieniami *Estetów* ról).

Do Krakowa przybyli goście z wielu krajów europejskich (także ze Związku Radzieckiego, przyjeżdżając w tych dniach właśnie przez wojskowy) oraz z Brazylji, Kanady i południowej Afryki.

Temat konferencji — miara sztuki — wylansowany został przez organizatorów szeroko, nie tylko sensu stricto lecz także w znaczeniu metafizycznym, o czym informowały przygotowane przed konferencją tezy do dyskusji, autorstwa M. Golaszewskiej.

Nadane na tej konferencji krótkie komunikaty, wydane jako materiały konferencyjne, zostały w całości rozesłane do uczestników dzięki czemu w trakcie konferencji autorzy prezentowali jedynie głównie tezy swych referatów, przez co zyskiwano czas na gruntowniejsze ich przedyskutowanie.

Komunikaty podzielone zostały w następujące grupy tematyczne: Empirical Measure of Art, Technology, Science, Art, Symmetry and its Violation in Art, Measure of Art and its Transformations, Metaphorical Meaning of Metrum of Art, General Problems of Metrum of Art. Porządek dyskusji przebiegał zatem stopniowo, od wjęć szczegółowych, po najbardziej ogólne.

Konferencję zapoczątkowały prezentacje badań estetyki eksperymentalnej. Niewątpliwie wielkie znaczenie miała obecność nestora tej orientacji, prof. R. Frances z Francji, który mówił na temat *Measure des responses cognitives et affectives. 42 méthodes* i wykłamał słynnych badań empirycznych zapamiętań uczestników goście z Moskwy, V. Petrov. II. Vesin, prezydentowie International Association of Empirical Aesthetics. Koncepcja estetyki eksperymentalnej, oparta na porzytywnym modelu nauki, spotkała się z polemiką ze strony, pełniącego funkcję chairmana, S. Morawskiego (Warszawa), reprezentującego zdecydowanie inną orientację badawczą.

W grupie tematycznej związanej z relacją sztuki i nauki wyłożył referat *Art as Science* S. Lombardo z Włoch — w pierwszym rozdziale artykułu — w którym postulował on zbadanie społecznej artystycznej na wieść społeczności naukowej oraz wprowadzenie w obręb sztuki paradygmatu (w analogii do sytuacji w nauce) umożliwiającego ocenę. Lombardo nie odwołał się do koncepcji A. Danto i G. Dickiego — świata sztuki — niemniej myśli jego zdają się krążyć po tych samych drogach.

Otworzyła dyskusję wywodał (stosunkowo liczne) komunikaty na temat symetrii w sztuce i nie ma w tym nic *datowego*, gdyż problem ten tradycyjnie odzwierciedla jest jako pokrewny matematyce i miarom. A. Mercier (Szwajcaria) w referacie *Le rôle de viol des symétries dans l'art* rozwinął problem w oparciu o całą wielką tradycję tak filozoficzną jak i artystyczną, od Platona pojmując po Prokowie, Wagnera i Picasso. Do wielkiej tradycji odwołał się także G. Moutsopoulos (Grecja), którego wypowiedź na temat *Le viol des symétries et le kantos comme metrum de l'art* stanowiła swego rodzaju dyskusję o symetrii i zarazan, przez wprowadzenie kategorii kairós, otwierała dla niej nowe perspektywy.

Jak można rozumieć pojęcie metrum w sensie metafizycznym, pokazała M. Golaszewska w referacie na temat *Mystery as a Border Case of Unconsciousality*; Tajemnica, w swym ontologicznym aspekcie, polega na paradoxicznej istnieniu i nieistnieniu zarazan, a w epistemologicznym — wiedzy o niej w jednoznaczności niemożliwości jej poznania i w takim kontekście problem myśli jawi się — zdaniem autorki — jako graniczny.

Dyskutowano ponadto: na temat metrum w muzyce (A. van der Schoot — Holandia, J. Z. Haber — Kraków), kategorii czasu i przestrzeni w literaturze (G. Willoughby — South Africa, P. Miró — Kraków), nawigano do — stan obecnej, szczególnie w Krakowie — tradycji Ingardenowskiej (F. Jeram — Jugosławia, J. Makota — Kraków i J. Ciszewska — Łódź), rozważano estetyczną rolę wieloaktowości (E. Grabka — Kraków) i rolę komputerów w dziedzinie sztuk pięknych (A. Nowak — Kraków).

Na zakończenie przedstawiono rozważania na temat miarowości sztuki i ujęcia najbardziej ogólnym. S. Morawski (*Is There Really any Measure of Art?*) proponował odróżnienie pojęć metrum (w znaczeniu węższym) od miary (w znaczeniu szerszym) widząc możliwość stosowania do sztuki jedynie tej drugiego pojęcia, L. Sosnowski (Kraków) porządkował ważny problem krytyki warsztotowania w powiązaniu z miarą sztuki, K. Wilkoszewska zwróciła uwagę na potrzebę poszukiwań nowych rozwiązań miar w stosunku do skomplikowanych zjawisk współczesnego świata (przedmioty fizyczne, symulacje), wskazując na przykład czynionych w tym względzie wysiłków przez P. Virilio czy G. Deleuze'a i F. Guattari.

Dyskusję prowadzono w języku angielskim i francuskim. Zabrakło nie tylko języka, ale i przedstawicieli strefy niemieckiej. Pewne złagodzenie tego braku stanowił referat G. Apostolopoulou (Grecja) na temat rozmiaru sztuki klasycznej i pojęcia klasyzmu przez Adorno, wypracowanego w polemice z Winckelmannem i Heglem. Obradom towarzyszyły dwa koncerty, jeden zorganizowany ze współudziałem pianistka Hary i Sojisa Tombar z Grecji, drugi przez państwo Plich w dworku w Wysokiej. Goście mieli możliwość zwiedzenia starego Krakowa z Wawelem, wzięcia udziału w wycieczkach do Zakopanego i Wieliczki. Chętni mogli także udać się do Oświęcimia.

Odsłusny od miasta, pobytowy na górze z rozległym widokiem na Wisłę otwódek w Przegarbach zapewnił wszystkim wyjątkowo zyskiwany przebieg konferencji a jednocześnie sprzyjał kontaktom i dyskusjom mniej oficjalnym. Wydaje się, że zarówno goście jak i organizatorzy mają prawo do satysfakcji.

Krzysztof Wilkoszewska

LECHOSLAW LAMESSKI

„CEGLOWANIE ŚWIATA” TOMKA KAWIAKA

Na jubileuszowy, dwudziesty już pokaz w Galerii Sztuki Senty Plastycznej KUE (wraz z nim miejsce 11 września 1991 roku), złożyło się 26 „obrazów”, stanowiących dokumentację plastyczną tzw. ceglowania świata Tomka Kawiaka oraz kilka ciepł-zmiał.

Artysta, urodzony w Lublinie (1943), od ponad dwudziestu lat przebywa poza granicami Polski, głównie w Francji. Tam ma swój dom i pracownię, tam także rodzą się pomysły kolejnych dzieł, które przynosi mu samanie i gąsienice krytyków. Do grona zwolenników niekolewanych form wypowiedzi plastycznych Tomka Kawiaka należy przede wszystkim Pierre Restany, jeden z wybitniejszych francuskich teoretyków i krytyków sztuki, a zarazan zawaci i entuzjasta dzieł Aliny Szapocznikow.

Przygodę ze sztuką prawdziwie autorką rozpoczęła Kawiak wiosną 1970 roku w Lublinie. Nodowały absolwent warszawskiej ASP (dyplom w 1968 roku, z malarstwa, grafiki, ceramiki i architektury), a następnie jej asystent (w latach 1968–1970), w jednej chwili zaznaczył, zbłędnował nieco smutny Lublin, doprowadził do tego, że — już po kilku godzinach — jego nazwisko stało się tak popularne w mieście jak sygnal

kartki przygotowa ratunkowego. Wykorzystuje fakt dramatycznego obciążenia przez pracowników zieleni mniejszej korony drzew stojących wzdłuż ul. Narutowicza (na odzinku od ul. Piastowskiego do ul. Okopowej). Tomek Kawiak w jednym z chłodnych kwiatowych noy obandaował starannie okaleczone kikuty, tak aby zobaczyły je antonimów ładnie (urządnic, robotnicy, intelektualci) spacerujący rano do pracy. — „Ból Tomka”, stanowiący świadoma prowokację młodego artysty wobec sztywnego i biernego społeczeństwa, spychał pokładnie w nim nadzieję. W miejsce zaważalo. O akcji będący częścią poświadczenia pomyślny happeningem a instalacją, dyktawano i spierano się zawzięcie w kawiarniach i biurach jeszcze przez wiele dni, mimo że wiatr dawał już postrzałki rzutki „bandydy” z drzew.

— Niepodziwianie duży rezonans wywołał „Bólem Tomka” świadomil artysty, że może to być jeden z wielu sposobów na wodną, niekrym nie skrapianą twórczość. Aby nie stracił kontaktu z tym co nowe, a także aby pogłębił uzyskane wykształcenie, Tomek Kawiak pod koniec 1970 roku wyjechał do Francji. Swoją pobyt tam tak właśnie rozpoczął od studiów w pruskiej Ecole des Beaux-Arts (w pracowni samego Cesaire w latach 1971–1973). Jeszcze w trakcie studiów — w 1971 roku — inspirował bliższą jego niepokojącą i przekroczoną naturze serię „wymian” (Track-Art), w których proponował wymianę fragmentów samego siebie (np. włosów czy paznokci) oraz części ubioru i osobistych rzeczy, natępianych w żywych spotkaniach. Celem tej — klasycznej w przedzielną wyjątkowej sztuki — akcji było podważenie dualizm, które miały na celu doprowadzenie do sąwariania bezpośrednich kontaktów pomiędzy obcymi, zupełnie przypadkowymi ludźmi. Efekt końcowy zależał od stopnia odwrotu, poczucia humoru i autorem. W każdym razie „wymiany” Kawiaka przez swą niezarówność i świeżość zwróciły uwagę krytyki francuskiej na przybyszka z „kotlego prola”.

Przebiegowość i vitalność Tomka Kawiaka, refleksyjny stosunek do samego siebie i otaczającego go świata, inspirował artystów do nieustających poszukiwań w nie penetrowanych dotychczas dziedzinach, do wychodzenia sin smąką na zewnątrz galerii, przekraczania w codzienny rytm ulicy. Taką postawą doprowadziła do tego, że w połowie lat siedemdziesiątych Tomek Kawiak znalazł się w gronie twórców zaliczanych ogromnie młodziowicami witalnymi video i stał się jednym z prekursorów — młodszych dzisiaj — video-artu.

W latach następnych twórczość plastyczna artysty coraz silniej zmierzała w kierunku różnych rodzajów akcji, których istota i sens nie ograniczają się wyłącznie do happeningowego gestu czy próby stworzenia nowej rzeczywistości materialnej, ale obejmowały również sferę bardziej ulotne, trudne do uchwycenia i skłasyfikowania, sfery zakodowane w naszej podświadomości i psychice. W rezultacie — w 1976 roku — na jedną z plac Neumanna postawiono Kawiak pierwszą cegłą (wypaloną specjalnie dla niego, z jego imieniem i nazwiskiem, o wym. 30 x 10 x 3 cm.), inicjując tym samym „człowieka świata”. Artysta uważa, że jednym ze sposobów na życie są podróże. Podróże, których nieodłącznym elementem, atrybutem, stają się cegły zabierane po 2–3 (w zależności od ciepła bagażu), po to aby je pozostawić, podarować lub wymienić z innymi ludźmi, w różnych miejscach kuli ziemskiej i w różnym czasie.

Pomimo swej banalności cegła stała się wyjątkowo słowem plastycznym — pisał Kawiak w 1976 roku — nową typ wymowa jej stwarza nową konstrukcję ludzkości, i staje się archetypem romantyzmu. Rozwina między obiektem realnym (cegła normalna) i obiektem wymyślonym (cegła Tomka). (...) Niezależny przepływać czasu i natury, oznacza i symboliza elementy analogicznych, wierzny powrót. Cegła jako obiekt prototypu plastycznego. Była jako obiekt, który zagubi się i stanie się tylko wykładnikiem plastycznego działania. (...) Cegła jako krytyka konstrukcji, ofensywa, która zapobiega swojej funkcji o różnych wymiarach. Policzona z obracaniem, wykonywana w różnych materiałach. Cegła w naturze, jako propaganda, wykładnik sztuki klasycznej, jako rzeczka pełna przekazań.

Jak słusznie zauważył Pierre Restany (kwiecień 1987), Kawiak artysta zastawia jako „rzeczblatt cegły”, wczesnego elementu. Kiedy ma wartość czysto estetycznego i witalnego państwa-jedności, stanowi również ideę markę, jest pominięciem i analogię. Te cegły ukazują nam Kawiak w swej nieodróżnieniu w wszystkich warunkach. W blasku jej do kieszonki, gubi, odwołując się do wszelkich spójnościach architektury, etc. (...) Niezależność i wyrobienie cegły u naturalnej gliny i poddawanie jej tradycyjnej obróbce, odlewa cegły w beżowe, odświeża na niej swoje nazwisko, rzeźbi je w marmurze.

Wystawa w Galerii Sztuki Somy Plastycznej KUL to — jak już wspomnieliśmy — 26 „obrazów” (wykonanych w technice kolażu), których główny element stanowią zapisy o charakterze informacyjnym, będące komentarzem do zdjęć ukazujących moment „człowieka świata” np.: pozostawienie cegły w szparze kosmosu grobowej piramidy Cheopsa, „antopie” innej w wodach Nilu, przekazanie w Berlinie właścicieli wolkswagen a karoserii pomalowanej w rzydy cegły, zakupienie w piaskach Moroka, ofiarowanie Buddie w świątyni Wat Trápung Tong Lang w Tajlandii czy wrzucenie wlotnie w dółnie starożytnego sprzedawcy w jednej z dzielnic Kantona. Pogawiają się również przedmioty — bądź ich zdjęcia — otrzymane przez artystę w zamian za podarowane cegły np.: klacz do wozu w sercu Afryki, przekazywany przez zamiana Ziemi, srebrna bransoleta z Północnego Jemenu, figurka psa z cementu z Wyspy św. Maurycego, a także czapka chińskiego rewolucjonisty i czerwona gwiazda.

Na wystawie znalazły się ponadto certyfikat cegły, zapieczętowane brązowymi prętami wypracowanymi w ich węzle boki i oplocione grubym sznurkiem, wykonane już po przyjeździe do kraju, w Centrum Rzeczki Polskiej w Orlniku. Jeżeli dodamy do tego informację, że na warszawskiej wystawie *Jestem* znalazło się kilka brzoźw z cyklu *Kawiazem* (wśród nich jedna kieszka z cegłą), a w Galerii Pawła Nowickiego pery Nowym Świecie można było obejrzeć indywidualny pokaz prac Tomka Kawiaka, to niezaprzeczalnie jego powrót do rodzinnego kraju — po latach nieobecności i „zapomnienia” — można uznać za interesujący i w pełni udany.

wrzesień 1991

Lechosław Ławieński

JESIENNE SPOTKANIA W „AKCENCIE”

Jest od dawna zwyczajem naszej redakcji (a mają właśnie dwunasty rok skazywamy się „Akcenta”), że oprócz biuletynu pracy redakcyjnej organizujemy w swoim kółku przy Okopowej kameralne spotkania z najbardziej interesującymi postaciami świata literackiego odwiedzającymi Lublin. W niektórych przypadkach jesteśmy gośćmi



Dariusz i Stanisław Mostwiński w czasie spotkania redakcyjnego w „Akencie”; 10 września 1991 r. Fot. Jacek Mirowski.

opracowa pobyty tych autorów w naszym mieście, w innych krajach i w innych okolicznościach i ich obecności na zaproszenie zaprzyjaźnionych instytucji artystycznych czy naukowych. Ciepło i przyjaźnie w redakcji również powstało napięcie przemaszyn do publikacji. Stanowią one zatem świadome uzgodnienie organizacyjnych osobno spotkań otwartych. Szczególnie pracownia była pod tym względem jawnie tu. roku. Oto kronikarskie zestawienie najważniejszych jeźniących wierszy w „Akcentie”, dające przy okazji — przyznamy się w pewnej mierze — wyobrażenie o życiu literackim Lublina w ostatnich miesiącach 1991 roku:

1. Danuta Mostwin. Wybitna powieściopisarka i socjolog, profesor Uniwersytetu w Amsterdamb. Od 1945 r. na emigracji. Jest autorką m.in. powieści: *Dom starej lady* (Londyn 1958), *Amerika. Ameryki* (Paryż 1961, Warszawa 1981), *Ja, toż, ty, toż, ty do woli* (Paryż 1972), *Odwołano mi synowie* (Londyn 1977, Warszawa 1989), *Cieni książka Piotra* (Warszawa 1985), *Smaragdowy głow* (Warszawa 1989) oraz rekwizów społecznych: *Trzeci wariant* (KUL 1985), *Emigracyjne polity* w US (KUL 1991). Jej opowiadania publikowaliśmy w numerach 3/1988, 4/1989, 1/1991 a esaje w nrach 1—2/1990 i 4/1991.

Przebywał w Polsce w dniach 29 VIII — 4 X 1991, w Lublinie na zaproszenie „Akcentu” (7—12 IX), w Warszawie na zaproszenie Towarzystwa „Synopsis” (w drugiej poł. września prowadziła seminarium dla psychologów, socjologów i lekarzy w Bielsko-Białym na temat terapii rodzinnej), w Krakowie na zaproszenie UJ (wiosna 2 X). Spotkanie — dyskusja w „Akcentie” 10 IX z udziałem zespołu, współpracowników i dziennikarzy; 11 IX spot. autorskie w Muzeum Czerwucha połączone z wręczeniem Nagrody Głównej im. B. Prusa za powieści *Cieni Książka Piotra* i *Smaragdowy głow*. Ponadto spotkanie Zakładu Badań nad Policią KUL (9 IX) i promocja książki w księgarni Marka Gacki (10 IX). W Warszawie 30 IX spotkanie autorskie organizowane przez Inst. Wydawniczy PAX i Związek Główny SPP. Podróżowali w towarzyszy mecia Stanisława „Lichobiedem” pi. Baś, dzielnicy Kongresu Polonii Amerykańskiej.

2. Iwona Kovács. Węgierska poetka, esaista i historyk. Jeden z najlepszych tłumaczy literatury polskiej (m. in. *Konrad* i *mi Bana*, *Czerwone tarcze* Iwaszkiewicza, *Siedzieliście Stachary*, *Kłakaw wierszy polskich poetów różnych epok*). Autor książek monograficznych nt. *Józefa Bana* i *Legionu Polskiego w Węgrzech* oraz *osmów* o polskim filmie. W 1990 r. otrzymał najwyższe odznaczenie polskie przyznawane cudzoziemcom, Order Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej. Obecnie aktorka kulturowa ambasady węgierskiej w Warszawie.

Przebywał w Lubelszczyźnie 18—20 X 1991 na zaproszenie „Akcentu”. Księgarnia M. Gacki zorganizowała pierwszy dzień sprzedaży wyboru jego wierszy po polsku, wydane przez Wyd. Literackie (*Księgi twój nieważności*, wybór i pod redakcją Bohdana Zdzienicy). Dyskusja redakcyjna w „Akcentie” odbyła się 12 X, następnego dnia w *Zwierzynie* autor uczestniczył w uroczystościach związanych z uczczeniem pamięci Węgów biorących udział w powstaniu styczniowym (otwarcie wystawy historycznej w Zwierzynieckim Domu Kultury, słomnie kwiatów pod pomnikiem powstańców poległych w bitwie pod Panasową, wieczerze autorski). 20 X reprezentował ambasada Republiki Węgier na inauguracji roku akademickiego KUL.

3. Tomas Veselova. Wybitny poeta i esaista litewski, reżyserdady przy Czerwucha Miłosa i Stanisława Barańca (tom *Rozmowa z nim*, Paryż 1989). Współzałożyciel Komitetu Obrony Praw Cudzoziemca na Litwie. W 1977 r. wyjechał do USA. Profesor slawistyki w Yale University. Członek zespołu „Zeszytów Literackich”. Tłumacz poezji polskiej, ocenił znaczenie porównania polsko-litewskiego. Przebywał w Lublinie 21—28 X 1991 r. na zaproszenie Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, gdzie 24 X otrzymał doktorat honoris causa. Uczestniczył w polsko-litewskiej sesji na UMCS. Odbył spotkania autorskie w UMCS (prowadzone przez prof. J. Błotkiego) i KUL. Z okazji tych uroczystości Wydawnictwo FIF przygotowało bibliofilską edycję kilku jego wierszy (inauguracja sprzedaży w księgarni M. Gacki). 23 X uczestniczył w długiej, wielotomkowej dyskusji w redakcji „Akcentu” z udziałem m.in. prof. J. Świątki i KUL i prof. J. Świątki z UMCS (zapis będzie publikowany). Powierzył „Akcentowi” do druku listami w Polsce tzw. „drugi list do Litwinów i Polaków” oraz esej na temat *Trzech białych* w wiersi Puszkina i Mickiewicza.

4. Mykola Riabczuk. Poeta i krytyk ukraiński, tłumacz literatury polskiej (m.in. *Złotywół* *Amey Miłosa* i *Mala apokalipsa Konwickiego*) i angielskiej, zastępca redaktora naczelnego miesięcznika „Visiwiti” (odpowiednik polskiej „Literatury na Świecie”). W numerze 1—2/1990 publikowaliśmy jego artykuł na temat Tarasa Szewczuka, w nrze 2/1992 ukazał się esej na temat obecnej sytuacji literatury ukraińskiej.

Przebywał w Lublinie 25 — 27 XI 1991 r. na zaproszenie Teatru NN. Odbył spotkania organizowane przez Teatr NN, uczestniczył w dyskusji w „Akcentie”, który współprace z redakcją „Visiwiti”. Z Lublinie zwił się na trwał dzięki translatorskiej współpracy z B. Zadura, szczególnie po wiesnomym pobycie w Katedrze na sesji Fundacji Konwickich (8—9 XII) w Lublinie (na zaproszenie „Akcentu”), 10—12 XII, wraz z żoną, poetką ukraińską Natalią Blioczkiewicz oraz na sesji ukraińskojęzycznej KUL (koniec kwietnia 1991).

5. Stanisław Barańca. Najwybitny esejista poezja z kręgu Nowej Fali (m.in. tom wierszy *Androm i Konek*, *Straszne odwołanie*, *Ja, wim, że to nie jest: Tryptyk i bezosm, zmęczenia i żęg*, *Widziałem i tego świata*), esaista i krytyk (m.in. *Nycty i zafęgn*, *Epika i porty*, *Uczelnia i siopki*, *Thomas Szekspira*’s, *Mandakama*, angielskiej poezji metafizycznej i współczesnej poezji amerykańskiej). Jeden z członków założycieli Komitetu Obrony Robotników. Od 1981 r. w USA. Wykładowca literatury polskiej w Harvard University.

Przebywał Polsce na zaproszenie Zakładu Literatury Współczesnej UMCS w dn. 6—13 XII 1991, 10 i 11 XII wygłosił na UMCS wykład na temat praktyki przekładowej i współpracy poezji. O trendach w współczesnej poezji polskiej mówił także na KUL. Odbył spotkania autorskie w Muzeum Czerwucha, w księgarni „Bibliopola” przy ul. Narutowicza podpisał swoją najnowszą książkę pt. *Siofoty* (Wydawnictwo „AS”), 12 XII uczestniczył w kilgodzinowej dyskusji w „Akcentie” z udziałem zespołu redakcyjnego, piarzy, historyków literatury z UMCS (m.in. prof. J. Świątki i doc. M. Rawicki) i KUL (m.in. dr. J. Feri i dr. Wl. Patus). Rozmowa dotyczyła zmieniłości w jej ostatnich latach relacji między poezją i literaturą, problemem przekładu artystycznego, przesyłności nurtu lingwistycznego w poezji i wreszcie — obecnej kondycji twórczej zaproszonego autora, który wiersze i tłumaczenia publikuje w „Akcentie” od 1981 r. (m.in. *Wiersze* *Abazyme* w nrze 2/1981 i przekłady utworów Philipa Larkina w nrze 1/1991). Obzame fragmenty dyskusji będą drukowane. W bieżącym roku „Akcent” opublikuje nowy cykl jego utworów pt. *Geograficzny*.



Stanisław Barańca w Lublinie (8—13 XII 1991).
Fot. Iwona Burdaczowska

KOMUNIKAT

Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza
w Warszawie, Rynek Starego Miasta 20

Wielce Szanowni Państwo,

w roku 1992 mająją dwie bardzo ważne dla polskiej, żydowskiej i europejskiej kultury rocznice wpisane w oficjalny kalendarz UNESCO. Są nimi: setna rocznica urodzin i pięćdziesiąta rocznica śmierci wielkiego pisarza i wybitnego plastyka, Brunona Schulza. Urodzony i przez całe życie związany z prowincjonalnym Drohobyczem stał się jednak, dzięki swej niezwykłej i całkowicie oryginalnej twórczości, jednym z najwybitniejszych artystów europejskich XX wieku.

Pragnąc godnie uczcić pamięć Brunona Schulza w tym właśnie roku, Muzeum Literatury im. A. Mickiewicza w Warszawie zamierza zorganizować dużą, reprezentatywną, dwuczęściową wystawę o roboczym jeście: tytuł: „Bruno Schulz (1892—1942). Ad memoriam”.

Pierwszą z nich (przewidywany termin otwarcia na przełomie czerwca i lipca 1992 r. w setną rocznicę urodzin) informować będzie o życiu artysty, ukazując klimat Drohobycz, rodzinę i krąg najbliższych przyjaciół, jak również recepcję dzieła tego twórcy w Polsce i na świecie.

Ekspozycja druga (planowany termin otwarcia w listopadzie 1992 r. w pięćdziesiątą rocznicę śmierci) dopełni części pierwszej i prezentować będzie „świat szkolzowski wyobraźni”. Chcemy w niej ukazać wszystkie najważniejsze wątki filozoficzne i psychologiczne twórczości Schulza, akcentując zarówno zawarte w niej odniesienia do kultury polskiej, jak i szeroko rozumianej kultury żydowskiej. Myśląc przewodnik tej części wystawy będzie niezwykle uniwersalnym, jaki całe dzieło Schulza w sobie zawiera. Transmisja tych treści przeprowadzona będzie na ekspozycji głównie poprzez dzieło plastyczne, z połączeniem jednak silnego nacisku na literacką oryginalność i symbolizację nierozdzielność obu dziedzin artystycznej działalności Schulza. Planujemy pokazanie ok. 400 prac, czyli praktycznie wszystkiego, co udało się połączyć wоедино.

Wystawie towarzyszyć będzie album — katalog, w którym pragniemy zamieścić reprodukcje prac plastycznych Schulza znajdujących się w zbiorach Muzeum Literatury, katalog innych prac istniejących i prac zaginionych oraz esej wybitnych znawców twórczości artysty. Pozycją ta będzie dwujęzyczna, angielsko-polska, zawierać może, zgodnie z życzeniem, informacje i reklamy dotyczące sponsorów, także zagranicznych.

Szanowni Państwo, aby nasze zamierzenia się powiodły, aby pamięć wielkiego artysty i niezwykłego człowieka, Brunona Schulza została godnie uczczona, a jego dorobek należycie rozpropagowany, potrzebne są odpowiednie środki finansowe. Według wstępnych wyliczeń koszty realizacji wystawy oraz druku albumu — włącznie wynoszą ponad dwa milardy złotych. Na dotacje państwowe nie możemy liczyć. W tej sytuacji, wspierani wagą sprawy, rozracamy się do Państwa z gorącą prośbą i apelem o wspomnienie finansowe, organizacyjne i propagandowe naszych zamierzeń.

Mając nadzieję, że nasza prośba spotka się z życzliwym przyjęciem, łącząc wyrazy prawdziwego szacunku

Janusz Odrowąg-Piękiewicki

Nr konta Muzeum Literatury: PBK III Oddz. W-wa 370015-807452.

a akcent

literatura
i sztuka
kwartalnik

BIBLIOGRAFIA

osobowo i przedmiotowo za lata 1989—1991
od numeru 1(35) do numeru 4(46)

Bibliografia obejmuje prace autorów, tłumaczy, recenzentów, ważne osoby i instytucje oraz teksty o nich. Gwiazdki przed tytułem i skrótem „zob.” oznaczają poręczy o danym autorze. Po tytułach lektóre tłumaczeniowych umieszczono w nawiasie nazwisko tłumacza. Cyfry oznaczają numer (w nawiasie umieszczono numerację tytułu) i rok ukazania się „Akcentu” zawierającego odnotowaną poręczy. Stale drżny i ciągły numerów monograficznych podano drukami rozszerzonymi.

Skróty używane w bibliografii

arch. — archiwum, archiwum	oprac. — opracował, opracowanie
art. — artykuł	prona art. — prona artystyczna
biogr. — biografia, biograficzny	prona poet. — prona poetycka
dz. — dziennik	rec. — recenzja
fel. — felieton	red. — redakcja
fragm. — fragment	rozow. — rozmowa
kom. — komunikat	stum. — tłumaczenie
korresp. — korespondencja	w. — wiersz, wiersze
kryt. art. — krytyka artystyczna	wspom. — wspomnienie
kryt. lit. — krytyka literacka	wyp. — wypowiedź
not. — nota, noty	zob. — zobacz
om. — omówienie	

Abramowicz Maciej

Palmer Jerry. *Granice śmiechu*. tłum. 2-3 (44-45) 1991. Morin-Noville Yolande. *Agronomia szafra śmiechu / Lej demograficzny zmiany*. tłum. 2-3 (44-45) 1991. Sarrazin Bernard. *Czary humor i śmiech. Bogu, Baudelaire i nowoczesny protest*. tłum. 2-3 (44-45) 1991; *Draganowa Rimna. Francuzi aspekt literacko-filmowy*. tłum. 2-3 (44-45) 1991; *Ilumie Europejski / Międzynarodowa konferencja naukowa. Formy śmiechu, ironizacji i oświecenia z warietów-warietów dziedzinie Europy (Lublin 1-5 października 1990 r.)*. not. 2-3 (44-45) 1991.

Adamczyk Czesław

Barth John. *Perycja*. tłum. 1 (35) 1989; *Fiara i diabeł*. art. 1-2 (39-40) 1990; *Rundfle Salmis. Szczęśliwy wariety (ogram)*. tłum. 1-2 (39-40) 1990; *Pamięć jako serpus*. (Hoffman Eva. *Laugh in Translation. A Life in a New Language*. Irwin - Zarecka Lucyna. *Normalizing Memory. The Jew in Contemporary Poland*.) rec. 1-2 (39-40) 1990; *Z Włosa na Manhattan*. not. 1-2 (39-40) 1990; *Paradoxy emigracji*. (Mostwin David. *Ochłódność miłości*.) kryt. lit. 1 (43) 1991; *Żydzi i Żerzwicki czyli Przekład i adaptacja*. (Thackeray William Makepeace. *Pierścień i róża czyli Dzieje księżki Julia i księżki Balba z rękami Autora. Opowieści przy kominku dla dzieci i małych dżentelmen*.) tłum. Michał Ronkiewicz, wstawił zryw pągi (według Thackeraya) napisal Maciej Słotczyński.) kryt. lit. 4 (46) 1991.

Adamski Jan

* zob. Szymonk Stefan. *Filozofia jako sztuka przetrwania i adaptacji*. 2 (36) 1989.

Agli Genald

Wzrost — i — Julie; *Brozy — głębi pądnia opęzycy, Lary — wstępa; Przechadzka z cirkus; miasto; Kolacja; dom za miastem*. (Waszczyk Józef) w. 4 (46) 1991.

Akkondrewicz Alina

Alina (Maria Konarszczona...) — wyp. 4 (38) 1989.

Andrzejewski Jerzy

* zob. Andrzejewski Jerzy. *Wstępa*. (Kochaczyński Alina. *Smutek żywiłowa* z 2. dnia na dzień. I - I, II: *Ora z cieniem.)

Copyright © 1992 by Wydawnictwo Literackie, Kraków. Wszelkie prawa zastrzeżone. Wszelkie prawa do tłumaczenia i rozpowszechnienia w Polsce i na świecie. Publikacja i drukowanie w Warszawie, Rynek Starego Miasta 20.

nierzumach), 3 (37) 1989. * *Achse und Diamant. Roman. Aus dem Politischen von Henryk Bereska mit einem Nachwort von Andreas Lewaty.* (Mitätski Jan, *Popul i diament*), 4 (42) 1990.

Archwam

3 (37) 1989, 4 (38) 1989.

A.S.

¹⁷⁷ *Przedpodobnie pierwsze przekłady wierszy Wally Whitmana...*, noj. 1 (35) 1989.

Ashbery John

* zob. Sotowski Andrzej. *Teżesz w fabryce jasnej. Porcja Johna Ashbery'ego*, 3 (41) 1990; *Dni na łodzi. Nocne życie. Lądach cienia: lona południe.* (Zadura Bohdan); *Dwie zony. Między księżyc a między księżyczką. Różki i góry. Noli i wiatry.* (Sotowski Andrzej), w: 3 (41) 1990; *zob. Kutnik Jerzy. Performance i postmodernizm w literaturze amerykańskiej*, 4 (46) 1991.

Bachta Michał

* zob. Skóbiół Tadeusz. *Michał Bachta: szkice i dialog.*, 1 (41) 1990 (37) 1989;

Bajkowski Arkadiusz
Przygotuj romantycznej! Wznowienie w Warszawie. (Kowalczykowska Alina. *Warszawa romantyczna*), rec. 4 (38) 1989; *Archologia archaicznych polskich...*, *Zmowa i „Umschlagplatz” Jarosława Marek Podkietka.* (Rybnicki Jarosław Marek. *Zmowa i „Umschlagplatz” Jarosław Marek Podkietka*), kryt. lit., 1—2 (39—40) 1990; *Joker*, czyli przecie okazywało się (Rybnicki Jarosław Marek. *Joker*) kryt. lit. 4 (46) 1991.

Barańczak Stanisław

Nowe przekłady powieści niemieckich XVII-wiecznej Anstis Jansson Ben. Puzin. Tomischeder Aurelian. Młodość i piekarnik. Herrick Robert. *O trzech tej książce.* Carey Thomas. *Parasit.* Do szałowej kochanki. Habington William. *Na mroźnoboku Kanady.* Cartwright William. Kobary. Lovelace Richard. *Do Zakładu pływaj za morzem.* tłum. 4 (38) 1989; Laikin Philip. *Na pianistki album ze zdjęciami.* Pamiątki. *Pamiętnik.* Papiłkowy wiersze w hotelu Royal Station. *Stare only.* tłum. 1 (43) 1991; *Tabliczki i wycedy.* (Ratajewska Elżbieta. *Po co oddając się piąter.*), 1 (43) 1991; *Wizerunek.* (Mielchorski Robert. *Na marginesie 159 wierszy Stanisława Barańczaka. Otwókiem cyfrowaliki*), 1 (43) 1991.

Barł Stanisław

Hmy i stereotypy w prozie Marjano Pańkowskiego, szkic, 4 (46) 1991.

Barny Julian

* zob. Nowicki Wojciech. *Marian Barny — pierwszy dialogista polski*, 1 (43) 1991.

Historia świata w 10,5 rozdziałach. Pasterki na gąpy. (Nowicki Wojciech), proza art., 1 (43) 1991.

Barth John

Przejście. (Adamczyk Monika), proza art. 1 (35) 1989.

Barłuk Wiesław

Pamięć. Dżozan. Rozpacz. w: 4 (46) 1991.

Baudelaire Charles

* zob. Szafran Bernard. *Charles Baudelaire i linie jego*, 2—3 (44—45) 1991.

Bauer Zdzisław

Krytyk w podziemnym świecie (II), szkic, 4 (38) 1989.

Bednarek Antoni

Szkiełki emigracyjne (wok. Kowalski Jan. *Lektoryk szkółki literatury emigracyjnej*), rec. 1—3 (39—40) 1990; *Terminy literackie w szkole.* (Baworski Stanisław. *Szkiełki szkółki. Terminy literackie*), rec. 1 (43) 1991.

Beka Unia M.

Siedem czteryście punktów. proza art. 4 (42) 1990; *Liiry z Nowego Jorku: Pod małą zardzewiałą krawężnik.* fel. korp. 1 (43) 1991; *Restauracji parabolicznej.* fel. korp. 4 (46) 1991; *Fantazja jak pójście.* Niwa. *Ozonołomni.* Według *lewa*.¹⁷⁸ (Ujaski), w: 4 (46) 1991.

Bereks Henryk

* zob. Mielicki Jan. *Popul i diament* 1, 4 (42) 1990.

Białoszewski Marian

* *Omyłkowo Europę. A A Amerykę.* Ostatnie wiersze. (Próchniak Remata. *Ostatnie wiersze Mariana Białoszewskiego*), 4 (38) 1989.

Biedrzycki Mihał

Wzrost. (Skóbiół Tadeusz), szkic, 1—2 (39—40) 1990.

Bignaszewska Maria

¹⁷⁸ (cofniętych stereotypy moją dłoń). *Droga*. ¹⁷⁹ (czytna się w nacię kłosa). ¹⁸⁰ (każda włość posiadała); ¹⁸¹ (Adonia w moim brzuchu); ¹⁸² (W dół, w ciemności moim); *Dopłyną już czasy*, w: 4 (42) 1990.

Bil Jan

Wycieczka do historii X—XI 1939; Pin de sićcie. *Wiana*, w: 1—2 (39—40) 1990.

Biorównian Halina

W naszym pokoju w parcie. *Blada twa jest się zbilny.* *Moje życie rozpoczyna się od końca.* *Wycieczka wyjde nie są chwile.* *Wzrost na moim ramieniu*, w: 1—2 (39—40) 40

Bocian Marianna

* zob. Pakiewicz Andrzej. *Ciało Marianny Bocian*, 4 (42) 1990.

Bollean Despreux Nicolas

Szkice portretowe. *Przekład i opracowanie Maria Grapichowska.* (Misiewicz Janusz. *Bollean na nowo przetłumaczony*), 3 (41) 1990.

Brójnowski Leszek

Smierć Hipparkosa. *Obroty.* *List.* *Tymon.* *Doktry Jakubi*, w: 4 (38) 1989.

Brusowski Wincenty

* zob. Lamedski Lecholaus. *„Szary” świat*, 1 (35) 1989.

Bradyś Kacimierz

* *Warchawski Zagrzeb.* *Die Monate derer 1978—1981.* *Przekład Friedrich Gruber.* *Polowice Konstanty Jeleński.* (Naalska Anna. *„Warchawski Zagrzeb. Kacimierz Bradyś*), 2 (42) 1990.

Brassens Georges

Kapłiny. *Testament* (Pacholczyk Malgorzata); *Poczuwa Malgorzata.* *Teżesz po kwadransie.* *Słownik się mienił.* (Menzel Jerzy), w: 2—3 (44—5) 1991; * *Menzel Jerzy.* *„Geography Brassens”*, 2—3 (44—45) 1991; *Naturyzmohyzy Francuz.* (swiatad i przeprowadzony przez *Daniela Heymana* — *L'Express 19.09.1977* i *Menzel Jerzy*), rozm. 2—3 (44—45) 1991.

Brazzi Remon

* *Kryt. maj.* (Zadura Bohdan. *Przeczytano i jeszcze md...*), 1 (35) 1989.

Brel Jacques

Rytmiki. (Młynarski Wojciech), w: 2—3 (44—45) 1991.

Brick-Jarowska Maria

Kobiercy. proza art. 4 (42) 1990.

Brodzki Jerzy

* *Antropologia kufarowa.* (Sternik Marek J. *Drogi współczesnej antropologii*), 4 (42) 1990.

Brudnicki Jan Z.

* zob. Kłoczkowski Piotr. *Witajacy — Bezści — Lebenstein*, 1 (43) 1991.

Brezina Maria

* *Polczyzyna Niemców.* (Makaraki Władysław. *Polczyzyna Niemców*), 3 (41) 1990.

Brzoza Halina

Podpora Dżozjostego teatru światła. szkic, 3 (35) 1989.

Buber Martin

* *Opowiesci Rabbi Nachmana.* tłum. Edward Zwolski; *Opowiesci chazydy.* tłum. Paweł Hertz. (Hetmański Paweł. *Dieci Basi Szem Towa*), 1—2 (39—40) 1990.

Buckowski Leopold

* zob. Maczek Elżbieta. *Znaczenie „wernepowego” świata. O trzech powieściach*, 1—2 (39—40) 1990.

Bukalski Anthony

* zob. Napierkowski Thomas J. *Polczy ogólni.* *Proza*, 1—2 (39—40) 1990; *Dieci obcych ludzi.* (Pęcnik Ewa), proza art. 1—2 (39—40) 1990.

Bukalski Tadeusz

Wielki listeczek bytu i historii idei. (Caha Jerzy. *Arthura O. Lewjosa filozofia i koncepcja historii idei*), rec. 4 (42) 1990.

Burns Andrew

* zob. Dana) — *Konkawa Ewa.* *Milkie Janu i ciemna*, 4 (42) 1990.

Cabał Jerzy

* *Arthura O. Lewjosa filozofia i koncepcja historii idei.* (Bukalski Tadeusz. *Wielki listeczek bytu i historii idei*), 4 (42) 1990.

Cackowski Zdzisław

¹⁷⁹ (Otwieram uwrotność nadania Pani Marii Kanckerzewiczowej doktoratu honorowego...), w: 4 (38) 1989; *Kultura ponad podziałami*, w: 1 (43) 1991.

Caray Thomas

Pieśń. *Do snieskiej kochanki.* (Barańczak Stanisław), w: 4 (38) 1989.

Cartwright William

Kobiercy. (Barańczak Stanisław), w: 4 (38) 1989.

Chajkiwicz Selim

Mityka wspomnień. *Dyptych Cha.* *Dziwale szalony.* *Krym.* *Symbol.* *Wielki Turan.* *Lipski Kowalski Janusz.* *Megastion stopów*, w: 1—2 (39—40) 1990; *Tańsary w polskiej literaturze Wlityzyskiej*, art. 1—2 (39—40) 1990.

Choiński Gracjan

* *Choiński Gracjan.* Lipska Iwona, 4 (42) 1990.

Choiński Stanisław

¹⁸⁰ (Teżeli dla czegoż wario żył). *w. Paraziti piękna z biografią w st.* w: 3 (37) 1989.

Chomany Jan

Stanisław Fiszczek Notatnik 1938—1944. *Fragment lektury.* szkic, 1 (43) 1991.

Chrzastowski Tadeusz

Kenotefi zpyń narodów? szkic, 1—2 (39—40) 1990; *Śmiech w dawnej sztuce — książka swągi* *Chrzastowski Tadeusz*, szkic, 2—3 (44—45) 1991.

Chudy Wojciech

Stoły plastyczny *ludskiego dramatu.* szkic, 4 (38) 1989; *Kultura ponad podziałami.* w: 1 (43) 1991.

Cieślinski Nowak

* *Szakura i szkiełko.* *Opracowanie...* (Skóbiół Tadeusz. *Szakura i szkiełko*), 3 (41) 1990.

Cisło Maciej

Złoty do w. w. proza poet. 3 (41) 1990.

Cościński Stanisław

Pamięcie nieokreślonej. (Odpowiedź na ankietę „Liberation”) wyp. Państwo a wyobrażenie pisarstwa. (Woronowska Teresa), szkic. 1—2 (39-40) 1990.

Czapka Tadeusz

Poezja krępowana w twórczości Stanisława Flisarda. „Bruma de Hegler”. wyp. 2 (36) 1989.

Cwikliński Krzysztof

Uczta. Miśdianizm, grzybiarstwo na łach. Na imięni księstwa Ś. Ś. Lubomirskiego. Smażki wielkiego Arystokrata z Samorządem. Kuchnia miedziowieczna. Struna izarła. w. 2 (36) 1989.

Czarniecki Zdzisław J.

Armad Tysięczna — apokalipsa i nadzieja, szkic. 3 (41) 1990.

Czech Jerzy

Odkrywanie Białej. Pięć powieści historycznych. Strana piątą labońca. Archaiczność emigracji. (Przytoczenie rodzinna fotografuje się pod pomnikiem Pankowia. Strana marynarska. (Jaka opowieść jest, przesyła, zanadto błękitnie). Płacz piratów. tłum. 2 (36) 1989. Głazkow Michał. (Dokład fortuna nas napełnia). (Lepiej czytać skłębki obłędne.). Baka opowieści. (Wielkim poetą był Lermontow). (Gdyby książkę przedmów.). (Od Czajki, od Olka Wielkiego). (Mój pogląd...). tłum. 3 (37) 1989. Słucki Borys. Kosa Głazkow. tłum. 3 (37) 1989. (Jeden Homer, jak gościnie nie uwierzyć...). not. 3 (37) 1989.

Czechowicz Józef

Listy do Wiktora Żbikowskiego. Wiąski i oprócz. Jan Smolnar, koncept. 4 (38) 1989; not. Mikulski Zygmunt. Z powołań Ducha w rozczar. imierci Józefa Czechowicza. 4 (46) 1991.

Czerniewski Jacek Barbara

Wieszcz jak polskian? czyli role i nielole poety narodowego, szkic. 4 (38) 1989.

Dagilis Waldemar

Z problematyki kultury ukraińskiej w II Rzeczypospolitej, art. 1—2 (39—40) 1990.

Danielukiewicz Marek

Czytelnik z Lubomirowa. proza art. 2 (26) 1989; Na miśdianie dla przytoczonych Pawłowicz Andrzej W. Przewidywanie był kobietę nie poezję. 3 (37) 1989; (Nowoczesny Andrzej). Smażki prowincji. 3 (37) 1989; Miśdian Fiodora Michajłowicza. Pochwała szczyt. Pochwała obywatel. Pochwała domu. w. 1 (43) 1991; Obrazie ocenił. (Polnawski Tadeusz. Dobra powieść — ocena). 4 (46) 1991.

Darjowska Natalia

Współki. (Zadania Bohdan) proza art. 1 (35) 1989.

Dehala Jacek

Erotyka w poezji Czesława Miłozina, szkic. 4 (42) 1990.

Dąbek Krzysztof

W zdrowym umiedu. „Rzecz o Piętrze Nakolniczym”, art. 4 (38) 1989.

Dąbrowska Maria

* Dziśmoko. I. 1—5. Wybrał, opracował i wstępem opatrzył Tadeusz Drewnowski. (Kochalicyk Alma. Świadectwo czasu). 2 (36) 1989.

Dedecik Karol

* zob. Wroblewski Bogusław. J0 lat Deutsche — Polen Institut i „Biblioteki Polskiej” w wydawnictwie Selbstverlag, not. 4 (42) 1990.

Dennis Carl

Wielki poezji w Ameryce. Joanna Dureczak rozmawia z... rozm. 4 (42) 1990; Powieści Historyczne. Listy do Jobana. (Dureczak Joanna), w. 4 (42) 1990; zob. J. D. (Carl Dennis...). 4 (42) 1990.

Dureczak Joanna

* Ciężarowo nie ma wizerunku. (Pawluczak A. W. Przywołanie był kobietę nie poezję). 3 (37) 1989.

Dziadoski Józef

* Język bezczelności. Geneza i konkretyzacja. (Stępieni Antoni B. Nadd filozoficzny). 4 (42) 1990.

Dixon Stephen

* zob. Młody, Mariałuzowa słowo. Licytacja. (Kantak Jerzy), proza art. 2—3 (44-45) 1991; * zob. Kantak Jerzy. (Stephen Dixon...), 2—3 (44-45) 1991.

Domicki Krzysztof

* W społeczeństwie polskie koncepcje kultury. (Sokoluk Tadeusz. Człowiek i kultura). 2—3 (44-45) 1991.

Dostajewski Fiodor

* zob. Bronza Halina. Fiodora Dostajewskiego teatr światła. 1 (35) 1989; not. Bierdżajew Miłochaj. Rozm. 1—2 (39-40) 1990.

Dragomirski Elżbieta

* Twórczość aspektu intertekstualności. (Abramowicz Maciej), szkic. 2—3 (44-45) 1991.

Draza Waldemar

* Nępkobitki albo Bóstwa. Marzenie. Pół Amora. Upominek. Ujście. Granica. Ostatnie piero kwiatów. Jest podobałomni. 1 (35) 1989; Ty także. Nie wszystkie cię. Dlaczego nie spotkałeś. Żelazki. Jak to powiedział. Do B... Rolette, w. 4 (42) 1990.

Drewnowski Joanna

* Dziwaczki sąmowity. * zjadł David Metzer. (Hucle Paweł. Weiber Dawidski), kryt. lit. 1 (35) 1989; Uwagomni w świecie. O nowych wizerunkach Tadeusza Nowacki. (Nowak Tadeusz. Pięćdziesiąt i pastorki), kryt. lit. 4 (42) 1990.

Drewnowski Bogusław

Listy, proza art. 4 (46) 1991.

Dziuk-Kuzakov Ewa

* Świadek cudzej szczyt. (Wierciński Andrzej. Kolba w czerni), kryt. lit. 3 (41) 1990; Młodzi jana i słowne szkic. 4 (42) 1990.

Dureczak Joanna

* Powieści Historyczne. Rozmowa z Carlem Dennisem, rozm. 4 (42) 1990; Dennis Carl. Powieści Historyczne. Listy do Jobana, tłum. 4 (42) 1990.

Dusza Edward

* Madonna z kolowrotkiem i inne wierze. (Michalski Waldemar. Madonna z kolowrotkiem albo powrodo do łaski), 4 (46) 1991.

Dybiak Krzysztof

* Okazywanie wartości w dziele Zbigniewa Herberta, szkic. 2 (36) 1989.

Dymek Robert

* Śmiech zakazany. O wybawczym aktywności w polskim humorze politycznym, art. 2—3 (44-45) 1991.

Dziwulski Włodzisław

* Proświcie wolbie centaur, wyp. 4 (46) 1991.

Eco Umberto

* Dwie rdy. Przełożył Adam Szymonowski. (Jaruzskiewicz Jerzy. Wzrytko jest zrymion), kryt. lit. 1 (35) 1989.

Erotyczka Marek

* Erosycki Zyda po Hiszpanii. Przeważnie jakieś tyduwekie Świdnowicza. 1—2 (39-40) 1990.

Engelking Leszek

* Miśdianie Jacek. (Władimir Holan), szkic. 2 (36) 1989; Władimir Holan. To tylko my. Gdyby także. Także i Kozł z mi... Nie ma. Wierszanka II. Rozmowa. tłum. 2 (36) 1989; Seifert Jaroslav. (Z cyklu „Zamek praek”). Do tego, jeszcze... J. Licytacja. (W imię od czasu do czasu). (Tyko raz widziałem). Był poezja. Moja przytoczona proza, tłum. 2 (36) 1989.

Erotyka w literaturze

4 (42) 1990.

Etkind Jerzy

* Czy istnieje Erotyka Świdnowicza, rozm. wyp. 4 (46) 1991.

Falkiewicz Andrzej

* Kobieta Marjany Biełon. szkic. 4 (42) 1990.

Federman Raymond

* zob. Kantak Jerzy. Performance i państwowizm w literaturze amerykańskiej. 4 (46) 1991.

Felkstański Elżbieta

* Badałomni w przestrzeni sporu. Elzbieta literatury w sytuacji kryzysu europejskiego pluralizmu (Tomaz Mann — Tadeusz Komwicki — Erika Pedretti). [Forst Josef. Elzbieta (Odkrywanie Erotyki)]. 2—3 (44-45) 1991.

Ferdynd Jerzy

* Rymy. (Pawluczak Andrzej W. Przywołanie był kobietę nie poezję). 3 (37) 1989; (Pawluczak Tadeusz. Powieść Miśdiany). 3 (37) 1989; Elzbieta (Odkrywanie Erotyki). (Pawluczak Tadeusz. Powieść Miśdiany — Erika Pedretti). kryt. lit. 2—3 (44-45) 1991; Bez centary (O poezji Edy Odrowskiej), kryt. lit. 4 (46) 1991.

Fiechulski Nelly

* Świeczki i dzianka w latach dziełowych imienia. Elementy i uwolnienie światła. (Strojczyński Tomasz), szkic. 2—3 (44-45) 1991.

Flak Ewa

* Mian hawno czarne szczyt, które spozazęją wzię... (w. Portrety piąku z hrogłą w die), wyp. 3 (37) 1989.

Flig Gregorz

* Dwa powieści dziełkowe. (Zdzisław Marek. Kilku niewierzących przekonał), kryt. (Bogusław Dziadoski). 1 (35); Obwarowanie się światła. (Mannurk Łukasz. Rewizja omiobite), kryt. lit. 3 (37) 1989.

FILM

4 (42) 1990; 1 (43) 1991

FIZJOLOGIA

1 (35) 1989; 2 (36) 1989; 3 (37) 1989; 1—2 (39—40) 1990;

3 (41) 1990; 1 (43) 1991; 4 (46) 1991.

Foculski Michael

* Historia zmielomni w dobie krzyżowa. (Tham. Helena Krzyżowa. Gwarecka-Adamański Izabella. Humanistyczna i obfety), 1 (35) 1989.

Fredo Jan Aleksander

* zob. Kowalski István. *Wspomnienia Jana Aleksandra Fredy*, 3 (37) 1989; *Wspomnienia o Kompanii Węgrzyńskiej z roku 1868—1869 Jana Aleksandra Fredy*, Poręczka 2-go Pułku Ułanów Legionów Polskiego, oprac. Kowalski István, wopem. arch. 3 (37) 1989.

Galstiana Olga

Omówienie jako strategii obrony w pismach instalacyjnych ówczesnej nauki (Strzybiński Tomasz), s. 2—3 (44–45) 1991.

Garbowski Krzysztof

Europa Środkowoeuropejska: spojrzenie z zewnątrz. Z profesorem Josephem Rohdichem od rozmówca, rozm. 1—2 (39–40) 1990.

Gasali Antoni

* zob. Krowczyńska-Lysjak Malgorzata. *Miejscze Gaudigów*, 3 (41) 1990.

Gawarecka-Adamczyk Izabella

Humanistyka i obiekty. Foucault, Michael. *Historia seksualności w dobie klarycyzmu*. tłum. Helena Kocyńska, 100, 1 (35) 1989.

Gawroński Leświli J.

Kompozycja Franciszek Leszczyca — wesele Józefa Haydna, art. 3 (37) 1989.

Giełta Roman

Recenzja, proza art. 3 (37) 1989.

Giełtka Józef

* zob. Strzałkowska-Chojnacka Aleksandra. *Komiczny wymiar duszuchów*, 4 (46) 1991.

Gierak Czesław

*** *Gdybym miał wygrać w roli krytyka sztuki...*. (w: *Portret piękna z biografją w tle*), wyp. 3 (37) 1989.

Gierosław Urszula

* *Siedem kursów pieleniemia*. (Prawłaczek Andrzej W. *Przyjemnie być kobietą niż poetką*), 3 (37) 1989; (Kochanek Arysta. *Wywiad z pieleniemiem*), 3 (37) 1989.

Głuchowski Nikola

*** *Dokąd fortuna nas poprowadzi?* *** *Lepiej gryzie skórę zbiegła...*; *Byłki opętane*; *** *Władcy poety był Lermontow*; *** *Gdy kładzie...*; *** *Odczyna...*; *** *Mój pogard* (Czech Jerry), w. 3 (37) 1989; * zob. Czech Jerry, *** *(J'zaden Homer, jak gwiazda nie świeci...)*; 3 (37) 1989; * zob. Szukli Jerry, Kola Głazków, 3 (37) 1989.

Głowiatki Krystyna

O twórczości Marka Piątkowskiego rozmawiamy. *Krystyna Głowiatki — malarka i Teresa Wolczek — krytyk sztuki*, rozm. 1 (43) 1991.

Gobazewka Maria

*** *Najwcześniejsze moje doznania estetyczne...* (w: *Portret piękna z biografją w tle*), wyp. 3 (37) 1989.

Gobazewski Tadeusz

*** *Mein oberster Mikko...* (w: *Portret piękna z biografją w tle*), wyp. 3 (37) 1989.

Gonicki Czesław

* *Zapomniany krytyk niemieckiego filozofa*. Rzecz o Aleksandrze Tyszkiewiczu i Janie Adamiaku. (Synowicz Stefan. *Filozofia jako sztuka przetwarzania i adaptacji*), 2 (36) 1989.

Gonicki Konrad

* zob. Stanisław Waliszewski. *Dwie koncepcje paleontologii wileńskopolu*, prof. Manfred Knoll (prof. Konrad Górecki), 1—2 (39–40) 1990.

Grogulewicz Andrzej

*** *(Dzień wczeliny...)* *** *(Za szaremiak festywnego polowu)*, w. 3 (41) 1990.

Grosz Przemysław

* zob. Nausilka Anna. *„Warcholier Topoluch” Kazimiera Borowca*, 4 (42) 1990.

Grójzowski Daniel

Śmiać się czy nie śmiać? Sprawa Boronallego (1910), (Strzybiński Tomasz), s. 2—3 (44–45) 1991.

Grupa Chwila

* zob. Hdzik Jan P., *Cudowna historia” Grupy Chwilojce*, 4 (38) 1989.

Gresiak Zofia

Dwójny pachubej. *Metna woda*, proza art. 1—2 (39–40) 1990; * zob. MAO *** *Just po ten strzeć...*, 1—2 (39–40) 1990.

Gawęzia Anna

Siedmioczyćni śmiech na tle strachu. (Przechodki Eligiusz), s. 2—3 (44–45) 1991.

Gawowski Krzysztof

* *Pięty*. (Pawłaczek Andrzej W. *Przyjemnie być kobietą niż poetką*), 3 (37) 1989; *Zaklęta Bohdan*. *Dobre słowo*, 3 (37) 1989.

Gaszka Jolanta

*** *Praca jest cichy modlitwą*... *Po śmierci Ryszarda Thacięcy*, 2 (36) 1989.

Hamilton William

Na nabożeństwie Kazimierza. (Barczak Stanisław), w. 4 (38) 1989.

Hajopyca Pieter

Poprzedz (Jaszc Dorota), proza art. 1 (43) 1991; * zob. Jaszc Dorota. *Wierzy sobie do końca*, 1 (43) 1991.

Hardenberg Friedrich von

* zob. Norwilt

Hartman Jan

Big — drownie majnie filozofii, s. 2 (42) 1990; *O istocie liberalizmu z perspektywy filozofii*, s. 2 (46) 1991.

Herbert Zdzisław

* zob. Dybka Krzysztof. *Odcienie żółci w dziele Zdzisława Herberta*, s. 2 (36) 1989; * zob. Poprawa Adam. *Żółci, gwałtowni i łwinowi. O trzech wierszach Zdzisława Herberta*, 3 (41) 1990.

Hering-Credzinski Gustaw

* *Drzewko piasny noc*, t. I: 1971—1972, t. II: 1973—1979, t. III: 1980—1983, t. IV: 1984—1988; *Cienie zniej*. *Essaj*. (Stokhot Tadeusz, Hering-Grudziński — świadek wieku ideologicznego), 4 (46) 1991.

Herrlik Jacek

Wielkiemu trybu literackiej. *Kronika*, 1—2 (39–40) 1990.

Herrlik Bogdan

O trzech naj. (Barczak Stanisław), w. 4 (38) 1989.

Hetsmański Paweł

Dieter Paul Stern Towa. (Huber Martin. *Opowiadanie rubna Nachstama*, tłum. Edward Zwoliński; *Opowiadki charyzmy*; tłum. Paweł Hertz; Jifi Langer. *9 bram do tajemnic charyzmy*; tłum. z angielskiego Anna Godowska), om. 1—2 (39–40) 1990.

Hiszpan

1 (35) 1989.

Heymann Daniele

Najwcześniejszy Franciszek (wywiad z Georgiem Brazanem przeprowadzony przez...), *L'Express* (19.09.1977), *Motyl Jerry*, rozm. 2—3 (44–45) 1991.

Hoffman Eva

Lost in Translation. A Life in a New Language. (Adamczyk-Garbowska Monika. *Pamięć jako terapia*), 1—2 (39–40) 1990.

Holan Vladimir

* zob. Engeling Leszek. *Muzeum laboratoryj*. *Widmo Holana*, 2 (36) 1989; *To tylko my*. *Gdyby*. *Także*. *Także*. *Także*. *Właśnie*; *Moarctonia II*. *Remonia*. (Engeling Leszek), w. 2 (36) 1989.

Hofnik Jan P.

*** *Cudowna historia” Grupy Chwilojce*, kryt. art. 4 (38) 1989.

Huelle Paweł

* *Weser Dwidzik*. (Dzrawacki Janusz. *Dziecko tajemnicy — hiekiak „David Weiser”*), 1 (35) 1989.

I ga

Portret piękna z biografją w tle, not. 3 (37) 1989.

Irwin-Zarecka Iwona

Neurological Memory. The Jew in Contemporary Poland. (Adamczyk-Garbowska Monika. *Pamięć jako terapia*), 1—2 (39–40) 1990.

Iwanicki Wacław

Włosa. *Droga*. *Ameryka*. *The Jew in America*, w. 1—2 (39–40) 1990; zob. Krysztof Janina. *Portret omigrowca*, 3 (41) 1990; *Pro domo sua*. *Mój dzień*. *Rudzie posortem żony się strzeżajcie!*. *Biogrowiatki*. *Włosa* 1990; *Obłąk zamieszkałca na żywym Zachodzie*. *Milady powci Ameryki*. *Monaua*, w. 3 (41) 1990; *Akt pamięci*. *proza*, wopem. 3 (41) 1990; zob. Święty Jerry, *Iwanicki*, 3 (41) 1990.

Iwaszkiewicz Jarosław

* zob. Nowociski Kazimierz. *Święty dzwosław*. (*Dwagł o naturze i panstwowosci w pesz...*), 4 (46) 1991.

Jakiński Paweł

H—2 — *wiedzenie*, proza art. 4 (46) 1991.

Jakubik Zdzisław

* zob. Klak Tadeusz. *Homo Lublinitis*, 4 (38) 1989; *Wielkie pranie*, proza art. 4 (38) 1989.

Jankowski Honorata

Chciało przeloma. *Nowela i wczesnonowoczesna filozofia dziejowa*, s. 2 (35) 1989.

Jankowska Magdalena

Wzręczenie z wspaniałym. *JIF Krakowska*. *Reminiscencje Teatrów*, om. 3 (37) 1989; *Przebieżanie* — *niekt* alternatywny. *kryt*, art. 4 (38) 1989; *Tu zaczęło zianow*, not. 3 (41) 1990; *Poeci na kryt*, t. 1 (42) 1990; *Gry logiczne według Alweika*, kryt. t. 2—3 (44—45) 1991; *mauz*; w *poemym* wiozku; *egzaltacja* wiozku; *skroydzio*; *just nie mam sty*; *mioloty*; *matrygizacja* konkurau; *kiedy* *arty*; *przywiozki*, w. 4 (46) 1991.

Jankowicz Jerry

Wzyszek jest czuwinem. (Eco Umberto. *Imię rólcy*, tłum. Adam Szymanowski), kryt. t. 1 (35) 1989; *Odczytanie hagnymem*. (Pawłowski Tadeusz. *Happening*), rec. 2 (36) 1989; *Reminiscencje wiozku* (Strugi), w. 1 (43) 1991.

Jastrun Tomasz

Prostytucja wiozku centrum, wyp. 4 (46) 1991.

Jaszc Dorota

Hajopyca Pieter. *Poprzedz*, tłum. 1 (43) 1991; *Wierzy sobie do końca*, not. 1 (43) 1991.

- Jaworski Stanisław**
* *Słowak szkolny. Termy literackie*. (Bednarek Antoni. *Termy literackie w szkole*). 1 (43) 1991.
4 B.
¹⁹⁹³ [Carl Dennis...], not. 4 (42) 1990.
Jeanneret Charles Édouard
żob. Le Clubiste.
- Jedynak Stanisław**
Leśnik — na krzewidzi nachylonej ku Zachodowi misto obrzezane smagą Wichodu, szkic. 1-2 (39-40) 1990.
Jelenski Konstanty
* zob. Nauśka Anna. „Warczauer Tagebuch” Kazimierza Brandyja. 4 (42) 1990.
Jędruski Kazimierz
* *Czy sprzeciw musi być racjonalny. Zbiór artykułów pod red.*. (Such Jan. *Granice racjonalności*). 4 (42) 1990.
Jonson Ben
Pięć. (Bartuziak Stanisław). w. 4 (38) 1989.
Józefacka Maria
* *Ziemia Spokoina*. (Wiśniewska Grażyna. *Godzina z Ziemią Spokoinia Marii Józefackiej*). 3 (41) 1990.
Jurek Natalia
Bany są jak karyfilce. (Zytnan Edward. *U Boga każdy mażen. Wybór felietonów*). kryt. lit. 4 (46) 1991.
Jurwicz Aleksander
Kronika lębka, 1966. (*III części katalgi poematu „Lada”*): *Omaki nad Lada; Dom się zapada; Pokój dzieciństwa; Granica; Powrót; Zapieranie letzcie nad tą wioską; Ze uszu w sen*. w. 1-2 (39-40) 1990.
Jurkowska Maja
Wyznania Kantora — „*siędy tu jaś nie powierć*” kryt. art. 3 (41) 1990.
Kalcherzy Adam
* *Strażników*. (Pawliczak Andrzej. *Przyjemnie być kobietą niż poetą*). 3 (37) 1989.
Kania Kazimierz
Przebudzanie Lema, szkic. 1 (43) 1991.
Kantor Tomasz
* zob. Jurkowska Maja. *Wyznania Kantora* — „*siędy tu jaś nie powierć*” 3 (41) 1990.
Karłowicz Tadeusz
* *Zapamiętani*. (Pawliczak Andrzej. *Przyjemnie być kobietą niż poetą*). 3 (37) 1989.
Karsjusz Łucja
Aniela jemiela (Przechodzki Elżbieta), szkic. 2-3 (44-45) 1991.
Karpiński Krzysztof
Przebieg samotny im. Mieczysława Kotzia art. 1 (35) 1989; *Mianost*, art. 2 (36) 1989; *4 Krzyżost Komeda, lekarz z zawodu... muzyk z powołania*, art. 4 (38) 1990.
Kawallo Marius Janusz
Nocny telefon I. Nocny telefon III. Nocny telefon IV. Pastoralka lębka; Pan z bezkadekij kapelki; Dzień ostatni — dzień pierwszy; Umysł porażi natychmow. w. 4 (46) 1991.
Kazimowski Wiesław
* zob. Szczepaniak Czesław M. *Wiersze Kazimierki*. 4 (38) 1989; *Rewolucji niewolnicy; szkic, wódka i prace*.¹⁹⁹³ (*Moi dziwniacy przyruchy*); *Krajobraz w zatięciu obr.*.¹⁹⁹³ (*Milski*); *Piętrot nieznaną II*.¹⁹⁹³ (*Maja ojczyzna milcząca*); *Do Andrzeja Bukalskiego. Ty podobnie goty*. w. 4 (38) 1989.
Kielesca Jan
Węziarstwo, proza art. 1-2 (39-40) 1990; * zob. J. S. „*Jan Kielesca*...”. 1-2 (39-40) 1990.
Kis Caba Gy.
Talantowio węgierska a Europa Środkowa (Staroniewicz Wanda), szkic. 1 (35) 1989.
Kisłicka-Lysiak Małgorzata
Milicje Gandygo, art. 3 (41) 1990.
Klak Tadeusz
Emigracyjna twórczość Józefa Lubińskiego, szkic. 1 (35) 1989; *Homo Ludibundus. O Złopomiu i Jaskółce*, szkic. 4 (38) 1989.¹⁹⁹³ (*Darobek pianki Marii Konieczewicz...*) wpp. 4 (38) 1989.
Kłobudzki Jan
Włókno — *Lehenstein*, oprac. i fotografie zestawów, not. 1 (43) 1991.
Kmita Jerzy
Logika u Irenusa. (Paniczek Jacek. *Logika fikcji. Etyka i prawny logiczny typ myślowylogiczny*). 2 (42) 1990.
Kobielicki Piotr Krzysztof
Powisł wędzłocik; Zwyczaj w masz; Art poezika; Nic nie było, nic nie zdołało. w. 3 (37) 1989.

- Kochanicyk Alina**
Marii Dąbrowskiej świadectwo czasu. (Dąbrowska Maria. *Dzienniki t. 1-5*. Wybrał, opracował i wstępem opatrzył Tadeusz Drenowski). kryt. lit. 2 (36) 1989; *Smutek Jywidolów niezmarzonych (o dionizalich Artego Andrzezewskiego)*. kryt. lit. 3 (37) 1989; *Wyznania z plonienia*. (Gierszon Ursula. *Sadowni haw plonienia*). kryt. lit. 3 (37) 1989; *Powica w piekle XX wieku*, szkic. 4 (38) 1989.
Koseller Arthur
* zob. Strzyżewski Janusz. *Polnaka gnozy*; 3 (41) 1990.
Kulankiewicz Leszek
Przebieg wobec centrum, wpp. 4 (46) 1991.
Kołoska Piotr
Geist uosob. Tak i nie; *Tanka*; ¹⁹⁹³ (*Brany sygnali...*). w. 4 (38) 1989.
Komeda Krzysztof
* zob. Karpiński Krzysztof. *Krzyżost Komeda, lekarz z zawodu... muzyk z powołania*. 4 (38) 1989.
Konczalnik, humor i groteska w kulturze Europ. 2-3 (44-45) 1991.
Konieczewski Piotr
Fotografia — odwołanie czy zbladzenie? szkic. 2 (36) 1989.
Konieczewski Janusz
„Wielka nauka” Konfucjusza; zob. Pound Ezra... (przełożyli Kozioł Kuba i Sosnowski Andrzej). 3 (37) 1989.
Korczyński Zdzisław
Mój żarłoczek. (Kuczwiczowa Maria. *Liry do Jerego*). kryt. lit. 2 (36) 1989.
Kopel-Szałc Zofia
* zob. Lamertski Lechosław. *Wśród literatów i rybaków*... 3 (37) 1989; — *O sobie i otowal* (notował Franciszek Ptakowski). wpp. 3 (37) 1989.
Korzeniuk Ryszard
Zapisa dnia. (Michalska Stefania. *Szokowanie człowieka*). 3 (41) 1990.
Kotulski Zbigniew
Ułom w żyry, szkic. 4 (38) 1990.
Kowacz István
Wspomnienia Jana Aleksandra Fredy, not. 3 (37) 1989; oprac. *Wspomnienia o Kompanii Węgielskiej z roku 1848—1849* (Jan Aleksandra Fredy Porwiesnika 2-go Pułku Ułanów Legijonu Polskiego, wpp. arch. 3 (37) 1989; * *Hawnowski szlęgiłojnyant*. (Stępek Jerzy. *Nie dnie powoda palenizacji diament*). *Kilka uwag w związku z książką Józefa Kowacza*. 1-2 (39-40) 1990; *Kultura powsta podziemia*, wpp. 1 (43) 1991.
Kowalczyk Dariusz
Wierza honorowa, proza art. 2 (36) 1989.
Kowalska Alina
„Warczauer Tagebuch” (Jędruski Kazimierz. *Przebieg romantycznej świadomości w „Warczauer Tagebuch”*). 4 (38) 1989.
Kowalski Lech (wł. Zielinski Jan)
Milski. Która odzież spięg w sobie imier? *Tyż przyruchy erotyczne; Miłkiewicz „Loboski” — Włoszacy*, szkic. 4 (42) 1990.
Kowalski Jan
„Lekcyon pobolity literatury emigracyjnej”. (Bednarek Antoni. *Serok piortyż emigracyjnej*). 1-2 (39-40) 1990.
Kowalski Janusz
Chłopki pograwicze — przenikanie kultur (współautorka Iwona Lipińska), szkic. 4 (42) 1990.
Kozioł Kuba
Dziennik z autostopem, proza art. 3 (41) 1990.
Krakus Witold Stanisław
Studium Le Carbutera, art. 3 (41) 1990.
Kronik Ewa
Notatki zebra. *„Wielka nauka” Konfucjusza*. Wstęp i tłum. (współautor Sosnowski Andrzej). 3 (37) 1989; *Stevens Wallace. Toważ*. *W ówcaler do domu*; *Trzydziecie obrotow patrzania na czarnego konia*; *Człowiek miosący razez*; *Sześć znaczących sposobów; Pustka w parku*. tłum. 3 (41) 1990.
Król Manfred
* zob. Sosnowski Waldemar. *Dwie koncepcje palimasty wileńskiej prof. Manfred Król* (wp. *Samoz Gierki*). 1-2 (39-40) 1990.
Krukowski Wojciech
Przebieg wobec centrum, wpp. 4 (46) 1991.
Krynicki Ryszard
* zob. Sosnowski Waldemar. *Sergiusz. Pół ulowa. O metafizycznej poezji*. 2 (36) 1989.
Kryszyk Janusz
Przyruch emigracji, szkic. 3 (41) 1990; *Czechowicz; Oda do słowka; Okno i drzewo; Żywiec niezmierny*. w. 1 (43) 1991.
Książkiewicz Andrzej
Pamiętniki nadawane.
Przebieg Wydawnictwo Naukowe, 1 (35) 1989; w. 56, 97; 2 (36) 1989; w. 27, 136; 3 (37) 1989; w. 194; 4 (38) 1989; w. 85; 2-3 (39-40) 1990; w. 62, 136; 3 (41) 1990; w. 84; 4 (42) 1990; w. 79, 85; 1 (43) 1991; w. 38; 2-3 (44-45) 1991; w. 14, 214. Instytut

Wydwany PAX 4 (38) 1989, s. 183; 1.—2 (39-40) 1990, s. 13, 3 (41) 1990, s. 146; 1 (43) 1991, s. 117; 2.—3 (44-45) 1991, s. 79; 3.—W. Czuprynki 4 (38) 1989; P. W. Isty, 3 (37) 1989, s. 35; 39, 3 (41) 1990, s. 32. Wydawnictwo Literackie 4 (42) 1990, s. 76; 2.—3 (44-45) 1991, s. 175, 233; 4 (46) 1991, s. 36, 60; Ludzkie Spółdzielnie Wydawnicze 1 (25) 1989, s. 139; 4 (38) 1989, s. 72. Wydawnictwo Belinowski 3 (41) 1990, s. 20; 2.—3 (44-45) 1991, s. 60; Wydawnictwo Łódzkie 4 (46) 1991, s. 96; 131. Wydawnictwo Labehski 1.—2 (39-40) 1990, s. 293; 4 (42) 1990, s. 52; 2.—3 (44-45) 1991, s. 157; „Norbertum” 3 (43) 1990, s. 97; 2.—3 (44-45) 1991, s. 182; Rodzica Wydawnictwo KUL 3 (35) 1989, s. 171; 3 (37) 1989, s. 47; 1.—2 (39-40) 1990, s. 243; Instytut Jana Pawła II KUL 4 (46) 1991, s. 140; Wydawnictwa UMCS 1.—2 (39-40) 1990, s. 137, 179; 3 (41) 1990, s. 112, 174; 2.—3 (44-45) 1991, s. 133; 4 (46) 1991, s. 57, 133; (wydawnictwa różne) 4 (46) 1991, s. 96, 111.

Kufelka Dorota

Milczewski i Marjusz w *Przemysłu*, not. 1.—2 (39) 1990.

Kuciewiczowa Maria

— *Listy do Jerzego* (Konty Zdzisława). *„Mój czas nie podziwiał nigdy”*, 2 (36) 1989; not. Aleksandrowicz Alina, Cuckowski Zdzisław; Kłak Tadeusz, Lukawski Jerzy, Słowicka Irena, Tryczkowski Jan, *Podręcznik historii* (znan. *Województwo Maria Curie-Skłodowska do Marii Kuciewiczowej*) 4 (38) 1989; *Magnificencia*, *„Panowie Przemysłu”*, wpp. 4 (38) 1989.

Kuciewiczowa Fundacja

— *not. wbu.*, **** Antologia od ubiegłego roku Fundacji Kuciewiczowej...*, 1 (43) 1991; **** wbu.*, **** Antologia od ubiegłego roku Fundacji Kuciewiczowej...*, 1 (43) 1991.

Kulwiec Andrzej

— *Notowanie* (Witwiewska Jolanta, *Rozpisanie głępczym światła*), 1 (35) 1989.

Kutak Jerzy

— *Dziennik Szebach*, *Głos*; *Miód*; *Niewielkie dzieła*; *Łyczko*, *tham.*, ***** Stephen Dmyk *not.*, not. 2.—3 (44-45) 1991; *Performance i postmodernizm w literaturze amerykańskiej*, szkic. 4 (46) 1991.

Kwiśniewski Andrzej

Złotek *senie* *niecałak*, *proza* *art.* 4 (46) 1991.

Kwiatkowski Tadeusz

Dyskurs jako przestrzeń moralnej aktywności, szkic. 2 (36) 1989; *Pulaża szkoła filozoficzna zwana heideggerowską i jej etos*, szkic. 1.—2 (39-40) 1990; *Problemy z niemożnością językowej* (O niemożności. *Praca zbiorowa pod red. Zdzisława Muszyńskiego*), rec. 4 (42) 1990.

Lana Ernest

— *Stadler Ernst*, *Z tomu Przekład. Z mroka. W świecie leniwego przetrwania. Deliryczna*; *Z tomu Wymiar. Omówienie*; *Ukrywanie*; *Baszki*; *Ciepły wiecier*, *tham.*, 4 (42) 1990; *Ernst Stadler, czyli droga do ekstremitacji*, szkic. 4 (42) 1990.

Lamecki Leoboldus

— *Szary*; *Janusz Wybuch*; *Barokowe kryk*, art. 1 (35) 1989; *Wkład biografii tryptuwok Zofii Kupił-Szale*, kryk, art. 3 (37) 1989; *Barwne burdy*; *Tryptyk Szale*, kryk, art. 3 (41) 1990; *Barok*; *Thornwalden (1730—1844)*, *rozprawka daktuski w Rzymie*, art. 4 (42) 1990; *Mark*; *Piątkowski*; *O historii*; *Marka*; *Piątkowski*; *rozprawka*; *Krytyka*; *Głównak* — *matarka i Teresa Jolanta* — *kryk*; *szkic*, O Krystyna Głównak *opiewak*, art. 1 (43) 1991; *Koloseum jarmark*; *Henryk Szakmaki*, kryk, art. 4 (46) 1991.

Langner Jiri

— *9 brama do tajemni okazydów*, *tham.* (z angielskiego) *Anna Godowska*, (Heimark) *Powstanie*; *Ziemia*; *Blud*; *Stem*; *Tram*, 1.—2 (39-40) 1990.

Larkie Philip

— *Na pastusku* *albam* *ze zdjęciami*; *Pamiętam*; *pamiętam*; *Piątkowski wiecier* *w* *burdy*; *Royal Station*; *Stare outy*; (Barczak Stanisław), w. 1 (43) 1991.

Lebenstein Jan

— *not. Zagala*; *Paronickiewicz Mirosława*, *Mielanoferya*; *Jan Lebentstein*, 1 (43) 1991; *Sochon Jan*; *Jan Lebentstein* — *droga* *petze* *albo* *ipohie*, 1 (43) 1991.

Le Carbetier (Charles Edouard) Jeanmarc

— *not. Kozak Witold*; *Stanisław* — *drogi* *petze* *albo* *ipohie*, 1 (43) 1990.

Lepotyńska Anna

— *Porządki*; *prezenci*; *do tego* *alohy*; (Szuła-Packalen *Malgorzata*, *Pokolenie*, 65); *Studium o powrocie* *poetyki*; *jak* *siemodziejstwo*; *kryk*, lit. 1 (35) 1989.

Lejman Jack

— *Ramko* *w* *okazydów* — *czarna seria* *literatury*; *SF*; *Antoni* *nietymy*; *Płaska* *bielony*; *tytuł* *oryginalny* *Dwudziestobit*; *Thum*, S. Kopelczak, rec. 3 (41) 1990; *Literatura* *Lebentstein* (Lekone *Jerry*, *Jezyk* *przasy* *kryk*, lit. 4 (43) 1991).

Lesz Stanisław

— *not. Kania Kazimierz*; *Prowokacje* *Lenza*, 1 (43) 1991.

Lesot Franciszek

— *not. Gurovski Ludwik*, *1. Kompozytor* *Franciszek* *Lesot* — *uczni* *Alteya* *Haydn*, *tham.*, 1 (43) 1990.

Lejman Bolesław

— *not. Kowalewski Lech*, *„Młodość, która obdarzi* *opiętą* *w* *tobie* *imierci”*. *Trzy* *transgresje* *erotyczne* *Michałkiewicz* — *Lejman* — *Wojaszek*, 4 (42) 1990.

Lewy Andrzej

— *not. Mirziski Jan*, *„Popiół i diament”*, 4 (42) 1990.

Lewicki Marcin

— *O* *awanturze* *Januki* *poetyki* *w* *dwunastu* *Agustina* *Strindberga*, szkic. 1 (43) 1991.

Liehn Antoni J.

— *W* *czym* *Słowacki* *(w* *publikacji* *Antony* *czeskiej)*; (Rejakowa *Bożena*), szkic. 2.—3 (44-45) 1991; *czy* *staną* *Europa* *Słowacki* *notm*, wpp. 4 (46) 1991.

Lipiec Jerzy

— *Mala* *antologia* *poetów* *do* *ryneków* *Elizata*, 2.—3 (44-45) 1991; (z *członkiem* *literaturo* *wytwary*), *W* *klasa* *o* *Elizata*, 2.—3 (44-45) 1991.

Lipiec Józef

— *not. Pogodowa* *sprownowanie* *wartosci* *(w: Porzeczka* *piękna* *z* *biografią* *w* *tle)*, wpp. 3 (37) 1989; *Studia* *z* *ontologii* *i* *epistemologii* *wartosci*, *Praca* *zbiorowa* *pod* *redakcją* (Szkolki *Tadeusz*, *Ontologia* *i* *epistemologia* *wartosci*, *czyli* *jak* *istnieje* *wartosci* *(jak* *się* *podważa)*), 1 (43) 1991.

Lisowski Jerzy

— *Chyłak* *poprarnik* — *przekazanie* *kultury*, (współautor *Janusz* *Kowalewski*) szkic. 4 (42) 1990.

Lisowski Jerzy

Kultura *ponad* *podziemie*, wpp. 1 (43) 1991.

Listy z Nowego Jorku

— *not. Benka* *M.*

L. N.

— *Tom* *Translucen*, not. 1 (35) 1989.

Lewicki Richard

— *Do* *Lakoty*, *plam* *z* *morza* (Barczak *Stanisław*), w. 4 (38) 1989.

Lugowska Anna Zofia

— *Szwarcowa* *droga*, (Pawłuczak *Andrzej*, *W* *Przemysłu* *być* *kością* *ni* *poetą*), 3 (37) 1989.

Ladrowski Lech

— ***** *Notycyopisowizacja* *i* *Droga* *Pani* *Profesor...*, wpp. 4 (38) 1989.

Labęcka-Kocherowa Malgorzata

— *Urod* *Kawerodina* *Ilody* — *pierwsza* *komedia* *tarecka* *w* *zbiorach* *poetyckich* *art.* 1.—2 (39-40) 1990.

Lapicki Zdzisław

— *not. wbu.*, ***** *Antologia* *od* *ubiegłego* *roku* *Fundacji* *Kuciewiczowej...*, 1 (43) 1991; **** wbu.*, **** Antologia* *od* *ubiegłego* *roku* *Fundacji* *Kuciewiczowej...*, 1 (43) 1991.

Lubowski Józef

— *not. Kłak Tadeusz*, *Emigracyjna* *twórczość* *Józefa* *Lebowski*, 1 (35) 1989; *not. Swięch* *Jerry*, *Lubowski* *podpisu* *porzeczki*, 1 (35) 1989.

Lejman Eugeniusz

— *Z* *działalności* *Uniwersytetu* *Jana* *Kazimierza* *w* *pierwszych* *latach* *drogą* *Rzeczypospolitej*, art. 1.—2 (39-40) 1990.

Lukawski Malgorzata

— *not. wbu.*, ***** *Antologia* *od* *ubiegłego* *roku* *Fundacji* *Kuciewiczowej...*, 1 (43) 1991; **** wbu.*, **** Antologia* *od* *ubiegłego* *roku* *Fundacji* *Kuciewiczowej...*, 1 (43) 1991.

Łężycki Jerzy

— *not. Język* *petze*, (Lejman *Jack*, *Literatura* *i* *Lebenswelt*) 1 (43) 1991.

Łężycki Stanisław Andrzej

— *Święty* *romans*, *proza* *art.* 3 (37) 1989.

Lyczowska Anna

— *Not* *manus* *klam*; *ze* *mnie* *nie* *ma*, (Pawłuczak *Andrzej*, *W* *Przemysłu* *być* *kością* *ni* *poetą*), 3 (37) 1989.

Maciej Wolniński

— *****, *not. Jak* *wszystkich* *próbak* *opisu...*, (w: *Porzeczka* *piękna* *z* *biografią* *w* *tle*), wpp. 3 (37) 1989.

Modela Andrzej

— *Młody* *poetka* *w* *granie* *hijny* *NRD*, szkic. 4 (43) 1991.

MAG

— *not. (jak* *po* *trzy* *trzeci* *zamieszanie* *[...]* *przez* *Zofię* *Grzeszek...*), not. 1.—2 (39-40) 1990.

Makarski Wiesław

— *Pokolenie* *Niemców*, (Brezina *Maria*, *Pokolenie* *Niemców*), rec. 3 (41) 1990.

Matkowiak Zygmunt

— *Dokument* *w* *Kwestii* *skrajności*, not. 1.—2 (39-40) 1990; *W* *tytułach* *osobno* *biobelskiego* *dotyczące* *stosunków* *między* *ni* *u* *ważąc* *do* *zagadnienia* *skrajności* *na* *terenie* *międzykulturowej* *literaturo* *z* *11* *stycznia* *1935* *roku*. *Do* *druku* *podr.* *artch.* 1.—2 (39-40) 1990; *Kultura* *ponad* *podziemie*, wpp. 1 (43) 1991.

Marianiński Janusz

* Wprowadzenie do sociologii moralności (Narceki Zbigniew). *Polaki podręcznik z sociologii moralności*. 4 (38) 1989; *Indywidualizm religijny – pismowalcy czy niepismowalcy?* (współautor Janusz Zbigniew) s. 4 (43) 1989; *Moralność w procesie przemian*. (Narceki Zbigniew). *Moralność w procesie przeobrażeń*. 2–3 (44–45) 1991.

Maslowski Michał

* *Rymy polskiej prozy*. s. 2–3 (44–45) 1991; *Czy istnieje Europa Środkowa?* *Roma*. wyśp. 4 (46) 1991.

Maslowski Antoni

* *Wielki artysta i krytyk*. *Wzrost*. s. 1–2 (39–40) 1990.

Mazur Ewa

*** *Miłość mam nieczyliwie!*. *Wzrost*.*** *Kaszanka dla zapalczyka...**** *Cz wiesz tu strasznicy!**** *Hej jak autaj!*. w. 4 (38) 1989; *„Jestem dla ciebie!”**** *Nie czekaj!**** *Katka była!**** *„Między nami szklane góry!”**** *Uwierz nam! miłość!**** *To nieprawda, że Go nie ma!*. w. 1 (43) 1991.

Mazurek Dorota

* *Aleksandra Wata pierza odwiedzanie i odwiedzanie*. s. 4 (38) 1989.

Mazurek Lukasz

* *Rewolucja osobista*. (Pawlućcyk Andrzej W. *Przyjemnie być kobietą niż poetą?* 3 (37) 1989; Filip Gregorz. *Obcymyca niebie i światu*). 3 (37) 1989.

Męgiła Leszek

* *Sześć Chwały Wojciech*. *Sens* *Placizmy*. *bułkiego drusana*. 4 (38) 1989.

Męgiła Jerzy

Brasens Georges. *Tatamont*. *Szostak* na idler. *Paranel*. *Kapala* nie w *wielkie* *frólidany*. *Gdyby nie ten jay* *brady* *arady*. *Goyll*. *tham*. 4 (38) 1989; Brasens Georges. *Poczta* *Malosia*. *Tęcza* *po* *kwadransie*. *Staloni* *nie* *maloski*. *tham*. 2–3 (44–45) 1991; *Georges* *Brasens...* *not*. 2–3 (44–45) 1991; *Ngazrabizowy* *Francuz* *twój* *Georges* *Brasensom* *przeprowadzony* *przez* *Dawide* *Rejzom...* *tham*. 2–3 (44–45) 1991.

Michalska Stefania

* *Studium etymologiczne*. (Konarcki Rydzard. *Zapiski* *dnia*). *kr*. lit. 3 (41) 1990.

Michalski Waldemar

* *Jan Pilał – poeta, tłumacz i przyjaciel literatury polskiej*. art. 2 (36) 1989; *Witno w filozoficznym jako* *knobez* *i* *iradokowa* *moła* *kułar*. art. 1–2 (39–40) 1990; *Madonna z kolosowami*, albo *poemat* *do* *Itaki*. (Dusza Edward. *Madonna z kolosowami – w nowa* *wiersze*). *kr*. lit. 4 (46) 1991.

Mickiewicz Adam

* zob. Konarski Lech. *„Miłości, która ubrała i piłą w sobie śmierć”*. *Trzy transpary* *erzytanie*. *Mickiewicz – Leżman – Wojciech*. 4 (42) 1990.

Mierczkowski Bronisław

* *W podróży w Mickiewicza: Recepta na wiersz**** *Przygotować do siebie*. w. 1–2 (39–40) 1990.

Mielkowski Robert

* *Na marginesie „159 wierszy” Stanisława Barańczaka. Objawienie czytelnika*. (Barańczak Stanisław. *159 wierszy*). *kr*. lit. 1 (43) 1991.

Milchicki Zygmunt

* *Z autobiografii*. *proza*. pp. 3 (36) 1989; *Z powoła* *Diana* *w* *racznie* *inieret* *Józefa* *Czechowicza*. *lit*. 4 (46) 1991.

Milosz Czesław

* zob. Sołtys Jan. *Spotkanie z Miłoszem czyli legenda i niewiedza*. 4 (38) 1989; zob. Dolbała Jack. *Estetyka w poezji Czesława Miłosza*. 4 (42) 1990.

Miniś Jan

* *Bolesław na nowo przetłumaczony*. (Ciołek Desperatus Nicolas. *Sztuka polityka*. *Przekład i opracowanie* *Marja* *Grzędzińska*). *rec*. 3 (41) 1990.

Miriński Jan

* *Justyn Tłumaczy Uniwersytet Wiedeński*. art. 1–2 (39–40) 1990; *„Pięta i diament”*. (Andrzejewski Jerzy. *Arche* *und* *Diament*. *Roman*. *Van* *den* *Polschen* *von* *Henryk* *Berenski* *mit* *einem* *Nachwort* *von* *Andreas* *Lewaty*). *kr*. lit. 4 (42) 1990.

Młynarski Wojciech

* *Kultura ponad podziałami*. wyśp. 1 (43) 1991; *Różny* *znaję*. w. 2 (43) 1991; *Et je* *dopłacam*. *Kółko* *odwiesz*. *Gras* *do* *wrotyki*. *Czy* *nie* *ten* *czarny* *sz* *powiesz*?. *W* *ymieniu* *języ*. (piosenki). w. 2–3 (44–45) 1991; *Brd* *Jacek*. *Rygiert*. *tham*. 2–3 (44–45) 1991; *Okładka* *Bohala*. *Rzeka* *Antoni* *Czechow*. *Kropki* *kroś* *duńskiego*. *tham*. 2–3 (44–45) 1991.

Mrowski Stefan

* *Estetyka. Droga do samodzielności*. s. 1 (43) 1991.

Murin-Nawille Václav

* *Agresywna euforia niosła i jej demograficzne zmiany*. (Abramowicz Maciej). s. 2–3 (44–45) 1991.

Musielina Danuta

* *Placizmy paranoi*. *W* *spz*. *pp*. 22. *proza*. art. 4 (38) 1989; *Trzynasty dzień*

moja. *proza*. art. 1 (43) 1991; *„Odechadą moją* *ymwie*. (Adamczyk-Garbowa Monika. *Paradyż* *emigracji*). 1 (43) 1991; *Przeżycie* *żywcowa* *emigracji*. s. 4 (46) 1991.

Musiał Piotr

*** *Na początku była odwołania „Literacka”*. (w: *Portret* *piłkna* *z* *biografią* *w* *tle*) *wyśp*. 3 (37) 1989.

Musiał Elżbieta

* *Znaczenie „wierszowego” świata*. *O* *powieściach* *Leopolda* *Buczowskiego*. *s*. 11–12 (39–40) 1990.

Musiak Janusz

* zob. Karpiński Krzysztof. *Musiak*. 2 (36) 1989.

Muszyński Zdzisław

* *O* *nieścisłości*. *Praca* *zbiorowa* *pod* *redakcją*. (Kwiatkowski Tadeusz. *Problemy z* *nieścisłością* *językową*). 4 (42) 1990.

Musyka K

1 (35) 1989; 2 (36) 1989; 3 (37) 1989; 4 (38) 1989; 1–2 (39–40) 1990.

Muśkar Arno

* *Arno Muśkar*. *liter*. 1 (w: *Wachowski Engelienka*). *proza*. art. 1–2 (39–40) 1990; * zob. P. H. 4 (42) *Arno* *Muśkar*. 1–2 (39–40) 1990.

Muszkowski Krzysztof

* *Pozostak*. *proza*. art. 2 (36) 1989.

Nakonieczny Piotr

* zob. Dolbała Jack. *Nakonieczny*. *W* *znajemy* *anaka*. *–* *Rzec* *o* *Piotrze* *Nakoniecznym*. 4 (38) 1989.

Naklanszewska Helena

*** *Ogładkami* *seksi* *przedstawiciel* *latkowskich*. (w: *Portret* *piłkna* *z* *biografią* *w* *tle*) *wyśp*. 3 (37) 1989.

Nalkowski Marek

Polcy *jako* *szkand*. *kr*. art. 4 (42) 1990; *Estetyka* *wideoklipu*. s. 1 (43) 1991.

Napijkiwski Thomas J.

* *Film* *szkand*. *Proza* *Amłonyego* *Bukolkiego*. (Pyrczak Ewa). s. 1–2 (39–40) 1990.

Na porażkach narodów i kultur (II)

1–2 (39–40) 1990.

Narceki Zbigniew

Polaki *podręcznik z* *sociologii* *moralności*. (Marianiński Janusz. *W* *wprowadzenie* *do* *sociologii* *moralności*). *rec*. 4 (38) 1989; *Indywidualizm* *religijny – pismowalcy* *czy* *niepismowalcy?* (współautor Janusz Marianiński) s. 4 (42) 1990; *Moralność w* *procesie* *przemian*. (Marianiński Janusz. *Moralność w* *procesie* *przemian*. *Szkice* *sociologiczne*). *rec*. 2–3 (44–45) 1991.

Narozna Malgorzata

* *Jan* *Markami*. *Choc* *nie* *bałab*. (*Biżutery* *schosków* *hołajczych*). *tham*. 3 (41) 1990.

Nasibek Anna

* *„Zachwał”* *Tęczyłowski* *Kazimierza* *Brodyńskiego*. (Brandyś Kazimierz. *Warszawski* *Jęzobok*. *Die* *Monate* *danie* *1978–1981*. *Prad*. *Friedrich* *Gesell*. *Polonia* *Konstanty* *Jelenicki*). *kr*. lit. 2 (42) 1990.

Neuser Leonard

* *Trzej* *ludzie*. *Tomasi*. *Człowiek z* *Bemina*. *Archiwół* *z* *zobokochani* *jeńskim*. *–* *Szturm*. *–* *Wioszc* *–* *nanek*. *–* *Odwołano*. *Carlson*. *tham*. 1 (35) 1989.

Nieściana Danusia

* *Sonetyk* *przewodnik*. (Danieliewicz Marek. *Nie* *mo* *mięjsza* *dla* *przejrzalich*). *kr*. lit. 3 (37) 1989; *Zycie* *na* *lody*. (Witek Anna. *Zycie* *poemdy*). *kr*. lit. 3 (41) 1990.

Niewiadomski Andrzej

* *Z* *zawsona* *oczym*. *Art*. *Bye* *moralności*. ***** *(czy* *o* *rzecz*. *...)**** *„zamiętkalichy* *w* *ojczyźnie* *więzie*. *...)* *wielki* *piątek*. *dytyk*. w. 3 (41) 1990.

Niety

1 (35) 1989; 2 (36) 1989; 3 (37) 1989; 1–2 (39–40) 1990; 4 (42) 1990; 2–3 (44–45) 1991; 1 (46) 1991.

Nowak Halina

* zob. Jaskowski Honorata. *Czas* *przełomu*. 1 (35) 1989.

Nowak Tadeusz

* *Paradyż i* *pasowicki*. (Drzewicki Janusz. *Uwielbiony w* *świacie*. *O* *nowych* *wierszach* *Tadeusza* *Nowaka*). *kr*. lit. 4 (42) 1990.

Nowicki Andrzej

* zob. Syntychowski Stefan. *Musyka* *jako* *klucz* *filozoficzny*. 2 (36) 1989; *Est* *w* *sonacji* *z* *Jelenowskimi* *Krzyszczakiem*. s. 2 (36) 1989.

Nowicki Wojciech

* *Julian* *Barnes*. *–* *przewrotny* *diagnioz* *świata*. s. 1 (43) 1991; *Barnes* *Julian*. *Historia* *świata* *w* *10* *3* *rozdziałach*. *Panuzar* *na* *ogp*. *tham*. 1 (43) 1991.

Nowikow Władimir

* *Powitła* *i* *śmierć* *paradyżowa*. (Przechodnicki Elgiusz). s. 2–3 (44–45) 1991.

Nowosielski Kazimierz

* *Świat* *i* *dziwom*. (O *poetzi* *Jana* *Bolesława* *Olejki*. *Świat* *z* *3* *(37)* *1989*; *Śwary* *dziwom*. *Uwagi* *o* *naturze* *i* *transcendencji* *w* *poetzi* *Jaroslawa* *Iszwarczewicza*. s. 4 (46) 1991.

NRD

* zob. Madela Andrzej. *Motowy pokob w prosie bylej NRD*, szkic 1 (43) 1991.

Obarski Marek

Główna w jasionie, proza art. 4 (38) 1989.

Obczyrali

1–2 (39–40) 1990

Opłodeczność Andrzej

Kien, Zawiąnięcie: Nieokreślona skończoność raty; Taki czar; Potem wszystko ugaliło; Spożycie; Cieni ognia, 3 (37) 1989.

O'Hara Frank

* zob. Kutniak Jerzy. *Performace i postmodernizm w literaturze amerykańskiej*, 4 (46) 1991.

Okszaława Beata

*Piszę powieści historyczne. Stara pieśń tabielnika; Archaiczni emigranci; Przejazdną rodziną fotografuje się pod pomnikiem Szekspira; Szara marynarka; *** (dłak, opowiadać nie; przetrwać; autolimy błękitny); Piszę powieści*, (Czech Jerzy) w. 2 (36) 1989; *Żółty domini Czechów; Kropki kryła duszą*, (Młynarczyk Wojciech), 2–3 (44–45) 1991.

Oleczak Janusz

Interesy biznesmena Łucjana, proza art. 2–3 (44–45) 1991; * *Uniwersytecy i samopój cholegry Łucjana*, (Trzeciński Wacław; Dariusz. *Labelowa mowa apokalyptyczna*), 2–3 (44–45) 1991.

Ostrowski Tadeusz

Noc, w. 4 (42) 1990.

Opolski Dominik

Trzaskanie przemytły, aforyzmy, 2–3 (44–45) 1991.

Orszan Wiesława

Zabawy w wiarze; Krowka błądnie; Dokał mnie zawieszę konik na bogaćnarę, proza art. 1 (43) 1991.

Oseka Janusz

Walterzka, proza art. 2–3 (44–45) 1991.

Osiecka Agnieszka

Kilka lat później załobnych ówijek, fel. 2–3 (44–45) 1991.

Ostrowska Ewa

*** (*Był to mój spokój*); *** (*Trzy cię...*); *** (*W adamasz tego świata*); *** (*Niech zapamiętają będzie...*); *** (*Moje kobiety na moście*); *** (*Zaprawdę powiedziałam...*); *** (*Mama tato*), w. 3 (37) 1989; * zob. Jerzy Kłosek. *Bez ciotyry; O postaci Ewy Ostrowskiej*), 4 (46) 1991.

Ostrycki Leonida

Lipiók Polki jako „językową spuścizną Europy” (o genezie kulturoznawstwa Witkacego), (współautor Stefan Symonicki), szkic: 1–2 (39–40) 1990.

Ożoga Adam

Zwierzenia, w. 1–2 (39–40) 1990; *Kultura ponad podziałami*, wyp. 4 (46) 1991.

Ológ Jan Bolesław

* zob. Nowosiński Kazimierz. *Siatkowna dziwność. O powieści Jani Bolesława Ológa*, 3 (37) 1989.

Pajtk Henryk

Amen, proza art. 1 (35) 1989; *Ark. tam...*, proza art. 3 (41) 1990; *Kultura ponad podziałami*, wyp. 1 (43) 1991.

Palfiński Lajos

Nad okolicznościami, *Encycloped.* art. 1–2 (39–40) 1990.

Palmer Jerry

Granicie smutku, (Abramowicz Maciej), szkic, 2–3 (44–45) 1991.

Panas Wiesław

Literatura polsko-jidyszka: zamach piana, szkic, 1–2 (39–40) 1990.

Pankowski Marian

* zob. Bart. Szumakow. *Mity i stereotypy w prozie Mariana Pankowskiego*, 4 (46) 1991.

Pasleb Janusz Stanisław

* *Wierze wybrane*, Wybór i oprac. ks. Jan Sochoń, ilustracje Jan Lebestein (Wierciński Andrzej. *Złotygo młodzień*), 3 (41) 1991.

Pańszek Jerzy

* *Legka fikcja; Esej o pewnej logice typu melionogowskiego*, *Kmita Jerzy, Logika u literatów*, 4 (42) 1990.

Pawsek Kazimierz

Jakoby to będzie; Złoty pokalony; Emerycja; ty masz życie; Pienska o układach obywatelskojęzykowych; Rodzinne pamiętki, w. 2–3 (44–45) 1991.

Pawluczak Andrzej W.

Melancholia, wydrżdziczenie; Polki los, (Konwicki Tadeusz. *Bolaki*), kryt. lit. 1 (35) 1989; *De przyjaźni Mirosława; Wierze o specyficznej postawie harmonia; Proza i jego powie; Kowalczak ja; Wszystko jest cudem; Mój ojciec*, w. 2 (36) 1989; *Przyjaźni były Amdia; nie powie (Siłkowna Nina; Tylko mgła; Przemysław Grzegorz; Dzieci i noc; Lucywska Aneta; nie muszą klamać; je może nie ma; Przechylenie Wojciech; Muzycy w złotych strażach; dzieci; Lucywska-Kuma Zofia; Świerkowna droga; Puchalski*

Zbigniew; Ani sen, ani marzenie; Sitarka Halina; Za światłem oczu biegur; Derdowski Krzysztof; Czarnon nie ma wieczności; Karłowicz Tadeusz; Zaparczyca; Smętnośna Magdalena; Klómka i barwnie; Gierosław Urszula; Sądów barw plonionica; Guzowski Krzysztof; Fegury; Mannick Łukasz; *Rezygnat osobnie; Jerzy Kłosek; Rymy; Daniel; kiewicz Marek; Nie ma miejsca dla przyrzedych; Kalbarczyk Adam; Strawińska*, om. kryt. lit. 3 (37) 1989.

Pawłowski Tadeusz

* *Happening; Jaruzelwiec Jerzy; Okleimanie Happening*, rec. 2 (36) 1989.

Pernach Grzegorz

* *Dzieci i noc; Powluczak Andrzej W. Przejmniej był kobitką nie poetą*), 3 (37) 1989.

P. H.

*** (*Arms Miller*), not. 1–2 (39–40) 1990.

Pafilowski Franciszek

Zofia Kopci-Szał, o sobie, notowal., 3 (37) 1989.

Polanski Wiesława

Wychowanie estetyczne młodego pokolenia; Polska koncepcja i doświadczenia; Praca zbiorowa pod redakcją Irenej Wojnar, 1. (Piłatek Janusz. *Problemy wychowania estetycznego dzieci i młodzieży*) 4 (46) 1991.

Piłał Jan

* zob. Michałski Waldemar. *Jan Piłał – poeta, tłumacz; przyjaciel literatury polskiej*, 2 (36) 1989.

Piłatek Janusz

1 (35) 1989; 2 (36) 1989; 3 (37) 1989; 4 (38) 1991; 1–2 (39–40) 1990; 3 (41) 1990; 4 (42) 1990; 1 (43) 1991; 2–3 (44–45) 1991; 4 (46) 1991.

Piłatek Janusz

Debiutność twórczości jako strategia rozwoju osobowości, (Akrzynowski Tadeusz; dzieci i młodzieży; Praca zbiorowa pod redakcją Stanisława Popka), rec. 3 (41) 1990.

Problemy wychowania estetycznego dzieci i młodzieży, (Wychowanie estetyczne młodego pokolenia; Polska koncepcja i doświadczenia; Praca zbiorowa pod redakcją Irenej Wojnar i Wiesławy Piłatek), rec. 4 (46) 1991.

Piłał Jan

Akrzynowski Tadeusz; Spojrzenia; Czasownik; Twoje imię, *** (*Śnieg białej melancholii...*); *Współ (Zwarzaczka...); Czarny Kapturek; Wierze*, w. 1 (35) 1989.

Piłał Jan

Poeta z Włódzy, (Fert Józef), kryt. lit. 3 (37) 1989; *Dobra poezja olona* (Danielkiewicz Marek. *Osobne oceny kryt.* lit. 4 (46) 1991).

Piłał Jan

* *W postawach modelu Amdia twórczości*, (Topolski Jerzy. *Co to jest literatura* 1989), 4 (42) 1990.

Popka Stanisław

* *Akrzynowski Tadeusz; dzieci i młodzieży*, *Praca zbiorowa pod red...*, (Piłatek Janusz. *Debiutność twórczości jako strategia rozwoju osobowości*), 3 (41) 1990.

Poprawa Adam

Zofia Kopci-Szał; gwóźdź; Liwizak; O trzech wierzach Zbigniewa Herbera, szkic, 3 (41) 1990.

Poppe Ewa

Wielki malarz; Konfuzjusz; Kostol Kuba; Siatkowni Andrzej, 3 (37) 1989.

Prostomian

* *Powinność wobec człowieka*, *Prostomian* – *seno ulotnowy*, 4 (38) 1989.

Prostomian

rec. not. 4 (46) 1991;

Puchalski Ryszard

Chłostanie; Ostatek wierzery, kryt. lit. 4 (38) 1989; *Narodził się mój pamięć*, *Staż i wierzery*, (Egusła), rec. 1–2 (39–40) 1990.

Próchniak Wojciech

* *Myzja w złotych strażach dnia*, (Pawluczak Andrzej W. *Przejmniej był kobitką nie poetą*), 3 (37) 1989.

Przybyłowski Elżbieta

Karłowicz Leonid; Amitya imięcia, tłum. 2–3 (44–45) 1991; *Gurzewicz Aaron; Światowierzywiec imięcia nie bi strachu*, tłum. 2–3 (44–45) 1991; *Nowikow Władimir; Narodził się imięcia powołowcy*, tłum. 2–3 (44–45) 1991.

Przezkroje

1 (35) 1989; 2 (36) 1989; 3 (37) 1989; 4 (38) 1991; 1–2 (39–40) 1990; 3 (41) 1990; 4 (42) 1990; 1 (43) 1991; 2–3 (44–45) 1991; 4 (46) 1991.

Przybyłowski Zbigniew

W zimnym wierzery, proza art. 4 (38) 1989.

Puchalski Zbigniew

* *Ani sen, ani marzenie*, (Pawluczak Andrzej W. *Przejmniej był kobitką nie poetą*), 3 (37) 1989.

Puchalski Zbigniew, historcy

Ordyn; Ordynowcy Polak, art. 1 (35) 1989.

Pukły Tadeusz

Jedyn; W galerii Antoniego Rary, art. 4 (42) 1990.

Pyznak Ewa

Napieralski Thomas J. Polny asystent; Proza Amdia ego Bakoskiego, tłum. 1–2 (39–40) 1990; *Bukosi Anthony; Dzieci obcych ludzi*, tłum. 1–2 (39–40) 1990.

Raczak Lech

Provincje wobec centrum, wyp. 4 (46) 1991.

Ratajevska Eližeta

Po co i dlaczego się pisze? (Barańczak Stanisław, Tablica z Meandros), kryt. lit. 1 (43) 1990.

Rawiński Marian

Tędyż przez współczesność, Sytuacja polskiej dramaturgi międzywojennej, szkic 2 (36) 1989.

Refakcja

Dokładny Analizy znania Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej dla Marii Karczewskiej, not. 4 (38) 1989; *Realizm, racjonalizm, relatywizm*, not. 4 (42) 1990; *Kultura ponad podziałami*, not. 1 (43) 1991; *Provincje wobec centrum*, not. 4 (46) 1991; *Podążanie za wędrówką na Fundacji Wydawniczej Przejścia „Akcentu”*, not. 4 (46) 1991.

Rejkowa Bełena

Ličim Antonin J. W cieniu Szwecji. Osobliwości kultury czeskiej, tłum 2-3 (44-45) 1991.

Rjabczak Myłoka

Substancja publiczna (Zadura Bohdan), not. 1-2 (39-40) 1990.

Regala Stanisław

Rożnina ballada. Rozstrzelano cztery serce. Wajtek Kalicki, proza art. 3 (41) 1990.

Rejzka-Burach Irina

Z dziesięciu latobitożno zlotniczek, art. 1 (35) 1989.

Romanowski Andrzej

** Przed złotym czasem. Szkice o poezji i plonie polskości-wspomni lat 1908-1918; * Rzeki wioły polki budzący róz... Wzrost i pójni z lat 1908-1918 o Polsce, o wojnie, i o żołnierzach; * Z tradycji naszego czasu... (Stępnik Krzysztof. Wojna i filologia) 4 (46) 1991.*

Roskiler Michał

** zob. Adamczyk-Garbowska Monika. Dekapity i Zerewicki, czyli przekład i adaptacja*, 4 (46) 1991.

Roschichij Jozeph

Europa Środkowoschodnia: społeczeństwo z zewnątrz. Z profesorem... rozmawia Krzysztof Garbowski, 1-2 (39-40) 1990.

Rubi-Zelowski Teodora

Zamitli echa... wprost, wspom. 1-2 (39-40) 1990.

Ruzenski Aleksander

**** (Tędyż wioły...); *** (wzrostko jest klamstwowo); *** (w wieżach co w nas dzieje); *** (o naszych niezręcznościach) w. 1-1 (39-40) 1991.*

Rzymow J

1-2 (39-40) 1990; 1 (43) 1991; 4 (46) 1991; 4 (46) 1991.

Rzyna Antoni

** zob. Półcyk Tadeusz. Jedyna. W galerii Antoniego Rzydy*, 4 (42) 1990.

Ruska Zdzisława

*Wiosna 1968... (teraz kiedy już prawie wszystko wiadomo); *** (tak autorka miała w miasteczku); Odkrycie i do raju. Kopisze. Wiekosno 1988; Budyjony wieść Babek... (zakusone miary) w. 1 (43) 1991.*

Rütter Florian

** Denken als an der Zeit ist.* (Zachariasz Andrzej L. Myślenie. Andre jest wyrazem epoki), 2 (36) 1989.

Ruszkowski Witold

Nataski z życia sztuczności w życiu i na Włocławczyźnie w okresie dwadziestolecia międzywojennego, art. 1-2 (39-40) 1990.

Rudbale Salma

** zob. Adamczyk-Garbowska Monika. Piętarz i ulubie*, 1-2 (39-40) 1990; *Statystyki smęty*, fragment (Adamczyk-Garbowska Monika) proza art. 1-2 (39-40) 1990.

Rybicki Arkadiusz

Jestem twórcą proza art. 2-3 (44-45) 1991.

Frykowiak Jarosław Marek

** Znaczenie Umiejętności (Bągliwski Arkadiusz. Archeologia duchowości polskiej...)* kryt. lit. 1-2 (39-40) 1990; ** Baker*, (Bągliwski Arkadiusz... „Baker”, czyli przebieg choroby) (intencja), 4 (46) 1991.

Ryza Markiani

Coin locker habusa (Dzieci ze szkoleń bagażowych), (Narozina Margareta), proza art. 3 (41) 1990; ** zob. Narozina Margareta. O prozie...* 3 (41) 1990.

Sakowski Wacław

Kultura ponad podziałami, wyp. 1 (43) 1991.

Sarrasin Bernard

Ciemny humor i śmierć Boga. Bawelnde i nowoczesna groteska (Abrahamowicz Maciej), szkic 2-3 (44-45) 1991.

S.C.H.

Kwartalnik „Znaczenie Maczusiawicki”, not. 1-2 (39-40) 1990.

Saffert Jarosław

Z cyklu „Znaczenie Maczusiawicki”, **** (Do tego jeszcze...)*, *Licydjo*, **** (W ziołach...)*, *****

(Tędyż raz widaćłom); *Był poeta; Moja przyjaciółka pragnie* (Engelking Leszek), w. 2 (36) 1989.

Sienek Marek J.

Dniem współczesnej antropologii (Brozi Krzysztof. Antropologia kulturowa), rec. 4 (42) 1990.

Sikora Jerzy

Antropologiczne wizje teatru (Sławnicka Irina. Odczytywanie dramatu: Moja porażka estetyczna okrywa. Wydarzanie, oprac. O. Sieradzka; Teatr w myśli współczesnej. Ks antropologii teatru), kryt. lit. 4 (46) 1991.

Sikora Nina

** Tędyż wioły* (Pawlućzak Andrzej W. *Przejmienie był kobierą niż poeta?*), 3 (37) 1989.

Sitarzka Halina

** Z tyż wiołom serca bogoy* (Pawlućzak Andrzej W. *Przejmienie był kobierą niż poeta?*), 1 (37) 1989.

Sławnicka Irina

**** (Maria Karczewska...)*, wyp. 4 (38) 1989; *Odczytywanie dramatu: Moja porażka estetyczna. Wydarzanie*, Oprac. O. Sieradzka; *Teatr w myśli współczesnej. Ks antropologii teatru*, (Sikora Jerzy, antropologiczne wizje teatru), 4 (46) 1991.

Sławnicki Władysław

** zob. Adamczyk-Garbowska Monika. Dekapity i Zerewicki, czyli przekład i adaptacja*, 4 (46) 1991.

Słobin Borys

Koń Głazekow (Czech Jerzy) w. 3 (37) 1989.

Smaszczyk Waldemar

Dwie koncepcje polonistyki wileńskiej prof. Manfred Krüll i prof. Konrad Głozki, szkic 1-2 (39-40) 1990.

Snowińska Margareta

** Aljona z hanrem* (Pawlućzak Andrzej W. *Przejmienie był kobierą niż poeta?*) 3 (37) 1989.

Snowlary Jan

Liryz Anjola Czechowicza do Wiktoro Zolkowiczyho. Wstęp, oprac. i podał do druku... 4 (38) 1989.

Snospek Jerzy

„No, dzie pojmody pucydliczy damski”, *Kilka uwag w związku z książką Bratysławy Kravica. O dwóch bajkach. Hamletow calligro gromotny* rec. 1-2 (39-40) 1990.

Suchoń Jan

**** (Tędyż pomiędzy muzyką...)*, **** Jestem bezstraszny*, **** (Mówisz, że jesteś...)*, *Polofonia*, **** (Za obrazem wieszor)*, **** (To miasto muryściwo)*, w. 3 (37) 1989;

Społkanie w Miłozem; Słrzy legenda i niewiedza, art. 4 (38) 1989; *Lubosławno - drogo przez wioły igłynie*, lit. 1 (43) 1991.

Sztykwa Marek

Miłość w Polsce, proza art. 3 (37) 1989.

Sonowski Andrzej

**** (Tędyż wioły...)*, *Wioła znała*, *Konfuzjara* (wstęp i tłum), współautor Kościol Kubaj (3/37) 1989; *Tęczyta z labiryntu witaj*, *Począ Johna Ashbory ego*, szkic 3 (41) 1990;

Ashbory John, *Wierc serce: Między książką i miłoką kryptografiki*, *Rzeki i góry*, *No wiesz: trzeci*, 1 (41) 1990; *Wierc serce: Między książką i miłoką kryptografiki*, w. 4 (42) 1990.

Staffler Ernst

Z tomiu Przekładz z mroka; Włocisz leżenie przesłania; Dzierżynzina, 2 (40) W wioły Omamizmo; *Czekolinka; Ramek; Cigłki wiołecze*, (Lam Andrzej), w. 2 (42) 1990; ** zob. Lam Andrzej. Enor Sławczek, czyli drogi do ekspresjonizmu*, 2 (40) 1990.

Stankowski Włodzisław

Provincje wobec centrum, wyp. 4 (46) 1991.

Stankowska Agata

Adama Zagajewskiego tajemnica za transkrypcją, (Zagajewski Adam. Piłno), kryt. lit. 2-3 (44-45) 1991.

Stankowicz Wanda

Kin Czuchowicz. Tęczywoł eggiwiska i Europa Środkowa, tłum. 1 (35) 1989.

Sterna-Wachonika Sergiejna

Plus ultra. O metafizycznej porażki Ryszarda Krywickiego, szkic 2 (36) 1989; *Sonoko podobizna zwoju Laryżynzeta; Laryż Szekko o zjawiskach na niebie; Koił; Amok; Rzeczywistość-Siady*, w. 3 (37) 1989; *Z. Dziśnienie Szprzydowey Opłakowic - Wschowa (Prasady); Campo Santo, 1602-1627*, szkic 1-2 (39-40) 1990; *Curk i hejm*, szkic 1-2 (39-40) 1990; *Kultura ponad podziałami*, wyp. 1 (43) 1991.

Steta Leszka

** Epitafium*, (Próchniak Roman). *Narodzin z wiołoy powojeni*, 1-2 (39-40) 1990.

Stevens Wallace

Tęczyta; W drodze do domu; Tryptyk o wiołoy patrzeniu na czarnego konia. Czołostwo miłoy rzesz; Słrzy znaczący obruchów; Państwa w parku, (Kotol Kubaj), w. 3 (41) 1990.

Stępnik Antoni B.

Wizje filozoficzne, (Dębowski Józef. Idea bezświatowości. Generacja karmazynszczyca), rec. 4 (42) 1991.

Stępiński Krzysztof

Wojna i filologia. (Romanowski Andrzej). Przed słotym zamkiem. Szkice o poezji i prozie naturalistyczno-wojennej; lat 1908—1918. Rozważania pąki białych ról... Wierze i piękni i lat 1908—1910 o Polaku, o wojnie i o żołnierstwie. Z życia naszego życia... kryt. list. 4 (46) 1991.

Strasheim August

* zob. Lenka Marian. *O romantyce i funkcji rekwizytu* w dramatach Augusta Straszheima. (43) 1991.

Strzykowski Tomasz

Prozwyte literatury. O przekładach Tadeusza Żeleńskiego (Rosa), szkice. 2—3 (44-45) 1991; *Stora-Sunder Judith. Honor a kryzys* zobowiązań. tłum. 2—3 (44-45) 1991; *Giustino Olga. Omówienie jako strategia odwołania w pastuskach naturalistycznych dwojg romantyki*, tłum. 2—3 (44-45) 1991; *Festszauhen Nelly. Smutki i dziełko w latach dziejowych imienia. (Unieki, imię i zwłoczenie imienia. tłum. 2—3 (44-45) 1991; Gronowiczówna Daniel. Snuąc się czy nie snuć? Sprawa Bronowicza (1916)*, tłum. 2—3 (44-45) 1991; *Czy istnieje Europa Środkowa?* oprac. 4 (46) 1991.

Strzykowski Juliusz

Postać gwiazdy, not. 3 (41) 1990.

Strzałkowska-Chojnacka Aleksandra

Komizmyt wmyśl duszawców, kryt. art. 4 (46) 1991.

Such Jan

Głęboko racjonalność. (Czy sprzyeczność musi być racjonalna. Zbiór artykułów pod redakcją Kazimierza Jodkowskiego), kryt. art. 4 (46) 1990.

Suterański Konrad

** *(Czajkowy w teatrze...)*. ** *(Straty zamitych...)*. *Drzewa młodości*, w. 3 (41) 1990.

Symoniak Stefan

Języka plotu, szkice. 1 (35) 1989; *Filozofia jako sztuka przetwarzania i adaptacji* (Głęboko Czwelko. Zapewniłem krytycy, mianem filozofów, Rzecz o Aleksandrze Tyszkiewiczu i Janie Adamukim) rec. 2 (36) 1989; *Maryska jako literat filozoficzny*, art. 2 (36) 1989; *Etyketyka książki*, szkice. 3 (37) 1989; *Upadek Polaki jako „pre-figuracja” upadku Europy o powieści iautografizmu Wilhelma vonKleista i twórczości Urszuli Osypowicz*, list. 1—2 (39-40) 1990; *Etyketyka teatru*, szkice. 3 (41) 1990; *Mechanika teroru realizacyjnego*, szkice. 1 (43) 1991.

Szarapianka Czesław M.

Polubski; Durski; Gołębi; proza art. 4 (38) 1989; *Wiersze Kazemki*, not. 4 (38) 1989; *Balada wspania w jeziorze; Ballada o kankardach wiersza; Ballada ka przestrożce; Ballada przypiętym; Ballada w jaskiniach nastrojów; Ballada z przyciętymi łożkami*, w. 4 (42) 1990.

Szkabił Tomasz

Przewidy artystyczna, polityka i moralność. Uwagi o koncepcji estetycznej A. Wierockiego, szkice. 2 (46) 1989; *Czy sztuka współczesna przetrwa kryzys. (Kryzys w sztuce. Materiały Szóstego Stowarzyszenia Historyków Sztuki. Lublin, grudzień 1985)*, rec. 3 (37) 1989; *Bezdzielnego Mikolajki. Rosja*, tłum. 1—2 (39-40) 1990; *Michał Baczyński. Sztuka i dialog*, szkice. 3 (41) 1990; *Sztuka i sacrum. (Sacrum i sztuka. Opracowanie Naukowa Chęcińska)*, rec. 3 (41) 1990; *„Nowi dźwięki” kryzysu sztuki czy podleganie omamom?* rec. 4 (42) 1990; *Ontologia i epistemologia wartości, czyli jak ustawić wartości? Jak ją poznawanie. (Sprawy i ontologii i epistemologii wartości. Praca zbiorowa pod redakcją Jolanty Lipa)*, rec. 1 (43) 1991; *Colowicki Kalina. (Dmitry Krzyżozof, Wypowiedzenie polskiej kompozycji kaliny)*, rec. 2—3 (44-45) 1991; *Hierling-Gruzdziński... —wsłoki „sieku ideologii” (Hierling-Gruzdziński Gustaw. Dziennik piątny 1958. L. I 1971—1972, L. II 1973—1979, L. III 1980—1983, L IV, cz. I, II, III 1984—1988, Cienie siemi. Zarys)*, rec. 4 (46) 1991.

Szkabił Tomasz

* zob. Lametnicki Lechosław. *„Kolorowe jarmarki” Henryka Szukacza*. 4 (46) 1991.

Szuba Andrzej

Whitman Walt. Pięć o sobie, tłum. 1 (35) 1989.

Szuch Henryk

* zob. Lametnicki Lechosław. *Burzenie literatury Henryka Szuka*. 3 (41) 1990.

Szuch-Packalnik Małgorzata

* *Pakalnik Sł. Studium o poezji polskiej lat siedemdziesiętych* (Legyetystka Anna. —*Powiedz, prawde, do tego szucha?*) kryt. list. 1 (35) 1989.

Szymanski Iwona

Balada o kłopot; *W cyrku. W pszczyłkach. Droga do nakię; Kogo do arkii*, *List*, w. 2—3 (44-45) 1991.

Szperowicz Dagna

** *(Półgłówny...)*. ** *(Pier, który zmarł ciele Polinicy)*; *Annex... (Smarkata Awezy)*; ** *(W pszczyłkach po butach...)*, w. 3 (41) 1990.

Szwejt Jerzy

Lubodziejowski gendarm porzucił, szkice. 1 (35) 1989; *Czy Chrystus był anarchoistą* (Ellad Jacques. *Anarche et Christanisme*) rec. 3 (37) 1989; *Jarmark*, szkice. 3 (41) 1990; *Czy istnieje Europa Środkowa?* rozm. wyp. 4 (46) 1991.

Tabelnicki Bolesław

Czwelko. Opowieść znowszą; Bursa; Pierzyczka do kamulejki, w. 1 (35) 1989.

Taraniecki Zdzisław

Przewidy wobec centrum, wyp. 4 (46) 1991.

Taylor Nina

Od Polki postrzydy do „Polki Walczące”, (Wspomnienia Tymona Terleckiego opiane (Kommentarum opatrzone przez...), kryt. list. 4 (46) 1991.

Teatr

2 (36) 1989; 3 (37) 1989; 4 (38) 1989; 3 (41) 1990; 4 (42) 1990; 1 (43) 1991; 2—3 (44-45) 1991; 4 (46) 1991.

Terlecki Tymon

Od Polki postrzydy do „Polki Walczące”, (Wspomnienia... opiane i komentarzem opatrzone przez Nina Taylor), wyp. 4 (46) 1991.

Theravalden Bartol

Parabeli i rólci czyli Dzieje księcia Julia i księżki Buba z rybnakami Anora. Opowieść przy kominka dach dach i małych dzieci, (tłum. Michał Roszkiec, wiersze iwygnany wierszy Thackeraya napisał Maciej Skierkowski), (Adaptacja-Głębokowa Monika. *Delapato z Żerwickich, czyli parabeli i adaptacji*), 4 (46) 1991.

Theravalden Bartol

* zob. N. Lametnicki Lechosław. *Bartol Theravalden (1770-1844), rezbiter dwiatki w Ryżnie*. 4 (42) 1990.

Theravalden Bartol

* zob. Głęboko Alicja Leszek. *„Praca jest ciężką modlitwą”*. 2 (36) 1989.

Theravalden Bartol

Theravalden-Dycki Eugeniusz O czczepowianym, *Matka była się imierci 52-letniego; Nad ranem*, ** *(zoo zlatywny topu...)*. *W pręgu po strachu Potowoskiego*; 1 *imicy*, w. 4 (38) 1989.

Topolicki Jerzy

Co to jest historia teoretyczna? (Pomorski Jan. *W postawianiu modelu historii teoretycznej*) rec. 4 (42) 1990.

Towsonend Arcelin

Mindisi i piękności, (Baranack Stanisław), w. 4 (38) 1989.

Trębasz Arnold

* zob. Czarnocki Zdzisław J. *Arnold Trębasz — apokalipsa i nadzieja*, 3 (41) 1990.

Trębasz Arnold

Cwiok z Rosnie; Archiwajcz estoholizacji jeździę; Stron; Wieredzi — rancz; Orzino; Carillon, (Neiger Leonard), w. 1 (35) 1989; * zob. L.N. ** *(Tomaz Trębaszowicz...)*, 3 (35) 1989.

Trębasz Arnold

Labelka moła apokalipsa, (Okkaz Janusz. *Uniwerytety i wampiry chorągwie Litwaki*), kryt. list. 2—3 (44-45) 1991.

Trębasz Arnold

** *(Proba dokonania krytycznego przeloku...)*, wyp. 4 (38) 1989.

Tyszkiewicz Aleksander

Syngowicz... Filozofia jako sztuka przetwarzania i adaptacji, 2 (36) 1989.

Uchertowska Aleksandra

Przemiany; Proba; Szuka; Tekst, proza art. 1 (35) 1989.

Ulissz Stanisław

Od „Pozycji do „Szczepionych lat”, szkice. 1 (43) 1991.

Ułwikarck Andrzej

Kultura ponad postulatami, wyp. 1 (43) 1991.

Vincenzo Standał

* zob. Cugow Tadeusz. *Poezja krajowca w eszku... Brano do Węgieł*; 2 (36) 1989; * zob. Pallalvi Lajos. *Nad tekrami Vincenza*. 1—2 (39-40) 1990; * zob. Choroway Jan. *Stanisław Vincenza „Notatniki 1938—1944”*, *Przemiany literatury* 1 (43) 1991.

Waschowicz Eugeniusz

Müller Arsen; Łukasz; Kłisę i ja, tłum. 1—2 (39-40) 1990.

Warków Józef

Ajg Gemajdy; Węzgorze — Jullie; Brzozy — galfni poludnowo-górzny; Łany — wstrec; Przechodzący z cieżką mianem; Koloracje zam zamianem, 4 (46) 1991.

Warków Melchior

* zob. Ulissz Stanisław. *Od „Pozycji do „Szczepionych lat”*, 1 (43) 1991.

Warków Melchior

Młobad. 7 (dwunastce sekwencji), w. 2 (36) 1989.

Was Aleksander

* zob. Kochubarski Alina. *Poeta w piekle XV wieku*, 4 (38) 1989; *Mazurek Dorota. Aleksandra Wata poezja doświadczenia i doświadczenia*, 4 (38) 1989; *Ewolucja*, w. 4 (38) 1989.

Webster Stefan

** *(Intencja od roku Fundacja Kancelarii...)*, 4 (31) 1991.

Webster Stefan

Henryk Labinger i Czerwiec nadzieja, proza art. 2 (36) 1989.

Whitman Walt

Pięć o sobie, (Szuba Andrzej), w. 1 (35) 1989; zob. A.S. ** *(Przedwysłobienie pierwsze przekładki wierszy...)*, 1 (35) 1989.

Wierciński Andrzej
Dziękuję miłości, (Przebieg Janusza Stanisława. *Wiersze wybrane*), kryt. lit. 3 (41) 1990.
W królestwie w ciemności, (Dama-Kozłowska Ursula. *Świadki ciepła wietrzy*), 3 (41) 1990, *Kultura* ponad podziałami, wyp. 1 (43) 1991.

Wiśniewska Grażyna
Godzinia z Ziemią Spółkonia — *Marii Józefyńskiej*, (Józefacka Maria, *Ziemia Spółkonia*), kryt. lit. 3 (41) 1990.

Wiśniewska Jolanta
Requiem głuchemu światłu, (Kulinińska Andrzej, *Nawrócenie*), kryt. lit. 1 (35) 1989.

Wiśk Anna
W życie pomędzy, (Niewczas Andrzej, *Życie na nity*), 3 (41) 1990.

Wojczek Rafał
 * zob. *Konarski Lech*. — *Miłość, która obwodzi śpiącą w tobie imięmi*. — *Trzy transpary* *teatrysty*. — *Mickiewicz*. — *Leśmian*. — *Wojczek*, 4 (42) 1990.

Wojnar Irene
 * *Hyphenowanie estetyczne miedzy polskimi. Polska koncepcja i dokończona. Praca zbiorowa pod redakcją Wiesława Pielskiego i Ireny Wojnar*, (Piński Janusz, *Problemy wychośowania estetycznego dzieci i młodzieży*), 4 (46) 1991.

Wolski Marcin
Antybiogram. — *Kopciuszki*. — *Zawieszona*, proza art. 2—3 (44-45) 1991.

Wolkeż Teresa
 O mizologii Marka Piłgowskiego rozmawiają: *Krzysztof Glieniński* — *matarka* i *Teresa Wolkeż* — *krytyk* *art.* rozmi. 1 (43) 1991.

Woronowska Teresa
Cudni Sądor. *Powozie niekolejowców*. *Patience*, a wyobraźnia *piętna*, *tham*. 1—2 (39-40) 1990.

Woronicki Aleksander K.
 * zob. *Sekulski Tadeusz*. *Prawda artystyczna, polityka i moralność. Uwagi o koncepcji estetycznej*. — 2 (36) 1989.

Wzlatkowski Krzysztof
Od Stowarzyszenia Społeczno-Kulturalnego do Związku Polaków na Litwie, art. 1—2 (39-40) 1990.

Wzłowski Bogusław
40 lat Deutsches — Polen Institut i Biblioteki Polskiej w wydawnictwie Suhrkamp, art. 4 (42) 1990. *Kultura* *ponad podziałami*, wyp. 1 (43) 1991. *Czy istnieje Europa Środkowa*, *notyz.*, wyp. 4 (46) 1991.

YIVO (Jydyszki wisszafleker instytut)
 * zob. *Adamski-Garbowska Monika*. *Z Włosa na Manhattan*, *not.* 1—2 (39-40) 1990.

Zachariasz Andrzej L.
Myslenie, które jest wyrazem epoki, (Rötzer Florian, *Denken der an der Zeit*), *lit.*, *rec.* 2 (36) 1989.

Zachra Bohdan
Darjowska Natalia. *Wodok*, *tham*. 1 (35) 1989. *Przeżyłemu i jeżemu mi...* (Beatty Roman, *Nagł mały*), kryt. lit. 1 (35) 1989. *Cieca*, w. 2 (36) 1989. *Jeszcze! Nazw* *obowiązk*. *Główna szkieletowa*. — *Brak poeci*, *proza poet.* 4 (46) 1991.

Zagajewski Adam
 * *Plimio*, (Stankowska Agnieszka, *Adama Zagajewskiego fragmenty na transoceanodzie*), 2—3 (44-45) 1991; *not.* *Lukaszka Malgorzata*. *Jeszcze o podziwy i podziwającym*, 4 (46) 1991.

Zagala-Parosiewicz Mirosława
Memoriarium Jana Lehestreina, kryt. art. 1 (43) 1991.

Zielinski Marek
 * *Kilka niewzruszonych przekonań*, (Filip Grzegorz, *Duchowy dziennik Krytyka*), 1 (35) 1989.

Zielinski Michal
Kultura ponad podziałami, wyp. 1 (43) 1991.

Ziemianka Dorota
 O amiezycznym mechanizmie *kałury*, *szkic*. 1 (35) 1989.

Ziółkowski Wiktor
 * zob. *Czechowicz Józef*. *Listy do Wiktora Ziółkowskiego*, 4 (38) 1989.

Ziółkowski Andrzej
Przewidywanie centrum, wyp. 4 (46) 1991.

Ziółkowski Tadeusz
Epizod na płekaniu, *proza art.* 4 (42) 1990.

Ziółkowski Polaków na Litwie
 * zob. *Wrotnicki Krzysztof*. *Od Stowarzyszenia...* 1—2 (39-40) 1990.

Zyman Edward
 * *U Boga kadyli bliżej*. *Wybór felietonów*, (Jurak Natalia, *Bonany kaj kartofle*), 4 (46) 1991.

Zycki Jerzy
Czerwiec na kognole, *proza art.* 4 (42) 1990.

Zielinski Tadeusz (Boy)
 * zob. *Strykowski Tomasz*. *Pracowite Muzestwo (o przekładach Tadeusza Zielinskiego „Boy”)*, 2—3 (44-45) 1991.

Ziółkowski Tadeusz
Elegia wabyłtury. *Elegia z podziwy na wachid*. *Elegia dla rodzinnej Naczy*, w. 1—2 (39-40) 1990.

Zydzowski Instytut Naukowy
not. *YIVO*.

Antony praca fotograficzna
 Bąk Andrzej, 1 (25) 1990; Cichanowski Tadeusz, 2—3 (44-45) 1991; Chrejnicki Mirosław, 1—2 (39-40) 1990; Chazan Stefan, 3 (37) 1989; 4 (38) 1989; 3 (41) 1990; David Robert, 1 (43) 1991; Demidowski Łucjan, 2 (36) 1989; Górna Z. (35) 1989; Henda Andrzej, 1—2 (39-40) 1990; 4 (42) 1990; 1 (43) 1991; Kozak Wioldo, 3 (41) 1990; Maciuk Piotr, 1 (35) 1989; 3 (37) 1989; Michalski Waldemar, 1—2 (39-40) 1990; Polakowski Andrzej 3 (37) 1989; Przystała Maciej, 4 (38) 1989; Rosin Witold, 4 (38) 1989; Słomkowski Helena, 4 (42) 1990; Sachajda Mirosław, 4 (38) 1989; Sokolowski Jolanta, 4 (42) 1990; Stepien Waldemar, 4 (38) 1989; 1—3 (39-40) 1990; 4 (42) 1990; Smatalla Jarosław, 1—2 (39-40) 1990; Szymczak J. M., 1 (41) 1990; Urban Janina, 1—2 (39-40) 1990; Wikławska Stanisława Irena, 1 (43) 1991; Archiwum, 2 (36) 1989; 4 (38) 1989; 1—2 (39-40) 1990; 3 (41) 1990; 4 (42) 1990; 1 (43) 1991; 2—3 (44-45) 1991.

Antony praca plastyczna
 Borowski Wincenty, 1 (35) 1989; Gielniak Józef, 4 (46) 1991; Jędrzej Kungunda, 1—2 (39-40) 1990; Julka Zdzisław, 2—3 (44-45) 1991; Kopol-Szoku Zofia, 3 (35) 1989; Kramożycki Roman, 4 (38) 1989; Lehestein Jan, 1 (43) 1991; Le Corbusier, 3 (41) 1990; Lempińska Tamara, 4 (42) 1990; Lipiec Jerzy, 2—3 (44-45) 1991; Malubiuk Franciszek, 4 (42) 1990; Nakomocny Piotr, 4 (38) 1989; Piątkowski Marek, 1 (43) 1991; Ramon Mel, 4 (42) 1990; Raza Antoni, 4 (42) 1990; Siedziński Szymon, 2—3 (44-45) 1991; Sokulski Henryk, 4 (46) 1991; Szale Henryk, 3 (41) 1990; Tarłowski Józef, 2 (36) 1989; Trzczyński Ryszard, 2 (36) 1989; Tyśkiewicz Aleksandra i Feliks, 1—2 (39-40) 1990; Wolski Georges, 2—3 (44-45) 1991.

Bibliografia Akcentu
 1) za lata 1990—1992 (od 1 do 4/10) — w numerze 11(11) 1993
 2) za lata 1988—1988 (od numeru 1/1) do numeru 4(22) — w numerze 4(22) 1989.
 3) za lata 1986—1986 (od numeru 1/23) do numeru 4(34) — w numerze 1(35) 1989.

Oprac. D.O.

Z gorącym podziękowaniem potwierdzamy odbiór pierwszych wpłat na Fundusz Wydawniczy Przysięgi „Akcentu”.

Dotychczas otrzymanymi wpłatami od następujących osób:

Wachaw Iwanicki, Kanada	1 mln zł
Zbigniew Kaczorowski, Wiedeń	oraz 100 dol. USA
Marek Gacka, Lublin	100 dol. USA
Edward Zyma, Kanada	100 dol. kanad.
Łucjan Ożajca, Lublin	1 mln zł
Wojciech Próżniński, Lublin	1 mln zł
Wasiłecio Klubu Towarzystwa „HADES”	1 mln zł
Stowarz. Solidarni („SUIPERPRESS”)	1 mln zł
Danuta Chaciński, Baltimore	100 dol. USA
F. H., Chicago,	100 dol. USA

Wszystkie wpłaty na Fundusz Wydawniczy „Akcentu” traktujemy jako roczną subskrypcję naszego kwartalnika.

Równocześnie informujemy, że lista Przysięgi — Mecenasa „Akcentu” jest ciągle otwarta. Serdecznie zapraszamy. Będziemy na imnach „Akcentu” odnotowywać każdą kolejną wpłatę. Pieniądze można wpłacać bezpośrednio w redakcji lub na następujące konto:

„Kodex-Edytor” s.c.
 Lublin, ul. Zana 38 C
 Lódki Bank Rozwoju
 Oddział Lublin
 414201-283-136-0

z zaznaczeniem: **„Akcentu”**.

Serdecznie dziękujemy. Redakcja

Wydawnictwo Literackie, Kraków, ul. Szpitalna 10, 31-100 Kraków, tel. 012 251 10 00
Zamówienia i reklama: Kraków, ul. Szpitalna 10, 31-100 Kraków, tel. 012 251 10 00
Cena: 10 zł
Wydawnictwo Literackie, Kraków, ul. Szpitalna 10, 31-100 Kraków, tel. 012 251 10 00

Na pierwszej stronie okładki
Andrzej Urbanowicz: Szaleństwo, olej, 1985—1988

Na czwartej stronie okładki
Andrzej Urbanowicz: *Jeux sans titre*, olej 1987—1989

Fotografie barwne
Jan Humberant

Wydawnictwo Literackie, Kraków, ul. Szpitalna 10, 31-100 Kraków, tel. 012 251 10 00
Zamówienia i reklama: Kraków, ul. Szpitalna 10, 31-100 Kraków, tel. 012 251 10 00
Cena: 10 zł
Wydawnictwo Literackie, Kraków, ul. Szpitalna 10, 31-100 Kraków, tel. 012 251 10 00

Wydawnictwo Literackie, Kraków, ul. Szpitalna 10, 31-100 Kraków, tel. 012 251 10 00
Zamówienia i reklama: Kraków, ul. Szpitalna 10, 31-100 Kraków, tel. 012 251 10 00
Cena: 10 zł
Wydawnictwo Literackie, Kraków, ul. Szpitalna 10, 31-100 Kraków, tel. 012 251 10 00

Zakładem Wydawnictwa Literackiego wydrukowano i nakładem własnym w Zakładzie Drukarskim w Krakowie, ul. Szpitalna 10, 31-100 Kraków, tel. 012 251 10 00

Adres redakcji
20-022 Lublin

ul. Okopowa 7, I piętro
tel. 27-469

Wydawca: „Kafex-Edytor” s.c.
20-601 Lublin, ul. T. Żana 28 c

Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne, ul. Urwicka 4
Zam. 1591 Przekazano do druku

Druk skończony w maju 1992 r.
Nakład 3000 egz. Cena 3000,-

Materiały do samodzielnej edycji są w całości własnością Wydawnictwa Literackiego. Zabrania się kopiowania, rozpowszechniania i w inny sposób wykorzystywania bez zgody Wydawnictwa Literackiego.

Wydawnictwo Literackie, Kraków, ul. Szpitalna 10, 31-100 Kraków, tel. 012 251 10 00
Zamówienia i reklama: Kraków, ul. Szpitalna 10, 31-100 Kraków, tel. 012 251 10 00
Cena: 10 zł

Wydawnictwo Literackie, Kraków, ul. Szpitalna 10, 31-100 Kraków, tel. 012 251 10 00
Zamówienia i reklama: Kraków, ul. Szpitalna 10, 31-100 Kraków, tel. 012 251 10 00
Cena: 10 zł

Wydawnictwo Literackie, Kraków, ul. Szpitalna 10, 31-100 Kraków, tel. 012 251 10 00
Zamówienia i reklama: Kraków, ul. Szpitalna 10, 31-100 Kraków, tel. 012 251 10 00
Cena: 10 zł

Wydawnictwo Literackie, Kraków, ul. Szpitalna 10, 31-100 Kraków, tel. 012 251 10 00
Zamówienia i reklama: Kraków, ul. Szpitalna 10, 31-100 Kraków, tel. 012 251 10 00
Cena: 10 zł

Wydawnictwo Literackie, Kraków, ul. Szpitalna 10, 31-100 Kraków, tel. 012 251 10 00
Zamówienia i reklama: Kraków, ul. Szpitalna 10, 31-100 Kraków, tel. 012 251 10 00
Cena: 10 zł

Wydawnictwo Literackie, Kraków, ul. Szpitalna 10, 31-100 Kraków, tel. 012 251 10 00
Zamówienia i reklama: Kraków, ul. Szpitalna 10, 31-100 Kraków, tel. 012 251 10 00
Cena: 10 zł

Wydawnictwo Literackie, Kraków, ul. Szpitalna 10, 31-100 Kraków, tel. 012 251 10 00
Zamówienia i reklama: Kraków, ul. Szpitalna 10, 31-100 Kraków, tel. 012 251 10 00
Cena: 10 zł

Wydawnictwo Literackie, Kraków, ul. Szpitalna 10, 31-100 Kraków, tel. 012 251 10 00
Zamówienia i reklama: Kraków, ul. Szpitalna 10, 31-100 Kraków, tel. 012 251 10 00
Cena: 10 zł

Wydawnictwo Literackie, Kraków, ul. Szpitalna 10, 31-100 Kraków, tel. 012 251 10 00
Zamówienia i reklama: Kraków, ul. Szpitalna 10, 31-100 Kraków, tel. 012 251 10 00
Cena: 10 zł